MICHAŁ KUSZEWSKI

BOGINI PAHAADU

ALYN • TOM III

Michał Kuszewski

Bogini Pahaadu

SPIS TREŚCI

PROLOG 3

CZĘŚĆ I 7

ROZDZIAŁ PIERWSZY 8

ROZDZIAŁ DRUGI 15

ROZDZIAŁ TRZECI 28

ROZDZIAŁ CZWARTY 38

CZĘŚĆ II 51

ROZDZIAŁ PIĄTY 52

ROZDZIAŁ SZÓSTY 64

ROZDZIAŁ SIÓDMY 72

ROZDZIAŁ ÓSMY 86

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY 94

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY 103

ROZDZIAŁ JEDENASTY 112

ROZDZIAŁ DWUNASTY 117

CZĘŚĆ III 126

ROZDZIAŁ TRZYNASTY 127

ROZDZIAŁ CZTERNASTY 140

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY 149

CZĘŚĆ OSTATNIA 154

ROZDZIAŁ SZESNASTY 155

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY 165

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY 176

PODZIĘKOWANIA 179

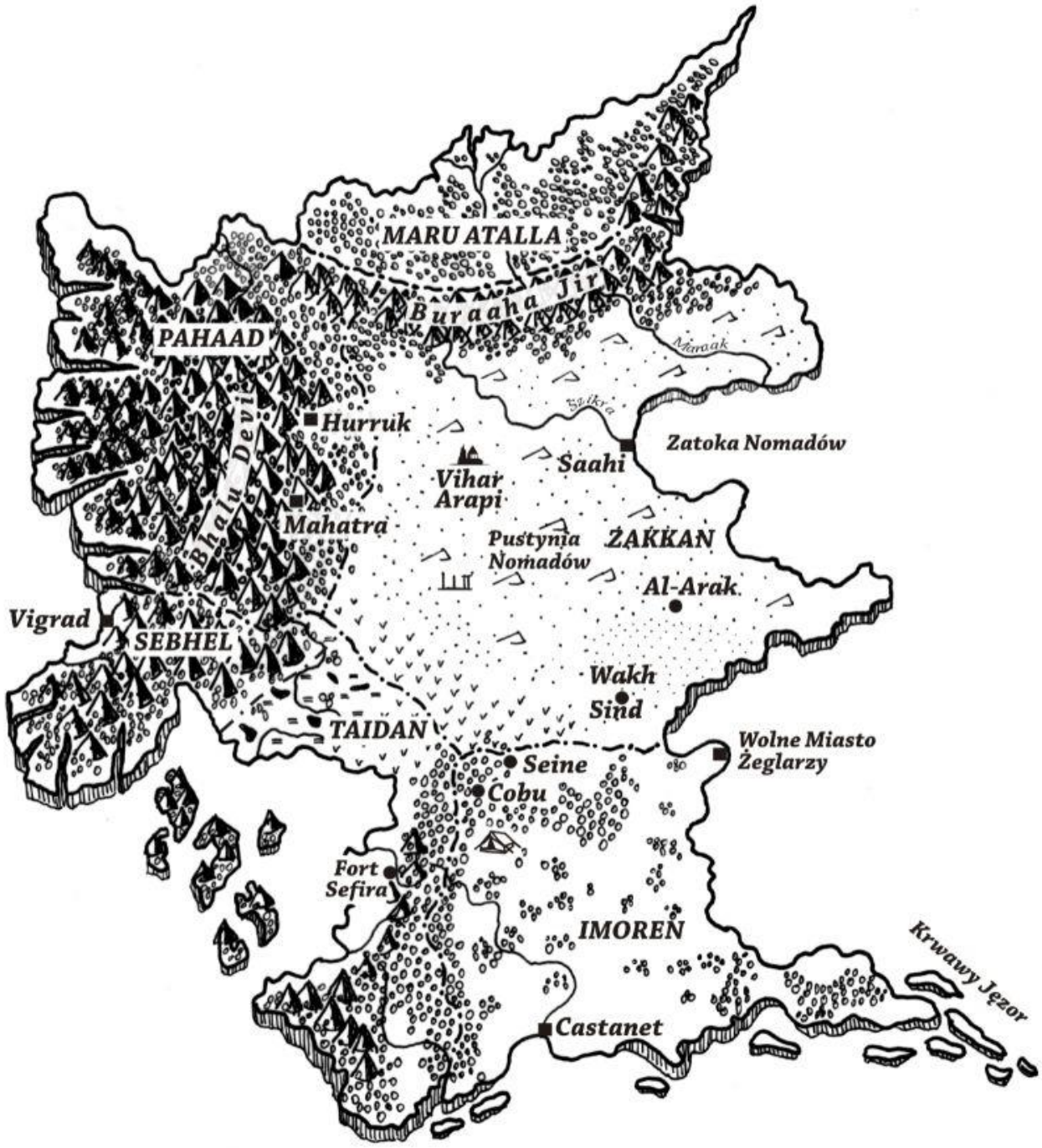
MARU ATALLA
Buraaha Jir
PAHAAD
Bhalu Devi
Hurruk
Mahatra
Vihar Arapi
Saahi
Zatoka Nomadów
Pustynia Nomadów
ZAKKAN
Al-Arak
Vigrad
SEBHEL
Wakh Sind
TAIDAN
Wolne Miasto Żeglarzy
Seine
Cobu
Fort Sefira
IMOREN
Krwawy Jezor
Castanet

Zbudź się, motylu –
Późno, całe mile
Są przed nami.
– Bashō (przekł. C. Miłosz)

PROLOG

Czerń.

Zimna, wilgotna, oślizgła. Wątłe ciepło drżącego ciała. I smród.

Nie od razu go poczuła. Wypełniał sobą całą przestrzeń, odbijał się od ścian niczym echo. Powracał falami. Słodki, mdlący, mokry.

W pierwszym odruchu objęła się dłońmi, próbując opanować drżenie. Wyobrażała sobie, że były lepsze rzeczy, które mogły powitać człowieka po tym, gdy obudził się w czarnej nicości. Ale były też gorsze. Powoli, z wahaniem, przesunęła zimne opuszki palców po policzkach, w górę twarzy. Pod powiekami wymacała gałki oczne. Nacisnęła je lekko, aż tuż przed sobą zobaczyła pulsujący jasny kleks. Z ulgą opuściła ręce.

Wzięła kilka głębokich oddechów. Słuchała, jak odgłos powietrza uciekającego z jej zmarzniętych ust wiruje, odbija się od ścian. Była w pomieszczeniu. Niewielkim. Po długiej chwili bezruchu powoli podniosła się i odnalazła stopami chłód ziemi. Zakłuł ją jak szpila, ale pozwolił skoncentrować myśli, ułożyć je w zgrabny stos.

– Halo?

Głos, który rozdrapał powietrze, zmroził ją tak, że instynktownie objęła się jeszcze mocniej i roztarła ramiona, strzepując na ziemię lepką wilgoć. Nie przypominał jej żadnego, który znała. A przecież wydobył się z jej krtani. To był jej głos.

Myśl pojawiła się w jej głowie natychmiast. Położyć się z powrotem, zamknąć oczy. Zasnąć i obudzić się gdzieś indziej. Jak złudna obietnica bezpieczeństwa. Ciepłe objęcia snu.

– Jest tu kto? – powtórzyła głośniej i pewniej.

Jej głos był ochrypły i nieprzyjemny, ale tym razem poniósł w gęste, śmierdzące powietrze odrobinę znanej melodii. Natrętna myśl, niczym odgoniona dłonią mucha, odfrunęła w ciemność.

Stanęła chwiejnie na nogach i wymacała ścianę. Wykonała wzdłuż niej kilka kroków. Nie czuła palców u stóp. Prawdopodobnie z zimna. Mimo to ruszyła dalej.

Trafiła na dwa prostopadłe załomy, nim twardy chłód pod dłońmi oddał miejsce ziejącej nicości. Smród buchnął z podwójną siłą. W pierwszym odruchu chciała zatkać nos, ale powstrzymała się, gdy zdała sobie sprawę z tego, że jest on jej jedynym przewodnikiem. Wiódł ją, niemalże układając się przed jej oczami w długie, falujące wstęgi. Dokąd?

Do wyjścia.

Do światła.

Kilka lub kilkanaście wykonanych ostrożnie, po omacku, kroków później jej stopa z cichym chlupotem rozgarnęła drobną kałużę. W jednej chwili poczuła przemożne pragnienie, ale odór był tak silny, że wątpiła,

by mogła cokolwiek przełknąć. Jeżeli to w ogóle była woda.

Chwilę później pojawiły się pierwsze halucynacje. Mogła się tego spodziewać, umysł nie radzi sobie zbyt dobrze z odcięciem od podstawowych bodźców, więc tworzy sztuczne. W jej przypadku narysował w ciemności wątłą sylwetkę jej ciała. Nie była w stanie dostrzec niczego wokół, ale przynajmniej mogła zobaczyć siebie samą. W pewnym sensie. Było to lepsze niż nic.

Dwa kroki dalej jej stopa wbiła się w coś miękkiego, wytrącając ją z równowagi. Nie upadła tylko dlatego, że panicznie, z całej siły, zaparła się przedramieniem o ścianę po lewej. Poczuła ból. Prawdziwy, nie z zimna. A potem zgięła się wpół, gdy jej ciało postanowiło pozbyć się zawartości żołądka. Nie było tego wiele.

Dopiero po chwili, gdy splunęła żółcią i otarła z ust długie, lepkie jęzory śliny, zorientowała się, co się stało. To, co leżało na ziemi, to, co poruszyła stopą, wydało z siebie cichy syk, a wraz z nim okolicę zalała fala mdlącego fetoru, przy którym dotychczasowy zapach powietrza wydawał się bryzą na łące. Czym prędzej zabrała się stamtąd i poszła dalej przed siebie.

W czerń i smród.

Nie wiedziała, ile minęło czasu i ile podobnych ohydnych, miękkich połci dotknęła, nim najpierw otworzyła się nad nią rozległa przestrzeń, a potem po raz pierwszy odnalazła drogę wiodącą do góry. Korytarz był stromy, ale wraz z pokonywaniem kolejnych załomów wreszcie zaczęła czuć pierwsze oznaki prawdziwego ciepła. Wokół wciąż panowała cisza, jej jedynym kompanem był miarowy szelest jej stóp dotykających na zmianę szorstkiej skały.

Gdy tuż przed jej nosem wyrosła zapora, która po pobieżnym zbadaniu dłońmi okazała się zamkniętymi drewnianymi drzwiami, na całym ciele poczuła gęsią skórkę.

– Wszystko to jest snem – powiedziała, gdy uświadomiła sobie ten oczywisty fakt.

Jej głos zabrzmiał tak, jak powinien. Melodyjnie, swojsko. Nigdy go nie lubiła, ale teraz przywitała go z ulgą.

– Czas się obudzić.

Pchnęła mocniej i skobel natychmiast ustąpił z trzaskiem, jakby był wykonany z cienkiej, uschniętej gałązki. Skrzydło otwarło się na wnętrze jakiegoś spowitego w półmroku pokoju.

Jej serce zabiło szybciej. To wciąż był sen. Coś nie pozwalało jej się obudzić.

Podeszła ostrożnie do niewielkiego okienka, przez które do środka wpadało srebrne światło księżyca. Stanęła w jasnej plamie na podłodze i spojrzała w dół na brudne, sine stopy. Były blade. Nad nimi, ucięte w połowie czarną gilotyną cienia, prężyły się dwie naprężone łydki.

Chyba coś było nie tak.

Odnalazła drzwi wyjściowe i podeszła do nich. Pojedynczym pchnięciem pozbawiła je zasuwy. Echo metalicznego szczęku rozbiegło się po okolicy, ale nie miało to znaczenia. Wyszła na zewnątrz.

Wreszcie wyszła na zewnątrz.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i rozejrzała się po okolicy. Coś jej mówiło, że znała to miejsce. Widziała je, była w nim. Może w innym śnie. Gromada glinianych chat. Faliste kontury wydm. Srebrzyste pobłyski księżyca odbijającego się w tafli jeziora.

Spojrzała w dół na ciało, które pomogło się jej tu dostać. Jej własne ciało, które na nowo zadrżało w objęciach nocnego chłodu. Pokręciła głową. Nie zamierzała tracić czasu na szukanie odpowiedzi na cokolwiek. Sny rządziły się własnymi prawami. Podpowiadały, uczyły. Manifestowały najgłębsze pragnienia podświadomości. I nie tłumaczyły, skąd brały się takie słowa, jak „halucynacje", „bodźce" czy „podświadomość". Wiodły ku przygodzie. Inspiracji.

Z wbitego obok w ziemię kijaszka ściągnęła płachtę lekkiej, zwiewnej szaty i narzuciła na siebie. Następnie wyprostowała się i zaczęła nasłuchiwać. Okolica spała urywanymi oddechami i cichym pochrapywaniem. Nie wszędzie. Gdzieś daleko zatrzepotały skrzydła. W innym miejscu rozbrzmiały w dyskusji podniesione głosy. Przywiał je lekki wiatr, który następnie zawirował tuż obok niej i zakręcił na ziemi garstką kamyków.

Ruszyła, jeszcze nieco chwiejnie, w stronę głosów. Wzdłuż wąskiej, ciemnej uliczki, na którą kładły się czarne cienie mieszkalnych kopuł i lasu suszących się ubrań. Sprzeczka, lub czymkolwiek to było, wciąż wydawała się nienaturalnie odległa, ale z każdą chwilą jej odgłosy nasilały się. Mężczyzna i kobieta. I garstka postronnych. W pewnej chwili metal brzęknął o metal, ktoś zakrzyknął.

Nie wiedziała dlaczego, ale przyspieszyła. Kulejąc, przeszła w trucht, potem w bieg. Sen wymagał od niej, by zdążyła, by pojawiła się tam na czas.

Minęła ostatnią chatkę i przebiegła, coraz szybciej i pewniej, wzdłuż niskiego płotka, który ogradzał niewielkie poletko uprawne.

Ferula, podpowiedziała jej znienacka pamięć, która natychmiast na powrót zamknęła się na głucho.

– Ferula – powtórzyła szeptem pomiędzy sapnięciami wypełniającymi zimnym powietrzem jej stęsknione płuca.

Cel był tuż, tuż.

Gdy stanęła w drzwiach oświetlonej kilkoma pochodniami stodoły, było już po wszystkim. Na ziemi, nieruchomo lub w śmiertelnych drgawkach, leżało kilkoro mężczyzn i kobiet. Kałuże krwi, która sączyła się z ich dogorywających ciał, przypomniały jej o wilgoci i smrodzie nieprzebranych ciemności. Odgoniła tę myśl, gdy zauważyła dalej dwie sylwetki pozostałych przy życiu postaci. Jedną z nich był długowłosy mężczyzna, którego wyciągnięta, zakrwawiona szabla celowała w gardło drugiej, skrytej w cieniu. Kontur jej ciała wskazywał na to, że była to niewysoka dziewczyna. Jeszcze chwila i...

– Kim jesteś?!

Głos, który nagle rozbrzmiał, sprawił, że instynktownie cofnęła się i przywarła plecami do ściany. To nie mógł być tamten mężczyzna. Usłyszała to... w głowie.

– Coś ty za jedna?! Kim jesteś?!

– Nie wiem – wyszeptała w odpowiedzi.

Do tej pory odpowiedź na to pytanie wydawała się jej niepotrzebna. Za chwilę miała przecież się obudzić z tego snu. Tam, po drugiej stronie, wszystko było jasne. Tutaj...

– Jak masz na imię?!

Głos był władczy, nie tolerował dyskusji. On też wydawał się jej znajomy.

– Jak masz na imię?!

I wtedy, nagle, przypomniała sobie. Rzadkie górskie powietrze. Lodowe posągi. Słowa wypowiedziane przez wojowniczkę.

I imię.

– Nazywam się...

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ PIERWSZY

To tylko podróż jest
Z ciemnych pokoi do
Ogrodów i ciepłych plaż,
Wysokich gór i palm.
– *Ślady*, Fisz Emade Tworzywo

„Isztar niech to pokara, Alyn. Piszę to czwartego dnia po przybyciu pod mury Hurruk. Mury... palisadę raczej, ale nie ma żartów, tutejsi umieją nagiąć drewno do swej woli nie gorzej niż ojciec i cała jego ciesielska gromadka z Zurykiem na czele. Chata, w której kazali mi czekać, też jest niczego sobie. Grube belki i ani szczeliny między nimi, nawet źdźbła nie wciśniesz. Ale nie mogą tu inaczej, w Pahaadzie. Wieje niemiłosiernie, siostra. Dzień w dzień, noc w noc. Piździ złem.

Sytuacja ma się tak: gdy stanąłem, ledwo sapiąc, zziajany do, kurwa, imentu, pod bramą tej tutaj dostojnej mieściny, przez małe drzwiczki gdzieś hen z boku wyczłapał Dziadyga. Dziadyga ów, wystaw sobie, sięgał mi tak do piersi, i to jak stanął tuż przede mną i nadął się. W dłoni za to – a była ona jak dwie łapy Zakarego, niech mnie grom strzeli, jeśli kłamię – ciągnął za sobą kawał drewna. Najpierw myślałem, że niesie na zewnątrz jakąś dechę spróchniałą, ot nieopodal leżał bowiem roztrzaskany wóz, gnijąc na zimnie od nie wiadomo kiedy. Ale nie. Tak jak stał, przekręcił tylko dłoń, a w niej do pionu uniósł się gruby, sękaty konar, dłuższy od niego samego. Machnął nim jak patykiem tak szybko, że nawet nie zdążyłem odskoczyć. Zawinął mi nim tuż przy nosie.

Mam ci jednak wciąż ten Twój ulubiony kinol, na którym zagrałem Ci niejedną pieśń tryumfu i upokorzenia. Ale tylko dlatego, że nie pytając o nic, zrobiłem trzy kroki do tyłu i podążyłem czym prędzej drogą, którą Dziadyga wskazał mi swoim srogim paluchem. Przez trakt, przez łysą halę, aż tu, do tej chatki. Otworzył mi drzwi, wskazał kilka walających się szczap na podłodze i kominek. A potem trzasnął drzwiami i tyle go widziałem. „Ciasne, ale własne", pomyślałem, bo i tak po tygodniu wdrapywania się na ten nieboski łańcuch i nocowania w norach i dziuplach (w zasadzie to w jednej, kiedyś też Ci o tym opowiem) dach nad głową był jak zbawienie. O dostaniu się za mury... palisadę mogłem pomyśleć później.

Skoro minęły cztery dni, to, jak się pewnie domyślasz, wciąż nad tym dumam. I powoli kończy mi się cierpliwość. O tym, że nie jest tak pięknie, jak sobie wyśniłem, przekonałem się jeszcze pierwszego wieczoru, gdy wreszcie udało mi się rozpalić co nieco w kominku. Najpierw coś z piskiem zaczęło drapać cegły w środku, a potem cały ten z trudem wyszurany przeze mnie z drewna dym buchnął mi w pysk i zasnuł całe wnętrze. A było już ciemno. Na szczęście Dziadyga nie zatrzasnął za sobą drzwi (droga wolna, gościu, możesz sobie iść, ale do Hurruk bez mojej zgody i tak nie wejdziesz), więc otwarłem je na oścież, wywietrzyłem swąd, wyziębiłem ściany na kamień i poszedłem spać w chłodzie.

Następnego dnia budzę się i kogo widzę? Dziadyga stoi nade mną i trzyma się pod boki. Widzi, żem wyziębiony, i tylko się szczerzy tymi swoimi czarnymi dziąsłami. To mu pokazuję na migi, że kominek, że dym, że mi coś tam w środku siedzi. I co? Wzruszył ramionami, zostawił mi na stole zawiniątko, które przyniósł, i tyle go widziałem. Potem miało się okazać, że będzie mi tak codziennie przynosił jedzenie. Niewiele tego, zimne i suche, ale przynajmniej dało radę na tym trochę się wzmocnić. Ale bez ciepła ani rusz. Wiesz dobrze, Alyn, że od czasu Kaim chłód mi przyjacielem, no ale ile można? Gdy tegoż drugiego dnia wyszedłem przed południem z chaty, zauważyłem świeży stosik drewna na opał. Nie było rady, musiałem jakoś samodzielnie przeczyścić komin. Okutałem się więc z powrotem we wszystkie warstwy, które na sobie niosłem aż do Pahaadu, i poszedłem szukać lasu. Zrobiłem dwa kroki od chatki i co? I nagle ustał wiatr.

A potem zaczęło śnieżyć. Pamiętasz jeszcze tamtą zimę przed wypłynięciem z Rowan? Pamiętasz, jak nieśliśmy Kai przez śnieg do kolan, byle do jakiegoś znachora? Tu padało jeszcze gorzej. W jednej chwili wokół zrobiło się biało, pochowały się kontury, z horyzontu znikły szczyty gór. W taką nieboską pogodę polazłem szukać gałęzi do przetkania komina. Była i dobra strona całej tej sytuacji. Tuż pod lasem z lubością wysikałem na polanie podobiznę Dziadygi. I powiem ci, wyszła jak jeden do jednego.

Zanim wróciłem, zdążyłem się zgubić w tej bieli, choć na szczęście nie całkowicie. W pewnej chwili wyszedłem na przecinkę, która w jakiś niepojęty sposób przypominała mi trakt, którym szedłem pod Hurruk dwa dni wcześniej. Gdybym nie skojarzył, poszedłbym dalej przed siebie i kto wie, pewnie i byłoby mi wreszcie ciepło w brzuchu jakiegoś stada wilków, które nocami wyją tu, jakby im szczenięta zarzynali. Ale skręciłem, dotarłem znów pod bramę miasta i w ten sposób, późnym popołudniem, wróciłem do domu. Chwilę potem, oczywiście, przestało padać. Wziąłem więc te gałęzie~

Oho, chyba na dziś koniec pisania".

*

„Alyn, mam gościa. Gdy już zbierałem się wczoraj do opisania Ci moich przepraw z wiewiórem z komina (to zapewne nie jest wiewiór, choćby dlatego, że mógłby w sobie zmieścić trzy rowańskie wiewióry i jeszcze mieć miejsce na następne), usłyszałem na zewnątrz kroki. Moment później otwarły się drzwi, a przez nie weszły dwie osoby. Z Dziadygą wymieniliśmy tylko skinienia, bośmy przez te kilka dni zdążyli zawiązać jako taką nić niewerbalnego porozumienia. Natomiast obok niego na środku chaty stanął jakiś wielki Pahaad. Był okryty futrem i skulony, najwyraźniej z bólu, ale i tak głową niemal sięgał powały. Na początku myślałem, że przyszli po mnie i będą mnie albo wpuszczać wreszcie do ich dostojnego grodu, albo wygonią i każą wracać, skądem przylazł, psia ich mać. Ale okazało się, że los znowu zagrał krzywo. Bo Dziadyga zaraz zakręcił się na pięcie i wypadł na zewnątrz, a ów woj pahaadzki zaraz padł na kolana przed kominkiem, który z niemałą maestrią rozpaliłem wcześniej, i wysunął ku niemu dłoń do ogrzania. I ja tak, wiesz, patrzę na niego, patrzę. No, coś w tym obrazku się nie zgadza, myślę jak głupi. Co zresztą nie było dalekie od prawdy (że byłem głupi), bo parzę tu sobie dużo ichniej herbaty, która, podejrzewam, nosi w tych swoich sproszkowanych suchych listkach nie tylko smak wylizywania chropowatego rynsztoku po suszy, ale też właściwości podobne tym specyfikom, co nam Kai lubiła przynosić czasem spod lady „Sziszy nocnej". Trochę mi zatem zajęło czasu zorientowanie się, że to nie woj, tylko wojowniczka grzeje się przy moim ogniu, i że wyciąga ku niemu jedną rękę, bo drugiej po

prostu nie ma.

Kobieta w mym domu, dasz wiarę? Tak czy siak, kimkolwiek jest, pewnie znajduje się w podobnej sytuacji co ja. Musieli ją zgarnąć spod bramy i wrzucić tutaj. Jeszcze nie rozgryzłem, czy to forma jakowejś kwarantanny, czy też tymczasowego lokum przed jakimś rodzajem sądu. Ale chwilowo nie jestem już w tym wszystkim sam. A przynajmniej taką mam nadzieję, bo Pahaadka przespała przed kominkiem całą noc, a potem jeszcze pół dnia po tym, jak zawlekła się pod przeciwległą ścianę ode mnie. Gdy się obudziła, wstała, popatrzyła na mnie, potem na zawiniątko z jedzeniem, które zostawiłem na środku w geście, nie wiem, chyba powitalnym. A potem skierowała się ku drzwiom i wyszła na zewnątrz. Może wróci. Mam nadzieję, że wróci. Potrzebuję sojusznika albo przynajmniej kogoś, kto mi będzie potrafił wytłumaczyć moje położenie. Bo na Dziadygę, chyba co do tego sprawa jest jasna, liczyć w tym względzie nie mogę.

Dlatego też zacząłem do Ciebie pisać. Nie wiem, czy kiedyś to przeczytasz. W zasadzie wolałbym mieć możliwość opowiedzenia Ci tego wszystkiego na żywo. Ale prawda jest taka, że o ile chłód pomaga mi radzić sobie z chorobą, to – jestem już tego pewien – nie zatrzymuje jej rozwoju. Zresztą popatrz na te kulfony. Zaczynam już na dobre tracić czucie w opuszkach palców i coraz trudniej jest mi utrzymać pióro. I mam wrażenie, że to dopiero początek. I wiesz co, codziennie rozmawiam z Isztar, Dalią i całą resztą bogów tego kontynentu. Proszę ich o zdrowie jak zwykły, śmiertelny entuzjasta zabobonów. Nauczył mnie tego pobyt na Kaim. Zresztą kto jak kto, ale wiem, że Ty mnie zrozumiesz. Spędziłem pół roku u boku jednego boga, więc dlaczego reszta ich miałaby się okazać zmyślona?

Cieszę się, że opuściliśmy Rowan wtedy. To zły, pusty i bezduszny kraj. Cokolwiek działo się od momentu, gdy po raz pierwszy postawiliśmy nogę w Zakkanie, było warto. Modlę... Tak, właśnie tak. Modlę się za to, żebyś odnalazła Zakarego, żebym ja znalazł Kai. Tęsknię za Wami dwiema niewypowiedzianie i tylko wieść o tym, że widziano tu Kai, sprawiła, że dotrwałem do tego miejsca i momentu. Chciałbym, żebyśmy się znów zobaczyli wszyscy na Moście Maharadży. I za to wypiję niniejszym cały kubek parującego tu przede mną zalotnie, rozgrzewającego płynnego gówna. Zdrowie!"

*

– Uch... jakie to dobre... – szepnęła Fel i osunęła się na ziemię, szorując plecami po ścianie.

Mimowolnie otarła przedramieniem niesforną kroplę śliny, która zebrała się w kąciku jej ust. Płynna błogość już zaczęła zsuwać się leniwie w dół jej przełyku. Westchnęła cicho w oczekiwaniu, a jej wzrok podążył w górę, na sufit, jeszcze wyżej, tuż za powieki. Już za moment narkotyk rozluźni jej ramiona, po czym owinie się delikatnie wokół serca i ściśnie je w ciepłym, matczynym objęciu.

Na początku umieszczenie jej w domu zabitego znachora, na zawsze naznaczonym rozległą plamą jego zaschniętej krwi, wydało jej się okrutną karą. Wyrazem pogardy i upokorzenia, w czym Reynauld wyjątkowo się lubował. Kazał jej zamieszkać w samym środku osiedla ludzi, którzy momentalnie, jakże łatwo, zmienili obiekt swojej czci. „Zniewoleni od pokoleń", mówił. „Jak zbite psy".

Mogło być też tak, że byli znacznie bardziej cwani, niż Reynauldowi się wydawało. W każdej chwili mogli wkroczyć szturmem przez lichą kotarkę u wejścia jej nowego domu, rozebrać ją, tak jak im kazano, pozbyć się odzieży, a potem zawlec pod ganek zarekwirowanej przez taidańskiego żołnierza kamiennej chaty,

i na jego oczach poderżnąć jej gardło.

Gdy myślała o tym, gdy scena po scenie, dzień w dzień odgrywała w głowie inscenizację swej kaźni, paraliżował ją strach. Przed bólem. Przed widokiem ulatujących z niej gęstych, szkarłatnych strug życia. Ale chyba przede wszystkim przed świadomością, że on by na to patrzył z oddali. Z wyższością i spokojem.

Że w ogóle by się tym nie przejął.

W końcu ta czule pielęgnowana, kolczasta trwoga zawisła nad nią jak katowskie ostrze. Towarzyszyła jej w każdej chwili nowego życia u boku nowego władcy Al-Arak, pustynnej kolonii Taidanu.

I wtedy wady nowego lokum Fel szybko odeszły w zapomnienie, a na wierzch, dla odmiany, zaczęły wychodzić jego zalety. Konkretniej całe dwie półki zalet zamkniętych w zakorkowanych ceramicznych karafkach. Wystarczył jeden niewielki łyk gęstej, ciepłej słodyczy, by wszystko, co złe i straszne, odleciało w niebo wraz z pustynnym wiatrem. Choćby na kilka chwil.

Nie było Reynaulda.

Nie było tubylców.

Nie było wspomnień, czasu, głodu, żaru dnia.

Nie było Fel...

Tylko powolny, głęboki oddech. Cichy świst wędrującego wte i wewte powietrza. I słowa, które powracały falami. Sennie inkantowały zaklęcie utkane z jej imienia.

– Fel... Fel... Fel...

Nie wiedziała, jak długo szepczące morze dźwięków rozbijało się o piaszczysty brzeg wewnątrz jej głowy. Gdy wreszcie zdała sobie sprawę z tego, że odpływ nie nadejdzie sam, zmarszczyła brwi i wzięła głębszy wdech. Jej usta, sklejone przyjemną niemocą, rozwarły się z trudem na szerokość pojedynczego słowa:

– Nie.

– Tak, Fel. Zapomniałaś. Posłał po ciebie przed południem. Wstawaj.

Zakkanka przełknęła ślinę i jeszcze raz otarła jej resztki ze spierzchniętych ust. Błogość uleciała w niebyt. Po sobie pozostawiła – jak zwykle – uczucie zagubienia i zbyt ciężkie ciało.

– Ikke – stwierdziła Fel, po czym odwróciła głowę w stronę pochylającej się nad nią Taidanki.

Zacisnęła dłoń i poczuła, jak jej palce napotykają znajomą, twardą chropowatość. Kamyki chrupnęły o siebie cicho, przypominając o rzeczywistości.

– Daj mi chwilę.

– Dam ci tysiąc. – Imoreński blondynki pobrzmiewał taidańską melodią i silnym akcentem. Było to na swój sposób urocze. – Reynauld jednakże...

– Tak – westchnęła Fel. – Tak, chodźmy.

Zebrała się w sobie, wstała i wyszła w południowy żar z zamkniętymi oczami, ale i tak od jasności zakręciło się jej w głowie. Musiała podeprzeć się, by nie upaść. Ikke ze swoją roztrzepaną aureolą jasnych włosów obejrzała się tylko, idąc przodem. Nie miała dziś dla niej cierpliwości.

Na tyle, na ile mogła, Fel odnalazła pion i uważnie podążyła śladem Taidanki. Uniosła wysoko głowę i dopiero wtedy rozejrzała się po okolicy. Tak jak cała reszta mieszkających wokół ludzi, bała się. Ale oni mieli łatwiej. Jej nie było wolno tego okazać.

Patrzyli na nią. Wszyscy z nielicznej garstki tubylców, która pozostawała poza schronieniem swych kamiennych dachów, jak na zawołanie przerywali, cokolwiek robili, i wbijali w nią swe wielkie, białe oczy. Obserwowali z tym swoim pustym wyrazem twarzy. „Patrzymy na ciebie, żebyś nas zauważyła", zdawali się mówić. „Żebyś zobaczyła, co nam uczynił twój biały człowiek z włosami jak czarny wodospad".

Spośród wszystkich tych obcych dusz tylko jedna rodzina, kobieta w średnim wieku i jej trójka dzieci, uśmiechała się do niej. Było tak od samego początku, od kiedy po raz drugi, tym razem na stałe, przekroczyła próg domostwa znachora oazy. I to bez względu na to, co dosłownie chwilę później wymusił na mieszkańcach Al-Arak Reynauld, gdy krwawo przypieczętował objęcie przez siebie rządów.

Ale dziś nie było ich w pobliżu. Ani kobiety, ani jej potomstwa. Tylko puste spojrzenia. Zaciśnięte usta. I żar. Dziewczyna mimochodem lustrowała biel palącego żywym ogniem nieba w poszukiwaniu ciemnego punkciku krążącej nad oazą Ifiko. Od kiedy zamieszkała w domu znachora, niemal całkowicie przestała widywać swojego cudowronka. Ptak wciąż kręcił się w okolicy, znalazł tu dla siebie dom i sposób na przetrwanie. W tubylcach wzbudzał zaciekawienie i podziw. Ale już nie lądował na jej ramieniu. Już nie świergotał jej nad uchem.

Nie był „jej".

Reynauld ulokował się w najwyżej położonym domostwie oazy. Wgryzało się w nagą skałę, która jako jedyna, wydawało się, była w stanie przeciwstawić się naporowi wiecznie poruszających się wokół Al-Arak wydm. Droga nie była stroma, ale długa i nierówna. U jej końca Fel czuła, że zgrzebna szmata, którą okryte było jej ciało przed słońcem, dokładnie, na całej długości, przylega do jej skóry.

Czekał na nie. Oparty łokciami o barierkę, tuż na skraju cienia rzucanego przez daszek pokryty palmowymi liśćmi. Jego blada skóra zaczerwieniła się przez ostatnie dni, ale jej kolor wciąż stanowił uderzający kontrast wobec ciał wszystkich innych mieszkańców oazy. Nawet blondwłosej Ikke bliżej było wyglądem do ludzi pustyni dzięki zdrowej, brązowej opaleniźnie.

Gdy stanęły przed nim, Reynauld wykonał nieokreślony gest w stronę porucznik, która odsalutowała mu. Następnie rzuciła Fel łagodne spojrzenie, weszła po schodach i zniknęła w czarnym otworze wejściowym za jego plecami. Zakkanka przestąpiła z nogi na nogę, oczekując dalszych gestów lub słów ze strony Taidańczyka, który patrzył na nią z nieodgadnionym, cokolwiek znudzonym wyrazem twarzy. Nagle z tej samej czeluści, w której zniknęła Ikke, wypadła młoda dziewczyna o krótkich, kręconych włosach i bez słowa, ze spuszczoną głową potruchtała tuż obok Fel w dół ścieżki. Wzrok Zakkanki czujnie omiótł hebanową skórę półnagiej niewiasty w poszukiwaniu siniaków lub innych uszkodzeń. Zauważywszy to, Reynauld uśmiechnął się półgębkiem.

– Spóźniłaś się – oznajmił, po czym pociągnął z manierki głęboki haust. Kilka kropel pociekło w dół jego rzadkiej brody i przepadło na zawsze w spragnionych deskach tarasu.

Fel odwzajemniła uśmiech. Narkotyk wciąż falował lekko w jej żyłach, nadawał wszystkiemu żywszych barw, pobudzał zapachem pieprzu i wanilii. Mimowolnie oblizała usta.

– A może jestem za wcześnie?

Reynauld wyprostował się, pochwycił niewidoczny wcześniej, oparty o barierkę gruby kij i ruszył w jej stronę.

– Nie, Felicio. Tak jak śliczna Yaré, nigdy więcej nie będziesz kazała mi na siebie czekać.

Gdy ją mijał, dziewczyna mimowolnie spięła wszystkie mięśnie w oczekiwaniu na... W zasadzie nie wiedziała co. Od kiedy pojawił się w Al-Arak i pokonał w pojedynku Gaela, Taidańczyk nie wykazywał żadnych chęci, by znów zapraszać ją do siebie na naukę dyscypliny. Nie przestał tego robić całkowicie – miał wszak pod ręką całą wieś młodych, prostych dziewcząt jak właśnie Yaré, córkę jednego z tutejszych farmerów. Ale jej już nie chciał. I nie była pewna, co o tym myśleć.

– Powiedziałem, nie każ mi na siebie czekać!

Warknięcie Reynaulda wytrąciło ją z zamyślenia. Odwróciła się na pięcie i szybkim marszem podążyła za mężczyzną z powrotem w dół ścieżki.

Szli w milczeniu i było jej to na rękę. To najlepsze, na co mogła liczyć w jej położeniu. U jego boku była bezpieczna przed mieszkańcami oazy, nie musiała się też obawiać niczego z jego strony. Zawieszona pośrodku dwóch pozostających w napięciu sił, które kiedyś musiały się w końcu zetrzeć, miała swoją spokojną niszę. Swoją... oazę.

Uśmiechnęła się do tej myśli. Zdążyła zarejestrować, że Reynauld natychmiast zauważył zmianę na jej twarzy. Następne, co poczuła, to uderzenie, które dosięgło jej brzucha, wydusiło oddech z jej płuc i powaliło na kolana. Dopiero za chwilę, gdy krztusząc się, walczyła o powietrze, pojawił się ból. Skrawkiem świadomości, przez łzy, zauważyła, że dłonie, którymi natychmiast się objęła, lepią się od gęstej, czerwonej mazi.

– To tylko olej – usłyszała poprzez dzwonienie w uszach.

Reynauld przyklęknął tuż przy niej i przez chwilę z uwagą oglądał końcówkę kija, obracając go w dłoni. W końcu skierował wzrok na nią.

– Zechcesz mi powiedzieć, co takiego zajmującego chodzi po twojej głowie podczas służby? – zapytał. Nawet, gdyby chciała, Fel nie była w stanie nabrać choćby pół oddechu, by mu odszczeknąć. I on dobrze o tym wiedział. – Bo jeżeli nie zdajesz sobie z tego sprawy, czas to naprostować, żołnierzu. Jesteś na służbie Taidanu. Zaciężnej, bo zaciężnej, ale jednak. Podlegasz mi jako przełożonemu i realizujesz narzucone ci zadania najlepiej, jak tylko potrafisz. W zamian możesz cieszyć się przywilejami, jakich nie ma pozostała część mieszkańców tej kolonii. Masz dach nad głową i prawo noszenia wierzchniego stroju na tułowiu. A to, co ci obiecałem po powrocie do Taidanu, wciąż jest jeszcze w mocy. Skoro nie jesteś na tyle głupia, by spróbować dezercji, jak ten twój, tfu, imoreński bohater, Felicjo, rób swoje. Do niczego innego i tak się nie nadajesz.

Mężczyzna wziął głęboki oddech i wyprostował się.

– Przemyśl to – powiedział, rozglądając się po niebie. – Czekam przy tunelu. Ale niedługo. Już wystarczająco dużo czasu straciłem przez ciebie.

I odszedł.

Fel bezwiednie otarła dłonie o uda, na których rozprowadziła szerokie, czerwone smugi. Gdy odzyskała władzę nad oddechem, podniosła się z klęczek na drżące nogi i sięgnęła do kieszeni po kamyki. Natychmiast zaczęła obracać je w dłoni. Rozejrzała się.

Wokół, z twarzy, które obserwowały całe zdarzenie, bombardowały ją puste spojrzenia tubylców. Wśród nich była również dziewczyna, która jeszcze przed kilkoma chwilami wybiegła z domu Reynaulda. Po wstydzie i upokorzeniu nie było w jej oczach nawet śladu.

Fel poprawiła ubranie i ruszyła przed siebie. Choć chciała, tępy ból pod żebrami nie pozwalał jej wyprostować się w dumnym marszu. Akurat kiedy były jej potrzebne, resztki specyfiku znachora uleciały z jej organizmu w spalone, wiszące nieruchomo nad kotlinką oazy powietrze. Zacisnęła szczękę, by powstrzymać nadciągający atak szlochu. Odetchnęła głęboko na tyle, na ile pozwoliły jej wciąż zaskoczone uderzeniem płuca.

Ile dni minęło, od kiedy myślała o Gaelu? Ile czasu, od kiedy w zimnych, ciemnych czeluściach korytarzy pod oazą ostatni raz widziała Alyn?

Alyn poradziłaby sobie z Reynauldem raz-dwa. Wiedziałaby, co zrobić.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Alyn. Wiesz, kim jestem?

– Jesteś... Dalią.

– Tak. Obserwuję cię. Czekam na ciebie od dawna. Chodź.

– To ty za tym wszystkim stoisz, prawda? To ty...

– Czy uwierzyłabyś, gdybym zaprzeczyła?

– Nie wiem.

– Nadstaw ucha, Alyn. Słyszysz to?

– To sen.

– To wiatr pędzący w dół zboczy Mahatry.

– Mahatry...

– Niczym lawina.

*

Gdy ciche szuranie leniwych kroków oddaliło się i zniknęło w ogłuszającej ciszy pustynnego popołudnia, złodziejka otworzyła wreszcie oczy. Przez chwilę patrzyła wprost, na cienką płachtę brudnego materiału, która wraz z warstewką nasypanego na nią piasku dzielnie dawała odpór nieustępliwemu słońcu. Bezinteresownie chroniła przed żarem drzemiących pod nią wędrowców.

Wzięła głęboki wdech. Jej nozdrza wypełnił zapach ciężkiego, głośnego snu, w jaki zapada się po wielodniowej tułaczce. Rozmasowała nadgarstki i powoli podniosła się na łokcie. W ten sposób zyskała widok na resztę swojego ciała i, co ważniejsze, na wszystko, co znajdowało się w oddali za jej stopami. Konkretniej – białą, oślepiającą pustkę, która urywała się nagle, na granicy brunatnego cienia rzucanego przez daszek, tuż przy jej butach.

Gdy upewniła się, że nikt poza nią w namiocie nie jest świadomy, usiadła prosto i rozciągnęła powoli ramiona. Następnie jedna noga po drugiej przyciągnęła stopy do ud i delikatnie poruszała nimi okrężnie w jedną i w drugą stronę. To była ta jedyna rzecz, której udało się jej nauczyć Toryna. Poznać swoje ciało, polubić je i umieć rozgrzać przed akcją. Bo dupa, nie złodziej, ten, któremu z hukiem morskiej palby strzelają stawy, gdy próbuje się gdzieś przekraść.

Gdy skończyła, jeszcze raz spojrzała na wprost. Pustynia, bezduszna, samotna morderczyni, patrzyła jej prosto w oczy. Znów mamiła ją szyderczym uśmiechem wydm, obietnicą światła i otwartego nieba nad głową. Ile to już minęło? Tydzień?

Tydzień, od kiedy jej ślepa tułaczka po wilgotnych czeluściach koryta podziemnej rzeki znalazła swój

finał. Gdy zza kolejnego z niezliczonych załomów jaskini spojrzało na nią białe oko Pustyni Nomadów. Sztyletem światła wdarło się przez otwór w skale i po raz pierwszy pozwoliło jej oczom rozpoznać fakturę i barwę otaczających ją ścian, kształt jej zmierzwionego ubrania. Policzyć skaleczenia i otarcia, których nabawiła się po drodze. Dojrzeć wstążkę leniwego strumienia, który przez cały ten czas był jej jedynym towarzyszem. Który do niej szeptał i pozwalał zaczerpnąć swej życiodajnej wody. Który, ostatecznie, zniknął w wąskiej szczelinie w skale i pozostawił ją sam na sam ze światem.

Świat zaś – jak to świat – cierpliwie czekał na jej powrót. Tyle że to ona nie chciała do niego wracać. Bez Fel. Bez Zakarego. Bez tych, których wplątała w swoje życie, i którzy zginęli przy niej lub przez nią. Dobrze jej było pod tą ziemią, z dala to czegokolwiek i kogokolwiek. I kto wie, pewnie by tam została, gdyby nie ta ostatnia rzecz. Najważniejsza.

Otrząsnęła się i choć zupełnie nie było to w tej chwili potrzebne, zanurkowała palcem w głąb rękawicy, która skrywała jej poparzone przedramię. Dopiero gdy wyczuła znajomy kształt fiolki, którą ukradła Bakkusowi z ciemnych czeluści jego piekielnej pracowni, na powrót poczuła umiarkowany spokój. Miała jeszcze chwilę, nim ten, którego nazywali Hammar, wróci do namiotu. Jak zauważyła, odchodził daleko, dużo dalej, niż było trzeba, by zapach ziół, które samolubnie palił, nie dotarł do nosów jego odpoczywających kompanów.

Jego przezorność – jej zysk.

Gdy uznała, że jest gotowa, kucnęła i ostrożnie przemieściła się w głąb namiotu. Zatrzymała się w pozycji, w której śpiący bliżej wejścia Nokred wydmuchiwał ze świstem powietrze prosto na jej bosą stopę. Podpierając się chorą ręką, sięgnęła do worka kobiety, którą nazywali Gadira. Była to jedyna krępa beduinka, jaką złodziejka spotkała w życiu, ale nie znaczyło to, że była z tego spotkania zadowolona. Nie sposób było zapomnieć pogardy, z jaką kobieta oglądała ją od stóp do głów, gdy po dwóch dniach wyczerpującego marszu przez pustynną patelnię złodziejka szczęśliwie natrafiła na jej koczowniczą trzódkę. Nie sposób było zapomnieć jej słów:

– *Nuhil ilkaliba. Nabi obuera.*

Chuda sucz. Obce ścierwo.

W pierwszym wrażeniu złodziejka przywołała wspomnienie Szalonej Margo i jej synów. Postanowiła wówczas, że jakkolwiek zachowają się wobec niej ci ludzie pustyni, nie spuści pokornie głowy. Będzie szukać ich spojrzeń. Nienawistnych, bojaźliwych, lubieżnych. Wiedziała, że każde z nich jej w końcu pomoże. Doda odwagi i determinacji, gdy wreszcie, któregoś dnia, przyjdzie czas na odpłatę za to, w jaki sposób zajęli się przygodną podróżniczką pośród piasków. Do tego czasu była gotowa wytrzymać wszystko.

I tak, nawet o tym nie wiedząc, Gadira pożegnała się z pokaźnym zapasem kaszy i suszonych owoców. Nani – jej syn, który drugiej nocy popełnił błąd, gdy wsunął palce za jej kołnierz i ścisnął jej pierś tak mocno, że musiała zagryźć wargę, by nie krzyknąć – pilnował wody. Wtedy złapała jego dłoń i jednocześnie wbiła w nią paznokieć i wykręciła tak, że aż chrupnęło, ale choć zobaczyła ukłucie bólu w jego nagle szeroko rozwartych oczach, on też nie wydał z siebie nawet piśnięcia. Nikomu nic nie powiedział i więcej niczego nie próbował, ale nie przestał też rozbierać jej wzrokiem. Złodziejka przez chwilę miała przemożną ochotę zrobienia mu trwałej krzywdy, gdy spał, ale zadowoliła się tym, że będzie musiał się gęsto tłumaczyć z tego, gdzie podział się trzydniowy zapas wody.

Zdając sobie sprawę z tego, że nawet cichy chlupot jest w stanie wybudzić człowieka pustyni z najgłębszego letargu, ostrożnie przeniosła fanty nad głowami pozostałej dwójki, po czym cofnęła się po swoich śladach do wyjścia.

Z worka Nokreda, pomarszczonego mężczyzny, który wyglądał na rówieśnika Gadiry, nie potrzebowała niczego... oprócz samego worka. To był najbardziej ryzykowny element całego planu. Nie udało się jej zajrzeć zawczasu do jego wnętrza, więc zawartość – oprócz skłębionej kuli ubrań – była dla niej niewiadomą. Wszystko, co trzeszczało, szczękało i szurało w środku, mogło zaalarmować śpiących. I wtedy kodeks ludzi pustyni byłby ostatnim, czym beduini by się przejmowali.

Złodziejka powoli, obiema dłońmi, obróciła torbę do góry dnem, po czym ostrożnie zaczęła podwijać jej sznurowaną szyjkę, odsłaniając zawartość niczym owoc wyciskanego ze skórki banana. Nagle zamarła, gdy tuż przy namiocie, niesłychanie blisko, usłyszała szuranie. Dźwięk narastał błyskawicznie, z każdym mgnieniem oka coraz bardziej zagrażając przedsięwzięciu. Lada chwila na wejście padnie przygarbiony cień Hammara. Ten zaś zajrzy do środka i podniesie wrzask, nie zważając na to, że reszta zobaczy go z ziołami w dłoni.

Miał wrócić później, dlaczego się cofnął?!

W odruchu desperacji jednym stanowczym ruchem zdjęła wór, rozsypując resztę zawartości między nogami Nokreda. Natychmiast narzuciła go na jedzenie i wodę, po czym wbiła czujny wzrok w biel pustyni, gotowa w każdej chwili wystrzelić prosto przed siebie.

I wtedy wyszedł zza kamienia. Przystanął, odwrócił się w jej stronę, po czym błyskawicznie przepełzł przed wejściem, by zniknąć po drugiej stronie.

– Kurwa, skorpion – szepnęła złodziejka i przysiadła na piętach.

Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech, czując, jak serce obija się jej o żebra. Aż wzdrygnęła się, gdy Nokred wierzgnął nogą, której stopa zaplątała się w kawałek starej dżalabii.

– Rusz się, Alyn – rozkazała sobie i zacisnęła sznur na worku.

Spojrzała jeszcze łagodnie na Cilię. Córka Gadiry spała z kciukiem w ustach. Była przygłupia i mówiła z wyraźnym zaciąganiem – doskonały obiekt drwin i przemocy. Rodzina nie oszczędzała jej. Kazano jej wykonywać najcięższą pracę i nie powierzano żadnej odpowiedzialności. Ale mimo to ani razu przez ten czas nawet nie spróbowała się odegrać na obcej przybłędzie z pustyni, która jako jedyna zdawała się być jeszcze niżej w hierarchii.

Znów okradłam tych, którzy na to nie zasługują, pomyślała Alyn. Wyczołgała się powoli spod daszku i ruszyła przed siebie z zaciśniętymi ustami.

Na zachód. Ku szarym zębom Bhalu Devi.

*

Alyn przykucnęła i schowała dłonie pod pachy. Przetarła porysowane szkła, a następnie wbiła wzrok w słabe światło latarenki, której ognik nieopodal rozświetlał na przemian dwie skupione twarze. Zagryzła wargę. Noc, jak wszystkie, była rześka. Zimna wręcz. Ale dzisiejsza nie nadawała się do podróży. A przynajmniej nie dla tych, którzy Pustynię przebywali rzadko albo po raz pierwszy. Wąski rogal księżyca ledwo przebijał przez

wysokie chmury. Było ciemno. Ta próbująca rozgonić mroki nocy dwójka nieznajomych donikąd się na razie nie wybierała.

Obejrzała się za siebie, jakby w jakiś niewypowiedziany sposób potrafiła wzrokiem rozgarnąć grubą kurtynę czerni. Oni gdzieś tam byli. Kto wie, być może też widzieli z oddali ten pomarańczowy płomyk. Nie bali się wędrówki w nieprzebranych ciemnościach.

Oni.

Oczywiście, że za nią poszli. Ruszyli szybciej, niż myślała, że to możliwe. Co jakiś czas odwracała się i szukała wzrokiem czarnych kropek na szczycie którejś z wydm. Wydm, z których grzbietów chciała stworzyć jak najwięcej naturalnych barier między nią a ludźmi Gadiry. I w końcu ich zobaczyła. Szli prosto na nią, po śladach. Zaskoczeni, zdeterminowani i wkurwieni. Nic dziwnego, okradła ich z większości jedzenia i wody – zapasów, które pozwoliłyby jej spokojnie przetrwać ten tydzień marszu ku górom.

Gdy pod wieczór zauważyła, że mimo jej morderczego tempa pościg wyraźnie się zbliżył, rozważyła pozostawienie większości skradzionych dóbr i odbicie ku Saahii lub świątyni Vihar Arapi. Powinny były być mniej więcej na północ. Tak czy siak w końcu znalazłaby łączący je trakt. Być może.

A być może te kilka dni podróży z beduinami zawiodły ją w tak odludne regiony pustyni, że mogła z tego miejsca iść na północ i przez miesiąc, i zatrzymałaby się dopiero pod dachem lasów deszczowych dzikiej krainy Maru Atalla. Największą szansę dawały jej zatem wyrastające powoli zza horyzontu szczyty Bhalu Devi. Było tak do momentu, w którym natknęła się na tę skuloną nad latarnią dwójkę podróżników.

– Byle do Toryna, Alyn – szepnęła do siebie, gdy podniosła się na nogi. – Byle do Kai.

Podeszła o kilka kroków – tak, żeby mogli ją usłyszeć, ale nie za blisko, aby w panice nie wpadło im do głowy zrobienie czegoś głupiego. Siedzieli przy sporym, chropowatym kamieniu, którego powierzchnia odbijała odrobinę światła i chroniła jednocześnie przed co silniejszymi powiewami. Nie byli zatem głupi. Ale nie trzeba było głupiego, by w strachu zaczął wymachiwać ostrym na oślep.

– *Isztar-adija*, wędrowcy! – powiedziała bardziej, niż zakrzyknęła.

Zakkański był oczywistym wyborem, choć z oddali nieznajomi nie wyglądali na odzianych wedle tutejszych zwyczajów.

Tak jak się spodziewała, oboje natychmiast unieśli głowy. Starszy, brodaty mężczyzna i nieco tylko młodsza od niego kobieta o dwóch głębokich zmarszczkach, które przecinały z góry na dół jej policzki. Tak jak się spodziewała, wyglądali na wystraszonych. I gdy już miała odezwać się ponownie, by zapewnić o braku złych zamiarów, stało się coś, co ją zaskoczyło.

Najpierw z zacienionego miejsca przy nodze mężczyzna powoli, lekko drżącymi dłońmi, podniósł i wycelował w ciemność długą lufę flinty. A potem odkrzyknął:

– Kim jesteś?! Czego chcesz?!

Minęła chwila, zanim dotarło do Alyn, że choć jego słowa zupełnie nie brzmiały jak język zakkański, doskonale je rozumiała. Gdy po kilku kolejnych sekundach zrozumiała dlaczego, serce zabiło jej szybciej. Bo to nie była byle flinta...

– Jesteście... z Rowan?

Mężczyzna na moment opuścił lufę, ale zaraz na powrót uniósł ją do góry.

– Podejdź tu bliżej – warknął. – Powoli. I mów cały czas, gdzie jesteś.

Złodziejka zmrużyła oczy. W dłoni kobiety pojawił się nóż. Jego ostra krawędź była zakrzywiona w długą pojedynczą falę.

O tak, byli z Rowan.

– Dobrze – powiedziała łagodnie. – Podchodzę. Nazywam się Alyn. Urodziłam się w Rowan. I bardzo potrzebowałam usłyszeć swój rodzinny język.

Mężczyzna skinął głową kobiecie, a ta przytaknęła, po czym odsunęła od obojga latarnię.

– Usiądź przy świetle – powiedziała również po rowańsku. Alyn z przerażeniem zdała sobie sprawę z tego, że głos kobiety był w niebywały sposób podobny do głosu jej matki. – Po drugiej stronie. Ty i ktokolwiek jest z tobą.

– Jestem sama.

Złodziejka usiadła we wskazanym miejscu i uniosła dłonie na wysokość głowy. Przez chwilę zastanawiała się, kiedy ostatnio widziała swoje odbicie. I jak musiała wyglądać teraz.

– Ruda – parsknął mężczyzna. – Musi Rowanka. Kto by się spodziewał, co?

Jego towarzyszka była daleka od częstowania nieznajomej uśmiechem. Jej głos jeszcze bardziej się oziębił, osiągając, ni chybi, temperaturę otoczenia.

– Uważaj na to, co robisz i mówisz, dziewczyno. Jesteś w towarzystwie Dekforta Mertensa, szacownego posła Książęcego Tronu Rowan, wieloletniego konsula Rowan w Sebhel, uhonorowanego Czerwonym Lwem Jedności...

Reszta zasług i zaszczytów recytowanych przez kobietę umknęła Alyn, która dopiero teraz mogła dokładniej przyjrzeć się twarzom podróżników. Łyskające pod białymi brwiami oczy Dekforta wydawały się zmieszane całą tą litanią tytułów, ale jednocześnie jego stoicka, spokojna twarz roztaczała swym wyrazem aurę dumy i dostojeństwa. Jego towarzyszka nie kryła się specjalnie z tym, że po raz sto pięćdziesiąty recytuje tę samą formułkę, ale jej głos wciąż brzmiał tak, jakby właśnie dostąpiła tego zaszczytu po raz pierwszy. Jej wzrok, utkwiony gdzieś hen na wprost, nie mówił o niej absolutnie nic.

– To zaś – rzekł Dekfort westchnąwszy niemal niezauważalniepo tym, jak kobieta skończyła mówić – jest Azalia, moja prawa ręka. Zwłaszcza w tych dzikich ostępach.

Szczęka kobiety drgnęła w reakcji na te słowa. Alyn uśmiechnęła się lekko. Od razu poczuła wobec kobiety nieco sympatii.

Naraz z ciemności dobiegło chrapnięcie, a po nim krótkie szuranie. I znów zapadła cisza.

– A to Finn – Dekfort, niezmieszany, wskazał skinieniem czerń za plecami. – Wygląda na to, że poznacie się rano. Mówisz, że podróżujesz sama?

Złodziejka zdjęła szkła i zmrużyła oczy. Kilka następnych chwil wymagało precyzyjnie odmierzonej dozy szczerości.

– Tak – powiedziała nie od razu. – Przez kilka lat pływałam na tutejszych morzach. Te kilka gwiazd, które czasem da radę wypatrzyć między chmurami, wystarczy mi, by utrzymać kurs.

– Och? A jakiż to kurs?

– Narzuciłam się wam, więc piasek jest po mojej stronie, jak mówimy w tych okolicach. – Złodziejka

uśmiechnęła się. Całkiem szczerze. – Zmierzam na wschód, ku górom. Do Pahaadu. Do... Mahatry. Ale to nie cała prawda. Mniej niż pół dnia za mną idzie pięcioro zakkańskich beduinów. Ścigają mnie.

Choć nie widziała wyraźnie ich twarzy, Alyn spostrzegła, jak oczy Dekforta otwierają się szerzej, a Azalii zamieniają w wąskie szparki. Kobieta nachyliła się do urzędnika, szepcząc, ale gdy skończyła, ten nie odpowiedział jej, tylko zwrócił się do dziewczyny.

– Traf chciał, że wypatrzyłaś nas w środku drogi, nie wiedząc, w którą stronę kierujemy się i my. Skoro szłaś w mrok, i patrzyłaś ponad, a nie pod siebie, nie miałaś jak zauważyć pustynnego traktu, na którym właśnie jesteśmy...

– Zgadza się. Gdyby nie ta latarenka, minęłabym was szerokim łukiem.

Na dźwięk tych słów Azalia wychyliła się i wyciągnęła w jej stronę palec.

– Może i jesteś Rowanką, jak twierdzisz – powiedziała cicho – ale wtedy tym bardziej jasnym powinno być dla ciebie, jak zachowywać się w towarzystwie książęcego wysłannika. Po pierwsze, nie przerywaj.

Alyn, czym sama się zaskoczyła, skinęła bez słowa i uniosła dłonie w geście zrozumienia. Gdzieś z tyłu głowy wciąż czuła jednak kotłujące się wulgarne epitety, które tylko czekały na moment, gdy otworzy im się klatkę.

Po chwili ciszy ukontentowany z powodu zgody pomiędzy kobietami Dekfort podjął:

– My też, moja droga, zmierzamy na wschód i również zamierzamy zawinąć do Mahatry. Los, jak widać, okazał się dla ciebie łaskawy. Przynajmniej w tym przypadku.

W ciemności, bez szkieł na oczach, złodziejka nie była w stanie stwierdzić, czy uwaga mężczyzny miała ogólny charakter, czy coś w jej wyglądzie kazało mu znaleźć w niej ofiarę. Na krótką chwilę w jej głowie zabłysła ciekawość, ile Tron Rowan byłby w stanie dać za wieści o Maszynach, o starożytnych mechanizmach i zamieszkujących je prawdziwych bogach gdzieś hen, na drugim kontynencie. Moment później myśl uleciała pod naporem chłodu i mroku pustynnej nocy. Alyn nasunęła wyżej skórzaną rękawicę na prawej ręce.

– Jeśli mamy podróżować razem – kontynuował Dekfort – musisz nam opowiedzieć więcej o tych beduinach i dlaczego tacy są na ciebie cięci. Jesteś głodna?

Była. Jak każdy, kto ma rozum na środku pustyni, była głodna i spragniona. Sumiennie racjonowała ukradzione beduinom pożywienie i nie pozwalała sobie się nasycić. Zbyt wiele opowieści słyszała o ociężałych i ospałych wędrowcach, których ciała ładnie schły potem przez miesiące na piasku, dziobane przez ptaki i obłażone przez mrówki.

Ale szacownemu posłowi Książęcego Tronu Rowan, wieloletniemu konsulowi Rowan w Sebhel i tak dalej... nie odmawia się.

*

Obudziła się nagle, z walącym sercem. Podniosła się na łokciu, żeby rozruszać łopatki, i rozejrzała się. Wokół wciąż panował mrok, ale na wschodzie nad falami piasku rysowała się wyraźnie szara poświata przedświtu. Słońce Zakkanu wschodziło i zachodziło nagle, dla podróżników z dalekich krajów – często bez ostrzeżenia. Najlepszy czas na pierwszy etap dziennej wędrówki miał zacząć się już niedługo, a Gadira i jej ludzie prawdopodobnie byli już bardzo blisko. Trzeba było się zbierać.

I gdy już miała wstać, poczuła tuż obok siebie czyjąś obecność. Zanim zdążyła zareagować, czyjaś dłoń ścisnęła jej szyję i przygwoździła z powrotem do ziemi. Moment później jednak ucisk zelżał, a z ciemności tuż nad oczami Alyn wyłoniła się sylwetka Azalii.

– Ani słowa – szepnęła kobieta, po czym wykonała kilka ruchów drugą ręką.

Rozległ się cichy chlupot, a po nim szuranie przesypywanych ziarenek ryżu. Kurwa mać, pomyślała złodziejka, grzebie mi w torbie.

– Nie wiem, coś za jedna – syknęła Azalia, gdy zakończyła macanie zawartości bagażu – ale nie mogę sobie pozwolić na to, żebyś mi tu chodziła wokół Dekforta uzbrojona w cokolwiek. Za chwilę puszczę cię, a ty grzecznie i po cichu pokażesz mi cholewki swoich butów i wnętrze swojej rękawicy, zrozumiano?

Alyn skinęła. Nie miała wyjścia. Nawet gdyby podniosła raban, nic by jej to nie dało. Dekfort na pierwszy rzut oka wydawał się nierozłącznie przywiązany do służby i zapewne liczył na to, że Azalia zrobi wszystko, co będzie konieczne. O śpiącym Finnie nie wiedziała nic, co znaczyło, że powinna była przeczuwać najgorsze. No i była też zgraja Gadiry, która na dobra sprawę mogła właśnie siedzieć cicho kilkanaście kroków dalej i tylko czekać na swoją szansę.

Poddanie się było logicznym wyjściem. W zasadzie, poznawszy Azalię przez tę krótką chwilę, złodziejka czuła, że właśnie takiego obrotu spraw powinna była się po niej spodziewać.

Ale było coś jeszcze. Coś w ostatnich słowach kobiety... w jej ruchach. Coś, co przypominało jej ją samą. I to niepokoiło ją bardziej niż cała reszta.

Nie minął moment, a – tak, jak powiedziała – Azalia odjęła dłoń z krtani dziewczyny. Alyn, bez słowa, wciąż leżąc na plecach, ugięła kolana i przysunęła stopy bliżej tułowia. Ręce kobiety natychmiast znalazły się na jej łydkach i kostkach. Gdy skończyła, ponownie przysunęła się do twarzy Alyn.

– Dobrze. Rękawica.

I tu, pomyślała złodziejka, mamy pierwszy problem. Tym razem nie zastosowała się do polecenia. Czując napór kobiety, Alyn najpierw na moment spięła mięśnie, by następnie jednym błyskawicznym wierzgnięciem wysmyknąć się spod ciała Azalii. Zdrową dłonią odnalazła jej szyję, a raczej warstwę futra na jej kołnierzu. Przeciwniczka zareagowała błyskawicznie i skierowała uwagę wprost na prawą dłoń złodziejki. Alyn wiedziała dlaczego – Azalia szukała w niej ukrytego ostrza.

Dziewczyna wiedziała już, jak powinna zareagować. Wykorzystała całą uzyskaną przestrzeń i zrobiła to, czego na miejscu Azalii zdecydowanie nie chciałaby doświadczyć. Jej kolano pofrunęło do przodu i wdarło się pod dolny guzik kurtki kobiety. Wylądowało dokładnie pod mostkiem przeciwniczki i momentalnie pozbawiło ją tchu.

Ta chwila to wszystko, czego złodziejka potrzebowała.

– Wiesz dobrze, co ja za jedna, prawda? – Alyn przewróciła się na Azalię i niemal przytknęła usta do ucha kobiety. – Wiesz dobrze, bo tak jak ja jesteś z ulicy. Z traktu i rowańskich lasów, psia ich mać. Tacy jak ty uczyli mnie żyć.

Zamilkła, dając Rowance chwilę na przetrawienie jej słów. Nie miała wiele czasu, za chwilę kobieta odzyska siły i przygwoździ ją swoim ciężarem. Pytanie tylko, czy zaraz potem użyje swojego noża, czy nie.

– Nie jestem głupia, Azalio – kontynuowała złodziejka, czując, jak tuż pod nią jej rodaczka spina mięśnie do kontrataku. – Nie jestem nieostrożna. Mam po prostu albo niesamowite szczęście, albo fatalnego pecha. Gdybym na was nastawała, przyszłabym później w noc, uzbrojona.

Tak jak się spodziewała, nagle Alyn poczuła silne pchnięcie. Jej ciało oderwało się od ziemi i pofrunęło przez ciemność. W końcu upadła na biodro i łokieć, i natychmiast odturlała się, szykując na atak. Gdy ten nie nastąpił, szepnęła przed siebie:

– Jesteś złodziejką, Azalio. I co z tego? Pomóż mi jutro odegnać tych, którzy mnie gonią, a ja bezpiecznie przeprowadzę was przez resztę drogi do Pahaadu.

Po dłuższej ciszy coraz wyraźniej widoczna w porannej poświacie sylwetka stojącej przed nią kobiety wreszcie odpowiedziała:

– I podzielisz się prowiantem.

Alyn sapnęła i podniosła się. Stanęła z Azalią twarzą w twarz. Machinalnie potarła stłuczone części ciała.

– Nie. – Zadarła głowę. – Wystarczy wam to, co macie. Ale nauczę was gospodarować tym tak, że wystarczy wam na miesiąc wędrówki po pustyni.

Kobieta, wciąż z trudem łapiąc oddech, po zastanowieniu skinęła głową. Długie ostrze trzymanego przez nią noża zniknęło za jej plecami.

Złodziejka odetchnęła. Czy to w Rowan, czy w Zakkanie, utwierdziła się w przekonaniu, że dziecięca bezdomność uczyła bezwzględności, zacierała granice między dobrem i złem. Ale u tych, którzy potrafili spojrzeć dalej niż na sakiewkę przechodzącego w zasięgu wzroku szlachcica, rodziła też naturalną chęć do nauki.

Azalia zatem nie była głupia, stwierdziła Alyn. I skoro dożyła swojego wieku, zdecydowanie warto było mieć ją po swojej stronie.

*

Dostrzegli ich, gdy tylko słońce wyjrzało wreszcie zza wydm i omiotło okolicę swym ciepłym spojrzeniem. Gadira i jej ludzie byli blisko, Alyn wyraźnie widziała ich sylwetki na tle piasku, jeszcze zanim nasunęła na oczy szkła. Szli niespiesznie w ich stronę, pewni swego. Mieli zresztą dobre powody dla dobrego humoru – przydybani podróżnicy, jak zapewne wielu innych przed nimi, nie mieli jak uciec. Nawet jakby w tej chwili pogonili batogiem Finna – który okazał się całkiem dorodnym osłem, ewidentnie wziętym wprost z saahijskiego rynku – musieliby zostawić za sobą większość bagażu. A to nie wchodziło w grę.

Rowańczycy podjęli decyzję jednogłośnie – trzeba było stawić im czoła.

Złodziejka zerknęła na swych nowych kompanów, a potem jeszcze raz na zbliżającą się grupkę. Gdy przechadzała się swego czasu ulicami Kukh, wielokrotnie była świadkiem podobnych sytuacji. Kilku podjudzanych przez szczerbatego prowodyra starszaków, jeden lub dwójka maluchów zapędzonych w zaułek, ściskających w dłoniach bułkę czy tę jedyną złotą monetę powierzoną im przez rodziców na poranne zakupy. Od czasu do czasu co sprytniejszemu dzieciakowi udawało się uciec prześladowcom – czy to w dziurze pod murem, czy wdrapując się jak kociak po cegłach na wyższe piętro na czyjś balkon. Częściej jednak kończyło się na płaczu, siniakach, zadrapaniach i pamiętnych kroplach krwi oddanych bogom niesprawiedliwości.

Poczuła, jak pięści same się jej zaciskają. W jej przypadku owi bogowie już dawno musieli tarzać się po ziemi z przepicia.

Gadira nie była głupia. Prowadziła swoich ludzi prosto ze wschodu – tak, aby wisząca nad ich głowami tarcza młodego słońca oślepiała tych, którzy będą patrzyli w ich stronę, by powodowała rozdrażnienie i dyskomfort. Potężna chrypa w jej głosie mroziła zaś krew w żyłach skuteczniej niż pustynna noc.

– *Szaraf, obuera!* – krzyknęła kobieta i gestem zatrzymała resztę, po czym obficie splunęła na ziemię. – Nie próżnujesz, widzę. Patrzcie na tę sucz kulawą!

Patrzyli, i owszem. Hammar i Nokred międlili w dłoniach rękojeści swych wychudzonych od lat ostrzenia, zakrzywionych kozików. Cilia wyglądała nieśmiało zza potężnego ciała matki, gryząc paznokieć. Nani zaś aż przebierał w miejscu nogami. Niczego na świecie nie pragnął teraz bardziej niż mieć szansę odegrać się za skręconą rękę i skradzioną wodę. Niemal tańczył w miejscu, robił groźne miny i pokazywał na migi wszelkie sposoby, na jakie już za chwilę, już za moment rozprawi się z rudą przybłędą i nieszczęśnikami, którzy na swoją zgubę stanęli po jej stronie.

To jego trzeba było przede wszystkim okiełznać, uznała Alyn. Uniosła dłoń i nabrała powietrza w płuca.

Nie zdążyła powiedzieć ani słowa. Kątem oka dostrzegła z boku ruch, a potem potężny huk wstrząsnął okolicą i rozbiegł się po wydmowych zboczach.

Zaskoczenie ustąpiło, gdy w nozdrza złodziejki wdarł się ostry zapach prochu, a przed jej oczami przepłynęła błękitna mgiełka. Po drugiej stronie obłoczka Nani zwijał się na ziemi, trzymając za łydkę. Gadira wraz z resztą ludzi wykonała krok w tył. Ale tylko jeden.

– Na mocy nadanej mi przez Jasność Książęcego Tronu Rowan, niech będzie wszem wobec wiadomym, iż jako poseł książęcy i konsul w Pięciokrotnie Błogosławionym Kaganacie Sebhel uznałem zaistniałą sytuację za zagrażającą spójności i powodzeniu mojej misji! – ryknął Dekfort po rowańsku, przekrzykując zapewne głównie dzwonienie w swoich własnych uszach. – Zastosowany środek przymusu wyłączony jest spod prawa sądowego na mocy porozumienia trójstronnego... Przetłumaczysz im, Alyn?!

Złodziejka, nie odwracając głowy, odkrzyknęła:

– Nie trzeba, sedno jest chyba jasne! Przy okazji, doskonały strzał, ekscelencjo!

– A pewno, że tak!

– Ile jeszcze kul jest w komorze?!

– Ani jednej!

Alyn spuściła na moment wzrok z beduinów i zerknęła na Dekforta, który wciąż mierzył przed siebie długą, zdobioną srebrem lufą swego sztucera. W rozpływającym się, cichym chłodzie poranka słychać było jedynie pojękiwanie i przyspieszony oddech rannego syna Gadiry.

Wtedy nagle kobieta sięgnęła za siebie i wypchnęła przed siebie córkę, która zatoczyła się i upadła kolana kilka kroków przed matką.

– Szejtańskie bękarty! – wykrzyknęła Gadira w pustynnym dialekcie. Tym razem ślina wyprysnęła z jej ust, nie czekając na pozwolenie. – Tacyście mądrzy z tą swoją hukmagią? Pierwsi do rozlewania krwi?! To proszę bardzo, strzelajcie do woli! Bo jeżeli nie dostaniemy z powrotem skradzionego jedzenia, ktoś będzie musiał chodzić głodny. A z tej gówniary i tak nigdy nie będę miała pożytku!

– Co ona mówi? – zapytał Dekfort.

Alyn zauważyła, że Rowańczyk mimo wszystko lufę wciąż trzyma wymierzoną w kierunku mężczyzn.

– Wygląda na to – uprzedziła złodziejkę Azalia – że otrzymaliśmy ofertę wymiany.

Rudowłosa dziewczyna przyjrzała się zdezorientowanej Cilii, w której oczach już zaczęły się zbierać łzy. Nie spodziewała się ze strony Gadiry aż takiego okrucieństwa. W jednej chwili wszelkie wyrzuty sumienia, które miała względem okradzionych ludzi pustyni, uleciały w bielejące niebo. W jej głowie wypączkował zalążek pomysłu.

Odwróciła się do Dekforta. Całym ciałem.

– Szanowny panie konsulu – powiedziała najbardziej urzędowym tonem, jaki potrafiła z siebie wykrzesać. – Rzeknij pan swym najlepszym oratorskim głosem kilka rzeczy w stronę naszych zakkańskich towarzyszy. Niech usłyszą nasze warunki.

Urzędnik zawahał się, ale tylko na chwilę. W następnym momencie nabrał w płuca tyle powietrza, że wydawało się, że za chwilę wszyscy pozostali popadają z jego braku. A potem zagrzmiał tak pięknym rowańskim, że Alyn niemal łzy stanęły w oczach z tęsknoty:

– Jam jest człowiek z Pierwszych Wód wyłoniony i jam jest stworzycielem kraju mego, ogniska mego, wiary mojej! – Gdy upewnił się spojrzeniem, że o to chodziło, Dekfort wyciągnął dzierżącą sztucer dłoń przed siebie i wskazał lufą kolejno Cilię, syczącego z bólu Naniego i wreszcie matkę obojga. – Zła się nie lękam, albowiem zło zostało we mnie na zawsze zniszczone! Niegodziwość rozpuszczona, zawiść zduszona, a hipokryzja wypalona białym ogniem słusznego gniewu! Ekhem, czy mam recytować całą „Księgę Oczyszczenia”? Znam jeszcze tylko jeden wers, potem będzie już gorzej!

Alyn uśmiechnęła się półgębkiem i przytaknęła tak, jakby to uczynił nadworny tłumacz przed zabraniem głosu. Zanim zdążyła wypowiedzieć pierwsze słowa, urzędnik uniósł dłoń i kierując swe słowa gdzieś w stronę obozu z chwili na chwilę coraz bardziej zdezorientowanych sytuacją beduinów, dodał:

– Cokolwiek masz zamiar zrobić, nie przystawaj na ten barbarzyński pakt! Oddaj im, co ich, a gdy dotrzemy do Mahatry, znajdziemy ci zaopatrzenie na dalszą drogę. To nie nasza rzecz. Mam nadzieję, że w ich narzeczu słowo „barbarzyński” nie brzmi podobnie jak po naszemu!

Złodziejka wstrzymała haust powietrza w płucach. Nagły i robiący wrażenie pokaz rowańskiej techniki zbrojnej przygotował znakomite pole do przeprowadzenia jej fortelu. Blef o groźbie rozstrzelania na mocy traktatów, o istnieniu których sama nie miała wcześniej pojęcia, do tego spotęgowany znakomitą przemową Dekforta, dla tej grupki prostych nomadów był nie do przejrzenia. Gdyby naprawdę chciała – a była bliska myślom o tym, że faktycznie naprawdę tego chce – mogłaby przy okazji uratować skórę biednej Cilii, a przynajmniej uwolnić ją od matki. Ale Rowańczyk miał rację. To nie była ich rzecz. I to nie ona miała ostatnie słowo. Mogła się bawić w bohaterkę, ale prawda była taka, że w rzeczywistości nie miała na nic wpływu. Jedyne, co mogła robić, to próbować posprzątać swój własny bałagan.

I dlatego, gdy przedłużająca się cisza zaczynała stawać się nieznośna, rzekła do Gadiry, niegłośno:

– Wasza zguba zostanie wam oddana. Twoje dzieci potrzebują zaś matki teraz bardziej niż kiedykolwiek. Idźcie z Isztar.

Kobieta spojrzała jej prosto w oczy i po pewnej chwili nieznacznie przytaknęła. Nie odezwała się już

ani razu, a w jej wyczekującym spojrzeniu nie było wdzięczności. Zamiast niej, składając na jej ręce skradziony worek z zawartością, Alyn odnalazła jednak coś innego. Coś, co zaskoczyło ją jeszcze bardziej niż jej słowa.

Szacunek.

Albo odległy jego przebłysk; uczucia, które przez całe jej życie – pełne trudów, porażek i rozpaczy – zostało zakopane pod grubymi warstwami pogardy.

Upewniwszy się, że rana Naniego nie była na tyle poważna, by nie mógł odkuśtykać, ludzie pustyni odwrócili się i poszli z powrotem, skąd przybyli. Alyn, Azalia i Dekfort odprowadzili ich spojrzeniami. Potem zaś, wraz z sennie kontemplującym okolicę Finnem, bez słowa zebrali rzeczy i odeszli ku górom.

*

Levander przystanął i otarł czoło rękawem. Przytknął do niego otwartą dłoń. Palcami drugiej mimowolnie pogładził stożek wypłowiałej brody. Wytężył wzrok w kierunku wskazanym mu przez Sawada.

– Ptaki. Sępołowy – powiedział, gdy dostrzegł chmarę czarnych punkcików, które odznaczały się niewyraźnie na tle ciemniejącego nieba.

Jego towarzysz przytaknął i wykonał gest wskazujący na chęć udania się w tamtą stronę.

– Daj spokój, Sawad. To pewno kojot. Albo oryks.

Niemy beduin bynajmniej nie wydawał się jednak ukontentowany słowami Levandera. Do jego gestów dołączyło mlaskanie i syczące, gardłowe dźwięki. Był zdeterminowany.

– Gdzie nam teraz zbaczać ze szlaku – tłumaczył, wciąż cierpliwie, nomada. – Zanim tam dojdziemy, ściemni się na tyle, że cokolwiek to jest, i tak tego w mroku nie znajdziemy. Poza tym skoro jeden padł, może być ich więcej, przecież nie muszę ci tego tłumaczyć.

Czuł jednak, że jego twarda postawa z każdym słowem kruszeje. Sawad, chudy, łysy dziadek, na którym skóra zwisała jak mokry wór na kilku pokrzywionych patykach, miał niebywale bystre oko. Poza tym żył na tej pustyni dłużej niż ktokolwiek inny. Jeżeli chciał zbaczać z drogi, musiał mieć po temu dobre powody.

Ale było jeszcze coś. Po tym, jak ostrzeżeni przez Rowankę cudem uniknęli taidańskiej grupy plądrowników na południu od Wakh Sind, zawrócili we dwóch w jedyną możliwą stronę – ku Pustyni Nomadów. Imoren i Taidan były spalone, całkiem dosłownie, na długie miesiące. Wszystko, co Levander planował, co ciągnęło go ku krajom lasów i wina, legło w gruzach. Pozostała daleka północ – nurty Szikry i Maraak, góry Buraaha Jir i dalej ku deszczowym borom Maru Atalli.

A najszybsza droga w tamtym kierunku wiodła przez znienawidzone Saahii. I choć wiedział, że to w gruncie rzeczy dziecinne, każde odłożenie w czasie powrotu – nawet tymczasowego – między mury stolicy Zakkanu jawiło mu się jako rzecz warta rozpatrzenia.

– Dobrz...

Urwał, zauważywszy, że Sawad skręcił i trzymając ich jedynego wielbłąda za uzdę, poprowadził go w stronę sępołowów. Nomada pokręcił głową. Wyglądało na to, że tym razem nie było nawet czego rozpatrywać.

Gdy dotarli w okolice wypatrzonego znaleziska, była już głęboka noc. Po tajemniczej ofierze ptaszysk nie było ani śladu. Mimo wszystko Levander musiał docenić instynkt swego towarzysza. Ów objazd zawiódł

ich bowiem na niewidoczną wcześniej połać wyschniętego jeziora. Ziemia była tu twarda i płaska jak okiem sięgnąć. I zaskakująco jasna pod pucołowatą twarzą księżyca, w którego świetle mienił się srebrzysty pył przesypywany przez wiatr tuż przy gruncie.

Sawad, który – jak skonstatował Levander – widział w życiu bodaj wszystkie cuda na świecie, a na pewno na Pustyni Nomadów, za nic miał ów widowiskowy taniec. Z wyraźną frustracją wypatrywał wokół czegokolwiek, co mogłoby przypominać padlinę, jakby był pewien, że to właśnie tu, a nie gdzie indziej powinni byli szukać.

Coś powinno było w końcu widać.

Ale zimna patelnia suchego jeziora nie miała dla wędrowców niczego prócz kilku mniejszych i większych kamyków oraz nieskończonej siatki wąskich pęknięć. Czarnych żyłek na tkance tej jedynej w swoim rodzaju krainy.

Na myśl o szczelinach w gruncie coś Levandera tknęło. Odwrócił się na pięcie, zostawił kompana za plecami i wrócił po swoich śladach do miejsca, które minęli jakiś czas temu. Tam, gdzie jeden z kamieni był nieco inny niż reszta, ciemniejszy. Chwilę zajęło mu wyszukanie wzrokiem podejrzanego skrawka terenu, a gdy podszedł bliżej do niewielkiego przedmiotu, który zdał mu się kawałkiem skały, zamarł.

Kiedy otrząsnął się, począł energicznie machać w stronę Sawada ręką, aż wreszcie przypomniał sobie, że dziadek może i nie mówi, ale słyszy dobrze.

– Sawad! Sawaaad!

Serce łupało mu w piersi tak mocno, jak podczas niedawnej nocnej konfrontacji z tą przeklętą Rowanką z Saahii i jej ludźmi. Oto przed nim, niczym ślad po ostrzu wielkiego noża, rysowała się w ziemi niecka o długości trzech ludzi i głęboka na tyle, by móc jednego w sobie schować. Z trasy, którą przeszli przed chwilą, była zupełnie niewidoczna. Ów kamień zaś, ciemny i podejrzany, okazał się wystającą na zewnątrz wgłębienia głową sępołowa. Ptaszysko miało długi, zakrzywiony dziób i rzadkie, rozczochrane pióra na nienaturalnie wykręconej szyi. Jego reszta zwisała bezwładnie na ścianie niecki, u dna której za skrzydło trzymała go zakrwawiona ludzka dłoń. Ta zaś przyczepiona była do wyciągniętego jak struna ciała, które należało do, na pierwszy rzut oka, mężczyzny.

Levander nie miał zamiaru zbliżać się, a tym bardziej podejmować wysiłku odwracania zewłoku na plecy, aby przyjrzeć się twarzy, ale zmienił zdanie w momencie, gdy obok niego pojawił się Sawad i zaczął gorączkowo gestykulować.

– Nie rozumiem cię – warknął nomada na poły zirytowany, na poły wystraszony całą tą sytuacją. – O co ci chodzi?

Zamilkł, gdy dziadek wyciągnął kościsty palec i wskazał na plecy trupa. Levander wstrzymał oddech i wpatrzył się w ciemną plamę. Ta pozostała nieruchoma...

...aż do momentu, gdy drgnęła.

– Niech to Święte Samum...

Nomada zachłysnął się powietrzem i natychmiast klęknął przy ciele. Wraz z Sawadem chwycili je za ramię i dłoń, i wspólnie, ostrożnie, przekręcili na plecy.

Mężczyzna wydał z siebie pod ich dłońmi niemal niesłyszalny jęk.

– On żyje... – oświadczył szeptem Levander, a jego dłoń niemal bezwiednie poczęła szukać przy pasie bukłaka z wodą.

Sawad był szybszy. Powoli, niemal nabożnie, uniósł głowę nieznajomego i przytknął mu do ust wilgotną szyjkę.

I wtedy, gdy srebrne światło księżyca wyłowiły z mroku napuchnięte, półprzymknięte oczy nieznajomego, Levander zaklął pierwszy i jedyny raz tej nocy.

Bo znał tego człowieka.

Wysoko nad nimi, przecinając zimne wiatry pustynnej nocy, całej scenie przyglądało się zupełnie inne zwierzę.

ROZDZIAŁ TRZECI

„Burza. Nadałem jej imię Burza. Nie odzywa się do mnie, nie reaguje na moje próby komunikacji, mam wrażenie, że mnie unika, ale jak by nie było, dzielimy dom od kilku dni, więc przynajmniej ma teraz jakieś imię. Pasuje jej. I gdybyś ją zobaczyła, od razu wiedziałabyś dlaczego. Nawet gdy od czasu do czasu zmienia opatrunek na swym świeżo osmalonym kikucie, gdy widzę, jak się krzywi, i słyszę, jak jęczy z bólu, roztacza wokół siebie jakąś taką, nie wiem, aurę. Siły, pierwotności. Mówię do niej od czasu do czasu, żeby rozruszać gardło. Jak na razie nie wydaje się mieć nic przeciwko.

Napisałem o niej na początku, bo w tym momencie siedzi na leżance po drugiej stronie izby i patrzy się na mnie. Może medytuje, może chce się odezwać, może planuje, jak by mnie tu zaciukać ciemną nocą, więc w razie gdybyś czytała mi w myślach, Burzo, wiedz, że niniejszym wysmarowałem Ci solidną laurkę. Daj żyć.

A tymczasem wiatr dziś przyniósł dobre wieści. Najpierw, znaczy się, przywiał Dziadygę. Ten zaś uraczył mnie tym co zawsze oraz... tajemniczym zawiniątkiem, w którego przygotowaniu od razu poznałem rękę Kai. Nawet nie wiesz, jak się w tej chwili cieszę, wiedząc, że ona wie, że tu jestem. Nie wiem, dlaczego nie przyszła tu osobiście, ale z notki, którą napisała mi w bło-gos-ła-wio-nym rowańskim, dowiedziałem się kilku nader interesujących rzeczy o tutejszych obyczajach. Otóż chata, w której się znajduję, nazywana jest tu czule Przedsionkiem Agonii. Trafiają tu wszyscy ci, których straż Hurruk uznaje za niezdatnych do zasilenia – i obrony – tamtejszej populacji. Zaliczono mnie zatem do chorych, umierających, upośledzonych lub w jakikolwiek inny sposób niebezpiecznych dla ludności, lub po prostu nieprzydatnych. Między nami, jak tak teraz przypominam sobie ostatnie dni wędrówki, wcale się temu nie dziwię.

Ale miały być dobre wieści. Po pierwsze wraz z listem dostałem kilka smakowitych pasów suszonego mięsa. Jeśli wszystko dobrze poszło, pewnie w tej chwili kąpiesz się w imoreńskim winie w Castanet, ale tutaj... Tutaj, siostra, to jest największy frykas. Chyba kocham Kai. Po drugie będę miał szansę na opuszczenie tej chatynki (zdążyłem ją wreszcie polubić). Za kilka dni starszyzna Hurruk (Kai użyła sformułowania „herszt-matka i herszt-ojciec") przeprowadzić ma oficjalną próbę, czyli rodzaj sprawdzianu sprawnościowego dla tych, którzy odbili się nosem od ich bram. Kai poskąpiła mi szczegółów względem jego przebiegu, ale – jak to Kai – nie omieszkała (zapewne z tym swoim lisim chichotem pod nosem, tak sobie wyobrażam tę chwilę) dopisać tutejszego miana całego przedsięwzięcia. Jeżeli jeszcze się jej nie domyśliłaś, to jesteś, Alyn, niepoprawną optymistką, i za to Cię wciąż toleruję. Ja zaś – niech tylko Burza położy się wreszcie albo chociażby odwróci ten swój wzrok – biorę się za przygotowania do Agonii".

*

„Musisz mi wybaczyć te koślawe kulfony, ale jak siebie znam, pewnie już nie raz opowiedziałem ci tę

historię ustnie. Ale niech będzie zapisane, jak Twój brat, Toryn Noël z Rowan, z Bestią się mierzył – i przeżył. wszystko jednak w swoim czasie, bo gwoli ścisłości, na nic takiego się dziś nie zanosiło. Obudziłem się w pustej chacie. Burza ostatnimi dniami wyraźnie nabrała wigoru i często wybywała na zewnątrz, i to w taką pogodę, w jaką ja przy pełni sił wahałbym się zapuszczać. Dziś jednak nie było tak źle. Powiem więcej – było pięknie. Słońce wzeszło na bezchmurne niebo, którego niebieskość trudno mi z tego miejsca opisać, ale było jak skrzący się tajemną mocą, głęboki, górski staw nad białą płachtą świeżego śniegu. Dziadyga pojawił się jak zwykle nagle, ale za to z wielkim szczerbatym uśmiechem. I z miejsca rozgadał się na jakiś temat. Z nader żywej gestykulacji wniosłem, że opowiadał mi o swojej rodzinie, zwłaszcza tej najmłodszej, bo co i raz pokazywał dłonią, dokąd mu coś sięga, a oczy za każdym razem rozświetlały mu się jak gwiazdy. Był to widok po prawdzie niesłychany. Prawie że wzięło mnie wtedy na własne wspominki. O Zakkanie, Saahii. O nas. Jestem pewien, że znalazłbym też coś miłego z czasów Rowan. Ale gdy zdałem sobie sprawę, jak wysoko nagle znalazło się słońce, pożegnałem się z nim najwylewniej, jak umiałem, i ruszyłem realizować dzisiejszy plan. A były nim oględziny terenów Agonii.

Kai napisała mniej więcej, gdzie ich szukać, więc podążyłem za jej wskazówkami. Już wcześniej zdążyłem się przekonać o tym, że lasy wokół Hurruk potrafiły wessać nieuważnego wędrowca i złapać w pułapkę bez wyjścia. Drzewa, wzgórza, kamienie – wszystko wyglądało tu tak samo i tylko majaczące wysoko białe ściany tutejszego łańcucha, które jako jedyne potrafiły wyrosnąć ponad korony, w przejrzyste dni pozwalały zachować jakieś poczucie orientacji. Ale w końcu dotarłem na miejsce. Musiałem się srogo nawspinać po występach, by stanąć na niewielkim spłachetku skały z kilkoma starymi pniami przytarganymi niegdyś z dołu i wciśniętymi w wyżłobienia w kamieniu. To, pisała Kai, był start. Niemal dokładnie naprzeciw najdalszego występu, pomiędzy koronami drzew, dało się dojrzeć metę, którą sygnalizował czerwony kawałek szarfy zwisającej z pionowej ściany. Między nimi – w siodle, które zaczynało się sporym kawałem w dół, a potem jego dwukrotnością w górę – rozpościerał się szlak Agonii. I powiem Ci tutaj (bo inaczej nigdy do tego się nie przyznam), że na jego widok serce zabiło mi słabiej. Zaraz przypomniałem sobie, że nie takie rzeczyśmy już oboje robili, ale też było wtedy ze mną znacznie lepiej, o czym za moment, bo teraz zbliżamy się do sedna.

Byłem w połowie drogi w dół (a co, może i czasem Twój brat miewa stracha, ale wciąż woli rozgrzać stawy przed akcją), gdy usłyszałem nawoływanie. Brzmiało to jak Kai opierdalająca starszaków za to, że ją podczas zabawy zbryzgali błotem. Pamiętasz to? Z początku pomyślałem, że jakieś bachory wylazły w ładną pogodę na zewnątrz i postanowiły pobawić się w lesie pod czarangą i byłem gotów wrócić do swoich myśli. Ale chwilę potem okrzyk zabrzmiał ponownie. To był ten sam głos, tym razem głośniejszy. A moment po nim po okolicy rozszedł się niski pomruk, który nie mógł, uwierz mi, zwiastować niczego wesołego.

Resztę drogi na dół pokonałem trzema wyjątkowo głupimi i ryzykownymi susami (powtórzę je pojutrze, na pewno!). A potem, wiadomo, skierowałem się w stronę hałasu. Gdy chwilę później, sapiąc, wylazłem zza drzew... Niedźwiedź był, kurwa ogromny. Gigantyczny, słowo daję. Stał do mnie tyłem na tylnych łapach, ale gdy mnie usłyszał, przekręcił głowę, żeby łypnąć na mnie okiem. Wyobrażasz to sobie? W tym momencie byłem pewien, że jakiekolwiek dziecko miało pecha znaleźć się z nim sam na sam, będzie rozsmarowane po jego sierści z przodu. Że będzie spływać czerwonymi glutami z jego zębów.

Okazało się, że do niczego takiego nie doszło. Jak tylko bestia odwróciła się do mnie pyskiem, zza jej

zadu wyprysnął ciemnowłosy malec i poszedł gdzieś w krzaki. Nawet się nie obejrzał. I tyle go widziałem. Sytuacja zatem rysowała się następująco: niedźwiedź, wściekły, że mu przerwałem przygotowania do obiadu, został sam na sam ze mną. Ja zaś ze swojej strony bardzo, bardzo mocno próbowałem się w tej chwili nie posikać. Wybory miałem trzy. Po pierwsze mogłem rzucić się w bok i wdrapać na kilka pierwszych półek tej ściany, na szczycie której powiewała tamta szarfa, o której Ci pisałem. Z tego, co pamiętałem, misie nie zwykły wspinać się po skałach. Za to wspinały się po pniach drzew, z których najbliższe, znajdujące się kilka kroków za mną, było drugim wyjściem. Tyle że musiałbym się odwrócić do niego plecami, czego bardzo nie chciałem robić. No i pozostało jeszcze położenie się plackiem na ziemi i udawanie martwego.

Wybrałem to drugie. Ruszył, gdy tylko się odwróciłem. Usłyszałem, jak sapnął i tupnął łapami, a potem był tylko pęd do drzewa i modlitwa o to, żeby gałąź, która wyrosła z niego na przywitanie mi, nie pękła i została mi w dłoniach. Co się oczywiście stało zaraz gdy zawinąłem nogi i przerzuciłem na nią cały ciężar ciała. Trzasnęło tuż przy mojej twarzy z takim hukiem, że niedźwiedź aż stanął na tylnych łapach. Moment później cały konar opadł na niego, a ja poczułem, jak coś mnie pruje na plecach. Bez obaw, to był tylko kaptur, ale poszedł z połową pleców mojej dżalabii (wyobrażasz to sobie? W pustynnym ubraniu po kolana w śniegu?!). Prawy rękaw zawisł na słowo honoru. Ale o tym dowiedziałem się dopiero, jak wróciłem do chatynki późnym popołudniem. W tamtej chwili, zaskoczony, że nie zleciałem z gałęzią, podniosłem się i jąłem susami, jakich w życiu nie widziałaś, wdrapywać się wyżej i wyżej, aż wreszcie zatrzymałem się, w momencie gdy pień w koronie wygiął się pod moim ciężarem tak, że za moment, za chwilę gotów był ukłonić się i grzecznie oddać mnie bestii na tacy. Zamarłem więc i postanowiłem poczekać, aż misio sobie pójdzie. Albo aż padnę z wycieńczenia i przynajmniej zginę od upadku, a nie powoli przeżuwany przez śmierdzącą paszczę.

A potem, nie uwierzysz, usłyszałem gwizd, i niedźwiedź, jak gdyby nigdy nic, ryknął, klapnął i poszedł sobie. I to nawet nie wiem dokąd, bo widok przesłoniły mi gałęzie. Czy był tresowany, czy to inne czary, nie mam pojęcia. Posiedziałem jeszcze kilka chwil na górze, po czym baaardzo powoli zlazłem na dół i baaardzo szybko oddaliłem się stamtąd, robiąc sobie tylko jeden postój na siku za kamieniem, bo przecież nie wytrzymałbym już ani kroku więcej.

Morał z tego wszystkiego jest chyba taki, Alyn, i zapamiętaj, co Ci starszy brat mówi: dzika przyroda to, kurwa, największe zło. Mam szczerą nadzieję, że zostałaś w tym Castanet z Zakarym i nie wyściubiasz stamtąd nosa. I dobrze. Już my cię z Kai znajdziemy. I, słowo daję, kupujemy dom w samym jego centrum.

Ale jest jeszcze jedna rzecz. Powód, dla którego to wszystko piszę. Dziś był pierwszy dzień, w którym całkowicie straciłem czucie w koniuszkach palców dłoni. Dlatego kreślę to tak niewyraźnie i dlatego tak powoli schodziłem potem z tego przeklętego drzewa. Do tej pory co najwyżej czułem mrowienie, ale to przeniosło się już na pozostałą część dłoni. A palców już prawie nie czuję. Nie chcę, żeby ten dziennik stał się zapisem postępów choroby. Po to tu przybyłem, po to szukam Kai, żeby znaleźć sposób na to, żeby coś z tym zrobić. Ale wiem też, że szanse na to mogą być niewielkie, Alyn. I że do czasu, gdy mnie znajdziesz, zostanie po mnie to, co trzymasz teraz w dłoniach. Idę~"

*

„Chciałem wczoraj napisać, że idę się przewietrzyć, ale... Tak naprawdę i na dobre dopiero nawdycham

się rzeczy dzisiaj. To chyba mój ostatni wpis. Przynajmniej na jakiś czas. Jeśli dam radę, jeżeli przeżyję, będę miał inne sprawy na głowie, zobaczę wreszcie Kai. Jeżeli nie...

Przy tym wszystkim chatkę zostawiam niechętnie. Nie wiem, czy ją jeszcze kiedykolwiek odwiedzę. Zakładam, że nie mają tu lokum dla tych, którym się nie uda przetrwać Agonii. A był to jeden z najcieplejszych domów, jakie miałem w życiu. Mówię, rzecz jasna, metaforycznie, bo rankami, gdy ogień przygasł i szron zaczynał ścinać drewnianą ścianę, na którą oddychałem w nocy... Mało sobie dupy tu nie odmroziłem.

Burza... Nie wiem, wydaje mi się, że nawiązaliśmy nić porozumienia. Wiesz, takiego niewerbalnego, z rodzaju „trzymaj się ode mnie z daleka, a nie stanie ci się krzywda". W ostatnich dniach wyraźnie odżyła, nabrała wigoru. Gdy rano wstałem, by narąbać drewna, znalazłem schludną stertę ociosanych pniaków. Dziadygi jeszcze nie mogło tu być, nigdy nie przychodził przed śniadaniem. A gdy wszedłem do domu i grzecznie zapytałem po naszemu, czy to ona, tylko się do mnie uśmiechnęła. Z jakiegoś powodu mnie to cieszy. Jestem pewien, że nie było jej łatwo, ale dała radę. Gdzieś w tej historii, jestem tego pewien, czai się jakaś życiowa lekcja. Kto wie, może rozszyfrujesz jej znaczenie szybciej ode mnie.

A tymczasem trzymaj się, siostra. Do zobaczenia".

Toryn odłożył pióro, dmuchnął dwa razy na kartkę i zwinął ją w rulon wraz z resztą. Wstał, ostatni raz rozejrzał się po swojej, a następnie zajmowanej przez Burzę części izby, po czym skinął kobiecie głową i wyszedł na zewnątrz.

Górskie powietrze natychmiast wypełniło jego płuca. Obudziło i natchnęło do działania. Nie musiał się spieszyć, bo też całe wydarzenie zaplanowano na południe, które, podobnie jak w sercu pustyni, nadchodziło wtedy, gdy rozgrzana gęba słońca świeciła na góry w dół wprost znad ich szczytów. Na razie jednak ledwo co zaczęło swoją wędrówkę ku zenitowi, bardzo powoli rozgrzewało Pahaad i topiło spinający go jeszcze po nocy lód. Nie czekając, aż majacząca w oddali sylwetka Dziadygi zbliży się na tyle, by mógł w jego uśmiechu policzyć brakujące zęby, Rowańczyk poprawił torbę, zamknął dłonią kołnierz i raźno ruszył starcowi na spotkanie.

O tym, że z przejęcia zapomniał zjeść cokolwiek na śniadanie, przypomniał sobie w połowie drogi, gdy już ani nie wypadało się zatrzymywać, ani sam nie miał w zasadzie możliwości niczego z tym zrobić. Rozmyślania na temat wątpliwości, czy zdołałby utrzymać ewentualny posiłek w sobie, zajęły mu od tego momentu większość czasu, jaki upłynął do końca marszu. Z powrotem do miejsca, w które zawędrował poprzedniego dnia.

Tym razem na gołym kawałku skały wyniesionym niemal na wysokość koron okolicznych drzew było niesłychanie ciasno. Na starych pniach siedziało kilkoro bogato – i zdecydowanie ciepło – odzianych w fikuśne skórzane płaszcze i kamizelki ludzi. Pahaadzi byli w większości potężni – pomiędzy nimi Toryn zauważył tego, który przyprowadził do chatki Burzę te kilkanaście dni temu – ale spośród nich wyróżniała się para, która jako jedyna nie podniosła się na jego widok. Oboje byli już w słusznym wieku, w jakim zazwyczaj doczekuje się wnuków. I to nie tych najcenniejszych, pierworodnych, tylko kolejne już pomioty wraz całą wrzeszczącą hałastrą starszego rodzeństwa. On, niewysoki, imponował czerwonymi jak jabłka policzkami i srogim wąsem, który dwoma bujnymi pękami opadał na wypiętą pierś tuż poniżej szyi. Ona, o jeszcze szerszej – i sroższej –

twarzy, trzymała się pod boki, taksując przybysza niebieskimi jak samo niebo oczami, które wyglądały przenikliwie zza jasnej grzywy. Chłopak przypomniał sobie słowa Kai: „herszt-ojciec" i „herszt-matka".

Żadne z nich nie odezwało się do niego słowem, ale ich spojrzenia Toryn uznał za umiarkowanie życzliwe, więc postanowił je wziąć za dobrą monetę i skupić się wreszcie na wysokim, pomarszczonym dziadku, który od kilku chwil, żywo gestykulując, próbował mu wyjaśnić w lokalnym narzeczu zasady próby. Z pantomimy Pahaada wynikało mniej więcej to, co zdołał sam ustalić poprzedniego dnia: szarfa na szczycie ściany oznaczała metę, a urwisko o zaledwie kilka kroków stąd, gdzie stał, miejsce startu. W nieoczekiwany sposób sytuacja rozwinęła się w momencie, gdy Rowańczyk nagle poczuł smród palonej smoły i zza jego pleców ktoś przyniósł pochodnię, którą rozpalił szerokie naczynie o nieznanym do tej chwili przeznaczeniu. Ze środka buchnął czarny dym, a Toryn, nie wiedząc, co to wszystko znaczy, stał jeszcze kilka chwil ze wzrokiem wbitym w palenisko, nim czyjaś ręka wraz z okrzykiem, który po prostu musiał być przekleństwem – i to z tych wyjątkowo obrzydliwych – pchnęły go na krawędź skały. Ktoś zdjął jego torbę, inna dłoń wepchnęła mu w rękę patyk obwiązany czerwoną tasiemką.

Nie namyślając się długo, schował podarowany fant do rękawa, wziął głęboki oddech i przy wyraźnie słyszalnych westchnięciach zza pleców zsunął się na stopach po śliskim kamieniu, aż skała nagle oddała pola przepaści i pofrunął w dół.

Złapał się korzenia, nie grubszego niż jego palce, gdy krawędź urwiska została wysoko nad jego głową. Wczepiał się w skałę w dwóch miejscach, pomiędzy którymi zwisał swobodnie jako pętla. Biorąc pod uwagę słabość swego chwytu spowodowaną postępami choroby, Toryn użył obu dłoni i całej swej siły, by w jednym momencie zaczepić się o wcześniej upatrzony korzeń. Szorując stopami o ścianę, napiął wszystkie mięśnie, by szarpnięcie nie wyrwało mu barków ze stawów.

Skała wokół korzenia chrupnęła, gdy przyjęła cały jego ciężar, ale naturalne mocowanie nie puściło. Nie mogło puścić – zanim poprzedniego dnia usłyszał krzyki, sprawdził je na wszystkie możliwe sposoby. Gorzej sprawiły się jego dłonie. Pierwsza wysmyknęła się już w momencie pierwszego szarpnięcia. Kostkami drugiej gruchnął w tej samej chwili o ścianę, haratając je boleśnie. Wytrzymał pierwszy szok związany z ostrym pieczeniem, co uratowało mu skórę, ale już przy następnym uderzeniu puścił korzeń i z głuchym westchnięciem wylądował na półce skalnej niżej, przewracając się na bok. Jego nogi na chwilę zawisły nad kolejnym urwiskiem, ale natychmiast podciągnął je do siebie i przewrócił się na plecy.

Spojrzał w górę. Słońce, które do tej pory zdążyło stopić większość cienkiego lodu pokrywającego niemal całą powierzchnię skały, zaszło za szarą chmurę. Na jej tle dojrzał kilka wystawionych daleko za skraj przepaści głów.

– Żyję – powiedział cicho i uśmiechnął się w stronę gapiów. – A to dopiero początek!

Dopiero gdy wstał i otrzepał się, dotarło do niego, że dzisiejsze niebo było do tej pory absolutnie bezchmurne.

– Dym – mruknął, gdy spojrzał ponownie wysoko w górę.

Ten sam dym, który zaskoczył go swą nieprzeniknioną czernią i smrodem, w kilka chwil stracił swą barwę na rzecz głębokiej szarości. I cały czas, wydawało się, stawał się coraz jaśniejszy.

Kątem oka, na szczycie urwiska naprzeciw, tuż nad strzępkiem powiewającej szarfy, Toryn zauważył

bliźniaczy słup dymu. Ten wyrósł nagle i dla odmiany był niemal niewidoczny na tle jasności nieba. A to dlatego, że był biały.

W momencie gdy zrozumiał, co się dzieje, złodziej zerwał się na równe nogi i przebierając stopami po mokrych kamieniach i korzeniach, z minimalną ostrożnością, zaczął schodzić, zsuwać się i zjeżdżać na dół. Miał niewiele czasu.

O swym postanowieniu wzniesienia modłów do pahaadzkich bogów o to, by na dnie dolinki znów nie czekał na niego niedźwiedź, przypomniał sobie dopiero, gdy stanął wreszcie twardo na płaskim gruncie. Przed nim otworzyła się nierówna połać na wpół skutej lodem ziemi. To tu, to tam wyrastały z niej rzadkie, grube pnie drzew. I w tym właśnie momencie usłyszał szelest i dźwięk łamanych gdzieś nieopodal gałązek.

– Nie... Nienienie – jęknął i podjął marsz w przeciwnym kierunku.

Wolał nadłożyć sobie drogi i stracić czas, a nie szczękę wraz z połową twarzy po jednym kłapnięciu, do czego paszcza misia-potwora była – stwierdził to z pełnym przekonaniem – jak najbardziej zdolna.

Widniejąca w oddali między drzewami ściana, na którą miał się wspiąć, wyglądała morderczo. Była niemal pionowa, goła i wciąż pokryta lodem w tych miejscach, gdzie padały na nią cienie iglastych gałęzi. A było ich bez liku. Gdyby miał przedwczoraj więcej czasu, gdyby nie cała ta draka z niedźwiedziem, sprawdziłby wszystkie możliwe szlaki i ścieżki. Być może gdzieś w okolicy kryła się szczelina, jakiś kamienisty żlebik, który pozwoliłby mu się dostać wyżej bez konieczności podejmowania wspinaczki. Ta zaś, biorąc pod uwagę jego obolałą dłoń i niemal zdrętwiałe palce, z każdą kolejną chwilą jawiła mu się jako karkołomne wyjście, nader zresztą dosłownie.

Wtedy zaszeleściło i trzasnęło jeszcze raz. Tym razem z przodu.

Toryn wstrzymał oddech i zamarł. Samymi oczami, panicznie, zaczął rozglądać się za najbliższą kryjówką.

To nie mogło dziać się znów, jęknął w duszy.

I wtedy zza szerokiego pnia wysunęła się potężna sylwetka. To nie był niedźwiedź.

Ulga, jaką poczuł na widok człowieka, minęła natychmiast, gdy złodziej uzmysłowił sobie, że zna tę postać, a zamieniła się w graniczące z trwogą zdumienie, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że był to ten sam mężczyzna, który owego pamiętnego dnia przyprowadził do chatki Burzę... I który jeszcze kilka chwil temu odprowadzał go wzrokiem na szczycie skały.

– Jak... – westchnął Toryn i wskazał palcem szczyt pionowego urwiska za plecami.

Mężczyzna na moment podążył wzrokiem za jego ręką, ale już w następnej chwili na powrót wbił w niego swe czarne oczy schowane pod bujnymi strzechami brwi. Szedł w jego stronę miękko, bez broni, ale wystarczył widok jego umięśnionej prawej ręki wystającej z uciętego wysoko rękawa kurtki, by Rowańczyk nabrał pewności, że ten Pahaad żadnego oręża do niczego nie potrzebował.

Wymagało to całej jego siły woli z przyległościami, ale Toryn wytrzymał spojrzenie mężczyzny i nie cofnął się ani o krok. No, może jeden, drobny, kiedy brodata twarz wyrosła tuż nad nim i zbliżyła się do niego tak blisko, że mógł policzyć na niej wszystkie krople potu.

Zbiegł, pomyślał Rowańczyk, czując, że za chwilę ugną się pod nim nogi. Zbiegł z samej góry jeszcze szybciej ode mnie...

– *Laala* – warknął Pahaad i skinął na głowę Toryna.

Chłopak chrząknął.

– Lala? Nie, nie, ja chłop.

– *Laala!*

Tym razem na włosach złodzieja, oprócz kropelek śliny, wylądował palec mężczyzny.

– *Apana ilaa alakhata, eller hur? Eller hur?!*

Toryn zdał sobie sprawę, że pod naporem niezrozumiałych słów stawia jeden za drugim kroki do tyłu. I że ucieka mu czas. Musiał jakoś z tego wybrnąć. Musiał mu przekazać, że...

W tym momencie olbrzym złapał w garść jego czuprynę i szarpnął tak, że złodziej mógłby przysiąc, że strzeliły mu kręgi w szyi. Nie było dobrze, jeszcze chwilę i...

I wtedy, na dźwięk kolejnego słowa, Toryn naprężył się i instynktownie wbił pięty w ziemię.

– *Aalyn* – wyszeptał brodaty nieznajomy, a na jego twarzy malowała się największa pogarda.

Rowańczyk natychmiast zdał sobie sprawę, że nieznajomy nie czekał na jego odpowiedź. Wystarczyło mu to, co odczytał z mowy jego ciała. Ale skąd...?

Nie namyślając się, odepchnął dłoń Pahaada i sam złapał go za kołnierz. A przynajmniej spróbował.

– Skąd znasz to imię?!

Tylko tyle zdążył krzyknąć, nim wokół rozległ się przeszywający gwizd, nie odmienny od tego, który poprzedniego dnia sprawił, że niedźwiedź opuścił posterunek pod jego drzewem. Tym razem jednak było mu dane poznać tego, kto go wydał. A raczej tę.

– *Løc! Tere tarata, genaast!*

Ku nim kroczyła z rozmachem kobieta. Nie „jakaś" kobieta. To była sama herszt-matka czarangi. Ta sama, którą również widział na górze. Była zmachana, czerwona na twarzy, ale jej głos ciął las jak najostrzejsza siekiera.

Mężczyzna, wyraźnie rozczarowany, spojrzał jeszcze raz w jego oczy, po czym, uśmiechając się w taki sposób, że Toryn długo jeszcze miał przed oczami ten grymas, błyskawicznie sięgnął dłonią ku jego przedramieniu i ścisnął niby w pożegnaniu. Ale tak mocno, że Rowańczyk poczuł je w całym ciele. Aż w środku coś chrupnęło.

Na moment świat stał się niebywale biały, a potem, równie szybko, zniknął pod falą nieprzeniknionej czerni. Toryn poczuł, że traci równowagę i w ostatniej chwili, gdy zaraz miał już polecieć pyskiem do przodu, ugiął kolano i spoczął na ziemi w pozycji wybitnie niewygodnej, ale wystarczającej do tego, by mieć czas zawalczyć o przytomność.

Jak przez mgłę dojrzał, jak z rękawa wysypują mu się pogruchotane kości. I wtedy zrozumiał. To nie były kości, tylko ten tajemniczy patyk.

Gdy ponownie wyrósł nad nim potężny cień, spojrzał w górę, wprost w surowe oblicze herszt-matki. Tego, który zagrodził mu drogę, nigdzie nie było.

– Jak ci na imię, człowieku, któryś obcy górom i pustyni? – zapytała po zakkańsku z silnym akcentem.

Czując drgającą głębię jej głosu głęboko w piersi, odpowiedział:

– Toryn... wasza miłość.

Niespodziewanie kobieta wybuchła gromkim śmiechem, który ucichł tak szybko, jak rozbrzmiał wzdłuż całej dolinki.

– Toryn. To ty odgoniłeś niedźwiedzia od mojego Anishora wczoraj... Masz moje dzięki. Na imię mam Merethe. Løkiem zajmę się sama. A ty idź, Torynie. Wciąż masz czas.

– Ale... Ale patyk. M-Merethe. Pani. Jest w częściach. Pogruchotany. To jego mam wrzucić do ognia tam na górze, tak? Bez niego...

– Może tak, może nie. Nie przekonamy się, jeżeli nie dotrzesz tam, gdzie musisz, prawda?

Złodziej wstał i po raz pierwszy uważnie spojrzał na herszt-matkę. A więc to był jej syn. Ze wszystkich bachorów, które mogły się znaleźć w tamtym miejscu...

Ukłonił się.

– Prawda – szepnął, zacisnął pięści i, nie oglądając się, ruszył na spotkanie nagiej skale.

*

Fel zdążyła tylko spiąć mięśnie i lekko się skulić w przygotowaniu na uderzenie, gdy brudna podeszwa stopy trafiła ją w biodro i posłała o kilka kroków dalej na ziemię.

Tego jeszcze nie grali, pomyślała, gdy na powrót odzyskała oddech i podniosła się na kolano. Reynauld tracił resztki samokontroli. Był wzburzony, sfrustrowany i wiecznie czerwony na ciele – nie wiadomo, czy ze złości, czy w wyniku nieustannego wystawiania swej bladej skóry na pustynne słońce, czy też w grę wchodziły obie rzeczy naraz. Jedno było pewne – nie interesował się nią tak... jak wtedy. A wszelka przemoc, którą stosował coraz częściej i surowiej wobec wszystkich wokół, nie miała nic z dążenia ku nawet najbardziej wyuzdanym przyjemnościom. Był jak zwierzę, którego klatka kurczyła się z dnia na dzień. Jeszcze groźniejszy niż zwykle. Bo nieprzewidywalny.

Widząc go w tym stanie, była nawet chętna mu pomóc. Jeżeli nie dla jego, to dla własnego spokoju. Ale tej jednej rzeczy, której od niej chciał, nie była w stanie mu dać.

– Czy ty masz mnie za głupka, Fel? – zapytał uspokoiwszy się po wybuchu, który zaskoczył chyba nawet jego samego. – Czy ty masz mnie za durnia? Przecież widziałem, jak ten twój ptak, ten przeklęty cudowronek nadleciał nad oazę zaraz przed tym, jak przybyli tu ludzie z Saahii. Posłałaś po nich. A co było w obozie w imoreńskich lasach? Jak wył i skrzeczał całymi dniami. Były momenty, że miałem ochotę urwać mu głowę, i zrobiłbym to, gdyby mi wpadł w ręce. Ostrzegł cię, prawda? Ostrzegł, że idą imoreńscy bandyci. Więc teraz poleci na południe, do tego samego obozu, i zaniesie ode mnie wiadomość. W czym, kurwa, problem?!

Fel cofnęła się o krok i otarła z twarzy kropelki śliny Taidańczyka. Bardzo chciała mu w tej chwili odszczeknąć, jak bardzo głęboko może sobie wsadzić cały ten swój obóz w dupę. Wielki zdobywca. Pustynny watażka.

Alyn by to zrobiła. Zrobiłaby to i splunęłaby mu jeszcze pod nogi.

Dziewczyna włożyła dłoń do kieszeni i zacisnęła na kamieniach, które z cichym chrobotem otarły się o siebie i rozprowadziły po całym jej ciele kojące wibracje. To nie był dobry moment. Jeszcze taki nadejdzie. Jeszcze go upokorzy, jeżeli wcześniej on sam nie stoczy się na samo dno swego księstewka w kotlince pomiędzy wydmami.

– Co ma znaczyć ten uśmiech? Mów, dziewczyno! Czy zrobisz to, o co cię proszę?!

– T-tak. Zrobię – skłamała, a gdy zauważyła, że Reynauld odwrócił się do niej plecami, najwyraźniej uznawszy audiencję za zakończoną, wycofała się przez drzwi i szybkim krokiem ruszyła w dół ścieżki.

Chwilę zajęło, nim uświadomiła sobie, że tuż za nią chrzęszczące kroki stawia czyjaś para nóg.

– Zostaw mnie – warknęła agresywniej, niż chciała.

– Ja... wiem... po prostu... Po prostu nie bierz wszystkiego, co mówi, do siebie.

– Tak? A te popchnięcia? Te kopniaki, Ikke? Byłaś tam za drzwiami, strach cię sparaliżował?

– To nie strach, Fel, mówiłam ci.

– Tak. Nie strach – lojalność. Pamiętam. Powiedz to każdemu, którego twój dowódca wypuszcza ze swej kwatery z krwiakami. Po mojemu dobrze, że wciąż wypuszcza, bo...

– Fel, gdybyś tylko...

W tym momencie Zakkanka wbiła pięty w ziemię się i obróciła w stronę taidańskiej żołnierki.

– Gdybym co?! Słowo daję, Ikke, polubiłam cię, choć wydawało mi się to niemożliwe, ale jeżeli dokończysz to zdanie sugestią, żebym „nauczyła" Ifiko tego, czego od niej chce Reynauld, to lepiej...

– Nie, nie, nie! Przyrzekam, Fel, nie wykonuję jego rozkazów. Nie wykonuję żadnych rozkazów. Na wszystkie demony, nawet nie jestem na służbie. Chcę ci powiedzieć, że... On nigdy nie był taki jak teraz. Ale na ile go znam, te jego pomysły, komendy, gdy nie jest pewny tego, jak powinien postąpić... Po prostu to przeczekaj. W końcu zapomni. Znajdzie sobie inne plany, odnajdzie swój własny cel i powołanie. Tego mu teraz brakuje.

– Nie tylko tego, Ikke, sama jesteś tego świadkiem. To szaleniec. Prędzej czy później zacznie zabijać. Albo wykończy sam siebie.

Gdy usłyszała własne słowa, Fel uśmiechnęła się półgębkiem, pokręciła głową i podjęła marsz, nie oglądając się już za Ikke. Całkowicie bezwiednie użyła słów, które lata temu wypowiedział Madżid, gdy rozmawiali o jego synu, Jahimie, który po wcieleniu do książęcej gwardii szybko awansował podczas kampanii „czyszczących" zielone brzegi rzek Szikry i Maraaku. I równie szybko nadmierną pewnością siebie i niespotykanym okrucieństwem stracił cały posłuch swego regimentu, aż do haniebnej degradacji.

Reynauld, w jej opinii, co najwyżej do tej pory był po prostu sprytniejszy.

Choć bynajmniej nie wyzbyła się wzburzenia, z jakim opuściła dom Reynaulda, na odchodne dotknęła ramienia Ikke w przyjacielskim geście. Sama nie wiedziała dlaczego.

Powrót do „domu" znów upłynął jej w deszczu chłodnych spojrzeń mieszkańców oazy, które ani trochę nie łagodziły codziennej kanonady gorąca bijącej z zenitu. Cała ta dzisiejsza wyprawa znów była na nic. Cała ta przygoda, podróż na południe. Całe to życie...

Kamienie w jej kieszeni nie przestały chrobotać, aż dotarła do wejścia do domu znachora. Miejsca, które choć było „jej", nigdy w jej oczach nie miało uwolnić się od odium śmierci poprzedniego lokatora. Śmierci, która na domiar złego nastąpiła na jej oczach.

Potrzebowała jeszcze jednej dawki.

I wtedy na jej drodze stanęło dziecko. Była to najmłodsza córeczka rodziny, która mieszkała naprze-

ciwko niej. Tej zawsze uśmiechniętej, jakby wyjętej z rzeczywistości grupki ludzi o niebywałym cieple przemycanym w ukradkowych spojrzeniach.

Dziewczynka spuściła głowę i chichocząc, wyciągnęła w jej stronę trzymaną w drobnej dłoni urwaną piętkę chleba. Widzieli ją sąsiedzi. Widziało rodzeństwo i matka, która wyglądała zza na wpół rozsuniętej zasłony. Ale dziecko nie wydawało się tym wszystkim przejmować. Cieszyło się z drobnego gestu przypadkowej życzliwości.

Choć Fel czuła, że musi zmusić usta do grymasu, będąc w pełni świadoma nieprawdopodobieństwa całej sceny, ukłoniła się przed dziewczynką i uśmiechnęła się, a potem przyjęła z jej rąk miękki kawałek pieczywa. Wokół niego rozchodził się aromat świeżych przypraw. Natychmiast po tym mała odbiegła do domu, śmiejąc się histerycznie, i wpadła w ramiona matki.

Zakkanka ugryzła miękkie pieczywo i pomachała w stronę kobiety. Zdecydowanie, pomyślała, tego też jeszcze nie grali...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po raz ostatni w trakcie swej wędrówki przystanęli na chwilę przed dotarciem pod same wrota Mahatry. Z tego miejsca wyraźnie widać było szeroką, solidną palisadę zazdrośnie skrywającą serce czarangi. Nad szczytem drewnianej ściany dało się jednak dojrzeć, jak kolorowymi ciągami ze skał wyrastały drewniane chatki. Niczym kamyki zgromadzone u stóp potężnego masywu, który już niemal w całości przesłaniał ciągnący się od horyzontu do horyzontu łańcuch Bhalu Devi.

Ale to miejsce, ten konkretny punkt, w którym postanowili odsapnąć przed finałowym wysiłkiem, był też ostatnim na krętej ścieżce, która od dwóch dni wiodła w górę i tylko w górę, z którego można było objąć wzrokiem ogromną, skwierczącą w oddali połać pustyni. Tu, w tym niezbyt szerokim, osłoniętym od wiatru i wydeptanym do cna załomie traktu, łączyły się dwa światy. Bez względu na to, czy żeglował dotychczas po oceanie piasku, czy opuszczał górskie stoki, tutaj każdy zostawiał przeszłość za plecami.

I musiał stanąć twarzą w twarz z nieznanym.

Mimo długiej i wyczerpującej wędrówki Alyn czuła się nieźle. Ba, w porównaniu do Dekforta i Azalii, którym wiek z każdym kolejnym pagórkiem dawał się we znaki, wręcz przepełniała ją energia. Im byli wyżej, tym w cieniu robiło się chłodniej i tym łatwiej – po całych dniach spędzonych z kaimiańskim ciepłowstrętem w sercu Pustyni Nomadów – było jej iść.

Ale to nie był jedyny powód jej dobrego humoru. Po oddaniu skradzionego prowiantu Gadirze była zdana na to, co mieli ze sobą Rowańczycy, i choć z całego serca nienawidziła bycia dla kogoś ciężarem, gdy skosztowała przysmaków, które pamiętała jeszcze z dzieciństwa, z rodzinnego kraju, łatwo było zapomnieć związanych z tym troskach. Suszone winogrona. Orzechy gajowe. Cukierki ze sprasowanego rabarbaru. I coś, czego – dla odmiany – nigdy nie dane jej było skosztować, a co było przecież bardziej „rowańskie" niż Książę i jego świta. Coś, co gasiło pragnienie lepiej niż najczystsza woda i co chroniło przed ryzykiem chorób wywołanych piciem tej brudnej.

Gdy złowiła przyzwalające spojrzenie dyplomaty, Alyn przytknęła bukłak do ust i zaczerpnęła łyk spienionego trunku. Zauważyła, że od czasu, gdy skosztowała go po praz pierwszy, jeszcze gdzieś pomiędzy diunami, jego smak się zmienił. Nieznacznie, ale jednak. Nadal wykręcał język goryczką, a twarz kwaśnością, ale tym razem dużo wyraźniej czuła słodkawą nutę utopionych w baniaku sadowych owoców.

Dekfort zauważył minę złodziejki. Otarł pot z czoła i uśmiechnął się szeroko.

– Coraz słodszy ten lambik, co? – zapytał, po czym przechylił głowę do tyłu i wytrzepał do ust ostatnie krople ze swojej manierki. – Sam się zdziwiłem, kiedy pierwszy raz dane mi było tutaj się wdrapać. To przez wysokość. Czujesz to powietrze? Oni – skinął głową na parę okutanych w wielobarwne szaty tubylców, którzy pojawili się znikąd na trakcie przed nimi i pozdrowiwszy ich oszczędnymi uśmiechami, ruszyli dalej w dół

ścieżki – tu inaczej oddychają. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Sama się przekonasz.

Alyn postanowiła zachować jeszcze resztkę napoju i gdy przytroczyła bukłak z powrotem do uprzęży Finna, obejrzała się na kobietę, która również minęła ich, idąc za mężczyznami. Uwagę złodziejki zwróciły jej długie, pofalowane włosy o rzadkiej, głęboko wiśniowej barwie. A raczej fakt, że opadały luźno spod najwyraźniej typowego w tych stronach, chroniącego przed słońcem i wiatrem czepka ze zwiniętego materiału. Złodziejka odkłoniła się przygodnej nieznajomej, machinalnie przeczesała swą suchą czuprynę, po czym pogładziła zwierzę po pysku i cmoknęła na znak wznowienia marszu. Tym razem osioł najwyraźniej odnalazł w masywnych wrotach rysujących się w oddali koniec męczącej podróży. Ruszył bowiem bez ociągania się i prychania.

A może to był tylko czar Mahatry, która, gdy tylko przekroczyli jej granicę, objęła ich jak starych znajomych ciepłem bijącym z życzliwych uśmiechów tubylców; zapachami przypraw, jakich nie dało się wyhodować nigdzie indziej na świecie; oceanem barw, który wylewał się z każdej drewnianej fasady i fasadki, z każdego elementu suszącej się na chłodnym, górskim wietrze odzieży. Gdy patrzyła przed siebie, złodziejka widziała labirynt uliczek i schodów płynnie przechodzących jedno w drugie, mozaikę płaskich i spadzistych dachów, a w środku tego wszystkiego tłum, jakiego nie spodziewałaby się w żadnym innym miejscu oprócz okolic saahijskiego targu.

– Za mną! – zakomenderował Dekfort i przejął lejce, po czym wysunął się na czoło.

Alyn podążyła za nim na poły bezwiednie, walcząc z nagłym poczuciem niepokoju. Bo przecież zbudowana na zboczu góry Mahatra nie różniła się tak wiele od kaimiańskiej stolicy, białej jak śnieg Ganiyi, której wspomnienie – pal licho, czy prawdziwe, czy nie – wciąż nawiedzało ją w te bardziej niespokojne z nocy. Z drugiej strony oba miasta nie mogły być przecież bardziej od siebie różne. Jeżeli Ganiya była śmiercią, cichym cierpieniem narodu zdziesiątkowanego przez kataklizm, to Mahatra swą feerią barw i zatłoczonymi ulicami uosabiała życie, radość. Brakowało jej tylko...

– To cisza... – stwierdziła wreszcie złodziejka po kilku chwilach kroczenia w zadumie za Azalią.

W czarandze, wbrew temu, co można było zobaczyć, było zaskakująco bezgłośnie. Nikt do nikogo nie pokrzykiwał, nikt nie dyskutował, nie targował się o ceny. Żaden kucharz nie łupał warząchwią w rant gara. Nie skrzypiała żadna oś ciągniętych przez umęczonych górali dwukółek. Nie darły się nawet zgromadzone na dachach, obserwujące wszystko to w zadumie ptaki. Skulona u stóp najwyższych gór, jakie widziała ludzkość, Mahatra trwała w zadumie.

Lub modlitwie. I tylko wiatr miarowo świszczał, pędząc w dół.

Gdy przystanęła na chwilę, by chłonąć atmosferę otoczenia, Alyn zauważyła, że co poniektórzy mieszkańcy przystawali i pochylali głowy w bezgłośnym pozdrowieniu przy kamieniach. Wyryto na nich symbol, który z oddali wyglądał jak gwiazda. Z jakiegoś powodu przypomniało jej to o zadaniu, którego się podjęła, i celu, który przywiódł ją tutaj – tak blisko gór i tak wciąż daleko od miejsca, do którego, dajcie bogowie, udali się i Kai, i Toryn. Przez moment przemknęło jej przez myśl odłączenie się od Rowańczykow i poszukanie dalszej drogi na własną rękę, aby nie tracić więcej czasu. Ale gdy tylko ich ubrania zaczęły znikać w oddali w tłumie, ruszyła ich śladem.

Aleja, zrazu szeroka niczym rzeka w swym ujściu, powiodła ich w górę prosto, a następnie w prawo i

w lewo, przy każdym zakręcie zwężając się o połowę. Nie minęło wiele czasu, nim zmuszeni byli iść jedno za drugim wąskimi schodami, ciągnęli i pchali z obu stron oporne cielsko prychającego i plwającego obficie Finna, któremu tego rodzaju wspinaczka nie była w smak ani trochę.

Po zdecydowanie zbyt długim czasie trudów i znoju ich oczom ukazał się szeroki placyk, którego przeciwległy kraniec wyznaczała wysoka, pionowa ściana, na której widniał ogromny, wyryty tutejszym alfabetem napis zwieńczony tym samym symbolem, który Alyn widziała niżej.

– Savapana – powiedział Dekfort i po raz kolejny otarł czoło chustą, którą w obecnym stanie można już było śmiało wyżymać. – „Sen". Wielu z tych, którzy przybywają tu po raz pierwszy, bierze to słowo za tutejszy zapis „Mahatry". Ale to starożytne miasto miało wiele nazw. I Savapana wcale nie była pierwszą.

– A gwiazda? – zapytała złodziejka.

– To astoret. Symbol Dalii, tutejszego bóstwa. Jedynego zresztą.

– Dalia... – szepnęła Alyn wpatrzona w misterny, a zarazem monumentalny owoc morderczego ludzkiego trudu.

Był czas, że to Saahii, miasto zbudowane na terenie wydartym pustyni, wiecznie spalone słońcem, a jednak będące domem dla kilkudziesięciu tysięcy ludzi, uważała za cud świata. Od czasu jednak gdy poznała Zakarego i jego przepastną, choć wybitnie nieuporządkowaną bibliotekę, nie była już swego osądu taka pewna. Niektóre księgi opisywały stare metropolie wykute w skale, ciągnące się pod ziemią i sięgające chmur. Mistyczne. Rozbudzające wyobraźnię. Baśniowe. I z każdą chwilą nabierała teraz przekonania, że Mahatra była jedną z nich.

– To tutaj? – zapytała Azalia, która od dłuższego czasu nie odzywała się, walcząc ukradkiem z płytkim oddechem.

Górskie powietrze wyraźnie jej nie służyło, co zresztą tym bardziej ułatwiało Alyn darzenie szacunkiem jej wytrwałości i poświęcenia.

– Na to wygląda... – odrzekła złodziejka i wskazała niewysokiego, uśmiechniętego Pahaada, który dziarskim krokiem zmierzał w ich stronę.

Gdy podszedł do Dekforta, obaj mężczyźni skłonili się sobie i wymienili po pahaadzku uprzejmości. A przynajmniej tak sobie to wyobraziła Alyn, która ni w ząb nie rozumiała słów, które padły w trakcie powitania. Tubylec następnie skłonił się zachowawczo obu kobietom i chwycił lejce osła, który jak dotknięty zaklęciem podążył w krok u jego boku. Obaj poprowadzili gości ku schowanemu w jednym z rogów placu budyneczku. Przyjezdnym mężczyzna wskazał główne drzwi, przez które, nie czekając zresztą na dalsze zaproszenia, wszedł Dekfort, a sam skręcił z Finnem za róg.

Wnętrze przybytku, które najwyraźniej robiło za gospodę, stanowiła niewielka salka, od której w głąb odchodził korytarz, a w górę schody. Nigdzie nie było widać niemniej ani ław, ani szynku, bo za taki niewielki stolik ustawiony przy wejściu zdecydowanie nie mógł robić. Poza tym było nienaturalnie wręcz czysto i schludnie, a dzięki szerokim oknom w środku panowała przyjemna, kojąca jasność.

Książęcy poseł poprosił o dwie izby, do których klucze natychmiast pojawiły się na blacie. W tym momencie, gdy zauważyła, że całkowicie naturalnie wyszło na to, że będzie dzielić pokój z Azalią, Alyn zebrała się, by zaprotestować, a przynajmniej grzecznie podziękować za uprzejmość. Zanim jednak zdążyła wydusić

z siebie więcej niż stłumione „ekscelencjo!”, uwagę wszystkich skupił na sobie wysoki, barczysty mężczyzna, który wszedł do środka i natychmiast zwrócił się do obecnych głębokim basem:

– W imieniu Oka Mahatry witam czcigodnych gości. Gospodyni oczekuje w Domu Herbat. Zapraszam – rzekł i po pauzie dodał: – całą trójkę.

Mający już się skłonić do ceremonialnego powitania Dekfort zawahał się i spojrzał na Azalię, która odpowiedziała mu tym samym.

– Coś nie tak? – szepnęła Alyn do kobiety, czując, jak wzrok przybysza ze szczególną uwagą omiata miejsce, w którym stała.

Z początku miała wrażenie, że konsternację obojga – podobnie jak jej samej – wywołał czysty rowański, którym posługiwał się nieznajomy. Ale to musiało być coś innego.

– Nie wiem – odpowiedziała Azalia w uprzejmym półuśmiechu. – To coś nowego. Do tej pory gospodyni udzielała... obowiązkowej audiencji tylko książęcemu posłańcowi. Ale to było dawno... Lata temu.

Dekfort odzyskał wreszcie rezon i ukłonił się z gracją, jaką można było osiągnąć wyłącznie po długoletniej nauce w książęcej akademii. Następnie skinął zapraszająco na kobiety i wyszedł za Pahaadem na słońce i wiatr. Azalia wzruszyła ramionami i podążyła za nim, a Alyn za nią.

Tym razem poszli wzdłuż wzniesienia, umiarkowanie szeroką alejką, wzdłuż której po prawej co chwilę wyrastały wtapiające się w strome zbocze budyneczki rzemieślników. Po lewej zaś sięgający kolan murek oddzielał przechodniów od urwiska. Gdy spojrzała w dół, złodziejka powiodła wzrokiem po głazach i obrastających je niewysokich krzewach, które kończyły się daleko w dole, aż pod główną bramą Mahatry.

Pachniało ługiem i rozwiewanym stałymi podmuchami szarym dymem z palenisk.

Droga nie była długa. Zanim się obejrzeli, na kolejnym wznoszącym się stromo odcinku przywitała ich rozległa kolonia wielobarwnych mieszkalnych chatynek, pomiędzy którymi rozwieszono misterną sieć sznurów i lin. Trudno było orzec, czy miała ona służyć bezpieczeństwu i wzmocnieniu stabilności konstrukcji, czy stanowić podstawę dla dekoracji, jaką stanowiły zwisające ze sznurów całymi girlandami wielobarwne płachty, szmaty, szmatki i szarfy. Wszystko tańczyło beztrosko na wietrze, sprawiało wrażenie ogromnego, poruszającego się mrowiska.

Na niewielkim placu, który wieńczył szlak ponad kolonią, życia było dla odmiany niewiele. Tuż za nim wyrastał kolejny mur, tym razem prawdziwy, kamienny, broniący dostępu do czegoś, co nosiło znamiona pałacyku. Ale zamiast do bramy Pahaad poprowadził podróżników ku drzwiom przyklejonej do ściany wąskiej, dwupiętrowej chatynki. Izba, która ukazała się ich oczom po przekroczeniu progu pilnowanego przez skrzypiące drzwi, nie była nawet w połowie tak przytulna, jak ta w gospodzie, w której zastał ich ten, który ich tu przyprowadził. Wewnątrz było ciemno, ciasno i pachniało starym drewnem.

– Oko Mahatry teraz przyjmie posła Książęcego Tronu Rowan – zadudnił ich przewodnik i przytrzymał drzwi Dekfortowi.

Gdy obaj mężczyźni weszli do środka, przez chwilę w przedsionku panowała niespokojna cisza. Potem zza ściany rozbrzmiały stłumione odgłosy rozmowy.

Alyn złowiła spojrzenie Azalii, która już od pewnego czasu taksowała ją uważnie. Zmrużyła oczy, zastanawiając się, czy to odpowiedni moment... Czy kiedykolwiek był odpowiedni moment na to, co chciała jej

powiedzieć. Wyglądało na to, że pomocniczka Dekforta wręcz tego oczekuje. Ale sama nie zamierzała się odzywać. Złodziejka poprawiła się więc na niewygodnej ławce i skinęła na drzwi gabinetu.

– Kim jest Oko Mahatry? – zapytała. Na poły by rozładować napięcie, na poły z autentycznego zaciekawienia.

Azalia jakby się rozluźniła.

– Tutejsza znachorka. Szamanka. Wiedząca.

– Tamten wysoki nazwał ją „gospodynią". Ona tu rządzi?

– Ponoć doradza władzy siedzącej w tym pałacu za murem. Nikt inny nie przyjmuje zresztą poselstw. Tylko ona. Tak mówił Dek... jego ekscelencja.

– A mówił czy i ona posługuje się rowańskim?

Kobieta na powrót spięła się.

– Tak, to u nich... nie wiem, punkt honoru. Grozi ci tu niebezpieczeństwo.

Azalia nawet na jotę nie zmieniła tonu głosu, wypowiadając oba zdania. Zmieniło się tylko jej spojrzenie.

Alyn postanowiła zagrać w jej grę.

– Masz na myśli siebie – oznajmiła.

– Czyli rozumiesz. Cieszę się.

Rozumiała. Tyle że w rzeczywistości sytuacja wyglądała zupełnie na odwrót. To Azalii groziło niebezpieczeństwo ze strony Alyn. Przez to, co wiedziała i co mogła powiedzieć, a nawet pokazać Dekfortowi, gdyby przetrzepała bagaż jego pomocnicy. Że było tam dużo więcej niż prowiant, kilka narzędzi i garstka monet na podróż – podkradanych tu i tam podczas wielomiesięcznej wyprawy. Rowańczyk był bystry jak na swój wiek, ale tyle lat, ile on służył na dworze, tyle ona spędziła we własnym złodziejskim fachu. Jej dłonie, jej szybkość, precyzja ruchów, zaskakująca siła – już pierwszego dnia wspólnej wędrówki Alyn uznała, że mogłaby, a w zasadzie chciałaby się od kobiety uczyć.

I kto wie, w innych okolicznościach, w innym życiu...

Ale teraz, przez obecność drugiej złodziejki, przez to, co ruda Rowanka była w stanie dostrzec, wszystko było zagrożone. To, co Azalia budowała przez tyle czasu, to, co zdołała wziąć dla siebie, drobiazgi, które mogła potem sprzedać czy przetopić – dla siebie, czy dla rodziny, czy dla samej świadomości dokonania czegoś zuchwałego.

Bo akurat na drugim końcu świata, na środku przepastnej pustyni, musiała trafić na szukającą przygód smarkulę, która z miejsca przejrzała ją na wylot.

Na jej miejscu, pomyślała Alyn, też nie spałabym spokojnie.

Nie było sposobu na to, by przekonać Azalię do tego, że jej nie zagrażała. Ba, sama nie była pewna, czy to prawda – w końcu to Dekfort jej zaufał i zaproponował pomoc w chwili, gdy tego najbardziej potrzebowała. To jemu zawdzięczała to, że nie leżała teraz gdzieś pod skałą, umierając w straszliwych męczarniach z głodu, pragnienia i bólu, jaki bez wątpienia zadałaby jej Gadira z resztą rodzinki.

– Nic mu nie powiem – rzekła Alyn, gdy otrząsnęła się z zamyślenia. – Nie z uwagi na ciebie czy twoje groźby, Azalio. Po prostu wierzę, że więcej mu dajesz, niż zabierasz. Wierzę... choć myliłam się już co do

bliższych mi osób.

Azalia otworzyła usta i w tym momencie otwarły się drzwi, z których, szeroko uśmiechając się, wyszedł Dekfort. Za nim w progu ponownie stanął wysoki Pahaad.

– Zapraszamy, pani Azalio – powiedział i gestem wskazał kobiecie wnętrze gabinetu.

Kobieta posłała Alyn spojrzenie, które mogło znaczyć wiele, tylko nie zapewnienie o tym, że między nimi wszystko było w porządku. Moment później wstała, podziękowała mężczyźnie lekkim ukłonem i weszła do środka.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Dekfort uśmiechnął się do Alyn.

– Zostaniemy tu na dwa, trzy dni – powiedział. – Jeżeli tego nie wyraziłem jasno, jesteś mile widziana w dalszej części mojej podróży, do Sebhel. My, Rowańczycy, musimy się trzymać razem, haha! Będę czekał na was obie w naszej gospodzie. Ufam, że zapamiętałaś drogę.

Zanim Alyn znalazła słowa, którymi chciała się zapytać o to, czego może chcieć od niej Oko Mahatry, Dekfort wyszedł, a przedsionek drewnianej chatki na powrót ogarnęła niespokojna cisza. Chwilę potem na powrót rozbrzmiał w nim stłumiony odgłos rozmowy.

*

Pierwszym, co zarejestrowała, gdy weszła do środka, było to, że w gabinecie Oka Mahatry unosił się delikatny, kojący zapach ziół. Drugim – że sądząc z ilości porozkładanych na i tak ciasnej przestrzeni papierzysk i ksiąg, pokój powinien był pachnieć jak zatęchła piwnica Zakarego.

Wszystko to natychmiast przestało mieć znaczenie, gdy zza masywnego biurka wystrzeliła ku niej niewysoka, siwa kobieta o pomarszczonej twarzy. Podeszła do Alyn z szerokim uśmiechem i energicznie poklepała ją obiema rękami po ramionach. Miała poplamione dłonie.

– Oto i nasza pustynna znajda – rzekła i obejrzała Rowankę od stóp do głów. Następnie wskazała ustawione przed biurkiem krzesło. – Zachodź, dziecko. Siadaj.

Alyn zaklęła w myślach. Mogła się spodziewać, że skoro wysłannik posługiwał się znakomicie rowańskim, to zapewne jego przełożona również. Ale czysta, dworska melodia jej ojczystego języka, która popłynęła z ust staruszki, wywołała w dziewczynie całkowite zaskoczenie.

Starając się z całych sił je ukryć, złodziejka spełniła życzenie gospodyni. Usiadła i wbiła wzrok w ścianę na wprost przed nią. Wisiał tam szeroki niemal na całe pomieszczenie drzeworyt przedstawiający łańcuch gór. W jego centrum, otoczona majestatycznymi szczytami, znajdowała się malownicza dolina. Autor dzieła w niebywały sposób, przy pomocy setek detali, oddał jej obraz i choć całość odbita była na desce jedną barwą, to miejsce – pełne roślin i niezwykłego ciepła – wydawało się... żyć.

Moment później tuż pod nim pojawiła się głowa staruszki.

– Ho, ho, hi – zaśpiewała kobieta, zatarła dłonie i ponownie utkwiła wzrok w gościu. – Pani będzie niebywale rada cię poznać.

Złodziejka poprawiła się na siedzeniu. W ostatniej chwili powstrzymała się przed podrapaniem się w swędzący półdupek. Zamiast tego odchrząknęła.

– „Pani”?

– Och, nie udawaj takiej niedomyślnej. Wiesz kto. Widziałaś jej symbole w całym mieście, czyż nie?

– Wasza, hm, ekscelencjo...

– Na imię mam Durga, droga Alyn. I niechże tak między nami zostanie. Zgoda?

– Durgo... – Złodziejka wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze z płuc. – To jednak jakieś nieporozumienie. Spotkałam jego ekscelencję zupełnym przypadkiem. Jestem człowiekiem w podróży. Po prostu.

To była przecież prawda. I to najprostsza ze wszystkich. Dlaczego więc czuła właśnie falę gorąca? Dlaczego znów wracał ten ból?

Siedząca naprzeciwko niej kobieta poruszyła ustami i zmrużyła oczy. Skinęła na mężczyznę, który cały czas towarzyszył im – bezgłośnie i niemal bez ruchu – przy drzwiach wejściowych.

– Zostaw nas, Bakkusie – powiedziała.

I na chwilę świat zamarł.

Alyn nie usłyszała, kiedy Pahaad spełnił polecenie. Gdy tylko zrozumiała słowo, jakim Durga nazwała swego odźwiernego, w jej uszach rozległ się przenikliwy pisk, a oczy zaszły jej mgłą. Zalała ją fala bólu, którego rodzaj – tępy, rozlewający się promieniście od serca do koniuszków palców – jednoznacznie kojarzył się złodziejce z chorobą niebieskiej krwi.

Chwilę zajęło, nim doszła do siebie. Chwilę, którą staruszka cierpliwie wyczekała w milczeniu. A gdy wreszcie światło nagiego, górskiego słońca na powrót wlało się do gabinetu, dziewczyna zauważyła, że wyraz twarzy jej rozmówczyni drastycznie się zmienił. Nie było w niej już ciepłego uśmiechu. Durga patrzyła na nią przenikliwie i surowo. Ale nie wrogo.

– Kim jesteś? – zapytała Alyn najspokojniej, jak umiała. W tej chwili oznaczało to łamiącą się chrypę.

Oko Mahatry nie odpowiedziała od razu. Westchnęła i odchyliła się na siedzisku. Obróciła się częściowo w stronę górującego nad jej drobnym ciałem drzeworytu.

– Wiesz, co to jest? – zapytała.

Złodziejka pokręciła głową.

– To Makalu – rzekła staruszka. – Święta dolina Pahaadu. Największa tajemnica Bhalu Devi.

Gdy zorientowała się, że Durga czeka na jej reakcję, Alyn najuprzejmiej, jak umiała, wzruszyła ramionami.

– Nie znam się na geografii Pahaadu.

Durga na powrót odwróciła się w jej stronę.

– Och, nie trzeba znać się na geografii, by umieć wypatrzyć konkretne szczyty górskiego pasma na horyzoncie, moja droga. Doskonale widocznego z, dajmy na to, wzniesienia na środku Pustyni Nomadów. Wzniesienia, na którym kilkupokoleniowym wysiłkiem postawiono klasztor, świątynię naszej Pani.

– Vihar Arapi? – rzuciła złodziejka.

Ta rozmowa szybko zabrnęła w miejsca, w których Alyn nie spodziewała się znaleźć. Na pewno nie tu i teraz.

– Pytasz, kim jestem – powiedziała Durga. Na jej twarzy nie malował się ani cień emocji i to, uznała złodziejka, było chyba najbardziej niepokojącym szczegółem całej tej niepojętej sytuacji. – Jestem po to, by

wskazać ci drogę do miejsca, do którego i tak już zmierzasz. Zmierzałaś do niego przez całe życie.

Stara kobieta spojrzała na rudą dziewczynę spod brwi i uśmiechnęła się samymi ustami. Alyn aż wzdrygnęła się na ten widok.

– Dekfort? Azalia? – kontynuowała Durga. – Przyszli i pójdą. Dwie krople w rzece gości Pahaadu i Mahatry. Ale ty, Alyn, ty nie jesteś kroplą. Jesteś siłą, która zawraca tej rzeki bieg. Powiedz, że nigdy nie przyszło ci to do głowy.

Jedynym, co czuła w swej głowie, była w tej chwili pustka. I ból, który zaczął już pulsować w jej skroni.

Musiała wyrwać się z jego szponów.

– Bakkus – powiedziała najspokojniej, jak umiała, i trzęsącą się dłonią wskazała drzwi. – Spotkałam Bakkusa. To nie jest on. Kim jest ten człowiek?!

Durga nie odpowiedziała. Zamiast tego niespiesznie sięgnęła i uniosła zza biurka imbryk, po czym napełniła jedną ze stojących na blacie, niewielkich czarek parującą cieczą. Następnie wzięła ją w dłonie i postawiła przed Alyn. Złodziejka zrozumiała, że to stąd właśnie rozchodził się po pomieszczeniu zapach ziół.

– Napij się – rzekła staruszka, a na jej twarzy ponownie zagościł szczery uśmiech babci goszczącej ukochaną wnuczkę. – Mój specyfik nie zastąpi tego, co tak hołubisz pod rękawicą, ale pomoże. A potrzebuję, byś poświęciła mi teraz pełnię swojej uwagi.

Trzeba było całego instynktu samozachowawczego Alyn, żeby nie chlusnęła sobie zawartością naczynia prosto do gardła, byle tylko ugasić pożar, który trawił ją od środka już w całości. Upiła dwa łyki.

– Jak mogę zawracać jakie-kurwa-kolwiek rzeki, jeżeli w żaden sposób nie jestem w stanie zapanować nad tym, co się ze mną dzieje?! – usłyszała gdzieś z głębi swój własny głos. Głos, który bardzo dobrze znała i którego potrzebowała w tej chwili jak najwięcej.

Nie była pewna, czy wypowiedziała to głośno i czy właśnie złamała kilka dziesiątek dyplomatycznych protokołów. Ale z drugiej strony przy Durdze żadne protokoły wydawały się nie mieć znaczenia.

W następnej chwili cały ból ustąpił, jakby go nigdy nie było. Oko Mahatry musiała zauważyć zmianę wyrazu jej twarzy, bo uśmiechnęła się na moment. Następnie wstała i minąwszy dziewczynę, podeszła do drzwi gabinetu. Otworzyła je.

– Przejdź się ze mną – powiedziała i wyszła na zewnątrz.

Parząc sobie język, Alyn dopiła jednym haustem resztę naparu i ruszyła za gospodynią.

Znalazła ją na wciąż przejmująco pustym placu, stała przed bramą pałacu. Trzymała dłoń na jej masywnym, okutym żelazem skrzydle z ciemnobrązowego drewna. Wyglądała jak bezbronna istotka postawiona w obliczu niewyobrażalnego ogromu przeciwieństw. Ona też, zdawał się mówić ten obraz, nie była w stanie kontrolować wszystkiego, co się działo wokół niej. Tego nie potrafił nikt.

Gdy złodziejka zbliżyła się do staruszki na wyciągnięcie ręki, Durga naparła swą małą, pomarszczoną dłonią na wrota, które powoli i bezgłośnie, z największym szacunkiem, uchyliły się, ukazując skryty za nimi dziedziniec.

Zaproszona gestem Alyn weszła pierwsza. Oko Mahatry podążyła w krok za nią. Pozostawiła wrota otwartymi. Z przodu, wspinając się po nieregularnych skałach odcinkami prostych ścian, swoje skrzydła rozpostarł przed nimi niewielki drewniany pałac. Ze swoimi wtapiającymi się w pionowe ściany góry basztami i

ostrymi, spadzistymi dachami wyglądał jak potężna żywa istota, ptasia bestia, która zastygła niegdyś na zboczu po długim locie. Złodziejka nie widziała w życiu niczego podobnego.

– Makalu znajduje się na północ stąd, po tej stronie łańcucha – powiedziała w końcu Durga, przełamując ciszę. Wzrokiem uważnie omiatała budowlę z góry na dół. – Wiedzie do niej szlak zwany Lodomorzem. To tylko nazwa, nie ma na nim ani lodu, ani – rzecz jasna – morza. Piechotą będzie tydzień. W twoim szczególnym przypadku... pięć dni.

Kiedy usłyszała, że staruszka odnosi się bezpośrednio do niej, złodziejka odwróciła wreszcie wzrok od budowli. Obejrzała się za siebie na uchylone wrota, by upewnić się, że do tego najwyraźniej świętego miejsca, do którego została dopuszczona, nie wkradnie się nikt niepowołany. Po ich drugiej stronie dojrzała sylwetkę mężczyzny, który ją tu przyprowadził. Bakkusa.

Poza tym okolica była pusta. Nikt nie krzątał się po dziedzińcu. Czarne oczy okien budowli patrzyły pusto w dal.

– Skup się, proszę. – Durga złowiła jej wzrok. – U stóp świętej góry stoi czaranga Hurruk. Mniejsza od Mahatry, dziksza, ale dla wprawionego oka co najmniej równie piękna. Tam też są ci, których szukasz.

– Toryn i Kai – szepnęła Alyn. Spróbowała przywołać wygląd ich twarzy. Ku swemu zdziwieniu uznała, że nie było to wcale łatwe.

– Tak, właśnie tak – rzekła kobieta. – Odnajdziesz ich, ale nie będą mieli dla ciebie odpowiedzi. Szukasz ich, ale wypatrujesz czegoś innego. Czegoś, czego nie znajdziesz w Hurruk, tylko w...

– ...Makalu? – Alyn uniosła głowę. – Mylisz się. Czegokolwiek ode mnie chcesz, jedyne, czego pragnę, to odnaleźć Toryna i Kai. Skoro tak dużo o mnie wiesz, powinno to być dla ciebie jasne, Durgo.

Staruszka nie odpowiedziała. Otworzyła drzwi prowadzące do wnętrza baszty i zniknęła w czarnej czeluści jej wnętrza.

Złodziejka podążyła za nią. W czerń, z której natychmiast po przekroczeniu progu wyłowiła zarysy prostych mebli i początku wędrującej w górę spirali schodów. Spojrzała ponad siebie i ze zdumieniem odnalazła wzrokiem cień staruszki. Był wysoko, niemal przy szczycie wieży, który jarzył się jaskrawym światłem wpadającym do środka przez wyjście na szczyt.

– Jak ona to robi? – mruknęła Alyn i ruszyła za Durgą.

Gdy dotarła na górę, od wysiłku szumiało jej w uszach, ale kilka haustów chłodnego powietrza na moment uspokoiło jej kołatające serce. Zaraz potem jednak na powrót poczuła dudnienie w piersi, gdy zwróciła uwagę na widok, który roztaczał się w dole.

Durga nie patrzyła na łagodnie opadające zbocze i zabudowania Mahatry, które kłaniały się horyzontowi. Stała tyłem do Rowanki, zwrócona ku bramie. Gdy Alyn podążyła za jej wzrokiem, dostrzegła w dole sylwetkę Pahaada, który wciąż pilnował wejścia.

– Bakkus, ten prawdziwy, został tam, skąd przyszłaś – powiedziała staruszka. W jej głosie złodziejka odnalazła nutę melancholii. – Tamto miejsce jest dla niego jak więzienie. Nigdy nie był w stanie się z niego wydostać. I nigdy nie będzie. Nie bez pomocy Pani.

Złodziejka podeszła do kobiety.

– I znów wracamy do twojej Pani.

– Och, mojej, owszem. Ale twojej też.

– To Dalia – stwierdziła złodziejka nagle, gdy przypomniała sobie wreszcie imię, które obijało się o wnętrze jej głowy przez całą wędrówkę. – Nie mylę się, prawda? Bo w takim razie nigdy nie składałam jej przysięgi wierności. Nawet jeśli jest kolejną boginią.

Durga nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się za to życzliwie i wzięła w dłonie prawą rękę Alyn. Przesunęła palcami po skórze rękawicy zakrywającej poparzenia.

– Alyn, znacie się z nią lepiej, niż ci się wydaje – powiedziała Oko Mahatry. – Ale dopiero tu, w jej prawdziwym domu, jest ona w stanie dać ci wszystko to, czego pragniesz. Wszystko, na co zasługujesz.

W pierwszym odruchu złodziejka chciała cofnąć dłoń, ale powstrzymała się. Powiedziała tylko zimno:

– Sama znajdę Toryna i Kai.

– Ależ nikt chyba w to nie wątpi. Ale czy odzyskasz pełnię władzy w swej ręce? Czy wyleczysz się z tej perfidnej, trawiącej twoje ciało choroby? Czy kiedykolwiek odrzucisz swe szkła i spojrzysz na świat samodzielnie?

– Ja...

– Pani to wszystko może. Potrafi spełnić twoje marzenia, położyć kres twoim utrapieniom. Och, więcej, chce to zrobić. Chce cię poznać.

Tym razem Alyn nie odpowiedziała. Przez chwilę obie stały naprzeciw siebie w milczeniu. W końcu Durga puściła rękę dziewczyny. I ruszyła z powrotem w kierunku schodów.

– Namyśl się – rzuciła przez ramię. – Pozostawiam całe to miejsce do twojej dyspozycji. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Gdzie jest haczyk, Durgo? Gdzieś jest, prawda?

Staruszka zatrzymała się i odwróciła się powoli, po czym uśmiechnęła się tak, że Alyn natychmiast pożałowała swych pytań.

– Och, naprawdę drobiazg – powiedziała Oko Mahatry. – Aby móc spotkać się z Panią, musiałabyś tylko dokonać najzuchwalszej z kradzieży.

*

Nie wiedziała, kiedy ponownie znalazła się wśród morza tańczących na wietrze ubrań i szarf rozwieszonych pomiędzy ledwo – wydawało się – trzymającymi się zbocza chatynkami. Jej nogi, które paliły już od schodzenia po stromiźnie, same ją tu przywiodły. Najwyraźniej nie miały ochoty dłużej przebywać w pałacyku, nawet jeśli był on oficjalnie oddany do jej dyspozycji.

I Alyn uznała, że dobrze je rozumie.

Gdy znalazła jedyną w miarę poziomą w okolicy powierzchnię wbitego do połowy w ziemi głazu, złodziejka przysiadła na nim i rozmasowała łydki. Kręciło się jej w głowie.

Durga. Bakkus. Dalia.

Azalia i Dekfort.

Gadira i reszta jej zgrai.

Kto jeszcze? Kto jeszcze czekał na nią na drodze? Kogo jeszcze straci?

– Żółwiu... – szepnęła. – Jesteś tu?

Odpowiedziała jej charakterystyczna dla Mahatry cisza. Cisza, która mówiła długo, szeptała jej do ucha wiatrem niewypowiedziane słowa. Aż wreszcie gdzieś za plecami złodziejki coś szczęknęło. A może się przesłyszała.

Alyn uniosła głowę, ale nie odwróciła się. Żółw został na Kaim, ale przecież wciąż był z nią. Nigdy nie pozbyła się wrażenia, że cały czas podąża w krok za nią. Że przygląda się i ocenia działaniom i wyborom. Było tak na pokładzie statku Szalonej Margo podczas powrotnego rejsu i w Saahii, gdy szukała informacji o Zakarym i Rainie, dziewczynie, która przeżyła piekło na „Boskim Wietrze" wiele lat wcześniej. Przypominał o sobie w snach. W Vihar Arapi. W Imoren. W Al-Arak.

– Tęsknię za tobą, Argusie – powiedziała, obserwując, jak cień zachodzącego za jej plecami słońca ogarnia całe zbocze i wędruje w dół. Jak pożera stopniowo całe miasto, pogrąża je w półmroku i jeszcze większej ciszy. – Wiesz dlaczego? Bo nie jest mi głupio, gdy z tobą rozmawiam, kiedy cię nie ma. Bo nie czuję wtedy, że tracę rozum. A z nim łatwiej przejść do porządku dziennego z tym, co straciłam naprawdę. Kogo straciłam. Żółwiu? Polubiłbyś Zakarego. A Fel... – Alyn uśmiechnęła się smutno. – Musiałbyś ją poznać.

*

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy Fel przekroczyła szczyt wydmy. Po raz pierwszy od dawna oaza Al-Arak zniknęła z jej oczu. Zbudowana wokół niebieskiego jeziorka pustynna wieś została za jej plecami, nieustępliwie trwając w swej kotlince po drugiej stronie potężnej hałdy piachu. Nie obejrzała się ani razu. Szła przed siebie z werwą, cieszyła się świeżo odnalezioną sprężystością kroku. Gdzieś z przodu, za horyzontem, czekała wolność. Nowe życie.

Nie powiedziała o swej decyzji nikomu, ale nawet gdyby to zrobiła, nie miałoby to znaczenia. Reynauld, musiała mu to oddać, nigdy nie zabronił jej szukać swojej drogi na własną rękę. Bywały momenty, zwłaszcza w pierwszych kilku dniach po odejściu Gaela, że ją wręcz podjudzał.

– Ależ idź za nim – mówił, uśmiechając się wrednie. – Droga wolna.

Oboje wiedzieli, że samotna podróż po Pustyni Nomadów bez zapasów, bez doświadczenia i orientacji, była samobójstwem. Nawet jeśli ona sama zdołała już przetrwać wędrówkę z Vihar Arapi do Imoren, nawet jeśli towarzyszyła Alyn i reszcie w podróży z Imoren do Al-Arak, było dla niej jasne, że to, co zrobił Gael, było aktem ostatecznym. Albo wiary w to, że uda mu się odnaleźć i uwolnić z rąk Taidańczyków ostatnią z członkiń Valangi, Jeanine, albo desperacji – próbą popełnienia honorowego samobójstwa. Nie powiedział nikomu o swoich planach. Być może nie potrafił wytrzymać upokorzenia, jakie na niego spadło z rąk Taidańczyka, agresora jego ojczyzny. Że po prostu pewnego dnia, doprowadzony do ostateczności, pogrążony w żalu, chcąc wrócić do Imoren lub umrzeć po drodze, wstał i odszedł.

Pamiętała, że to były dni, w których jeszcze była gdzieś tam w swoim ciele. Kiedy jeszcze czuła. I kiedy dowiedziała się o tym, co się stało, wstrząsnęło to nią z ogromną siłą. Wszystko – żal, smutek i zdrada człowieka, którego chciała nazywać przyjacielem. Jeżeli nie kimś więcej.

Potem nie potrafiła nawet w sobie wykrzesać pogardy dla samej siebie za to, że nie pobiegła wtedy jego śladem, choć jeszcze był na to czas, choć wiatr nie zamiótł jeszcze jego tropów.

Stchórzyła.

Kilka dni później u progu jej nowego domu, po raz pierwszy od dawna, wylądowała Ifiko. Cicho, nie wydawszy z siebie głośniejszego dźwięku niż drapania pazurkami o kamień, usiadła na stopniu i upuściła na ziemię znaleziony gdzieś na przepastnej połaci Pustyni Nomadów przedmiot. Poczekała, aż Fel wyjdzie do niej i podniesie swój prezent, po czym odskoczyła i odfrunęła z furkotem swych wielobarwnych skrzydeł. Długo patrzyła spod nieba, jak jej pani, płacząc cicho, ściska w dłoniach bransoletę z plecionego rzemienia spiętego lichą metalową sprzączką. Bransoletę Gaela.

Teraz zagłębiała się w postępujący półmrok zmierzchu. Nie czuła strachu. Miała przyspieszony puls, płytki oddech. Obserwowała się z zewnątrz, jak okutana w skradzioną któremuś tubylcowi w biały dzień dżalabiję brnęła przed siebie, międląc palcami dwa kamienie. Ich chrobot oraz szelest ugniatanego pod jej stopami piasku były jedynymi dźwiękami, które towarzyszyły jej u zarania jej wyprawy. I była zdeterminowana doprowadzić ją do końca – w ten czy inny sposób.

Dla Gaela.

– Wal się, Reynauld – powiedziała do swych stóp i parsknęła śmiechem, gdy pod jej nogami wyrosło strome zbocze kolejnej wydmy. – Wal się, Ikke.

Walcie się wszyscy.

Przystanęła, gdy wśród widm ludzi, do których czuła żal lub wręcz odrazę, ujrzała oblicze swojego ojca. Jeszcze uśmiechnięte tym swoim surowym grymasem, jeszcze zanim zastygło na zawsze w wyrazie zaskoczenia. Przerażenia.

– Felicia Silvestri – przeliterowała samymi ustami, po czym splunęła na piasek.

Nie potrzebowała tej kropli wody, tak jak nie potrzebowała go jako ojca. Przez całe swoje dzieciństwo miała go w końcu w kimś innym. Tamto truchło, które zostało głęboko pod ziemią, w nieboskiej jaskini, wśród trupów takich samych kobiet, było jej obce jak odległy chłód szczytów Bhalu Devi.

Podjęła marsz. Szła jeszcze szybciej niż przed momentem, ale jej krok stracił lekkość, z jaką wyruszyła ze swej dziury w ziemi, którą tylko zamieszkujące na końcu świata półdzikusy mogły nazywać domem. Dopiero teraz po raz pierwszy zadała sobie pytanie, które powinna była zadać już wiele tygodni temu.

Co zrobiłby Madżid?

Co zrobiłby ten, który nauczył ją wszystkiego, co umiała, ten, co był dla niej przez lata równie surowy, co czuły i szczodry. Żołnierz, zabójca, najemnik.

Nie zatrzymując się, machinalnie sprawdziła zapasy, które obijały się o jej biodro w zarzuconej na ramię torbie i od razu poprawiła wiązanie szarfy. Woda, najcięższa z tego, co było w środku, natychmiast przestała chlupotać. O dwa pękate bukłaki delikatnie obijały się torebki kaszy i suszonych liści. Na wierzchu, niczym korona na głowie monarchy, spoczywał okrągły placek, którego kruche ciasto w każdej chwili skłonne było rozpęknąć się z trzaskiem na setki kawałków.

Pomyślała o tubylczej rodzinie z naprzeciwka. O domu, wokół którego wiecznie roztaczał się aromat świeżo pieczonego chleba. I o pomarszczonej kobiecie, pustynnej matce trojga rozwrzeszczanych i roześmianych dzieciaków. Nawet nie zadała sobie trudu, by zapytać ją o jej imię, nim wyruszyła na zawsze z oazy. Nie miała ambicji ich zapamiętać, miała poczucie, że byłby to jakiś gest. Nawet nie dobry czy ciepły. Ale chociaż

jakiś.

Nie zauważyła, kiedy wdrapała się na szczyt kolejnej wydmy. Stąd nie było już widać oazy. Gdyby nie wiedziała, w którą stronę patrzeć, nawet nie zdałaby sobie sprawy z tego, że na rozfalowanym oceanie piachu, który roztaczał się wszędzie po sam horyzont, tuż obok, znajduje się ukryta życiodajna wyspa.

Ponownie zatrzymała się i w następnym momencie z przerażeniem stwierdziła, że nie jest w stanie zrobić kolejnego kroku. Stała jak wryty w ziemię słup, nie mogąc ruszyć w dół, dalej w chłód nadchodzącej pustynnej nocy. Dalej w nieznane.

Co zrobiłby Madżid?

Na pewno nie to.

Jakkolwiek przemyślany wydawał się jej plan, miał on nie więcej niż jedną dobę. Zrobiła to, za co zawsze karał ją najsurowiej, najpierw ruszyła do działania, a dopiero potem udała przed sobą, że czemukolwiek z tego wszystkiego poświęciła chwilę zastanowienia.

– Nad czym się tu zastanawiać, Madżid? – usłyszała głos, który rozległ się tuż za jej głową z przeciągłym westchnieniem. Jej dłoń znów machinalnie sięgnęła po znajomy, kojący owal kamieni. – Tam, przede mną, jest południowy wschód. Wszystko jedno, dokąd pójdę. Na jednym końcu znajdę Imoren, na drugim morze. A po drodze... może po drodze odnajdę jego ciało. To łatwe. To łatwe!

To było łatwe. Zrobić jeden krok przed siebie. Tylko jeden, maleńki kroczek.

Ale nie mogła. Klęła i warczała. Wyła jak kojot. Ale stała w miejscu. Trwała tak, aż słońce nadziało się na wydmy na zachodzie i rozpłynęło w nich. Aż oddało pole czarnej, gwieździstej nocy, która nadeszła tak szybko, jak tylko potrafił to zrobić pustynny zmrok. Wtedy wreszcie Fel odwróciła się w stronę, z której przyszła, i powoli, na drżących nogach, zsunęła się po piasku aż do stóp wydmy.

Gdzieś w głębi wiedziała, że najprawdopodobniej właśnie uratowała sobie sama życie. Że powinna była czuć ulgę.

Ale nie mogła się pozbyć z ust gorzkiego posmaku porażki.

CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rzeczą człowieka jest walczyć,
a rzeczą nieba – dać zwycięstwo.
– Homer

Potężny wykidajło z brodą skręconą w warkocz usunął się wreszcie i Toryn wpłynął do tawerny niesiony tłumem podobnych mu, zmarzniętych, spragnionych i śmierdzących ludzi. Chłód tłumił na szczęście co silniejsze wyziewy spod dawno niepranych i zmienianych derek i pledów. Jego własny zapach – nowy, z silną dominantą zwierzęcą, jaką zapewniało narzucone na jego ramiona obfite, kudłate futro – jeszcze nie zdążył mu zbrzydnąć. Ale wewnątrz sali, rozedrganej od dziesiątek ciał i odbijających się od szkieł ogników lamp, nie było gdzie uciec przed atrybutami lokalnego folkloru.

Było głośno, gwarliwie i bardzo, bardzo swojsko.

Gdy wyswobodził się spomiędzy masy splątanych członków, Rowańczyk przystanął z boku, otrzepał się i odetchnął.

Kiedy otrzymał przyzwalające skinienie Dziadygi i wreszcie przekroczył bramę Hurruk, uderzyła go pustka na jej uliczkach. Chaty mieszkalne, niekoniecznie ładne, ale zdecydowanie solidne, dobrze uszczelnione, prężyły się przed nim w kilku rzędach, ale w rzadko której dało się zauważyć przez okno jakiś ruch czy chociaż światło paleniska. Na pierwszy rzut oka czaranga była martwa albo dogorywała po jakimś tragicznym w skutkach kataklizmie. Zląkł się wówczas i już zaczął w myślach wyliczać wszelkie znane mu choroby, które mogły strawić tutejszą ludność. To zaś natychmiast sprawiło, że serce zaczęło mu walić na myśl o zdrowiu Kai. I wtedy, nagle, natrafił na odpowiedź. A wraz z nią na mnóstwo, mnóstwo ludzi.

Buzowali oni niczym pszczoły na rynku, który rozpościerał się od ściany do ściany na centralnym placu Hurruk. Oczywiście rozmiarami daleko mu było do targu w Saahii. Ale już kotłująca się jego alejkami gęstwina Pahaadów, Pahaadek, Pahaadziątek oraz zaskakująco dużej liczby przeróżnie odzianych obcokrajowców przywodziła na myśl miejsce, w którym po przybyciu do Zakkanu szlifował swoje umiejętności kieszonkowca. Kramy z lokalnymi i obcymi dobrami – skórami, futrami, narzędziami, odzieżą, biżuterią, owocami, rybami, mięsem, przyprawami – upakowane były tak ciasno, że dostawienie choćby jednego z którejkolwiek strony groziło zatkaniem labiryntu przejść pomiędzy nimi i sparaliżowaniem całego interesu na dobre. I w przeciwieństwie do swego saahijskiego odpowiednika niemal cały schowany był pod zadaszeniem z luźnych, podtrzymywanych przez wysokie pale płacht materiału. Z wielu z nich wprost na dół ciurkała woda ze śniegu, który topniał od ciepła rozgrzanych kóz i stłoczonych ciał. Nikt nie wydawał się tym specjalnie przejmować.

Toryn wtopił się wyuczonym krokiem pomiędzy kupców, tragarzy i resztę ciżby. Przycisnął mocniej do ciała torbę, w której na odpowiednią sytuację – lub okazję na dobry zysk – czekało złożone w kostkę, zdobione

sanghati, które otrzymał od mnichów w Świątyni Beduinów. Ludzki nurt poprowadził go obrzeżami targowiska, dając kilka doskonałych okazji na przypomnienie sobie podstaw swego złodziejskiego fachu. Skorzystał zaledwie z kilku z nich. Szybkim ruchem podebrał tu i tam kilka srebrnych monet, i tylko dopiero wówczas, gdy na końcu swej drogi dojrzał drzwi prowadzące do wnętrza przytulonego do rynku, dwupiętrowego budynku tawerny. Nikt niczego nie zauważył, ale i nikomu, uznał, nie powinno było być tej marnej ilości gotówki specjalnie żal. A on miał przynajmniej czym zapłacić za tutejsze płynne specjały. Taki był przynajmniej plan.

A gdy już wyczekał swoje w kolejce i dostał się wreszcie do środka, życie jak zwykle zweryfikowało ów plan po swojemu. Zdążył bowiem wykonać dwa kroki w kierunku szerokiego szynku w kształcie litery „L", gdy ktoś klepnął go potężnie w plecy i tuż nad jego uchem gromkim, zachrypniętym głosem wykrzyknął:

– Ha! *Sjørrpok!*

Toryn w zaskoczeniu uniósł głowę, ale zanim zdążył się odwrócić, głos powtórzył:

– *Sjørrpok!*

Gwar wokół jakby przycichł na moment. A potem połowa gości tawerny odpowiedziała chórem:

– *Sjørr-pok!*

Gdy złodziej obejrzał się wreszcie, dostrzegł postawnego, brodatego mężczyznę, który z szerokim, żółtym uśmiechem wskazywał go dłonią. W pierwszej chwili Toryn pomyślał, że oto właśnie znów stanął naprzeciw owego zwinnego Pahaada, który zagrodził mu drogę podczas Agonii. Cofnął się o krok, gotowy dać mu tym razem w pysk lub wiać. Szybko spostrzegł jednak, że był to ktoś inny. Widział go tuż przed rozpoczęciem swej próby w grupce Pahaadów zgromadzonych na szczycie skały wraz z herszt-ojcem i herszt-matką. Na ramiona mężczyzna narzucone miał futro podobne do tego, którym Rowańczyk został obdarowany już po zakończeniu swej próby.

Znaczenie okrzyku i całej sceny pozostało jednak dla Toryna zagadką, aż do momentu gdy pośród wzbierającego, rytmicznego skandowania, do którego szybko dołączyła reszta gości, nieznajomy Pahaad objął go ramieniem i zmusił do udania się wraz z nim w stronę szynku.

– *Sjørr-pok! Sjørr-pok! Sjørr-pok!*

Kiedy dotarli przed okrągłe, czerwone oblicze tutejszego szynkarza, tawerna trzęsła się już w posadach od rytmicznych uderzeń w ławy i tupnięć o podłogę. Toryn robił, co mógł, aby powstrzymać drżenie coraz bardziej nieposłusznych dłoni, ale bezskutecznie. Jego gesty wydawały się tylko napędzać kolejne fale okrzyków do takiego stopnia, że gdy przed nim i Pahaadem pojawiły się trzy grube szklanice i ciemna, pękata butelka, sam już nie był pewny, czy trwoga faktycznie nie była w tym momencie wskazana. W końcu, jak długo żył, nie słyszał o tym, by pospólstwo jakoś szczególnie emocjonowało się możliwością oglądania, jak ktoś po prostu łoi publicznie ognistą wodę.

Wyraźnie rozradowany sytuacją pucołowaty szynkarz z namaszczeniem wziął butelkę w dłonie i wzniósł ją na moment ponad głowę, po czym zagryzł korek i z głośnym „pop!" wyszarpnął go z szyjki.

Okrzyki ucichły, zamieniły się w szum.

Szynkarz przechylił butelkę i nalał z niej do pierwszej szklanki dwa palce czarnego jak węgiel, gęstego płynu. Torynowi wydawało się, że wraz ze strumieniem do naczynia wleciała jakaś gęstsza grudka czegoś, ale pod czarną taflą nie sposób było cokolwiek dojrzeć.

Szum zmienił się w szmer.

– *Sjørrpok!* – zakrzyknął nagle karczmarz, spojrzał przekrwionymi oczami wprost na Toryna i jednym ruchem wlał do gardła cały płyn.

– *Sjørr-pok!* – odkrzyknęła tawerna.

– Uaaaa! – ponownie ryknął czerwonolicy mężczyzna i z rozmachem odstawił szklankę, na której ściankach pozostały jedynie lepkie, ciemnoszare zacieki.

Następnie otarł rękawem łzę z prawego oka i nalał do drugiej szklanki. Tym razem Toryn dałby sobie rękę uciąć, że na dnie, tuż pod powierzchnią cieczy, coś się ruszało.

– *Arag! Merethe modir fødur!* – krzyknął ten, który go przyprowadził, i z jeszcze większym entuzjazmem jednym haustem wypił przygotowany napitek.

– *Arag!* – odpowiedziała mu chórem cała sala.

Po wyrazie twarzy mężczyzny i kolorze, jaki przybrała, Toryn po raz drugi skonstatował, że czymkolwiek był ów sjørrpok, miał w sobie niewiele z subtelności – i smaku – typowego miodowego wina. Gdy spojrzał z powrotem na szynkarza, jego jeszcze bardziej czerwone niż przed chwilą oczy, wyzierające z ciasno zasuniętych powiek, już na niego czekały.

Gdy pucołowaty nalewał ostatnią kolejkę, przeznaczenie której było jasne dla absolutnie każdego pod dachem przybytku, Rowańczyk skupił wzrok na kropli ciemnego płynu, która nie zmieściła się najwyraźniej w ustach szynkarza i spłynęła mu w dół brody, zostawiając za sobą wyraźny ślad. Nie mógł jednak nie zauważyć, jak w pewnej chwili płyn przestał ciurkać z butelki, i dopiero mocne wstrząśnięcie odblokowało zator, którym okazało się grube, oślizgłe coś, co wpadło z chlupotem do naczynia i zatrzęsło się w spazmach.

W tej ulotnej chwili Toryn poczuł, jak krew odpływa z jego twarzy, głowa robi się lekka, a jego skórę obłazi cały rój mrówek. Był gotowy co najmniej zemdleć, ale, jak na złość, jego nogi wciąż trzymały pion. Oczy patrzyły wprost na szklankę. Dłonie przestały się trząść.

Przez długą chwilę w tawernie panowała totalna cisza. Nawet wyraźnie walczący o złapanie oddechu Pahaad, który stał obok niego, nie wydał z siebie dźwięku w oczekiwaniu na jego ruch.

Trzecia szklanka.

Czarny płyn.

A w środku oślizgły wij.

– *Sjørr...!* – zawył ktoś wyraźnie zniecierpliwiony przedłużającą się ceremonią.

I wtedy, gdy przypomniał sobie stan księcia Geremy'ego, w jakim pozostawał zamknięty w Maszynie we wnętrzu Góry Gigantów, gdy przypomniał sobie, jak sam wbijał w skórę igłę z błękitną krwią starożytnych bogów, krwią, która dzień po dniu otępiała kolejne części jego ciała, która go zabijała... Toryn pochwycił szklankę i wychylił jej półpłynną zawartość. Cokolwiek kryło się w płynie, wślizgnęło się do jego przełyku z wyraźnym mlaśnięciem.

Moment później tawerna wybuchła. Najpierw rytmicznym skandowaniem, potem kakofonią bezładnych okrzyków, aż wreszcie na powrót ogarnął ją zwykły szum rozmów i wiwatów.

Przez cały ten czas Rowańczyk stał w bezruchu tak, jak odstawił szklankę. Jego ciało przyjmowało klepnięcia, szturchnięcia i gratulacje, ale w środku, tuż pod jego skórą, gdzie połknięty wij drgał jeszcze, nie

chcąc pożegnać się z życiem, trwała walka o zaczerpnięcie nawet najdrobniejszego oddechu. Lepka, gorzka obrzydliwość zakleiła go od środka, ale mimo to bał się zaczerpnąć powietrza, aby do jego nosa nie dotarł zapach tego, co za chwilę zacznie pienić się w jego wnętrzu i raczej prędzej niż później wydostanie się na zewnątrz. I to nieważne którą stroną.

Dobijające się do jego uszu odgłosy scaliły się w jeden przeciągły brzęk. I tylko jeden, uderzający rytmicznie i z siłą, która pozwoliła na to, by przebić się do jego świadomości, apelował:

– Pij! Pij! Pij to, na Isztar!

Jego na wpół zdrętwiała dłoń zacisnęła się na chłodnej powierzchni szklanki, jego zęby stuknęły nieprzyjemnie o twardy brzeg. I wtedy łagodna, ciepła i tłusta powódź wymyła wreszcie z jego ust ohydne spoiwo i zabrała je ze sobą dalej, do żołądka. Ten zaś wreszcie uspokoił się odrobinę, nie grożąc już, przynajmniej chwilowo, wybuchem.

Toryn wciągnął głośno powietrze nosem i spróbował skupić wzrok na osobie, która wybawiła go od tortury, ale ta znikła już między ściśniętymi przy szynku ciałami. Wtem spomiędzy pleców ciemnoskórego obcokrajowca i biustu napierającego na lichy rzemyk, który trzymał w ryzach koszulę pyzatej Pahaadki, wystrzeliła dłoń i pociągnęła go za sobą w tłum.

Z początku był pewien, że zaraz wyłoży się jak długi i zostanie w mig stratowany, ale jakimś cudem zachował równowagę i mimo tego, że kręciło mu się w głowie i miał rozmyty wzrok, obijając się o brzuchy, ramiona, łokcie i kolana tawernianych gości, podążył w kierunku, w którym ciągnęła go ręka.

Gdy wreszcie wokół zrobiło się luźniej, dogonił swego wybawcę i lekkim szarpnięciem skierował go w stronę ściany tuż przy drzwiach wyjściowych. Natychmiast zdał sobie sprawę, że przeliczył się i prowadząca go osoba zatrzymała się dużo wcześniej, niż sądził. W następnej chwili wpadł na nią i przycisnął sobą do drewnianych belek.

Usłyszał stęknięcie i stłumione rowańskie przekleństwo.

– Aż tak daleko musieliśmy wyjechać? – zapytała po rowańsku przytrzaśnięta pod jego piersią dziewczyna. Znał ten głos.

– S-słucham?

– Żebyś się zaczął do mnie dobierać.

Kai odwróciła się i posłała w jego stronę swój uśmiech. Uśmiech, który wymykał się wszelkim opisom. Uśmiech, który był po prostu jej.

Toryn otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i po chwili na powrót je zamknął uznawszy, że wygląda jak idiota.

– Śmierdzisz, Toryn – powiedziała Kai i złodziej zauważył błysk w jej oku, gdy położyła dłonie na jego torsie i odepchnęła stanowczo od siebie. – Idziemy stąd.

Przyjaciółka wywinęła się zwinnie i złapała go na powrót za nadgarstek. Poprowadziła go przez boczne drzwi tawerny na zewnątrz. Tam, lawirując pomiędzy kramami – drogą, która na gust Toryna niewiele miała wspólnego z szybkością, ale jednocześnie pozwalała skutecznie zatrzeć ślady – przebiegli przez targowisko, po czym zanurzyli się w pustawe alejki pomiędzy chatami. Choć poza nimi nie było w okolicy niemal nikogo, wyłączając kilkoro ganiających za sobą z patykami dzieci, Kai nie zwolniła, dopóki nie dotarli do położonego

wyżej wąskiego placyku. Na jego przeciwległym boku wyrastała nadzwyczaj wysoka, drewniana ściana palisady. Tam zatrzymali się na chwilę.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Kai, rozejrzawszy się uważnie.

Gdy złapała oddech, swobodnym krokiem ruszyła ku barierze. Toryn zachował milczenie i podążył za nią. Jego serce wciąż szalało w piersi i wcale nie było to związane z wysiłkiem. Aby uspokoić nerwy, zadarł głowę i przyjrzał się uważniej konstrukcji, która zagarniała nad jego głową coraz większą połać nieba. Coś go tknęło w zaokrąglonym, wydętym w jego stronę „brzuchu" ściany, ale zanim zdołał sobie uzmysłowić, co to takiego, Kai skinęła w stronę wartownika pilnującego niewielkich drzwi i powiedziała do niego kilka słów po pahaadzku. Toryn nic z nich nie zrozumiał, ale zdołał zauważyć, że miała silny akcent zakkański. Nie był w stanie oszacować, czy był celowy, czy nie, ale nie przypominał sobie, by Kai uczyła się kiedykolwiek mowy Pahaadów.

Żołnierz otaksował go od stóp do głów, po czym z kamiennym wyrazem twarzy, gestem tak oszczędnym, że można by było go pomylić z tikiem, zaprosił oboje do środka.

Tak, pomyślał złodziej, gdy przekraczał próg, wyjechaliśmy bardzo daleko od domu.

*

– Wyglądasz inaczej – powiedział, kiedy płomień paleniska urósł i zaczął łapczywie lizać szczapy suchego drewna.

Ogień oświetlił połowę twarzy pochylonej nad nim Kai, chwytając pojedyncze refleksy na spiętych w kuc włosach. Te opadały łagodnie i rozcapierzały się tuż nad jej łopatkami na sposób, jaki przez całe jej życie, odkąd się znali, był do niej niepodobny.

– Och, wzajemnie – odpowiedziała i Toryn po raz kolejny tego dnia uśmiechnął się na dźwięk jej głosu. – Założę się, że nie spojrzałeś na swój pysk, odkąd wyruszyłeś z klasztoru.

Toryn po raz pierwszy od dawna świadomie przeciągnął dłonią po twarzy, gładząc szorstki, pozlepiany dywan wąsów i brody. Zawinął do góry rudobrunatny klin włosów, który zwisał mu z podbródka, i wydłubał z niego kilka grudek nie wiadomo czego. Zamoczył palce w karafce z wodą i przetarł swój zarost. Zamyślił się.

Tuż po tym, jak zamknęły się za nimi drzwi i zostali sami w mroku korytarza, Kai przywarła wreszcie do niego w uścisku, jakiego siłę i znaczenie zrozumieć mógł tylko ten, kto kończył nim długą rozłąkę z najbliższym przyjacielem. Od razu wyczuła, że mimo energii, jaką pozornie emanował, było z nim dużo gorzej, niż kiedy ostatnim razem widzieli się tuż przed jego wyruszeniem wraz z Alyn z Saahii do Świątyni Beduinów. Że tylko chłód, jaki panował na tych wysokościach, chłód, na który, znalazłszy dla siebie miejsce w Pahaadzie, codziennie odnajdywała w głowie nowe rodzaje wulgaryzmów, trzymał go jeszcze jako tako w kupie.

On zaś był z nią szczery. Opowiedział o czasie, jaki spędził w klasztorze na środku pustyni, o lekach, które pomagały tylko na chwilę. Spowalniały postępowanie choroby niebieskiej krwi, ale nigdy nie sprawiały, że jej objawy się cofały. Pokazał jej owo zdobione sanghati, na widok którego – tak, jak się zresztą spodziewał – Kai wstrzymała oddech i kategorycznie zabroniła mu je sprzedawać.

Samej podróży przez pustynię poświęcił najmniej czasu, bo też po prawdzie niewiele z niej pamiętał. I

nie chciał pamiętać. Podczas jego wędrówki Pustynia Nomadów wyżęła go do ostatniej kropli. Jaskrawy bezkres piasku na zawsze pozostawił mu zaś po wewnętrznej stronie powiek niedający się odpędzić obraz absolutnej pustki, krajobrazu śmierci. Pozostawił go z wrażeniem obcowania ze złowrogą potęgą, przy której nawet kaimiańska Góra Gigantów i niepojęta tajemnica, która kryła się w jej wnętrzu, wydawała się taka... zwykła.

Tego i tylko tego jej nie powiedział. Był pewien, że i tak potrafiła to wszystko wyczytać z jego spojrzenia. Kai zawsze widziała więcej, patrząc na ludzi, i nikt nie potrafił ukryć przed jej wzrokiem swej prawdziwej natury. Stwierdził, że w tej chwili było mu to zdecydowanie na rękę.

Z werwą opowiedział jej za to o czasie spędzonym w chacie, do której zaprowadził go Dziadyga. Z wyjątkowym zainteresowaniem wysłuchała, co miał do powiedzenia na temat tajemniczej Burzy. Wreszcie opowiedział jej o przebiegu jego próby, Agonii. A zwłaszcza o tym, jak nagle pojawił się na jego drodze potężny Pahaad, który wymówił imię Alyn. I o tym, jak mimo to musiał doprowadzić próbę do końca po interwencji samej herszt-matki. O pomyśle, by w obliczu braku wyraźnej drogi w górę po skalnej ścianie wspiąć się na najbliższe jej drzewo i wykorzystać chwiejną koronę do tego, by ominąć najbardziej śliskie fragmenty, wspomniał nie bez dumy w głosie. Kai, swoim sposobem, skwitowała to komicznym wydęciem warg i przewróceniem oczami. Powtórzyła to zresztą jeszcze kilkakrotnie, zwłaszcza wtedy, gdy kończąc opowieść, wspomniał o tym, jak stracił ubranie i zdobył owo futro, które tak bardzo uwłaczało jej zmysłowi węchu.

– Stanąłem wreszcie na szczycie. Zdyszany jak nigdy w życiu. Z poranionymi palcami. – Wystawił w jej stronie rozcapierzone dłonie tak, jakby wcale nie miała okazji ich przed chwilą obejrzeć. – I widzę ten znicz. Ledwo się pali, dym cienki jak sikacz z beczek u Kumajla. Widzę, że to ostatni moment, że zaraz zgaśnie i wszystko jak krew w piach. A tego patyka, co miałem tam donieść, przypominam ci, nie mam nawet kawałka. I wiesz, kucnąłem nad tym płomykiem, a w zasadzie objąłem go całym sobą, żeby uchronić go od wiatru i dać sobie czas do namysłu. Ale tak naprawdę nie wiedziałem, co robić. Chciało mi się wyć i nie zrobiłem tego tylko dlatego, że wciąż jeszcze nie mogłem na dobre złapać tchu. I wtedy ogień liznął zwisającą mi z kurtki nić. Nawet tego nie zauważyłem – zniknęła natychmiast. Ale pozostawiła po sobie ciemny, cuchnący obłoczek. Moment później siedziałem na zimnie jak idiota z gołymi ramionami, robiąc wszystko, żeby od tego marnego ognika zajęła się moja odzież. Ale udało się. Dymiło tak, że wciąż mi się zbiera na kaszel. Później, nie wiem, czy w nagrodę za odwagę, czy za karę za głupotę, ktoś okrył mnie tym futrem. Nie mam pojęcia kto. Do tego czasu moje zęby szczękały tak mocno, że wszystko wokół wibrowało. Od tamtej chwili do momentu, gdy Dziadyga wpuścił mnie wreszcie do Hurruk, pamiętam niewiele.

Przez cały czas, gdy mówił, Kai słuchała w milczeniu. Co najwyżej przytakiwała lub rzucała luźne uwagi, wskazując mu jednocześnie miejsce do siedzenia, prosząc o to, by poczekał, aż w imbryku zagotuje się woda. Podniosła głos jeden jedyny raz, gdy kategorycznie kazała mu pozostawić futro z dala od jej mebli.

Tak właśnie o nich powiedziała. „Moje meble”.

Teraz, gdy ogień w palenisku na dobre już się rozszalał, gdy rzucona mu na pożarcie gałąź jakiegoś iglastego drzewa buchnęła dymem i uwolniła wokół przyjemny aromat żywicy, i gdy woda w zawieszonym nad nim blaszanym imbryku zabulgotała w proteście, Kai usiadła wreszcie naprzeciw niego. Wychyliła się i

nalała wrzątku do wyłożonego mieszanką sproszkowanych liści garnuszka. Odstawiła imbryk, po czym przysunęła parujące naczynie do niego. Jej ruchy, jakże proste i zwyczajne, i jakże jednocześnie płynne i pełne gracji, hipnotyzowały go.

Nie mógł oderwać od niej wzroku.

– To na biegunkę – rzekła do niego w półuśmiechu, gdy wreszcie oparła się wygodnie na krześle.

– Nie mam... – zaczął i urwał. Zrozumiał i podziękował jej uśmiechem.

– Może z twojej perspektywy to tak nie wyglądało, ale spotkał cię dzisiaj wyjątkowy zaszczyt. Piłeś *sjørrpok* z Feigiem, kapitanem tutejszej straży – powiedziała Kai i skinęła do swych myśli. – To nam znacznie ułatwi sprawę.

– Co masz na myśli?

– Myślę, że możemy odłożyć wyjaśnienia na moment, gdy staniesz nieco na nogi.

Toryn uśmiechnął się smutno. Wiedziała, w jakim jest stanie, ale nie chciała dać po sobie poznać tego, jak bardzo ją to boli. Gdyby tylko była tu Alyn...

Odchrząknął.

– W takim razie powiedz mi, gdzie my, kurwa, w zasadzie się znajdujemy?

Zmarszczyła czoło, jakby miała zamiar mówić o czyś oczywistym.

– To tutaj, i tam dalej, gdzie ciemno, na wprost, to kompleks kwater mieszkalnych i przejściowych. Dalej są przebieralnie i gimnazjon.

– Nie rozumiem. Wszystko to pobudowano w murze zaporowym czarangi? W palisadzie?

– Palisada! – zaśmiała się Kai. – Och, Toryn...

Z jej tonu wyczytał, że chciała mu wyjaśnić jego pomyłkę i zapewne dręczyć nią go przez kolejne tygodnie, ale urwała, jakby zmieniła nagle zdanie.

– Chodź za mną – powiedziała do niego łagodnie i wstała z krzesła. – Weź zioła.

Choć jego mięśnie i ścięgna zaprotestowały z trzaskiem, Toryn usłuchał. Podążył za wiodącymi go w mrok włosami jak zbłąkany beduin za głosem piaskowej sirin.

– Pahaad to niesamowicie stara kraina, Rudzielcu – powiedziała Kai. – Weź takie Rowan i Kaartę, dodaj tak z jeszcze po pięć wieków historii każdemu i je połącz.

– Rowan i Kaartę? Nas i gównojadów zza Łańcucha?

– Właśnie. Prawi, bogobojni, czyści mężowie Jego Wysokości Księcia i zawszona banda polepiona z górskich kretynów i krowiego łajna. Tak to chyba nawet, słowo w słowo, stało na heraldycznych szyldach za naszego dzieciństwa. Ale taki właśnie jest Pahaad. Wyłączywszy wszelkie wzajemne obelżywe epitety, rzecz jasna. Potężny, rozległy kraj dwóch narodów i dziesiątek, a pewnie i setek plemion. Wiele z nich nie schodzi z gór nawet na zimę. Trzymają się swych terytoriów i szanują pozostałe.

– Trudno mi sobie coś takiego wyobrazić, Kai.

– A jednak. Daleko na południe stąd, też po tej stronie gór, i też przylegająca do pustyni, leży inna wielka czaranga, Mahatra. I choć tak jak Hurruk wyznacza tętno, z jakim bije serce Pahaadu, oba miasta i ludzie, którzy w nich mieszkają, różnią się od siebie jak dzień i noc. Nie widziałam jej, ale bardzo bym chciała.

– Nie widzę problemu, żebyśmy się tam udali po tym wszystkim – powiedział Toryn, zaskakując samego

siebie lekkością swojego tonu.

Bo problemów było wiele. Na czele z jego obolałym, odmawiającym posłuszeństwa ciałem.

Przez chwilę szli w milczeniu. Aby odpędzić wredne myśli, złodziej rozglądał się po zarysach spowitego mrokiem korytarza. Z jakiegoś nieznanego mu powodu miał wrażenie, że całe to miejsce, choć puste, było na coś przygotowane. Jakby na coś czekało.

– Dokąd mnie właściwie prowadzisz? – zapytał w końcu.

– Jak mówiłam, Mahatra i Hurruk to dwie strony jednej monety – odpowiedziała Kai, nie odwracając się. – W obu czarangach panują różne zwyczaje i tradycje. Poczynając od struktury władzy, przez prawa mieszkańców, kwestie podatkowe i siły obronne, po rozrywkę.

Wyraźnie zaakcentowała ostatnie słowo i zatrzymała się przed szerokimi wrotami. Spomiędzy desek, którymi były zbite, do wnętrza wciskały się białe pasy dziennego światła. Wzdłuż nich leniwie wirował kurz.

Kai zwolniła ze szczękiem grubą zasuwę i położyła dłoń na skrzydle wrót. Westchnęła, a Torynowi nie umknęło jej zawahanie. W następnej chwili jednak pchnęła i odrzwia rozchyliły się, zatapiając ich w powodzi jasności.

Pierwszym, co zauważył, był biały klin potężnego szczytu, który w oddali na wprost wbijał się w błękit nieba, rozrywając go niemalże na pół. Jakiś nieziemski wicher dął w jego wierzchołek i zwiewał właśnie grubą warstwę śniegu, który opadał szerokim welonem wzdłuż stromych grani. Masyw, niewidoczny z żadnego innego miejsca, w jakim złodziej przebywał przez ostatnie dni, górował nad pejzażem, którego resztę stanowiło kilka mniejszych, ośnieżonych wzniesień, a poniżej nich...

– Arena – zaśmiał się Toryn i przesunął wzrokiem po stromych rzędach ław okalających owalny, ziemisty plac. Z zewnątrz była większa i wyższa od którejkolwiek z tych, na które natrafił, gdy podróżował w dzieciństwie przez Rowan. Od środka nie widział jeszcze żadnej. I natychmiast poczuł, że tego żałuje, bo była piękna. – Jak znalazłaś to miejsce?

Kai położyła dłoń na jego ramieniu i przesunęła ją w dół, aż dotarła do jego dłoni. Otoczyła ją swoimi dłońmi i zagryzła wargę, po czym spojrzała mu w oczy.

– Tam, za tą górą, jest Makalu. Święta dolina. Tam znajdują się odpowiedzi na temat tych pięciu okręgów i całej tej Maszyny. Ale przede wszystkim ratunek dla ciebie. Po tym, co przeczytałam w księgach Zakarego, po tym, co tu widziałam, wierzę w to z całego serca. Cokolwiek się stanie, musimy tam się dostać.

– Ale to nie takie łatwe – zgadł Toryn po tonie jej głosu.

– To święte miejsce.

Złodziej zmarszczył brwi. Wszystkie elementy układanki nagle zaczęły wskakiwać na swoje miejsca. Zapiski w zbiorach Zakarego, podróż Kai, chatka pod czarangą i wyczerpująca próba, aby mógł przekroczyć jej bramę. Próba sił i charakteru.

I arena.

– Agonia... – powiedział powoli – nie była tylko po to, żebym po prostu mógł wejść do czarangi, prawda?

Kai spuściła głowę, po czym zaczęła mówić.

– Nie. Nie była. Agonię przechodzą w zasadzie wyłącznie kandydaci na uczestników Uraldaanu. To jest

właśnie tutejsza tradycja. Tutejsza rozrywka. Turniej. Na tej arenie.

– Tur...

– Nie przerywaj. Pij te zioła, skoroś je ze sobą przytargał. I słuchaj. Wyruszyłam z Saahii zaraz po tym, jak wyprawiłam Fel do ciebie i Alyn. Dosłownie tego samego dnia, tego samego popołudnia. Po tym wszystkim, co się zdarzyło, po tym, jak wróciliście z Kaim, to już nie było to samo miasto. Nie widziałeś ulic poza Kukh, ale kiedy odszedłeś do klasztoru, były noce, kiedy wydawało się, że wystarczy iskra i ludzie Hanso i Silvestriego skoczą sobie do gardeł jak dzikie kundle i spalą przy tym połowę miasta. Jakby samo Saahii zapadło na chorobę, o której mi opowiadałeś, gdy mówiłeś o Kaim i tym, co tam się stało. To było okropne, Toryn. Dla interesów, dla towarzystwa. Dla zwykłego, cholernego poczucia bezpieczeństwa. A ja, z wiedzą, którą mi przekazaliście i którą znalazłam w bibliotece Zakarego, czułam się tak, jakby mi na dupie namalowali wielki czerwony okrąg tarczy. Rozumiesz? To był koszmar i musiałam się z niego wydostać tak szybko, jak tylko to było możliwe. Na szczęście pod ręką miałam Fel. Kiedyś opowiem ci o niej więcej, bo to wyjątkowa dziewczyna, pasowałaby do nas. Córka Silvestriego, wyobrażasz to sobie? Tak, Toryn, nie rób takiej miny. Fel to jego własny, rodzony bękart. Wiedziałam, że muszę wyruszyć szybko, więc to zrobiłam. Nie mogłam wziąć ze sobą tego, co zarobiliśmy przez te wszystkie lata, ale co mogłam, to ukryłam. I poszłam, tak jak ty, przez pustynię. Na zachód. – Kai podniosła wzrok i spojrzała Torynowi w oczy. – A oni poszli za mną. Mówię „oni", choć to tylko jeden człowiek, ale równie dobrze mogłabym go nazwać cała bandą, bo jeżeli wierzyć w to, co się o nim mówi, sam już takie bandy kładł na piasek nie raz. To przez niego żeśmy tak pędzili dziś przez Hurruk. Przez niego jedyne, co ode mnie dostałeś, siedząc tam, w tej chacie, to ten jeden list i trochę jedzenia.

– Kto? – zapytał Toryn, choć wyraz oczu Kai zdradzał, że nie powinien był mieć żadnych wątpliwości w odgadnięciu tożsamości jej prześladowcy. Bo tak na dobrą sprawę kandydat był tylko jeden. Wypowiedział jego imię szeptem: – Madżid...

Dziewczyna przytaknęła i wzruszyła ramionami.

– Tylko tu, pod tą areną, jestem... jesteśmy bezpieczni. Solidniej pilnowany jest tylko fort Merethe i Sejmona. Herszt-matki i herszt-ojca. Ale są noce, i było ich, wierz mi, wiele, kiedy i tak zasypiam z walącym sercem, nasłuchując kroków w mroku.

– Ale dlaczego Madżid? – zapytał Toryn, kręcąc głową. – Człowiek Silvestriego? Przecież to on zlecił Alyn ten włam... To on wam zapłacił za niego.

Nie potrzebował odpowiedzi i Kai nie kwapiła się, by mu ją zaoferować. Tak jak on wiedziała przecież, że nigdy nie należy mylić partnera w interesach z przyjacielem. Zwłaszcza jeżeli była mowa o fachu, jaki uprawiali z Alyn od dzieciństwa. Silvestri ich użył.

Oczywiście, że ich użył! On i jego banda „wtajemniczonych"! Niby szukających nieopisanego, ale jednocześnie dzieci błądzących we mgle... O nim, w końcu, i o jemu podobnym de Witt mówił Alyn, zanim umarł. A Silvestri... Jeżeli pragnął wiedzy, jeżeli miał zaledwie skrawek pojęcia na temat tego, czym jest ów symbol nad drzwiami warsztatu Zakarego, z pewnością łaknął więcej.

Toryn spochmurniał i poczuł, jak gdzieś w głębi piersi choroba niebieskiej krwi odzywa się nowym, wciąż bolesnym głosem. Gdyby Silvestri wiedział, co znajduje się wysoko w górze nad stolicą Kaim... Gdyby zdawał sobie tylko sprawę z tego wszystkiego wtedy, kiedy on – Toryn – dogorywał po powrocie do Saahii,

na posłaniu u Kai...

Nagle wyprostował się, otworzył szeroko oczy i wymierzył przyjaciółce siarczysty policzek. Kai zachwiała się, ale nie spuściła z niego wzroku. Nie powiedziała nic, lecz gdyby spojrzenie mogło zabijać, leżałby już trupem, rozpuszczając się z sykiem na ziemi.

– Alyn! – szczeknął zaskoczony własną reakcją. – Wysłałaś jego córkę z Alyn!

– Myślisz, że nie myślałam o tym codziennie, od momentu gdy dowiedziałam się, kto za mną poszedł?! – odgryzła się Kai i wbiła w niego wzrok z determinacją, przy której mocy rosnący na jej policzku rumieniec był co najwyżej lichym pyłkiem bez znaczenia. – Myślisz, że się za to nie obwiniam?! Od kiedy tu jestem, zamknięta jak w klatce, nie było dnia, kiedy nie chciałam wyrwać się z tej przeklętej czarangi i pobiec do niej, Toryn! To też moja siostra...

– Wiem, głupolu – odpowiedział złodziej cicho i przycisnął głowę Kai do piersi zawstydzony tym, co zrobił. – Przecież wiem. Przepraszam.

Przez chwilę trwali tak w milczeniu, każde na swój sposób zbierając myśli i przywracając się do względnego porządku. Przynajmniej na zewnątrz.

– Kai.

– Tak?

– W swoim liście wymieniłaś imię tej kobiety. Tej, której szukała Alyn.

– Raina. Tak. Gdy tu przybyłam, zaczęłam dyskretnie wypytywać tutejszych o nią, ale tylko jednemu to imię coś powiedziało. Ojciec dwójki dzieci, całkiem sympatyczny. Nie wiedział jednak nic wartego uwagi, więc na razie to zimny trop. Pomyślałam potem, że jak tu przybędziecie, wrócimy do tego. Ale teraz na głowie mamy co innego.

Kai odsunęła się od Toryna i wzięła głęboki haust ziół z jego garnuszka. Odetchnęła.

– Uraldaan – powiedziała po chwili spokojnie. – To po tutejszemu „Wyzwanie". Turniej rozgrywany przez reprezentantów wszelkich krajów znanego świata. Stąd zresztą tylu obcokrajowców kręci się na rynku Hurruk. Przybyli zewsząd. Każdy, jak mniemam, ma swój powód, ale możliwość zobaczenia na własne oczy mitycznej Makalu...

– Turniej – powiedział złodziej i uśmiechnął się. Drżącymi dłońmi o zgrabiałych palcach wziął garnuszek z ziołami od Kai i przycisnął go do piersi, aby nie wypadł mu na ziemię.

– Ja wiem, Toryn. Wiem.

– Czyżby?

– Posłuchaj. Po pierwsze, wcale nie musimy go wygrać. Nie o to chodzi. To wielkie wydarzenie, oczy wszystkich będą skupione na tym, co dzieje się na arenie. Rozumiesz? Odwrócenie uwagi. Dywersja.

– Ale jednak chcesz, żebym wyszedł na tę arenę, tak? Wiesz, że zawsze uważałem się raczej za kochanka niż wojownika – zaśmiał się Toryn.

– Nic ci się nie stanie. To cywilizowany kraj i, o ile mi wiadomo, zasady turnieju opierają się na zmorzeniu przeciwnika. Nie, brońcie bogowie, na jego zabójstwie czy innym barbarzyństwie tego typu. Ale nie ma co do tego wątpliwości, żeby wygrać, trzeba będzie komuś przypieprzyć.

– Kai – złodziej położył przyjaciółce dłonie na ramionach i spojrzał jej prosto w oczy – ujmuje mnie

twoja wiara we mnie. Zgaduję, że cała ta szopka z chatą i Agonią znaczy tyle, że zgłosiłaś mnie do tego... widowiska już dawno, tak?

– Tak – dziewczyna wytrzymała spojrzenie, nie dając się zbić z pantałyku. – Tak, Toryn, bo to była jedyna szansa na to, żebyś wyzdrowiał z tego... z tego... co w sobie nosisz. Jeżeli dobrze to rozegramy, wyjdziesz raz, ukłonisz się wszystkim ładnie, pobiegasz wokół przeciwnika i pożegnasz się z publicznością na stojąco. Z jednym siniakiem lub dwoma. Na mój gust warto.

– To twój plan. – Toryn wzruszył ramionami, ale jego spojrzenie nie złagodniało. – Mów, jak ma być.

Kai przymrużyła oczy, jakby zastanawiała się, ile z nagłego entuzjazmu przyjaciela jest nieudawane, ale w następnej chwili uśmiechnęła się i zaczęła opowiadać.

Turniej, skonstatował później Toryn, faktycznie wydawał się niezwykłą szansą. Dla niego i Kai na przesmyknięcie się przez jedyne znane przejście ku szlakowi wiodącemu do Makalu. Dla jego uczestników zaś na sławę i dożywotnie przywileje Czempiona Uraldaanu. Aby zgłosić jego kandydaturę i zakwalifikować niedługo po tym, jak dowiedziała się o rychłej organizacji kolejnej, pięćdziesiątej czwartej już edycji zawodów, Kai podrobiła podpis książęcych posłów Rowan – kraju dla tubylców egzotycznego, ale znanego na tyle, by wygospodarować w stawce uczestników jedno miejsce dla reprezentanta. Gdzieś w którejś tawernie Hurruk musiał zresztą teraz siedzieć rowański wysłannik i zachodzić w głowę nad tym, co powie, gdy wróci do domu bez certyfikatu uczestnictwa w Uraldaanie. Zapewne będzie siedział na trybunach i uważnie patrzył na tego, kto zamiast niego wypełni wolę Księcia. I z pewnością będzie miał, pomyślał Toryn, niezapomniane wrażenia.

– Turniej jest stary i ma całą masę martwych zasad, które, choć czasy się zmieniły, nigdy nie zostały wymazane – tłumaczyła mu Kai, gdy wrócili już do jej kwatery. – Najważniejszą jest ta, że arena łaknie potu i krwi. Zwłaszcza krwi. W wypadku gdy któryś z uczestników zechce poddać walkę, w dobrym tonie jest przynajmniej skaleczenie się.

Wspominając wszystkie przypadki w swym życiu, kiedy to był w ten czy inny sposób zmuszony stanąć z kimś do walki, Toryn mimowolnie rozmasowywał sobie dłonie. Te jednak, jak na złość, wydawały się coraz gorzej reagować na dotyk. Nie przyznał tego przed Kai, ale choroba już wkrótce miała go całkowicie pozbawić władzy nad palcami, a w gorsze dni mrowienie zaczynało łakomie sięgać nawet za jego nadgarstki, daleko w głąb przedramion. W tym kontekście to, co działo się, gdy zawodnicy stawali wreszcie naprzeciw siebie – każdy uzbrojony w jedną sztukę broni białej dowolnego wyboru – dawało mu najwięcej powodów do niepokoju. Nawet jednoręka Burza miałaby na arenie większe szanse, myślał. A to chociażby dlatego, że, dochodząc do siebie w chacie Dziadygi, sam widział, z jaką wprawą Pahaadka posługuje się zwykłą siekierą do drewna. I możliwe było, że do czasu rozpoczęcia samego Uraldaanu jedyne, co mu pozostanie ze swymi kalekimi rękoma, to być karmionym łyżką i liczyć na to, że jakaś dobra dusza podejdzie i go podetrze, gdy skończy srać.

Ale plan Kai wciąż był dobry. Wciąż był wykonalny. I tylko to się liczyło.

To i łut szczęścia przy losowaniu pojedynkowych par. Bo był jeszcze jeden poważny...

– ...problem – Kai spojrzała na Toryna uważnie pod sam koniec swej opowieści. – Okazuje się, że nie tylko ja zabawiłam się w manipulację listą uczestników tegorocznego turnieju. Zauważyłam to wczoraj, gdy poprosiłam o wgląd do ksiąg i upewnienie się o twoim statusie jako Uru – Podejmującego Wyzwanie. Jeden z

dwóch wpisów pod rubryką Zakkanu został przekreślony i w jego miejsce wpisano inne imię.

Dziewczyna nie dokończyła, ale strach, który pojawił się w jej spojrzeniu, mówił wszystko. Bo ten człowiek też wiedział, jak nagiąć reguły tego świata do własnej woli. I był w tym przerażająco skuteczny.

– Madżid.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Alyn leżała do późna. Nie mogła zasnąć. Na przemian otwierała i zamykała oczy. Wbijała wzrok to w falujący cień na suficie, to we wnętrze swych powiek. Wydarzenia, które miały miejsce tego dnia, wciąż ciążyły na niej jak gruba derka, trzymały ją za kostki i nadgarstki, nie pozwalały się odprężyć. Utrzymywały mięśnie w niewygodnym półskurczu.

Ale choć miała przemożną chęć poruszenia się, zgięcia łokcia czy kolana, złodziejka zawzięła się, by pozostać w bezruchu. Jedyne, na co sobie pozwoliła, to zaciskanie zębów i powolny oddech. Równy.

Nasłuchiwanie.

Azalia również nie spała. Alyn słyszała to w jej oddechu dochodzącym z przeciwległej ściany izby, w której je zakwaterowano. Kobieta od czasu do czasu zmieniała pozycję i wzdychała cicho, ale nie pozwalała sobie zasnąć. Czuwała, choć zapewne z zupełnie innych powodów. Może tak długo, jak mogła, pilnowała spokojnego snu Dekforta, który od dłuższego czasu już pochrapywał za ścianą. Może wspominała wszystkie swoje złodziejskie lata, wszystkie skradzione fanty, wszystkie podwędzone trzosy i mieszki. A może bała się spokojnie zasnąć w pokoju z drugą taką jak ona. Przeklętą.

Trwało to wieczność, ta walka o odprężenie i próba sił ze snem, który zawsze w końcu był górą. Aż wreszcie regularny świst powietrza wydostającego się z krtani pomiędzy dużymi zębami Azalii oznajmił, że stara złodziejka wreszcie zakończyła wartę. Ukontentowana, że tej nocy nic już się nikomu nie stanie.

A potem, nagle i niezapowiedzianie, sen spadł na Alyn. Runął na jej umęczone ciało gradem niepokoju, grzebiąc wszelkie nadzieje o wypoczynku tej nocy. A jednak, mimo wszystko, nie chciała się obudzić. Nie chciała, bo choć od razu poznała, że jej świadomość uleciała z drewnianego pokoiku gdzieś w Mahatrze, wreszcie, po tak długim czasie, zobaczyła go. Tak jak wtedy, gdy objawił się jej w wiosce zwierzoludzi pod murami Ganiyi na Kaim, zakuty był od stóp do głów w swoją błyszczącą zbroję. Na plecach niósł masywną, okrągłą tarczę. I stał nad nią. Nad jej łóżkiem.

Mówił do niej.

– ...wina...!

Nie, nie mówił. Krzyczał, a jego głuchy bas rezonował z trzeszczącymi ścianami pomieszczenia.

– ...twoja wina!

Krzyczał, a z otworów zasłony jego przyłbicy jarzyło się jaskrawe, upiorne czerwone światło.

– To nie twoja wina!!!

Na krótką chwilę, dosłownie mgnienie oka, złodziejka dojrzała w jego potężnej sylwetce zarys Tabithy, kobiety, która niczym jej nie zawiniwszy umarła z jej ręki. W następnym momencie Żółw wziął potężny zamach obiema rękami i zmiażdżył jej brzuch.

Obudził ją potworny trzask i nagły ból. Wokół grzmiało, podłoga wciąż trzęsła się, jak w jej śnie.

– Lawina! To lawina!!!

To był głos Azalii. Alyn uniosła głowę, by zorientować się w sytuacji. Ta wyglądała tak, że była sama w pokoju, a drzwi do niego były otwarte. Nad jej głową coś szumiało, jak deszcz. Albo grad. I nie było fragmentu stropu – kwadratowej w przekroju belki, która, ułamana, leżała na jej brzuchu.

Dziewczyna wstrzymała oddech i zdjęła z siebie pal. Był lekki, nie zrobił jej nic poza nagłą pobudką i lekkim zadrapaniem. Może siniakiem.

Jednym ruchem zrzuciła nogi na podłogę, naciągnęła na oczy szkła i spróbowała się rozeznać w sytuacji. W ciemności trudno było jednak dostrzec cokolwiek za oknem, a wstrząsy i hałas nie pozwalały skoncentrować się na niczym. Azalia również umilkła. Alyn postanowiła jej poszukać.

W momencie gdy na wpół po omacku, podtrzymując się ściany, przekroczyła próg i znalazła się na korytarzu, kątem oka zarejestrowała ruch daleko po prawej, tuż za szerokim oknem przy wejściu. W tym samym momencie rozległ się ogłuszający huk, a wstrząs niemal ją powalił. Alyn wbiła wzrok w nieregularny cień, który z łoskotem przetoczył się na zewnątrz. Zanim zdążyła pozbierać myśli, w dach gruchnęła kolejna, jeszcze silniejsza fala gradu.

To nie lód, zaświtało jej w głowie. To kamienie.

– Dziewczyno! – ledwo przebijając się przez szum, dobiegł ją z pokoju obok głos Azalii. – Pomóż mi! Dekfort! Dekfort...!

Złodziejka wstała z trudem i obróciła się ku kwaterze książęcego posła i wtedy, kilka kroków przed nią, przez sufit przebił się głaz wielkości bawolego zadu i wbił się w podłogę. Wyrwał i strzelił na wszystkie strony kawałkami desek i drzazgami. Wylądował tuż za wejściem do pokoju, więc drogę wciąż miała wolną.

– Jestem! – krzyknęła Alyn i szarpnęła się co sił w nogach ku Azalii i Dekfortowi. – Już idę!

Kiedy wykrzyknęła ostatnie słowa, osuwisko osiągnęło apogeum, zagłuszając absolutnie wszystko wszechobecnym dudnieniem. Drżał i jęczał, wydawało się, każdy kołek, każdy gwóźdź chałupy.

Mimo to zrobiła krok do przodu i... wciąż stała w miejscu.

Z zupełnie nowym przestrachem w sercu obróciła się, czując, że ktoś lub coś trzymało ją za prawe ramię. Bała się, że któraś z belek upadła na nią i wbiła się w nią zakrzywionym gwoździszczem i tylko jej umysł nie zarejestrował jeszcze tego, że powinno ją boleć.

Ale to nie była belka. To był...

– ...Żółw – szepnęła.

Tym razem nie we śnie, nie w jej wyobraźni. Stał tuż za nią, podtrzymując na swych potężnych barkach połamany już strop, przez który jeszcze wolnym, ale stałym strumieniem przesypywały się kawałki skał. Jego rękawica spoczywała na jej barku. Czuła miękką ciepłotę jej skórzanej podszewki.

– Biegnij do wejścia – rozkazał jej.

– Nie, puszczaj! Tam są jeszcze...!

– Jeżeli tam pójdziesz, zginiesz! Wracaj, Alyn! Ktoś jeszcze cię potrzebuje! Ktoś na ciebie liczy!

Złodziejka mimowolnie przesunęła dłonią po prawej rękawicy, aby upewnić się, że wewnątrz wciąż znajduje się fiolka. A potem mrugnęła i Żółwia już nie było. Strop za nią runął i zasypał korytarz deszczem

kamieni. W ostatniej chwili uchyliła się przed deską, która wystrzeliła w jej stronę z góry, a potem zdążyła tylko zauważyć, że tuż przy jej stopach, między nią a pokojem Dekforta wyrasta z hukiem poprzeczne pęknięcie i cała część domu po drugiej stronie zaczyna się zsuwać. Była odcięta z obu stron. Miała tylko chwilę na podjęcie decyzji.

Nie, nie miała nawet chwili.

Instynktownie obróciła się do wejścia, zostawiając za plecami porwanych przez lawinę Dekforta i Azalię i wtedy dojrzała wysuniętą w jej stronę dłoń. Tym razem to nie był Żółw.

– Złap mnie – ryknął Bakkus, w jakiś niepojęty sposób przekrzykując wszystko to, co działo się wokół. – Trzymaj i biegnij za mną. Biegnij, złodziejko!!!

Pobiegła. Cudem uniknęła zasieków z drewna, kamieni i żelaznych zębów rozpadającej się na oczach konstrukcji. Wypadła za mężczyzną na zewnątrz i walcząc o utrzymanie równowagi, zawinęła się za okrągły kawał skały. Sapiąc, przysiadła za nią, aby schować się przed wciąż staczającymi się w dół zbocza kamieniami. Bakkus stał nad nią, trzymał się za ramię.

Przy ich butach, na placu lądowały coraz to nowe kawałki ukruszonych skał i kamieni. Wszędzie wokół unosiła się dławiąca mgła kurzu i pyłu. A wysoko nad placem, na nienaruszonej ścianie, nieprzerwanie czuwało starożytne słowo. Savapana.

„Sen".

*

Następnego ranka, jeszcze zanim opadł kurz i poranne mgły, zanim słońce wystawiło głowę zza odległego horyzontu, Mahatra wreszcie przestała milczeć. Nie bacząc na zimno i zawalające ulice zwały gruzu, mieszkańcy tłumnie wylegli ze swych chat i wspólnie zabrali się do sprzątania i odbudowy. Nie musieli czekać na żadne oficjalne polecenie z pałacu, nie wyszła do nich Oko Mahatry, nie pokazał się nawet Bakkus, który pozostał przez resztę nocy z Alyn, by pomóc jej przedostać się w dół, tam, dokąd zsunęła się gospoda wraz z Azalią i Dekfortem. Gdy okazało się, że zawalisko było zbyt rozległe i chwiejne, by wpuszczać tam kogoś więcej niż kilku doświadczonych i wykwalifikowanych cieśli i wspinaczy, sprowadził ją z powrotem ku bramie miasta.

– W niczym nam nie pomożesz – mówił, niemal pchając ją przed sobą, gdy złodziejka protestowała, chcąc poznać los rodaków. – Ani im. Jeżeli nie umarli, Pahaad da im drugie życie w spełnieniu. Jeżeli nie, przyjmie ich ofiarę z szacunkiem i miłością. Ty masz inne zadanie do wykonania.

A więc wiedział, myślała wtedy Alyn. Musiał wiedzieć, skoro Durga w zasadzie nie ruszała się ze swojego gabinetu i tego pałacu... czymkolwiek był. Dała się prowadzić, choć cokolwiek niechętnie. Myśl o tym, że ma opuścić tych, którzy nie zostawili jej w potrzebie, kłuła ją tak bardzo, jak wspomnienie momentu, w którym jej umysł – a za nim ciało – zdecydowało, że nie pójdzie do pokoju Dekforta, by pomóc go wynieść. Jeżeli nie żyją, nie będzie nikogo, kto mógłby przejąć za nią winę. Ani szaleństwa księcia Geremy'ego, ani zbuntowany bóg w swej norze pod pustynną oazą. Ona była winna. Alyn Noël z Rowan.

Gdy pożegnała już Bakkusa, który natychmiast wtopił się w rój pobrzękujących między sobą niczym pszczoły mahatran, stanęła twarzą ku północy. Tuż przed nią, zaledwie kilka kroków od jej stóp, od traktu

odchodziła ścieżka. To od niej zaczynało się wspomniane przez Durgę Lodomorze – szlak wzdłuż łańcucha Bhalu Devi. Niczym nić przecinał wschodnie pogranicze Pahaadu. Choć musiał wiedzieć, jak bardzo potrzebne będą bezdomnym Mahatry jedzenie i nawet najskromniejszy kawałek okrycia, Bakkus z kamienną twarzą wcisnął jej zawiniątko z ubraniem, bez którego – mówił – zginęłaby w górach pierwszej nocy. Była to wygodna, choć nieco zbyt długa bluza oraz zakładana na nią ciepła kurtka, na które tubylcy mówili odpowiednio raatuk i tetung. Gotowa do drogi – do kolejnego etapu nigdy niekończącej się wędrówki – przepasała się karą. W szarfie na wysokości biodra znajdowała się pojemna kieszeń na podręczne przedmioty. Znalazła w niej zawiniątko z ziołami, których zapach natychmiast przywołał przed jej oczy drzeworyt nad biurkiem Durgi.

Wszystko to działo się szybko. Zbyt szybko. Ale czas biegł nieubłaganie. Jeżeli miała zdążyć, musiała wyruszyć dzisiaj. I z każdą upływającą chwilą jej świadomość coraz bardziej nastrajała się na nakreślony jej przez Oko Mahatry cel. Tylko on mógł uratować życie Torynowi, i tylko on się liczył. Co miało nadejść potem, nadejdzie i tak.

Z zamyślenia wybił ją dźwięk, który przedostał się przez chrzęst kamieni pod dziesiątkami stóp, które przemierzały za jej plecami ulice podnoszącego się z katastrofy miasta. Coś jak radosne westchnięcie. Albo prychnięcie. Nie od razu go poznała.

– Biedne zwierzę – usłyszała głos Azalii i natychmiast odwróciła się. To była ona. Może nie do końca cała i zdrowa, ale żywa. – Autentycznie cieszy się, że cię widzi.

– Ja też się cieszę, że was...

Złodziejka urwała. Azalia – posiniaczona na dłoniach i twarzy, ale o wciąż rezolutnych, żywych oczach – była sama. Dekforta nigdzie nie było widać.

– Nie musisz się winić – powiedziała kobieta tonem, który absolutnie zdawał się zaprzeczać jej słowom. – Nie było dla niego ratunku. Gdybyś też tam weszła, mogłabyś skończyć dużo gorzej niż ja. – Po chwili dodała, jakby w zamyśleniu: – Pewnie właśnie tak by było.

– Azalio... Co teraz... Dokąd idziesz?

To było jedyne w miarę subtelne pytanie, które przyszło jej do głowy. Tego o losie dobytku obojga, który z pewnością ucierpiał podczas katastrofy, nie miała odwagi zadać.

– Tam, dokąd on szedł – odpowiedziała Azalia, patrząc rudowłosej dziewczynie prosto w oczy. – do Sebhel. Wciąż jest książęce poselstwo do dostarczenia. Na twoją pomoc, rozumiem, nie mam co liczyć.

Celnie. Zabolało, przyznała przed sobą Alyn. Stara złodziejka nie mogła się domyślać nawet drobnej części motywów, które powodowały dziewczyną zarówno tej nocy, jak i przez ostatnie tygodnie, a nawet miesiące. Nie miała najmniejszego pojęcia, ale to nie znaczyło, że jej słowa nie były prawdziwe. Wbrew pozorom nie oceniała jej. Raczej rozumiała wybór młodej złodziejki. Albo chciała zrozumieć. I to było tym bardziej bolesne.

Gdy Azalia odezwała się ponownie, jej ton wyczuwalnie złagodniał:

– Mam jego sygnet. Znam jego rozkazy i potrafię podpisać się tak jak on, ale nie uważam, żeby to było potrzebne. Świat polityki jest niesłychanie prosty. To najzwyczajniejsi ludzie. To jest moja rada dla ciebie, Alyn. Gdy spotkasz kogoś na najwyższym stanowisku, spójrz na niego moimi oczami. To tylko człowiek. Chodź, Finn.

Kobieta pociągnęła lekko za chomąto przy pysku osła i ruszyła przed siebie, żegnając się z Alyn namiastką uśmiechu.

Tylko człowiek, pomyślała Alyn i zaśmiała się w duchu.

Tylko człowiek.

*

Pierwsza noc była trudna. Druga lżejsza. Trzecia zaś najcięższa ze wszystkich.

Lodomorze niczym sztormowe fale wiodło ją to w górę, grzbietami łysych pagórków i wietrznymi halami, to w dół, pomiędzy chropowate skały. W cień i wieczny lód zastygły w nieckach wydrążonych przez strumienie nie szersze od ludzkiego kroku. Trakt był, trzeba było to Pahaadom oddać, szeroki i dobrze utrzymany. Gdzie mógł, tam nie piął się po stromiźnie, nadkładał drogi, wrzynał się w grunt, byle móc zmieścić w sobie okazjonalny wóz czy prostą dwukółkę. Żył jaskrawymi barwami małych kwiatów, które tłoczyły się na łąkach w kolorowych plackach, jakby chciały się nawzajem ogrzać i dodać otuchy. Od czasu do czasu migał Alyn inny wędrowiec, pasterz, kurier na zmęczonym koniu.

Nocami znów słyszała jej głos. Rozmawiała z nią. Z Dalią. Tak jak wtedy, na pustyni, w namiocie Gadiry. Rano nie pamiętała o czym. Pomiędzy myślami w jej głowie wiły się strzępki zdań i urywki słów, które rozpływały się wraz z pierwszym spojrzeniem wschodzącego słońca. Nie ulatywały. Kryły się gdzieś w jej głowie. Chowały na później.

A mimo to Alyn nie mogła się pozbyć uczucia totalnego osamotnienia. Było coś w zajmujących całą lewą połowę jej krajobrazu, białych zębach gór, co sprawiało, że zamykała się w sobie i unikała przygodnych spotkań – nawet mimo tego, że na dobrą sprawę nic jej na szlaku nie groziło. Nie potrafiła nazwać tej emocji, wiedziała tylko, że prześladuje ją i męczy. Stale przypomina o tym, że nie ma obok niej Żółwia. Nie ma i nie było, po prostu go sobie wymyśliła. I że nigdy nie będzie już Zakarego. I że straciła Fel. I Liz. Guido i Edwina. Gaela. I że Jeanine wpadła w ręce Taidańczyków, którzy Isztar wie, co jej teraz robią.

O tym wszystkim, z kolei, przypominała jej bezkresna, lekko pofalowana łacha piasku, która co raz to wyzierała po prawej. O tym, że gdzieś tam pozostała oaza Al-Arak. Że gdzieś daleko za horyzontem na wschodzie dumnie prężą się mury Saahii, jej domu. Prawdziwego lub tymczasowego.

I tylko nocą, gdy spomiędzy mglistych maźnięć wędrujących wysoko nad głową chmur wyłaniały się zagony gwiazd, znajdowała ukojenie w myślach o tym, że znała te dłubane pojedynczymi świetlikami obrazy. Że na dobre poznała je już po przybyciu do Zakkanu i że wielokrotnie pozwoliły one jej i kapitanowi Wilmotowi odnaleźć drogę do portu. Nigdy nie patrzyła na nie, tak świadomie, gdy jeszcze żyła z dnia na dzień w Rowan. Ciekawa była, czy tam, w jej ojczyźnie, nocne niebo było różne od tego, które widziała teraz, zasypiając w kotlince czy zwykłym zagłębieniu między skałami.

To pozwalało zapomnieć o gorącu pustyni, które czekało na nią o nie więcej niż jeden dzień łagodnej drogi w dół.

Zimno hamowało postępy choroby. Zimno było dobre.

Musiała tylko nie zamarznąć przed dotarciem do Hurruk.

*

Fel usiadła ciężko przy ścianie i westchnęła. Spojrzała na siebie, na swoje oświetlone poświatą w kolorze imbiru ciało. Wciąż młode, a mimo to zmęczone, ze strupami, odłażącym naskórkiem, siniakami, zaczerwienieniami. Odciskami. Zerknęła na poplamione krwią pachwiny i uda. Gęste, lepkie linie, ślady kropel zestaliły się, stwardniały. Tu i tam zaczęły odpadać. Nie miała zamiaru ich zmywać.

Nie czuła się brudna. Siedziała nago, wolna od okowów protokołu i konwenansów. Ba, mogłaby tak wyjść na zewnątrz. Do Al-Arak, wioski, w której wszystkim mieszkańcom nakazano chodzić nagimi od pasa w górę. Reynauld nakazał. Mężczyznom, kobietom, dzieciom. Aby nikt nie miał gdzie skryć broni do nagłego ataku.

Marnotrawstwo, pomyślała i otarła przedramieniem kropelki potu, które nagromadziły się nad jej brwiami. Jakież bezmyślne marnotrawstwo wody. Ci biedni ludzie... Pocą się i parują. Wysuszają swe ciała dla kaprysu i poczucia bezpieczeństwa obcego, który przybył z południa, a potem zaczął zabijać nieposłusznych, aż reszta oddała mu pokłon.

Fel była przy tym. Przy tej scenie. Dwieście z górą przygarbionych ciał, zatroskanych par oczu, zmarszczonych czół w milczeniu oddało panowanie nad Al-Arak blademu tyranowi o długich włosach. Zrobili to, tak jakby w całej swej historii nie znali innej drogi, tylko poprzez poddaństwo.

Być może tak było, pomyślała, gdy przypomniała sobie wydarzenia z podziemnej groty, teraz zalanej niemal w całości przez wody jeziora. Być może zamienili jednego watażkę na drugiego. Bez nich, bez głosów rozkazujących co i kiedy zrobić, wszystko by się posypało, Al-Arak przestałaby istnieć jak zdmuchnięta pustynną burzą.

Dziewczyna odjęła ręce od piersi, które – jak miała nadzieję – jeszcze nie skończyły pęcznieć i nabierać bardziej krągłego kształtu. Natychmiast złapała się na tym, że sama w zasadzie nie wiedziała, skąd wzięła się owa myśl. Fakt, falujący w tańcu biust Najili przyciągał spojrzenia mężczyzn i wzbudzał zazdrość u kobiet, ale przecież ona sama nie zamierzała wracać do występowania na ulicy. Nigdy. Może pójdzie do wojska, może ukończy akademię. Może będzie kraść. W żadnym z tych żyć cycki nie będą jej do niczego potrzebne.

Uśmiechnęła się do tej myśli, po czym przeniosła wzrok na naczynie, które trzymała w dłoniach. W następnej chwili jednym ruchem odkorkowała karafkę, a giętki jęzor zapachu narkotyku natychmiast oplótł jej głowę i przyciągnął jej twarz bliżej czarnego, okrągłego otworu. Zrobiła głęboki wdech, czując, jak specyfik napełnia ją od środka pragnieniem. Przełknęła ślinę i oblizała spierzchnięte wargi. Przechyliła delikatnie karafkę i wysunęła język. Wodziła nim chwilę po ujściu, przedłużając oczekiwanie. Świadomość erotyzmu tego aktu zaskoczyła ją, ale pozwoliła jej rozsiąść się w swych myślach. Myślach, które wraz ze smakiem pierwszej kropli płynu uleciały z jej głowy i domu na zewnątrz, pod spalone wiecznym słońcem niebo. Pomyślała, że...

...Reynauld nie był do cna złym człowiekiem. A nawet jeśli był, wciąż miał swoje plusy. Nigdy nie traktował jej jak dziecka, a było to coś, czego nienawidziła całą sobą. Ani razu. Nawet gdy ją bił, bił kobietę. I oczekiwał, że będzie się zachowywać jak kobieta.

Westchnęła jeszcze raz, tym razem bezwiednie i głośniej. Wsunęła język głębiej do karafki, gotowa zalać go kojącą falą płynnej rozkoszy. Gotowa zapomnieć o tym, co działo się z nią, gdy się zapominała. Gdy zapominała o swych obowiązkach.

Wtedy ważna była tylko przyjemność...

Coś zachrzęściło i zaszorowało przy wejściu pod glinianą kopułę jej domu. Tylko raz, ale za to wyraźnie.

Ikke? Ifiko?

Fel bardzo powoli odjęła naczynie od ust i wpatrzona w przesłonięte zasłoną wejście włożyła na miejsce korek, który znalazła dłonią przy pośladku. Zagryzła wargę, przez moment rozważając wzięcie chociażby jednego łyku. Ostatecznie postawiła karafkę na ziemi, wstała i jednym ruchem narzuciła na siebie zwisający z jednej z kozetek pled. Stawiając cicho kroki, wyszła na zewnątrz.

Z początku, gdy jej oczy przyzwyczaiły się do jaskrawego pomarańczu słońca, nie zauważyła niczego ani nikogo podejrzanego. W zasięgu wzroku było kilkoro tubylców, którzy zmierzali w swoje strony. Nie zwracali na nią żadnej uwagi. Dopiero gdy rozejrzała się jeszcze raz i spojrzała pod nogi, dojrzała drobny pleciony koszyczek. W środku leżało zawiniątko.

W pierwszej chwili przestraszyła się, że to dziecko. Noworodek, którego jakaś matka w rozpaczy podrzuciła znachorowi, nie wiedząc, że ten rozstał się już z życiem. Fel nie wiedziała nawet, od czego zacząć rozmyślania nad tym, co z takim podrzutkiem w ogóle zrobić.

Dopiero gdy schyliła się i jej drogę do jej nosa odnalazła znajoma woń, trwogę w jej sercu zastąpiła radość. A potem wdzięczność.

Chleb, pomyślała i uśmiechnęła się. Ktoś upiekł mi chleb. Nikt nigdy nie upiekł chleba tylko dla mnie.

Okna i wejście domostwa po drugiej stronie uliczki były puste, zakryte na dzień warstwą materiału. Fel wiedziała jednak, była pewna, że to owa kobieta i jej roześmiana gromadka szkodników sprawiły jej ten prezent. Ale za co? Za jej uśmiech? Za to, że – chcąc, nie chcąc – była gościem ich wszystkich?

Ukośne promienie słońca nad jej głową przeciął nagle cień i oto na jej ramieniu, przy wtórze łopotu długich piór, wylądowała Ifiko.

Chcąc utrzymać chleb i jednocześnie pogłaskać cudowronka, Fel niemalże dała opaść na ziemię swemu okryciu. Jednocześnie poczuła nagły przypływ energii.

To jest to, pomyślała, to jest to.

To dawno utracone uczucie, bez którego jedyne, co mogła robić, to chrobotać kamykami w palcach z nadzieją, że pustka po nim w końcu przejdzie. To, które napędzało ją, gdy Kai dała jej możliwość wyrwania się na dobre ze znienawidzonego domu. To, które wypełniało ją, gdy postanowiła uwolnić tego chłopca z taidańskiego obozu w Imoren. Ten zapał.

Ta ogromna siła woli, która wzbierała w niej, przepełniała ją, a wraz z nią dryfowały ku niej strumieniem kolejne myśli.

O tym, że ci zniewoleni ludzie zasługują na więcej.

O tym, że należy pozbawić Al-Arak brzemienia Reynaulda.

O tym, że musi znaleźć wspólników.

Czy Ikke zechciałaby się do niej przyłączyć? Porucznik nie czuła się tu dobrze, brzydziła się czynami swego dowódcy. Ale wciąż była karną żołnierką pod jego rozkazami. Wciąż łączył ją z nim gruby łańcuch lojalności.

Ale nie szkodzi. Nawet najsolidniejsze ogniwa da radę skuć. Albo przetopić. Trzeba tylko chęci i pracy,

a Fel czuła w tej chwili, że jest gotowa na obie. Nawet jeśli częściowo przemawiała rzez nią ta kropla narkotyku, której skosztowała językiem, wiedziała, że znalazła to, czego nie szukała, a czego potrzebowała.

Czując łzę, która zebrała się w kąciku jej oka, i ponownie przeklinając marnotrawstwo wody, oparła się o ścianę i chwyciła chleb w obie dłonie. Tym razem pozwoliła pledowi odkryć przed światem odrobinę ciała. Ułamała piętkę i zaczerpnęła głęboko powietrza. Pachniało czystą dobrocią. Wydłubała miękką białą kulkę. Puszek wielkości paznokcia.

– Pierwszy kęs dla ciebie – powiedziała do rozglądającej się z zaciekawieniem Ifiko, choć emocje zabrały jej głos.

Ptak zaświergotał w podziękowaniu i natychmiast dziobnął porcję. Z lubością zmełł ją w dziobie i szybkim ruchem posłał w dół przełyku. Aż zatrzepotał skrzydłami, takie było dobre.

Fel natychmiast wyciągnęła palcem z ciepłej, twardej skórki piętki jeszcze jedną, większą porcję i ponownie uformowała z niej kulkę. Tę zamierzała sprezentować samej sobie.

Wtedy coś kapnęło jej na ramię. Zaraz potem poczuła nagłe pieczenie. To Ifiko wbiła się w pled swymi pazurkami tak mocno, że przebiła materiał i skaleczyła jej skórę. Dziewczyna natychmiast spojrzała na ptaka, ale cudowronka już tam nie było. Jego ciężar zsunął się wzdłuż jej łopatki i następnie z cichym szelestem wylądował tuż przy jej stopach.

– Ifiko! – wrzasnęła Fel i klęknęła przy swym zwierzątku. – Ifiko!

Ptak leżał na boku, poruszał szybko, arytmicznie grdyką. Z jego dzioba sączyła się gęsta, żółta maź, a jego bystre oko patrzyło wprost na dziewczynę. Z zaskoczeniem i wyrzutem.

Pytało: co się stało, Fel? Dlaczego mi to zrobiłaś?

A potem, w jednej chwili, zaszło mgłą, a Ifiko znieruchomiała.

Dziewczyna z niedowierzaniem wypuściła chleb z trzęsących się dłoni i delikatnie objęła nimi miękkie ciałko cudowronka. Wiedziała, jak niedorzeczny jest to gest, ale to nie miało w tej chwili żadnego znaczenia.

Po prostu chciała go ogrzać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ten ranek był najgorszy z dotychczasowych. Nie pomogła sucha bułka i zioła sprokurowane przez Kai. Toryn drżał z zimna i zgrzytał zębami z bólu, jaki pulsował mu w skroniach, od momentu gdy się obudził. Kiedy więc opuścił chłodny półmrok korytarza, zgiełk na wypełnionych po brzegi trybunach areny uderzył w niego z taką siłą, że musiał złapać się poręczy, żeby nie zatoczyć się i nie upaść. Ktoś parsknął nad jego głową, ktoś gwizdnął, ale dźwięki te szybko wtopiły się w niespokojny, to narastający, to znów cichnący szum tysiąca z okładem dusz przybyłych oglądać tradycyjne zmagania Uraldaanu. Nikt go nie zaczepiał, patrzono na niego, mimo wszystko, z szacunkiem. Nie miał złudzeń jednak, że to głównie przez owo futro, które opinało mu barki. Prezent po Agonii, za który – jak sobie uświadomił kilka dni temu – nawet nie podziękował.

Jakaś uczynna dłoń wskazała mu kierunek i poprowadziła ku wydzielonemu podwyższeniu, gdzie w kilku rzędach czekało już w skupieniu kilkoro eklektycznie poubieranych kobiet i mężczyzn. Rozpoznał w nich niektórych uczestników turnieju, o których zdążyła mu opowiedzieć Kai. Nie zdołał jednak zapamiętać imienia żadnego z nich. To zresztą była tylko garstka, większość miejsc była niezajęta.

Z całych sił próbując nie dać po sobie poznać tego, że od rana trawiło go od środka starożytne kurewstwo nieznanego pochodzenia, Toryn minął bez słowa kilka rzędów i stanął na skraju najwyższego. Nad nim, u szczytu pionowej ściany, znajdowała się jeszcze jedna trybuna. A raczej loża dla całej herszt-rodziny, która, jak zauważył, zdążyła się już zjawić w trzyosobowej liczbie. Przez moment wydawało mu się nawet, że Merethe dostrzegła go i skinęła mu głową, ale równie dobrze pojawienie się jej głowy w zasięgu jego wzroku mogło oznaczać, że po prostu chciała podrapać się w tyłek.

W końcu – czy na górze hierarchii, czy na samym jej dole – wszyscy byli po prostu ludźmi. Z tą maksymą w pogotowiu, jak zauważył już dawno temu, dużo łatwiej się na tym świecie żyło.

Usiadł i wziął kilka głębokich oddechów. Poranek był, dzięki bogom, chłodny i wietrzny, ale nawet to już przestawało wystarczać w walce z tym, co przywlókł za sobą z Kaim. Cały ten pomysł z turniejem był czystym szaleństwem, nie mniejszym niż to, co na co dzień działo się na wyspie za śniących rządów Geremy'ego. Cała nadzieja w tym, pomyślał, że – jak obiecała Kai – zawodnicy będą zachowywać się honorowo i zgoła pacyfistycznie. Pahaadzka publika lubiła widowisko i on mógł jej to widowisko dać, nawet w stanie, w jakim się znajdował. Mógł im to dać i zachować skórę. Byle tylko nikt mu nie chciał przedtem jej podziurawić.

Niemal wzdrygnął się, gdy poczuł na ramieniu dotknięcie. Gdy zauważyła jego minę, Kai, która bezszelestnie przykucnęła obok niego, roześmiała się oczami.

– Widzę, że podłapałam od was co nieco tych waszych podchodów – powiedziała. – Ha, ha, Alyn byłaby dumna.

– Co tu robisz? Możesz tu być? – Toryn spróbował ukryć drżenie w swym głosie. Umiarkowanie udanie.

– Och, wciąż lepiej wychodzi mi rozmawianie z ludźmi niż zakradanie się do ich domów nocą. Herszt-ojciec ma chyba do mnie drobną słabość. Posuń się.

Toryn zrobił przyjaciółce miejsce. Ciepło, które roztaczała wokół siebie tego dnia Kai, było z tego gatunku, który z chęcią zagarniałby całymi ramionami. Wydawała się zupełnie nie denerwować tym, co czekało ich oboje dziś, a zwłaszcza jutro. A to podniosło go na duchu na tyle, by choć przez chwilę zapomnieć o bólu i z pełnym skupieniem obserwować to, co właśnie sprawiło, że widownia wybuchła jazgotem okrzyków i wiwatów.

Oto na arenę w dwóch szeregach wkroczyło ośmioro mężczyzn i kobiet. Powitali gestami zgromadzoną na trybunach widownię i zwrócili się ku trybunie gospodarzy czarangi. Toryn aż podniósł się z ławki, gdy uzmysłowił sobie, że jeden z nich, jeżeli nie najwyższy, to na pewno najszerszy, był bardzo podobny do mężczyzny, którego zdążył już spotkać. Przełknął ślinę.

– Ten duży? – szepnęła Kai, gdy zauważyła jego reakcję. – To Løc. Tutejszy bohater, z tego, co się na szybko dowiedziałam. Wrócił po latach z woj-pielgrzymki gdzieś po południowych państwach. Kawał chłopa.

– To on – odpowiedział Toryn w nagłym olśnieniu. – To on mi zagrodził drogę podczas Agonii. Niech mnie pokroją... Mówiłem ci o nim. Zeskoczył ze skały, podszedł do mnie i powiedział coś po ichniemu. Wymówił imię Alyn.

Kai zmarszczyła brwi.

– Możesz powtórzyć jego słowa?

– Tak, Kai. „Coś tam, coś tam, Alyn” – sarknął Toryn.

– Ćśś... – Przyjaciółka szturchnęła go łokciem, zwracając uwagę na stopniowo zapadającą wokół ciszę. Następnie dodała szeptem: – Jeśli to prawda, że wrócił z południa, to...

– Och, kurwa, Alyn...

– Czy on był zły, gdy cię spotkał? Gdy to mówił? Czy, nie wiem, wyglądał na takiego, co żywi urazę?

Toryn spojrzał Kai w oczy.

– Masz pełne prawo sama się go o to zapytać. Ale jeśli on coś zrobił mojej siostrze...

– Albo ona jemu... Zauważyłeś jego lewą...

– *Gola karane!* – rozległ się nagle nad ich głowami tubalny głos herszt-matki. W jednej chwili uciszył wszelkie rozmowy i szepty na trybunach.

Następnie wezwanie zostało powtórzone w kilku innych językach – w tym w rowańskim i zakkańskim. Brzmiało: „zgromadzeni”. Resztę niedługiej przemowy Merethe wygłosiła już po pahaadzku, trzykrotnie zgarniając gromkie wiwaty, które natychmiast cichły po skinieniu jej ręki. Toryn zauważył, że niemal wszyscy na arenie wpatrzeni są w jej władczą sylwetkę. Nawet jeśli nie można było powiedzieć, że spijają słowa z jej ust, bez wątpienia cieszyła się tu wielkim szacunkiem. I tylko kilka pojedynczych osób na trybunach miało inne rzeczy na głowie. Nauczył się zwracać uwagę na takie rzeczy. Tłum w fachu złodzieja stanowił lepszy azyl niż głęboki cień bocznej alejki. Był skuteczniejszy niż najlepsze przebranie. Warto było znać to, co nim powoduje. A tych, którzy się wyłamują z jego naturalnych odruchów – gwardzistów, żołnierzy, wspólników – identyfikować tak szybko, jak to było możliwe.

Jedna z tych osób siedziała kilka rzędów przed nim. Zakapturzony wojownik, jeden z uczestników Uraldaanu, siedział nieustannie wpatrzony w rząd tych, którzy ustawili się na dole w dwóch szeregach. Podczas gdy cała reszta słuchała herszt-matki, ta jedna osoba wydawała się zupełnie nie zwracać na nią uwagi. Jej wzrok skupiony był na piasku areny.

– Przepraszam – szepnął ktoś po zakkańsku. Stanął u wejścia do zajmowanego przez Toryna i Kai rzędu. – Tam jest moje miejsce.

Oboje machinalnie podkurczyli nogi, pozwalając przejść nieznajomemu. Gdy tylko na wysokości ich oczu pojawiła się sięgająca niemal ziemi dżalabija, spojrzeli po sobie szeroko otwartymi oczami.

To on, szepnęły myśli Toryna, zanim sam zdążył to wypowiedzieć w głowie.

Nieznajomy zajął miejsce po prawej stronie i wychylił się nieznacznie. Oboje spojrzeli na niego uprzejmie, ale nie było możliwości, by nie zauważył, jak kurczowo trzymają się drewna ław ich zaciśnięte dłonie.

– Kai, Torynie – rzekł mężczyzna cichym, łagodnym głosem – mam na imię Madżid.

Toryn odburknął coś, cokolwiek, w odpowiedzi. Kai zachłysnęła się powietrzem.

Zakkańczyk uśmiechnął się, marszcząc bardzo nieprzyjemną, starą bliznę, która biegła pionowo wzdłuż jego lewego policzka. Miał szczupłą twarz o krzaczastych brwiach i wydatnym nosie. Brodę, czarną jak kethryl, przyprószoną zaledwie kilkoma siwymi włosami, miał niedługą, przyciętą na sposób, który robił ostatnio furorę u saahijskiej młodzieży. Jego wiek zdradzały jednak głęboko osadzone oczy. Od kącika każdego z nich ku skroniom szły po trzy głębokie bruzdy zmarszczek, które jeszcze się wydłużyły, gdy Merethe zakończyła przemowę i zgiełk na trybunach wrócił do zwyczajowego natężenia.

– Zdarzyło się, że wylosowaliśmy tę samą połówkę drabinki, *zahar* – powiedział, już głośniej, Madżid i wskazał na wojowników w dole, którzy właśnie rozchodzili się z powrotem ku tunelom pod trybunami. – Mamy szansę przyjrzeć się temu, co reprezentują sobą dzisiejsi zawodnicy.

Toryn przytaknął z nieco większą werwą, niż planował. Obawa przed nagłym ruchem ze strony Zakkańczyka wymiotła niemniej z jego głowy wszelkie trafne riposty. To i fakt, że nazwał go „zahar" – „niedźwiadek".

Madżid oparł się wygodnie i skinął w stronę areny.

– Ja, na przykład, będę dopingował Amila – powiedział. – Bardziej z patriotyzmu niż czegokolwiek innego, rzecz jasna. Słyszeliście o nim? Amil to kapitan książęcej armii, *ilfar* by go *dueb*.

– Po coś tu przyjechał? – warknęła Kai. Wyraźnie odzyskała rezon, a jej ton brzmiał tak, jakby spodziewała się po rozmówcy, że zaraz zacznie się przed nią uniżenie tłumaczyć. – Czego chce ode mnie Silvestri?

– Nie wiem, *elina* – odpowiedział mężczyzna, nie odwracając głowy, a w jego głosie pojawił się nowy, nieprzyjemny zgrzyt. – Jakoś to między sobą wyjaśnicie, jak już przyjdzie co do czego. Ale schowaj ten ton, szkoda marnować dobre powietrze na kiepskie interesy. Dziś jest dzień zabawy i widowiska. Zamierzam czerpać z niego pełnymi garściami i wam też radzę.

Gdy wypowiedział te słowa, Madżid sięgnął do rękawa i tylko chwilowy paraliż spowodowany ukłuciem bólu w potylicy sprawił, że Toryn nie wzdrygnął się odruchowo i nie odsunął. Zamiast ukrytego ostrza Zakkańczyk wyjął jednak małe zawiniątko, z którego wyłuskał garść migdałów.

– Chętni? – zapytał, znów z uśmiechem.

Kai wyciągnęła dłoń, ale Toryn położył na nią swoją, a drugą, na poły zdrętwiałą, wyjął z woreczka kilka słodkich nasion. Nie spuszczając oczu z mężczyzny, przekazał połowę przyjaciółce i również włożył migdał do ust. Ostra przyprawa, w której były marynowane, sprawiła, że mimowolnie zakasłał, czym sprawił, że Zakkańczyk zaśmiał się.

– Ha, ha, *zahar,* oni cię tam zabiją na dole – powiedział. Mimo że nawet nie silił się na powagę, jego słowa brzmiały dziwnie złowieszczo i szczerze. – Co to w ogóle za pomysł, by wziąć w tym udział?

– To jest honorowy turniej – odrzekł Toryn, uprzedzając tym razem Kai. – Honor, Madżid. Kojarzysz coś takiego?

Mina Zakkańczyka stężała i cmoknął językiem, ale nie odpowiedział. Zamiast tego, po chwili ciszy, skinął w stronę pierwszych rzędów.

– Założę się, że tego się nie spodziewałeś.

Toryn powiódł wzrokiem za wskazaniem mężczyzny. Wojownik, ten, który wydawał się nie słuchać przemówienia herszt-matki, zdjął kaptur. Spod niego, ku równoczesnemu zaskoczeniu Toryna i Kai, wylała się kaskada splecionych jasnych włosów. Dopiero teraz złodziej zwrócił uwagę na oczywisty fakt, który z jakiegoś powodu wcześniej mu umknął – człowiek, na którego patrzyli, nie miał prawej ręki.

– Oż kurwa, to Burza... – szepnął Toryn w stronę Kai.

– Burza? – zapytał Zakkańczyk i przysunął się konfidencjonalnie. – Nie, chłopcze. Na imię ma Vaala. Nie powiedzieli ci tego?

Złodziej spojrzał na Madżida. Nagła bliskość człowieka Silvestriego nie była w tej chwili bardziej niebezpieczna od tej sprzed momentu. Jeżeli jego pracodawca czegoś chciał od niego albo od Kai, to informacji. O sekrecie Kaim, o symbolu gwiazdy, o tym, co się za nim kryło. Nie wysłałby za dziewczyną egzekutora, tylko negocjatora. Niewątpliwie Zakkańczyk przybył tu, by wykonać zadanie, ale najwyraźniej również, by dobrze się bawić. I wypadało to wykorzystać.

Poza tym Toryn uznał, że jego ciekawość i tak była w tej chwili silniejsza od strachu.

Najwyraźniej uznając grymas na twarzy Rowańczyka za zainteresowanie, Madżid podjął:

– Słyszałeś o woj-pielgrzymkach tutejszej kasty żołnierzy, *zahar*?

– Słyszałem o... kastach.

– Tak, tego akurat Pahaadowi nie mamy co zazdrościć. Sankcjonowana prawnie bieda to ostatnie, co życzyłbym sobie widzieć na ulicach Saahii i, uwierzcie mi, wy również. Ale ponad biedę tutaj wyrastają sprawni i waleczni. Żołnierze. Inaczej jest tu, inaczej w okolicach Mahatry, jeszcze inaczej dalej w głąb łańcucha. Ale sens pozostaje podobny – kto chce przywilejów, ten musi udowodnić, że na nie zasługuje. To potrafię docenić. Ale że Pahaad od dawna z nikim nie wojuje, chętnym pozostaje woj-pielgrzymka. Wybierają się tacy w świat i zupełnie legalnie najmują do tamtejszych wojsk. Który z generałów jest obyty, ten wie, że mieć takiego Pahaada czy Pahaadkę na podorędziu, to jak mieć drużynę gorzej wyszkolonych żołdaków. Coś jest w tych górach, co sprawia, że ludzi, którzy z nich zejdą, bezwzględnie należy się bać. Nikt nie wie co. – Madżid zaśmiał się. – Bo wszyscy boją się sprawdzić na własną rękę.

– Ta Vaala... – powiedziała Kai. Jeżeli w jej głosie był cień strachu przed Zakkańczykiem, już dawno

uleciał. Toryn nie po raz pierwszy stwierdził, że zazdrości jej opanowania. – Ona wróciła z takiej woj-piel-grzymki, tak?

– Nie wróciła, *elina* – odrzekł mężczyzna, nie spuszczając wzroku z Pahaadki. – Została przyniesiona. A tym samym okryła się w Hurruk i całym Pahaadzie hańbą największą z możliwych. Widziałaś te pomywaczki skomlące o chleb za wyszorowanie byle ganku tu, w czarandze? Widziałaś tych pastuchów, których wyrzucają z targu za to, że za bardzo śmierdzą łajnem przy kupieckich kramach? No, więc po tym, jak powróciła tak okaleczona i praktycznie bezużyteczna, Vaala mogłaby robić za ich spluwaczkę. I nikt nie podniósłby ręki w proteście. Takich jak ona, zhańbionych wojowników, traktuje się tu gorzej niż cokolwiek was spotkało w tym waszym Rowan, że przyjechaliście do nas.

– To co ona tutaj robi? – zapytał Toryn.

– Ktoś się za nią wstawił. – Madżid wzruszył ramionami i rozgryzł kolejny migdał. – Ktoś wpływowy. Być może sam Løc, kto wie, co ich spotkało tam, w wielkim świecie. Ale właśnie dzięki temu zamiast do rynsztoka wrzucili ją do chaty pod czarangą. Do ciebie, *zahar*. Dali jej szansę. Tak jak tobie. I jakbym miał obstawiać, kto z was dwojga dalej zajdzie, moje pieniądze już dawno leżałyby po jej stronie.

Gdy wypowiedział ostatnie słowa, mężczyzna rozgryzł kolejny migdał i uśmiechnął się półgębkiem, brzydko marszcząc bliznę. Toryn zebrał się, by odpowiedzieć, ale zagłuszył go na powrót rozbrzmiały zgiełk. Oczy wszystkich skierowały się na piasek głównej areny, na który z przeciwległych wejść wkroczyli dwaj mężczyźni. Jednym z nich był Løc, który mimo wymiany wierzchniego okrycia z długiej, grubej kamizelki obszytej futrem przy kołnierzu na lekką, niekrępującą ruchów podkoszulkę bez rękawów, wydawał się paradoksalnie jeszcze szerszy.

Być może wynikało to z bezpośredniego porównania z jego rywalem, którym był czarnowłosy chłopak ubrany w białe spodnie o szerokich nogawkach i niebieską koszulę, która ciasno przylegała do ciała. Był młodszy i sporo szczuplejszy od Pahaada, ale nie wydawał się tym przejmować. Nawet z daleka widać było jego szeroki uśmiech. Był pewny swego. Machał do ludzi na trybunach.

Jemu Toryn też zazdrościł opanowania. Ale było w tym obrazku jeszcze coś. Coś, co jego samego wprawiło w konsternację, która szybko jednak zaczęła przybierać oblicze zaniepokojenia.

Obaj zawodnicy dzierżyli w dłoniach po jednej sztuce zdecydowanie nietępej broni białej.

Na trybunach zaległa cisza, którą po raz kolejny dziś rozdarł pohukujący głos herolda przedstawiającego kibicom obu bohaterów pierwszego dzisiejszego starcia.

– Ten drugi – szepnęła mu zaraz potem do ucha Kai – pochodzi z Sebhel. To jakiś ichni książęcy synalek czy bratanek. Arystokracja w każdym razie. Na imię ma Sevar.

– Ta broń... – zagadnął Toryn głosem, który, jak miał nadzieję, nie zdradzał napływających z każdym oddechem fal niepokoju. – Przypomnisz mi zasady tego całego widowiska, kochana?

Zamiast głosu Kai złodziej usłyszał Madżida. Zakkańczyk brzmiał na oburzonego. Albo znakomicie udawał.

– Coś ty myślał, chłopcze? To jest Uraldaan, nie uliczna bójka czy jakieś wolne zapasy. Jeżeli liczyłeś na to, że się z kimś poobściskujesz, to chyba ktoś ci bzdur naopowiadał o tym, co tu ma miejsce. – Mężczyzna wychylił się i spojrzał znacząco na Kai, po czym wrócił do swej pierwotnej pozycji. – Zginąć nie zginiesz,

zahar. Mam przynajmniej taką nadzieję. I zabijać też nikt ci nie będzie kazał. Ale wybierzesz swą broń, a krew poleje się na tej arenie, Rowańczyku. I to wartko.

Toryn zebrał się w sobie i zacisnął pięści – o dziwo, palce, choć zimne i zdrętwiałe od tygodnia, posłuchały jego komendy. Wlepił wzrok w oręż szykujących się do starcia wojowników. Sevar rozgrzewał dłonie. Przerzucał między nimi drzewce szpontonu. Ten był nieco krótszy niż długość jego ciała, zakończony trójkątnym ostrzem i dwoma wystającymi drapieżnie po obu jego stronach metalowymi zębami. Razem tworzyły rodzaj niepełnego trójzębu.

Løc w prawej dłoni ściskał rękojeść prostego miecza. Toryn nie był pewien z tej odległości, ale siermiężność i staroświeckość, jaka biła z formy oręża Pahaada, podpowiadały, że ostrze może i nie jest tępe, ale z pewnością pordzewiałe i szczerbate. Zapewne było też wobec tego ciężkie, ale mięśnie ramienia Løca obracały nim z taką swobodą, jakby zamiast srogim kawałem metalu wojownik wywijał patykiem.

– To jakie są warunki zwycięstwa? – zapytał złodziej w próżnię.

Odpowiedź nie przyszła, bo uwaga wszystkich skupiła się na spłachetku piasku pomiędzy obydwoma zawodnikami na dole. Już się zaczęło. Już krążyli wokół siebie. Sevar zachodził oponenta szerokim łukiem, sprężystość jego kroku zdradzała niezwykłą zwinność. Løc krążył wąsko, spokojnie. Był jak skała czekająca na uderzenie fali.

Naraz ostrze szpontonu błysnęło słonecznym refleksem i publika głośno wciągnęła powietrze. Metal śmignął błyskawicznie, bez ostrzeżenia, ku twarzy Pahaada i zrobiłby w niej szeroką dziurę, gdyby nie nagły unik Løca. Wyraźnie zaskoczony refleksem przeciwnika, ale niewytrącony z równowagi Sebhelczyk zmienił kąt i pchnął jeszcze raz, niżej. Tym razem drzewce zostały zbite płazem miecza. Gdy zauważył szansę na skrócenie dystansu, Pahaad wykonał krok do przodu, ale Sevar wyminął jego pięść i dał susa do tyłu. Wrócili do sytuacji wyjściowej.

Uznawszy, że postąpiłby dokładnie jak ten czarnowłosy, Toryn stwierdził, że choć nigdy nie machał czymś podobnym do jego szpontonu, broń wydawała się idealna dla jego jutrzejszych potrzeb. Lekka i o sporym zasięgu. Kąsała błyskawicznie i nie wymagała poświęcenia zwinności. W duchu zaczął kibicować Sevarowi.

Ten jeszcze raz przerzucił broń między dłońmi i przeskakiwał z nogi na nogę. Ostrze jego szpontonu skrzyło się o łokieć od nosa Pahaada. A potem znów śmignęło, tym razem nisko, w stronę uda. Tak nagła zmiana kierunku sprawiła, że pchnięcie było wolniejsze, ale tylko o mgnienie oka. Løc zdążył wycofać nogę, ale wtedy trójząb pofrunął do góry i zahaczył o skórę.

Trybuny westchnęły, w napięciu obserwując, jak czerwona kreska na ramieniu Pahaada ciemnieje i nabiega krwią, która kilkoma kroplami zaczyna spływać w stronę łokcia. Toryn zdał sobie sprawę, że to była ta zdrowa ręka wojownika.

Sevar wycofał się tylko na chwilę, jaka wystarczyła Løcowi na przerzucenie rękojeści z prawej dłoni do lewej. Tę zaś opuścił przy udzie.

– Co on robi? – szepnęła Kai.

Wyglądało wręcz tak, jakby Pahaad nie był w stanie podnieść lewego ramienia. Sebhelczyk nie zamierzał czekać dłużej, niż to było konieczne. Tym razem szponton śmignął na lewo i ku kolejnemu westchnieniu

widzów rozdarł przeciwnikowi kawałek podkoszulki. Gdy jednak Sevar chciał wycofać potrójne ostrze i odskoczyć swoim sposobem, metal zadźwięczał o metal, a broń niemal wypadła mu z rąk. To uniesiony brzeszczot Løca stanął mu na drodze i z brzdękiem skrzesał kilka jasnych iskier.

W następnej chwili obaj zawodnicy na powrót stali w pozycjach jak tuż przed rozpoczęciem starcia, ale mowa ich ciał była całkowicie odmienna. Choć krwawił, Løc nie przypominał już nieporuszonej skały. Teraz to on lekko przestępował z nogi na nogę. Sevar za to stracił swą pewność. Poruszał się nisko, na ugiętych kolanach. Ostrożnie. Celował ostrzem w prawą dłoń przeciwnika, w której na powrót znalazła się rękojeść jego miecza.

Będzie chciał go rozbroić, pomyślał Toryn. A Løc wtedy...

Pchnięcie nadeszło niewiarogodnie szybko, bez żadnego ostrzeżenia. Trafiło wprost w rękojeść, ale nie w dłoń Pahaada, której już tam nie było. Sevar podążył wzrokiem za palcami oponenta, które chwyciły w locie drzewce szpontonu i z niewiarygodną siłą pociągnęły je do siebie razem. Czarnowłosy nagle stracił grunt pod nogami i poleciał do przodu. Aby nie wywrócić się, puścił broń i zrobił przewrót w przód. Wtedy, łamiąc, wydawałoby się, wszelkie prawa natury, Løc chwycił drugą dłonią puszczony miecz i z rozpędem wbił rękojeść w twarz wstającego Sebhelczyka. Ten złapał się za głowę, zatoczył i upadł na kolana, a spomiędzy palców gęstymi kroplami pociekła mu ciemna krew.

Arena zawrzała od wiwatów.

Toryn obejrzał się na Kai. Jej twarz była biała jak papier.

– Honor, chłopcze – usłyszał z drugiej strony rozbawiony głos Madżida – to nie dać zrobić z siebie zwierzęcia. Ale jak ci ktoś robi krzywdę, nie ma nic zdrożnego w nauczeniu go, by nigdy więcej tego nie próbował. Dobra walka.

*

Druga para zawodników pojawiła się na arenie niedługo po tym, jak opuścili ją Løc i podtrzymywany przez sekundanta Sevar. Obaj zresztą oklaskiwani przez wyraźnie zadowoloną z widowiska publiczność. Również, jak zauważył Toryn, przez Vaalę, która po oficjalnym ogłoszeniu zwycięzcy swą jedyną ręką uderzyła kilkakrotnie o udo. Było jasne, nawet patrząc na tył jej głowy i plecy, że chciała dorwać Løca na arenie.

Po tym, co zobaczył w pierwszym starciu, złodziej wcale nie kwapił się jednak do kibicowania swej Burzy. Po pierwsze dlatego, że Løc wyglądał na kogoś, kto mógłby jej zrobić naprawdę solidną krzywdę, a tego – z jakiegoś powodu – z całego serca jej nie życzył. Po drugie jednak, drabinka była skonstruowana tak, że aby mogli się zetrzeć, i Pahaad, i Pahaadka musieli pokonać przedtem troje innych wojowników, by spotkać się dopiero w wielkim finale. A to znaczyło, że jeżeli zdarzyłoby się, że on, Toryn, wygra jakimś cudem swój pierwszy pojedynek jutro, mógłby trafić na Vaalę w drugim.

Herold, wykazując już teraz pierwsze oznaki zachrypnięcia, zapowiedział i przedstawił nowych rywali. Jednym z nich był Amil, zakkański żołnierz, o którym wspominał Madżid. Na piasku pojawił się ubrany w galową zbroję książęcej armii – prosty hełm z daszkiem, lekką brygantynę w kolorach czerwieni i pomarańczy oraz białe szarawary z kindżałem przytroczonym u boku. Po zakończeniu ceremoniałów zdjął jednak wszystko i pozostał jedynie w niedługich spodenkach i brunatnej pahaadzkiej kamizelce, którą przyjął z rąk adiutanta i

założył na siebie z namaszczeniem – jakby dopiero co odebrał od księcia medal za odwagę. Podziałało – zgromadzeni na trybunach Pahaadzi zgotowali mu tak gromką owację, że nie było sposobu, by jego rywalka nie poczuła się choć odrobinę nieswojo.

Była nią Xho'alla, ciemnoskóra wojowniczka przybyła z deszczowych lasów Maru Atalli. Długie kręcone włosy, związane w gruby warkocz, opadały jej na plecy i ukryte były pod ciasno zawiązaną, kolorową chustą. Powyżej pasa ubrana była w rodzaj drewniano-metalowego pancerza, który przypominał nieco gorset i w absolutnie żadnej konfiguracji nie mógł być wygodny. Mimo to poruszała się gładko i płynnie, niemal hipnotycznie. Niżej szeleściła niedługa spódniczka z suszonych włókien. Na stopach miała proste skórzane sandały.

Przez kilka chwil Toryn szukał wzrokiem u jej jedynego adiutanta jakiegokolwiek oręża, z którym miała stawić czoła Amilowi, ale bezskutecznie. Dopiero gdy gdzieś ponad jej głową pojedynczy odblask słoneczny zdradził obecność metalu, zdał sobie sprawę, że ona już trzyma swą broń. I że jest to długi, cienki i giętki szpikulec, który niemal niewidocznie, jak wąż, wił się w powietrzu w rytm jej ruchów.

– Szczypra – powiedział Madżid i pochylił się, jakby chciał znaleźć się bliżej tego, co za chwilę miało się rozegrać na dole. – Niesamowite...

Toryn przez chwilę wertował karty pamięci w poszukiwaniu tego słowa, ale ubiegła go Kai:

– Widziałam to raz na którymś z bankietów u Silvestriego. Dostał w prezencie od ichniego kacyka. Strasznie zadufany bąbel, kazał się po mieście w lektyce nosić, aż raz w porcie tragarze wywalili się razem z nim i wytoczył się na bruk... nieważne. Mówią, że ta szczypra, że jej brzeszot jest ze specjalnego rodzaju metalu. Takiego, co tylko w Maru Atalli da się go znaleźć. Dochodzi do tego jeszcze oczywiście odpowiednia obróbka, ale efekt jest taki, że drańst wo jest i giętkie, i mocne zarazem.

– Nie tnie – wtrącił się Madżid. – Nie paruje. Tylko dziurawi. Fachowiec mógłby powiedzieć, że to wcale nie broń, tylko... narzędzie.

„Fachowiec", pomyślał Toryn i nagle umiarkowanie przyjemny poranek ponownie uszczypnął go chłodem i obietnicą bólu, który dopiero miał nadejść.

*

– Powiem wam jedno o Amilu – rzekł Madżid, gdy owacje ucichły już po zakończeniu walki i drewno trybun zaczęło trzeszczeć pod naporem na powrót sadowiących się na nim pośladków. – Jak bym sobie tego nie życzył, to doprawdy niegłupi trep. Pod względem instynktu wojownika, bliski geniuszu. Zarobiłby krocie, gdyby dał się skusić chociaż jednej z ofert, które jedni i drudzy nieustannie wystosowują w jego stronę. Ich liczba i obiecane sumy sprawiają, że naprawdę niewiele brakuje, żebym zdjął się zazdrością. Ale problem w tym, że nigdy nie dowodził na prawdziwym polu walki. Nie wie, i wątpię, czy się dowie, nawet po tym, co miało miejsce dzisiaj, ile kosztuje prawdziwy sukces. A Løc to wiedział.

Toryn przywołał jeszcze raz ostatnie momenty pojedynku, który właśnie rozegrał się na arenie, przeciągając napięcie i cierpliwość na trybunach do granicy wytrzymałości. Amil robił kindżałem z szybkością i precyzją, jakiej złodziej nie widział w życiu, ale przez całą walkę zaatakował może cztery, pięć razy. Za trzecim drasnął Xho'allę, która nie pozostawała mu dłużna, ale żaden jej sztych nie trafił w miękkie. Nawet ranna w

udo chodziła wokół niego jak drapieżny kot, szczerzyła się i świeciła szeroko otwartymi oczami. Wiedziała, że jest niebezpieczny, ale miała swój plan na zwycięstwo. Tak jak i on.

Ich podchody na piasku szybko dały Torynowi do zrozumienia, że wystarczyło, by Amil nie dał się sprowokować i był nieco szybszy i agresywniejszy w ataku. Ostrze jego szabli prędzej czy później drasnęłoby ją wystarczająco wiele razy, by sama się poddała z bólu i upływu krwi.

Tyle że nie walczył szablą.

Zakkański kindżał, cięższy i twardszy, zaskakiwał impetem uderzenia, przełamywał parady i kąsał boleśnie i głęboko. Ale był, siłą rzeczy, wolniejszy. A Xho'alla ani myślała swą szczyprą parować. Czekała. Czekała długo, obserwując ruchy Zakkańczyka poprzez czerwoną mgłę bólu, jaką z pewnością zasnuły się jej oczy po głębokim rozcięciu. A gdy pęd jego broni poniósł jego zmęczone mięśnie o pół kroku za daleko po wypadzie, pchnęła z niewiarygodną siłą i precyzją. Dwa razy. A potem miękko odskoczyła o kilka kroków do tyłu. Z początku nikt nie wiedział, co się stało, a potem Amil runął na kolana i podparł się rękoma o ziemię, a jego obie łydki, każda przebita na wylot, spłynęły krwią z czterech wąskich otworów. Mężczyzna sapnął, bardziej z gniewu niż bólu, ale już nie dał rady się podnieść.

Wtedy też Toryn zarejestrował, że oglądając to wszystko, Kai ściska z całej siły jego dłoń i zagryza wargi do białości. Chwilę potem herszt-matka zarządziła przerwę z trybuny nad nimi.

– Uszy do góry, *zahar* – powiedział Madżid, gdy przecisnął się przed nimi ku schodom. – Chyba zwróciłeś uwagę swojej znajomej.

Złodziej odprowadził go wzrokiem. Wciąż nie mógł pozbyć się chłodu, który ogarniał jego ciało, gdy patrzył na jego sylwetkę. A potem popatrzył przed siebie. Tam, siedząc bokiem, czekała na niego Burza. I jej spojrzenie – jak zwykle spokojne, skupione. Jeśli była zaskoczona jego obecnością wśród zawodników jutrzejszych zmagań, nie dała tego po sobie poznać. Skinęła mu głową z najsubtelniejszym cieniem uśmiechu, a potem przeniosła wzrok wyżej. Toryn podążył za jej spojrzeniem.

Nad jego głową za barierkę wychyliła głowę herszt-matka. Patrzyła na niego. Przywoływała go dłonią.

– Chyba czas podnieść tyłek – szepnęła Kai i trąciła go łokciem. – Idź do niej.

– Idziemy razem – odpowiedział Toryn, po czym wstał, spojrzał na Madżida i poprawił na sobie ubranie.

Przyjaciółka położyła mu dłoń na ramieniu. Kątem oka zauważył nagłe zaciekawienie w spojrzeniu przyglądającej się wszystkiemu Burzy.

– Cokolwiek się stanie – powiedziała Kai – pamiętaj o tym, dlaczego to robimy. Pamiętaj o jutrze.

Kai ma oczywiście rację, pomyślał Toryn, wdrapując się po schodach w górę trybun, to była doskonała okazja na to, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat herszt-rodziców czarangi. A jakby zadać odpowiednie pytania – również tego, jak ułatwić sobie wymknięcie się poza chronioną bramę palisady, w stronę Makalu.

A może... po prostu ich do tego przekonać.

Gdy wreszcie wdrapał się na górę i strażnik – w którym poznał owego brodatego Pahaada, który sprezentował mu futro i zaprosił do wspólnego wypicia sjørrpoka – poklepawszy go po ramieniu, przepuścił dalej, Toryn stanął na wprost obliczy Merethe i Sejmona. Uścisnął im dłonie, nieomal sycząc z bólu, a potem zupełnie naturalnie Merethe położyła mu dłoń na ramieniu i wzięła na stronę, podczas gdy jej mąż odsunął się na bok, wciągnąwszy Kai w pozornie niezobowiązującą pogawędkę po pahaadzku.

Rozdzielili nas, pomyślał złodziej. A więc herszt-matka chciała tylko mnie...

Uśmiechnął się uprzejmie, a kobieta zrobiła krok w bok. Ujawniła tym samym stojącego za nią chłopca w wieku od dziesięciu do dwunastu lat. Stał dumnie wyprostowany z hardo wysuniętą do przodu szczęką, choć Toryn dostrzegł, że jest o jedno groźne spojrzenie od tego, by złapać mamę za spódnicę.

– Merethe – powiedział złodziej i ukłonił się nieznacznie, patrząc herszt-matce w oczy.

– Torynie z Rowan – odkłoniła się kobieta i wskazała małego. – To mój syn, Anishor.

Toryn skinął ponownie, tym razem w stronę herszt-dziedzica. Jak na zawołanie nagły powiew wiatru zmierzwił blond czuprynę malca i całkowicie zasłonił mu grzywką oczy. Złodziej użył całego zapasu silnej woli, by nie wyszczerzyć się w uśmiechu szerzej, niżby tego dopuszczał przeciętnie surowy protokół.

– *Apana muuhan kolou* – zwróciła się do syna Merethe. – *Usaese kahin*: dzię-ku-ję.

Chłopiec sapnął, przeczesał dłonią włosy, po czym wydukał po zakkańsku:

– Dzię-ku-ję.

I wiatr znów rozwiał mu dopiero co ułożoną fryzurę.

– I ja ci ponownie dziękuję – rzekła herszt-matka, gdy przeniosła na Toryna łagodne spojrzenie. – Gdybym mogła, Dalia wie, że zyskałbyś moją pomoc i wstawiennictwo. Ale nie tu, nie na Uraldaanie.

Złodziej rozważał przez moment wagę i znaczenie tych słów.

– Szanuję tradycję Uraldaanu – odpowiedział. – Dzięki niej mam szansę na ujrzenie Makalu i godne reprezentowanie mojej ojczyzny.

Ostatnie słowa przecisnęły się przez jego gardło z niemałym trudem i nie było możliwości, by Merethe nie zwróciła na to uwagi. Nie skomentowała ich jednak. Zamiast tego puściła syna ku ojcu, podeszła do barierki i przeniosła wzrok na dół. Toryn zauważył, że spogląda na jednego z zawodników, którzy musieli dosiąść się już po rozpoczęciu widowiska. Z góry widać było tylko, że ma brodę i kępę czarnych kędzierzawych włosów na głowie.

Minęła chwila, zanim złodziej zdał sobie sprawę, na kogo patrzy. Przełknął ślinę, czując nagły przypływ dreszczy.

– Nigdy nie ufałam specjalnie wyspiarzom – powiedziała herszt-matka z nieodgadnionym wyrazem twarzy – ale zazwyczaj przyjeżdżali tu tacy, co umieli się bić. W ten czy inny sposób.

Toryn przypomniał sobie, czego dowiedział się od Kai o swoim jutrzejszym rywalu i co jego umysł chciał jak najbardziej odsunąć od siebie. Kędzierzawy miał na imię Jabar i pochodził, niewiarygodnym zresztą zrządzeniem losu, z Kaim. Przedstawił się jako członek ganijskiej świty, strażników tych niewiarygodnie wysokich i niesłychanie białych murów stolicy. Złodziej nie przypominał go sobie ze swojego pobytu na wyspie, ale na dobrą sprawę przez pół roku nie widział się tam prawie z nikim. Nie było jednak dnia, od kiedy powrócił na kontynent, żeby nie wracał myślami od Maszyny, Geremy'ego i Argusa Bilfura – tego, który powrócił z martwych i zastąpił go na straży tej nieboskiej (a może właśnie jak najbardziej boskiej) krainy.

Jabar najprawdopodobniej nic o tym wszystkim nie wiedział. Pewnego dnia po prostu obudził się w lepszym świecie. Trochę poćwiczył, a potem przyjechał tu komuś wpierdolić.

Z zamyślenia wyrwał Toryna głos Merethe.

– Życzę ci mimo wszystko zwycięstwa. Każdemu tego życzę. – Uśmiechnęła się, po czym odwróciła

się w stronę Sejmona i Kai. Dodała, jakby mówiąc do siebie: – Ciekawe, czy przypasuje mu ten topór, do którego się przymierzał wczoraj... Mężu, nie przeginaj z emablowaniem wybranek zawodników!

Zaskoczony słowami herszt-matki złodziej uniósł do połowy rękę w proteście, ale ze strony pozostałych zgromadzonych na trybunie dobiegł go głośny śmiech z udanego żartu. Przelotnie złowił błysk we wzroku rozbawionej przyjaciółki. I jej lekki, ale wciąż odznaczający się niczym żywy siniak na jej skórze, rumieniec.

*

Trzeci pojedynek dnia miał wyjątkowo niespodziewany przebieg. Najpierw na arenie pojawił się tylko reprezentant Taidanu. Happe, jak go przedstawiono, był ewenementem samym w sobie – niewysokim, baryłkowatym garbusem o szerokim kulfonie i kilku wyraźnie łysych plackach na spowitej zasłoną niedbale zaczesanych, brązowych włosów głowie. W jego ruchach i postawie było widać wyraźne zakłopotanie, gdy niemogąca się doczekać pojawienia się jego przeciwnika widownia skupiała całą uwagę to na nim, to znów na czarnej czeluści kryjącej miejsce, z którego na arenę wkroczyć miał reprezentant Tsukuni.

I gdy oczekiwanie zaczęło się przeciągać ponad cierpliwość niektórych z co bardziej żywiołowych widzów, Madżid, który pojawił się obok bezszelestnie i nie wiadomo kiedy, mruknął w stronę Toryna i Kai:

– To było do przewidzenia. Tak to bywa, kiedy rodzina zmusza cię do czynów, z którymi nie chcesz mieć nic wspólnego.

Gdy zauważył zdezorientowane miny złodzieja i jego przyjaciółki, Zakkańczyk dodał:

– Ten, który ma walczyć z tym garbusem, Tsukuńczyk, przybył tu z ojcem. W zasadzie został tu przez niego przyciągnięty za ucho, sądząc z tego jednego razu, gdy widziałem ich obu na audiencji u herszt-rodziców. Widziałem go też raz, jak ćwiczył. Hen za palisadą, na hali. Był sam, a jego szybkość, z którą robił klingą, jego refleks... No, dość powiedzieć, że Tsukuni nie musiałoby się wstydzić za niego, gdyby tu teraz wyszedł i obrobił tego Taidańczyka na sucho. Tyle że chłopak, widać, całe swoje życie żywił urazę do papcia za to, kogo z niego zrobił. Bo o tchórzostwo bym go nie posądzał. Nie po tym, co widziałem.

– I co teraz? – całkiem szczerze zapytała Kai. – Publika chce widowis...

Jej głos został zagłuszony przez nagły zgiełk na trybunach. Zewsząd rozbrzmiały okrzyki zaskoczenia, protestów i wiwatów.

Toryn oderwał wzrok od Kaimiańczyka, z którym miał jutro stoczyć pojedynek i spojrzał w stronę otwartych wrót, w których wreszcie pojawiła się sylwetka drugiego wojownika. Od razu zauważył jednak, że coś jest nie tak. Zawodnik był siwy na głowie i na bujnych wąsach oraz czerwony na twarzy. Złość wylewała się z niego na zewnątrz wszystkimi porami.

– Ojciec – stwierdził Toryn i przypomniał sobie to, co powiedziała mu Kai, gdy po raz pierwszy pokazała mu piasek sceny, na którym rozegrany miały zostać tryumfalne akty Uraldaanu.

„Arena łaknie potu i krwi”.

Ktoś musi się prędzej czy później pojawić. I zwykle się pojawia, bo na szali leży i nagroda, i honor całego kraju. Wtedy tłuszcza na spółkę z herszt-rodzicami podejmują decyzję: wpuścić nowego śmiałka czy go zabić za zakłócenie świętego porządku Uraldaanu. W tym przypadku, gdy podstawą wymiany były więzy

i narodu, i krwi, uznał Toryn, ojciec tsukuńskiego chłopca miał pełne prawo oczekiwać przyjęcia swej kandydatury.

I rzeczywiście tak się stało. Gotowy walczyć o honor Tsukuni lub zginąć w daremnej próbie jego obrony, ojciec chłopca – Hikiro, jak nazwał go herold – stanął tego dnia naprzeciw garbusa z Taidanu, dzierżąc rękojeść zakrzywionego miecza w dłoniach.

Happe, wyraźnie rozluźniony faktem, że to już nie na nim skupiała się cała uwaga publiczności, zakręcił zawadiacko w powietrzu szczodrze okutą metalem laską, którą zdawał się podpierać, i wyprostował się... choć to było chyba zbyt daleko idące stwierdzenie. Stali tak przez kilka długich chwil i żaden nie kwapił się do zaatakowania. Potem, gdy było już po wszystkim, stało się jasne, że to właśnie wtedy, w tym cichym wpatrywaniu się nawzajem w siebie, Taidańczyk powinien był upatrywać szansy na szybkie trafienie i zwycięstwo. Miał na to ogromne szanse, bo gdy już zwarł się z Hikiro, gdy pofrunęły wokół wojowników pierwsze iskry, co i raz to zaskakiwał go nowym manewrem, gibkością i... wzrostem. Ku zdumieniu Toryna, mimo swej baryłkowatej postury, Taidańczyk co i raz rozwijał tułów jak gąsienica i atakował z góry. Kąsał swym kosturem, zbijał niemrawe próby pchnięć Tsukuńczyka, zanim ten o nich jeszcze pomyślał. Kilkakrotnie solidnie obił rywala, zostawiając mu na twarzy czerwone placki, które jeszcze tego wieczoru miały napuchnąć i zsinieć. Ten jednak ani myślał się poddać. Wręcz przeciwnie, każdy raz wydawał się go otrzeźwiać, wytrącać z niego paraliżującą go złość, uspokajać.

Nie trwało długo, nim Happe, któremu wyczerpały się sztuczki, musiał przejść do obrony. A kiedy to się wydarzyło, kiedy Hikiro poczuł wiatr w żaglach i jego klinga zaczęła pracować szybko i pewnie, los pojedynku był przesądzony. Zapędzony pod ścianę Taidańczyk, wciąż zdeterminowany, ale jednak bezradny, w pewnym momencie zdecydował się na jedyny ruch, którego dotąd nie wykonał, a którego oczekiwała, wydawało się, cała widownia, i to od początku starcia – odbił się od ściany swą krótką nogą i przeturlał się po ziemi. Tsukuńczyk podążył za nim i zamachnął się mieczem ku górze, niemal tracąc przy tym równowagę.

– Nie trafił... – rozległy się zewsząd podekscytowane szepty tych, którzy albo liczyli na zwycięstwo garbusa, albo przedłużenie pojedynku.

Happe błyskawicznie stanął na nogi, które równie szybko jednak się pod nim ugięły. Widząc to, Hikiro schował miecz. Moment później cała arena ujrzała, jak w poprzek okrągłych pleców jego powalonego oponenta wyrasta długa szkarłatna pręga.

Długo, zbyt długo jak na gust Toryna, trwało, nim zniesiono go z piasku i zabrano do, jak miał nadzieję, lazaretu. Rana była czysta, ale długa i głęboka.

Kontemplując wszystko, co wydarzyło się dotąd na arenie, złodziej mruknął:

– To nie tak miało być.

Kątem oka zauważył, że Kai odwróciła się na moment w jego stronę. Odwróciła i natychmiast spuściła wzrok. Z pewnością usłyszała, co powiedział. Usłyszała i nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć.

I to było najgorsze. Bo moment, w którym on miał stanąć tam w dole naprzeciwko kogoś, kto prawdopodobnie nie będzie miał żadnych skrupułów, by go w podobny sposób załatwić, zbliżał się z każda chwilą.

Jeszcze jeden pojedynek. Potem wieczór. Noc, nieprzespana z pewnością. Chłodny poranek. Marsz ciemnym korytarzem. Arena. Szmer widowni. I zawzięte spojrzenie Kaimiańczyka po drugiej stronie.

*

Na ostatnią walkę tego dnia widownia czekała niemal tyle czasu, ile trwały trzy poprzednie starcia łącznie. Tym razem nikt nie wyszedł na arenę, by niecierpliwie kreślić stopą półkola na piasku. Okrąg ział pustką miniaturowych wydm uformowanych przez stopy wojowników.

W pewnym momencie, ku zaniepokojeniu coraz większej części widowni, zauważono, że ci, którzy chcieli opuścić trybuny, byli zatrzymywani przy wyjściach i odsyłani z powrotem na swoje miejsca. Nie wiadomo, kiedy kilku barczystych Pahaadów pojawiło się również przy rzędach zajętych przez pretendentów mających wystąpić następnego dnia.

– To prawdopodobnie po to – skonstatował Toryn – żeby nie wyrzucili nas z nudów na piasek.

Madżid, który miał być adresatem tych słów, przytaknął, ale nic nie odpowiedział, rozglądając się jedynie z uwagą wokoło.

Merethe zauważyła w porę, jak zaraźliwa niepewność zaczyna rozprzestrzeniać się po widowni. Podniosła się na swym podwyższeniu i uniosła do góry dłoń. Gest ten sprawił, że trybuny zaczęły stopniowo cichnąć, a ci, co wstali, powoli opadać z powrotem na ławki. Gdy uznała, że zapanował względny spokój, herszt-matka wskazała ręką swego herolda i na powrót usiadła.

Mężczyzna mówił długo. Toryn zaobserwował, że w miarę trwania tego – dla odmiany nie czytanego z pergaminu – komunikatu twarze Pahaadów i tych z widzów, którzy znali pahaadzki, wydłużają się, a ich usta otwierają się w niemym zdziwieniu. Podobnie było zresztą z Kai, która – gdy herold ostatni raz odchrząknął i zszedł z podwyższenia – zamiast od razu przetłumaczyć całą wypowiedź, wskazała Torynowi arenę.

Na niej pojawiło się kilkoro ludzi. Wśród nich Toryn rozpoznał mającą za chwilę wystąpić zawodniczkę.

– To Elia – szepnęła Kai i wskazała blondynkę z długim warkoczem. Ubrana była w białą koszulę, szerokie beżowe spodnie i brązowe buty z wysokimi cholewami. Prowadzono ją za gruby sznur, którym miała związane ręce. – Przed chwilą ogłosili, że czwartego pojedynku nie będzie. Elia miała się w nim zmierzyć z kimś z Wolnego Miasta Żeglarzy, ale...

Złodziej odwrócił głowę w stronę przyjaciółki, która wzruszyła ramionami i najwyraźniej zastygła tak, nie mogąc z siebie wydobyć dźwięku.

– Zabiła innego zawodnika – dokończył za nią Madżid. – Teraz, niedawno, pod trybunami. No proszę...

Kai przytaknęła.

– To był Taidańczyk – powiedziała.

– Ten garbus? – Toryn zmarszczył brwi.

– Nie, drugi. Miał wystąpić jutro, w pierwszej walce.

– Zgadza się, przede mną – wtrącił Madżid.

– Ale dlaczego...

– Po prostu, *zahar* – westchnął Zakkańczyk. – Po prostu i najzwyczajniej w świecie. Elia jest Imorenką, tamten był z Taidanu. Taidan przed kilkoma tygodniami najechał północ Imoren. Spalił ją, powiadają, do szczętu. Być może była świadkiem tego wszystkiego. Być może znała kogoś, kto to oglądał na własne oczy. Tak czy inaczej wygląda na to, że nie przyjechała tu walczyć.

– Herold powiedział, że zostanie stracona – powiedziała Kai. – Ale nie tutaj. Niepublicznie, tak, aby świat o niej zapomniał. Wcześniej jednak... Wcześniej ją wychłoszczą tu na arenie. Nie chcę, naprawdę nie chcę tego oglądać, Toryn. Wybacz.

Dziewczyna wbiła na chwilę zdesperowane spojrzenie w oczy złodzieja, po czym wstała i ku jego zaskoczeniu szybkim krokiem zeszła po schodach w stronę jednego z wejść na trybuny. Tam zatrzymał ją i zawrócił strażnik.

A więc to była lekcja dla wszystkich, pomyślał Toryn. Obejrzał się najpierw na kamienną twarz Madżida, a potem do góry i za siebie, gdzie na podwyższeniu można było dojrzeć pozostające bez wyrazu oblicza herszt-rodziców czarangi.

„Arena łaknie potu i krwi", pomyślał i pokręcił głową. Spojrzał w dół i z trudem zacisnął oporne palce w pięści. Elia nie mogła być starsza od niego więcej niż o kilka lat. Gruby warkocz spływał na jej plecy, dodając majestatu wyprostowanej, dumnej sylwetce, nawet gdy zaczęli ściągać z niej tę białą koszulę. Nie wyrywała się. Patrzyła przed siebie, jakby poza to wszystko, z niezachwianą pewnością. Znał to spojrzenie. Tak wyglądały oczy ludzi, którzy już umarli, ale ziemia jeszcze nie zdążyła się upomnieć o ich ciała. Z jakiegoś powodu widok tej biednej kobiety, rozbieranej do publicznej kaźni, przywiódł mu na myśl Alyn.

Kurwa mać, pomyślał i zamknął oczy.

Kurwa mać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Szszyjamiesz a kak?

Wszystko od rana było nie tak. Jeszcze przed chwilą ciemność i rozmyty wzrok nie pozwalały zorientować się Torynowi, gdzie się w ogóle znajduje. Teraz widział rzeczy wyraźnie. Pochylającą się nad nim Kai... Piękną Kai... I za nic nie rozumiał, co do niego mówi.

– Ohnyr, dzejwiesz ka a ma...

Jedyne, co mógł zrobić, to wzruszyć ramionami. Przeciskające się między deskami igły światła mówiły mu, że już nastał poranek. Tylko tego mógł być pewien, reszta zmieniała się co chwilę.

Oprócz bólu. Ten nie ustępował nawet na moment.

– Ejpej ot! Toryn! Wypij to!

Kai wcisnęła mu w dłoń garnuszek z naparem, od którego zapachu skręcały się włosy w nosie. Już drugi tego dnia. I po raz drugi tego dnia wychylił go duszkiem. Najpierw zatkał nos, a potem splunął obficie na ziemię. Po pierwszym razie przestały mu trząść się dłonie. Być może po drugim wreszcie będzie mógł się utrzymać na nogach.

Umieram, pomyślał, czując, jak gorący płyn karczuje sobie drogę przez jego przełyk, i zdał sobie sprawę z tego, że wcale nie żartuje.

– Pewnie wyglądam jak... – sapnął. – Pewnie wyglądam...

Nagle wszystko ucichło. Szum trybun i dźwięczenie w uszach. Jego wzrok wyostrzył się i skupił na spojrzeniu Kai. Zdał sobie sprawę, że nastąpiło to zbyt szybko, by była to zasługa ziół. Nie, otrzeźwiło go nagłe uderzenie trwogi. Strachu o to, że Kai zobaczy w nim to, o czym on sam już wiedział.

I że zechce wyjść na arenę za niego.

Rozważała to, widział to w jej oczach. Rozważała stanięcie naprzeciwko wojownikowi z Kaim, który nie będzie miał skrupułów, by ją okaleczyć. Zrobi to z przyjemnością. A trybuny będą mu przy tym wiwatować.

Spróbował zacisnąć palce w pięść. Posłuchały.

– Wszystko w porządku, Kai – powiedział, po czym podniósł się i objął mocno przyjaciółkę. – Dziękuję ci za te zioła. Jest mi dużo lepiej.

– Toryn...

Chciała powiedzieć coś więcej, ale złodziej przerwał jej i przysunął się wraz z nią do szerokiej szpary w ścianie, przez którą doskonale widać było to, co dzieje się na arenie. Wciągnął głęboko w płuca chłodne, świeże powietrze.

– To już oni? – zapytał. – To już Madżid?

Kai milczała przez chwilę, ale w końcu przyjęła ciepło jego objęcia przysunęła się bliżej. Szepnęła:

– Pierwszą walkę... przespałeś. Choć na dobrą sprawę nie była to walka, bo tylko prezentacja zawodnika, z którym miał walczyć ten zabity wczoraj Taidańczyk. Pamiętasz? To też Żeglarz, tak jak przeciwnik tej Imorenki. Upiekło się obu, przeszli dalej bez walki.

Toryn przeczesał włosy i pociągnął nosem.

– Tak po prostu? – zapytał. – Bez ran i zmęczenia... To naprawdę niebywałe szczęście w taki sposób trafić do kolejnej rundy.

– Niby tak, ale za to to ich rywale wybiorą dla nich jutro broń.

– Och...

Huk wiwatów uderzył w deski areny z taką siłą, że Toryn przysiągłby, że zatrzeszczały pod jego naporem. Jeden z wojowników już leżał na piasku. To był ten drugi, rywal Madżida. Podniósł się jednak szybko i wtedy złodziej zauważył, że to była krótko ostrzyżona kobieta. Przewyższała Zakkańczyka o głowę i byłą szczupła, wręcz patyczakowata, ale za to swoimi długimi ramionami i szablą była w stanie długo i skutecznie trzymać go na dystans. Przynajmniej w teorii.

– Nazywa się Ulljana – podpowiedziała Kai Torynowi wyraźnie podniesiona na duchu tym, że cokolwiek do niego docierało. – Jest z Sebhel.

– Jak ten, którego pokonał wczoraj Løc.

Złodziej skupił wzrok na brodatym mężczyźnie, obok którego jeszcze wczoraj siedział na trybunach, przegryzając jego migdały i całkowicie wypierając ze świadomości fakt, że przybył on do Hurruk po to, aby sprowadzić oboje uciekinierów z Saahii z powrotem do miasta. Ubiór Madżida stanowił całkowite przeciwieństwo tego, co w kwestii garderoby mieli do powiedzenia wczorajsi uczestnicy turnieju. Zamiast krótkich rękawów i ciasnych spodni opinała go długa dżalabija, która spływała luźno aż do ziemi i zakrywała nawet jego stopy. Wydawałoby się, że zwykły człowiek prędko zaplątałby się w te wszystkie fałdy, nastąpił na materiał i wyrżnął pyskiem w piach, ale Madżidowi daleko było do zwyczajności. Jego ciało falowało niczym łódka na rzece, płynnie, nie zdradzając kierunku, w którym za chwilę się poruszy i z którego uderzy. W wyciągniętej przed siebie dłoni trzymał niedługi, wąski sztylet, którym powoli i bardzo subtelnie poruszał w lewo i prawo na podobieństwo czujnego węża. Cała jego sylwetka zdawała się mirażem unoszącym się tuż ponad wyprażoną powierzchnią pustyni.

Ulljana podążała za nim ostrożnie. Wiedziała, że ma znaczną przewagę zasięgu, brakowało jej tylko szybkości, więc musiała szukać pewnego trafienia. Wystarczyłoby jedno, resztę załatwiłby impet. Szukała więc, to markując uderzenia, to wyprowadzając błyskawiczne sztychy nisko spod bioder. Madżid był na nie jednak gotowy, jego niewidoczne stopy drobiły z niewiarygodną precyzją i szybkością. Zanosiły go to z lewej strony przeciwniczki, to z prawej, aż ta zaczęła się chwiać na swych długich nogach, tracić koncentrację. Jedyne, co mogła zrobić, aby za moment nie przewrócić się od samego podążania za rywalem, to zakotwiczyć się w miejscu, zbudować na piasku areny fort i razić zza jego nieporuszonych murów. I w momencie gdy to zrobiła, jej pojedynek był przegrany.

Gdy zauważył zmianę w rytmie kroków przeciwniczki, Madżid natychmiast ją obiegł i ustawił na wprost słońca, a potem stało się coś, czego nie spodziewał się nikt. Zakkańczyk zrobił krok do przodu i wykonał nieznaczne pchnięcie nożem w powietrzu. Mimo że wciąż był od Ulljany w odległości dwóch wyciągniętych

ramion, kobieta wygięła plecy w tył, jakby trafił ją prosto w nos, po czym, aby nie upaść, podparła się nogą, zapominając o szabli i obronie. Mężczyzna dopadł do niej jednym susem, uchylił się przed ostatnim rozpaczliwym wymachem pięścią i wbił ostrze w jej prawe ramię. Sebhelka zwaliła się z nóg i gruchnęła o ziemię jak zwitek gałęzi – ku kolejnemu wybuchowi wiwatów z widowni.

– Och... – jęknęła Kai. – Jak...?

– Nie mam pojęcia – odrzekł Toryn, gdy przełknął ślinę. – Zupełnie nie wiem, jak on to zrobił.

– Czy on jej sypnął w twarz piaskiem? Tak się, kurwa, nie godzi!

Zaskoczony wybuchem przyjaciółki złodziej odprowadził wzrokiem Madżida, który odrzucił stopą szablę przeciwniczki, otarł nóż z krwi w jej koszulę, i spokojnym krokiem opuścił arenę.

Spokój. Tylko tego teraz potrzebował. Spokoju i pewności, że wszystko będzie dobrze.

Gdzieś z sali obok dobiegł ich okrzyk wzywający do przedsionków kolejnych zawodników.

– Kai, moja broń...

– Dostaniesz ją przy wrotach. – Kai wzięła w dłonie jego twarz i obróciła ją ku sobie. – Jesteś pewien? Jeszcze jest czas, jeszcze...

– Tak – skłamał. – Jestem pewien.

A potem, nie chcąc dłużej patrzeć w jej na poły zatroskane, na poły przerażone oczy, położył dłoń na jej szyi, przyciągnął do siebie i zamknął jej rozedrgane usta swoimi. A gdy odpowiedziała pocałunkiem, przytulił ją do siebie, starając się nie myśleć, dlaczego zrobił to tak późno.

Oderwali się od siebie nie od razu, chłonąc każdy moment z tej nagłej chwili. Toryn przytknął czoło do jej czoła i wyszeptał:

– Załatwię to raz, dwa i jeszcze dziś albo jutro pójdziemy do Makalu. Zrobię to, choćbym miał wypluć tam wszystkie zęby, Kai. Będziesz mnie chciała takiego? Będziesz mnie chciała bez zębów?

Kai parsknęła i pociągnęła nosem. Otarła z policzka łzę i skinęła głową.

– A teraz popatrz za mną tęsknym wzrokiem, niech poczuję się jak bohater mitu, a nie ktoś, kto zaraz zarzyga Pahaadom ich świętą posadzkę.

Pocałował dziewczynę w czoło, odetchnął głęboko i ruszył w stronę drzwi.

*

„Durny, rudy szkodniku, nie zdziw się, że piszę do Ciebie list we własnej głowie, ale to jedyne, o czym mogę teraz myśleć, żeby nie zwariować. Pocałowałem Kai, wyobrażasz sobie? Po tylu cholernych latach po raz pierwszy ją POCAŁOWAŁEM. Tak naprawdę. I byłbym, kurwa, najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Byłbym, gdybym właśnie nie chwiał się na nogach tuż nad majestatyczną kałużą płynnych wymiocin. Kai chyba nie widziała całej sceny, ale, znając moje szczęście, nie będziesz zdziwiona, że odegrałem ją przed całą widownią w pahaadzkiej czarandze Hurruk tuż po tym, jak otwarły się przede mną wrota areny. To nic wielkiego, ta kałuża – głównie zioła przygotowane przez Kai zmieszane z papką moich nadziei i dobrego samopoczucia. Nie mów jej, proszę, nigdy tego, ale napary, które robi, podniosą nawet zmarłego z grobu, ale, na bogów, nie warto tak żyć.

Powiedziałem jej, że wyjdziemy z tego, że dotrzemy do celu, ale tak się nie stanie. Teraz wiem, jak czuł

się Geremy w ostatnich tygodniach swojego życia, tam, w Maszynie w Kaim, i jeżeli miałbym pewność, że spełni się jedno moje pragnienie, to byłoby nim to, byś wyleczyła z siebie to gówno i nigdy nie musiała przezywać tego, co ja. Za chwilę wejdę tam, drugi durny rudzielec dzierżący broń, której nie używał nigdy w życiu, aby dostać wpierdol i... jakoś dzięki temu zwyciężyć. Jakoś. Wierzę w Kai. Zawsze wierzyłem w Was i tylko Wam. To w siebie wierzę co najwyżej umiarkowanie.

Tam, w oddali przede mną, stoi już na arenie ten brodaty Kaimiańczyk. Patrzy na mnie, ale nie widzę, czy z pogardą, czy z politowaniem. Podobnie jak reszta gawiedzi. Chyba już czas.

Kocham Cię, Alyn.

Kończmy to".

Toryn wyprostował się, zacisnął zęby z bólu, który od rana nie przestał nawet na chwilę rozsadzać od środka jego mostka, i długim krokiem przeszedł nad wsiąkającą powoli pomiędzy drewno i kamienie pozostałością porannych lekarstw. Uniósł wzrok na biel nieba i znajomy już trójkąt ośnieżonego szczytu górującego wysoko nad linią trybun. Jeszcze krok, jeszcze dwa i...

Jakiś cień, niczym wielki ptak, oderwał się od framugi wrót i sfrunął na piasek tuż przed nim. Zaskoczone trybuny zawrzały z podniecenia. To był człowiek.

Klęcząc na jednym kolanie, zakapturzona postać obejrzała się w jego stronę, ale głęboki cień skrył jej twarz. W następnej chwili podniosła się, a następnie uniosła w górę lewą dłoń, a gdy szmer widowni ucichł, wykrzyczała po pahaadzku trzy słowa:

– *Urul rakta vicarra*!

Toryn poczuł, jak krew mrozi się w nim w sople.

– Nie! – wychrypiał, gdy zauważył, jak wrota zaczynają na powrót zamykać się tuż przed nim. – Nie!!!

Ruszył przed siebie, ale dwóch Pahaadów, którzy w porę zorientowali się, co się dzieje, chwyciło go za ręce i wierzgającego odciągnęło do tyłu razem z jego bronią.

Nie musiał rozumieć wykrzyczanych słów. Wystarczyło, że usłyszał ten głos.

*

Urul rakta vicarra. Podejmuję próbę poprzez krew.

Po reakcji zgromadzonych na trybunach areny ludzi, a zwłaszcza dwojga siedzących na honorowym miejscu, na podwyższeniu, Alyn skonstatowała, że powtórzyła słowa Durgi bez błędu. Ale w końcu wypowiadała je w głowie bezustannie przez cały tydzień marszu pahaadzkim Lodomorzem.

Spełniło się wszystko, o czym powiedziała jej staruszka z Mahatry. Długość drogi, ukryte przejście pod palisadą do czarangi oraz niepilnowana drabina na zewnętrznej ścianie areny. Nie pomyliła się, co do dnia – Toryn miał wyjść na arenę dziś, krótko po południu.

A i tak zdążyła w ostatniej chwili. Niemal biegiem wpadła na trybuny, roztrącając strażników, którzy dopadliby ją w pogoni, gdyby nie zdecydowała się przeskoczyć barierki i wylądować bezpośrednio na arenie.

Nie wiedziała, kim był ten, z którym miała walczyć zamiast swojego brata. Tego Durga jej nie powiedziała. Ale jedno spojrzenie na blade policzki i zaczerwienione oczy zaskoczonego Toryna wystarczyło, by upewniła się, że podjęła dobrą decyzję. Teraz, gdy obwieściła wszystkim zgromadzonym swoją wolę, nikt nie

miał prawa jej wypędzić z areny.

Co innego z niej znieść – pomyślała i zagryzła wargę. Zrzuciła podróżniczy płaszcz.

Zważyła w dłoni kozik o drewnianej rękojeści i zakrzywionym ostrzu długim na dwa kciuki. W porównaniu z nahajem, który zwisał złowieszczo wzdłuż nogi jej przeciwnika, była to żadna broń. Prędzej narzędzie, nie tyle do robienia krzywdy, ile do rozcinania sakiewek i kieszeni. Ale jednocześnie takie, którego w ten czy inny sposób używała od lat. Czuła się z nią dobrze. I potrafiła nią zaskoczyć. Poza tym skóra to skóra.

Teraz tylko byle nie przestraszyć się pierwszych trzasków bicza...

Alyn przyjrzała się twarzy kroczącego powoli ku niej mężczyzny. Ewidentnie był zaskoczony jej wtargnięciem na arenę, więc naturalnie zachowywał ostrożność. Krzaczaste brwi kryły jednak jego oczy w cieniu, utrudniając dostrzeżenie kierunku, w którym patrzył. Przeniosła więc wzrok niżej. Na nogi i cienką kreskę końcówki bata, która wiła się po piasku za jego stopami gotowa w każdej chwili wyprysnąć do przodu.

Cokolwiek zrobisz, dziewczyno, zachowaj spokój. Znasz tych, którzy lubują się w dźwiękach strzałów swych nahajów. Widziałaś ich w życiu zbyt wielu i każdy był taki sam. Dla nich liczy się widowisko. Najpierw postraszą.

Dopiero potem będą wyrywać kawałki ciała.

Zauważyła ruch jego dłoni od razu, na długo nim szarpnął za rękojeść i posłał w jej stronę kąśliwy rzemień. Jej ciało zebrało się do uniku, ale wstrzymała je ogromnym wysiłkiem woli. Zdążyła pomyśleć: „chuj, i tak nie będę już ładna".

Trzasnęło z pełną mocą tuż przy jej lewym policzku, aż poczuła podmuch, a dudnienie na moment wypełniło całą jej czaszkę. Wstrzymała oddech i dopiero wtedy odskoczyła, udając oszołomienie. Wycofała się o dwa kroki i potrząsnęła głową. To drugie nie było na pokaz, faktycznie potrzebowała natychmiast dojść do siebie. Tamten już zwęszył ofiarę, poczuł strach i teraz zacznie się bawić. Świśnie jeszcze raz... Teraz!

Trzask!

I potem z drugiej strony.

Trzask!

Zamknie zdobycz w klatce, nasyci się jej bezbronnością, a potem się do niej dobierze. Nie tak, jak by chciał... jak by naprawdę chciał. Nie, na tej arenie wolno mu będzie ją zranić dwa, trzy razy. To wystarczy i do tego, by wygrać, i do tego, by ją okaleczyć. By go zapamiętała na resztę swojego życia.

Złodziejka rozejrzała się wokół po trybunach, szukając oparcia, namiastki przychylności żądnej krwi gawiedzi. Jej wzrok, poprzez rysy podrapanych szkieł, przyciągnęło surowe oblicze Løca, pahaadzkiego łowcy na służbie Taidanu, ale nie miała czasu na zdziwienia. Jedyna myśl, która przefrunęła jej gdzieś, z tyłu głowy, gdy przypomniała sobie ich spotkanie w lesie pod wojskowym obozem, brzmiała:

Przydałaby mi się teraz ta kusza...

A wtedy jej przeciwnik zrobił coś, czego nie była w stanie przewidzieć. Zwinął nahaj w dwie pętle i ruszył w jej stronę szybkim krokiem. Warknął w znanym jej dialekcie:

– Nie będziesz mi się kulić przez cały dzień! – A potem dodał głośniej: – Walcz albo giń!

To był kaimiański... Wyspa, której trawiący jej ciało od środka okruch wciąż, podobnie jak Toryn, nosiła w sobie, znów wyciągała ku niej swe dłonie.

Dłonie.

Zanim wyrwała się ze stuporu, zanim zdążyła zareagować, sylwetka mężczyzny wyrosła tuż przed nią, a Kaimiańczyk zamachnął się i trzepnął ją w twarz na odlew, aż zatoczyła się i splunęła na różowo pod nogi. Instynktownie odsunęła się z powrotem na długość trzaśnięcia batem.

Gdy przetrzeźwiała, błyskawicznie oszacowała straty. Policzek piekł ją jak po rozcięciu, ale nie czuła ciepła sączącej się krwi. Będzie siniak z zadrapaniem, uznała. Prawdopodobnie od twardej skóry rękawicy.

Poprawiła przekrzywione szkła i przyjrzała się dłoniom oprawcy. W jej głowie zaświtał pomysł.

Kaimiańczyk warknął raz jeszcze i znów posłał w jej stronę ukąszenie rzemiennej żmii, tym razem, aby trafić. Ale teraz Alyn była o pół kroku przed nim. Gdy tylko uchwyciła kątem oka gest jego dłoni, dała długiego susa w dół i do przodu.

Przewrót.

Trzask i długi ponowny zamach, w trakcie którego mogła skrócić dystans tak, by nie mógł łatwo rozwinąć nahaja. Ścisnęła w dłoni nóż, drugą wyciągnęła ku jego wolnej ręce. Rozcapierzyła palce niczym drapieżny ptak pikujący na zdobycz, choć wcale nie była pewna, czy przypadkiem nie porywa się na wielkiego kota. Wybiła się... tylko po to, by dostrzec z trwogą, jak również niezwykle zwinny Kaimiańczyk błyskawicznie odskakuje razem z nią. Nie pierwszy raz ktoś próbował go w ten sposób zaskoczyć. Skrócić dystans.

Szarpnięcie na koniuszkach dwóch wyciągniętych palców sprawiło, że mimo to na sekundę złodziejka poczuła tchnienie tryumfu. Udało się jej zaczepić o zwisające między palcami rękawicy rywala pętelki, które służyły do ściągania ich ze spoconej skóry. Miała go, teraz musiała tylko przyciągnąć się i...

Opór zelżał równie błyskawicznie, jak się pojawił, a Alyn musiała wykonać kolejny, dużo bardziej niezdarny przewrót, by nie wylądować pyskiem w piachu. Zerknęła w dół – rękawica mężczyzny została jej w dłoni. A potem przed siebie – końcówka bata frunęła w jej stronę, by wyłupić jej oko w fontannie krwi.

Huk.

Głowa złodziejki sama odskoczyła do tyłu, a dudnienie w uszach zagłuszyło niemal całkowicie ryk widowni. Wystarczyło jedno trafienie.

Dziewczyna stanęła chwiejnie na czworakach i opuściła głowę. Nierówne, wypłowiałe od słońca rude włosy opadły na jej twarz niczym kurtyna. Gdzieś spomiędzy nich na piasek pacnął pierwszy lepki glut, zwiastun długich męczarni i kalectwa. Było po wszystkim.

Oprócz tego, że wcale nie było.

Alyn wyczekała, aż cień Kaimiańczyka zbliży się wystarczająco, i ku powszechnemu zaskoczeniu uniosła głowę. A potem, mając głęboko w dupie fakt, że zagrywa najstarszą kartą w historii, szarpnęła i cisnęła rękawicę wraz z pióropuszem piasku prosto w zarośniętą gębę przeciwnika. Celowała częściowo na oślep, mając zaczernioną pajęczynkę zniszczonego szkła przed jednym i zabrudzoną, zarysowaną soczewkę przed drugim okiem.

Nie czekała na efekt rzutu. Zebrała się w sobie i ze zwisającym z brody soplem krwawej śliny wystrzeliła z miejsca. Z wrzaskiem runęła na przeciwnika, prowadząc ostrze kozika po jego ubraniu, w górę ciała. Nie chciała go zabić. Uszkodzić – już bardziej. Krawędź rozcięła lewą nogawkę spodni, pas, drugi pas, kamizelkę i podkoszulkę mężczyzny – tu i tam głęboko zahaczając o skórę.

Kaimiańczyk zrobił trzy kroki do tyłu. Przy czwartym zaplątał się w materiał własnych spodni i z wyrazem najwyższego zaskoczenia na twarzy klapnął na piasek pośladkami opiętymi niczym więcej jak niezbyt gustownie zwiniętą szmatą. A potem, z góry na dół, cały spłynął gęstą krwią.

Alyn zdawała sobie sprawę, że stojąc nad nim zdyszana, zapluta, z wielką niewiadomą w miejscu, w którym powinna się znajdować lewa oprawka jej szkieł, musiała wyglądać jak dzikuska, która postradała zmysły.

Ale stała.

Stała na nogach, których jedyną i ostatnią rolą było teraz zanieść ją wprost do chorego brata.

*

– Puszczajże, zostaw! – chrypiała jej krtań.

Próbowali ją przytrzymać we dwóch. Albo nawet trzech. Ich pahaadzkie okrzyki docierały do niej z oddali, były nierzeczywiste. Bardziej odległe niż śnieg zwiewany ze szczytów Bhalu Devi.

Kazali jej się przedstawić. Gdy tego nie zrobiła, przystawili jej do szyi ostrze i powtórzyli rozkaz. Więc powiedziała im, jak się nazywa. Powiedziała, skąd jest i jakim prawem pojawiła się na arenie. Mówiła im to wszystko, w każdej chwili gotowa zerwać się z miejsca i poszybować w stronę drzwi, zza których co i raz wyglądała blada twarz Kai.

Kazali jej coś podpisać. Podpisała. Podsunęli kolejny pergamin. Podpisała go też, niemal wydrapując w nim piórem dziurę. Oddała nóż, gdy zażądali. Gdy sięgnęli po jej szkła i rękawicę, warknęła jednak na nich tak, że cały zgromadzony wokół niej zbór strażników, sędziów i innych oficjeli turnieju zrobił instynktownie krok w tył.

Gdy wreszcie ją puścili, zamaszystym krokiem ominęła pielęgniarza, który po nią wyszedł. Nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem. Wchodząc do korytarza, z którego wyglądała przed chwilą jej przyjaciółka, niemal wyrwała drzwi z zawiasów.

Dojrzała go od razu. Toryn leżał przy ścianie, na boku. Jego głowa spoczywała na udach Kai, która głaskała jego włosy. Na twarzy miała grymas, którego Alyn nie widziała u niej od lat – zwiastujący lub będący pozostałością po płaczu.

Złodziejka podeszła do nich i klęknęła blisko. Czuła, jak jeszcze przed chwilą wydzierające się resztką ochrypłego głosu gardło zaciska się i nie pozwala na zaczerpnięcie oddechu. Jej brat był blady, chudy i miał silnie podkrążone oczy. Nawet ubrany w strój wojownika i gładko ogolony wyglądał dużo gorzej niż wtedy, gdy odnalazła go na Górze Gigantów. W jej głowie załopotała nieprzyjemnie skrzydłami myśl o tym, że nie mogło już więcej ubyć z człowieka, nim ten odszedłby w nicość i więcej nie wrócił. Ją też czekał kiedyś ten los, ale Toryn...

Alyn jednym ruchem zdjęła rękawicę z poparzonego przedramienia i zważyła w palcach fiolkę z odnalezionym dla niej przez Zakarego specyfikiem.

Toryn miał jeszcze szansę.

Bez słowa odkorkowała naczynko, z którego szyjki natychmiast wysunęła się ledwo widoczna, niedługa igła. Gdy zrozumiała, co się dzieje, Kai bez słowa podwinęła rękaw złodzieja. Alyn przełknęła ślinę i wbiła

kolec w skórę brata. Fiolka drgnęła i jej zawartość momentalnie zniknęła w jego ciele.

Złodziejka obdarzyła Kai uśmiechem wyrzeźbionym ostatnim okruchem woli i na powrót zacisnęła dłoń na naczynku. Jęknęła z bólu. A potem przysunęła się do przyjaciółki, usiadła na ziemi obok niej, oparła plecami o ścianę i opuściła na jej ramię swoją głowę.

I dopiero wtedy zemdlała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zewsząd pienił się gwar – i zapach – dziesiątek zgromadzonych w tawernie gości. Atmosferę można było rozgarniać rękoma, a gdy ściana szerokich pleców nagle wyrastała przed trójką Rowańczyków z Zakkanu, bywało to wręcz nieodzowne. Wówczas Alyn ostrożnie, ale stanowczo wciskała się w najszerszą szparę między ludźmi, prowadząc za sobą Kai, a Kai Toryna. Rozpoznana, złodziejka przyjmowała gratulacje i ciężkie klepnięcia po plecach dłońmi nierzadko większymi niż łysiejące od wiatru, mrozu i słońca skalne zęby, które towarzyszyły jej przez całą wędrówkę wzdłuż Lodomorza.

Kai była zdecydowanie najbardziej galowo ubrana i dyplomatycznie usposobiona do całej wieczornej „uroczystości". Ta zaś, na pahaadzką modłę, po krótkim, półoficjalnym odczytaniu wyników pierwszej rundy starć Uraldaanu zaraz zamieniła się w regularną popijawę. Zanim sala zatopiła się w chrypiących okrzykach i wiwatach, dziewczyna, nastawiając uważnie ucha, zdołała usłyszeć, a potem przekazać rodzeństwu wynik ostatniego pojedynku. Tego, którego żadne z nich nie zobaczyło, odpoczywając, płacząc i nie posiadając się z radości po spotkaniu w ciemnym korytarzu pod trybunami.

– Wygrała! – krzyknęła prosto w twarz Torynowi i po chwili powtórzyła, gdy zrozumiała, że nawet tak bezpośredni kontakt wcale nie gwarantował w tych warunkach przekazania informacji. – Vaala! Twoja Burza wygrała! Walczyła z Imoreńczykiem!

Złodziej przytaknął, powoli trawiąc tę wieść. Od kiedy obudził się z głową na kolanach Kai, czuł się nieswojo, jak nie we własnym ciele. Cokolwiek podała mu Alyn, cokolwiek przytargała ze swej wyprawy na drugi koniec kontynentu, działało. Nie zdążyła jeszcze niczego opowiedzieć. Ani jemu, ani Kai. Nawet mimo tego, że od chwili ponownego spotkania nie rozstawali się nawet na krok.

Trzymali się razem po części z obawy przed Madżidem, którego cień wciąż przecież padał na ich plany na najbliższą przyszłość. Po części dlatego, że byli zbyt zmęczeni, by gdziekolwiek się rozchodzić. Przede wszystkim jednak z radości. Dlatego właśnie Toryn tak kurczowo ściskał dłoń przeciskającej się z przodu przez ciżbę Kai. A serce, po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy, bolało go z zupełnie innego powodu.

Kai znalazła im miejsce w jednym z rogów sali. Trójka biesiadników usłużnie ustąpiła im miejsca, zachęcona dodatkowo czarującym uśmiechem czarnowłosej dziewczyny, która kokieteryjnie zawachlowała dłonią, w której błyszczały się trzy srebrne monety. Gdy usiedli, okazało się, że nie było tam w zasadzie ani przytulniej, ani ciszej. Żadne z nich nie zamieniłoby jednak tej chwili na żadną inną. To był wieczór tryumfu i celebracji. I to nie pahaadzki turniej grał w nim główną rolę.

Choć dźwigał ze sobą nieprzebrany bagaż słów do wypowiedzenia, Toryn milczał. Spoglądał to na promieniejącą Kai, to na Alyn – obtłuczoną jak jabłko na targu, opaloną jak drewno, chudą i zmęczoną. I szczęśliwą. Niezwykłą. Nawet tu, w tym ciemnym kącie biesiadnej sali, odnajdywaną przez wysoko postawionych

widzów oraz innych uczestników turnieju. Co chwilę przyjmującą zasłużone gratulacje i wyrazy uznania.

Mówiła zatem Kai. A raczej krzyczała, dla bezpieczeństwa po rowańsku, o tym, w jaki sposób, podążając za wskazówkami Zakarego, trafiła do Pahaadu. I jak u stóp Bhalu Devi zamiast odnaleźć to, czego poszukiwała, była zmuszona lawirować i co raz wymykać się ewidentnie polującemu na nią Madżidowi. Ale nawet mimo niepewności związanej z planami zabójcy wysłanego przez Silvestriego, nic nie było w stanie popsuć ich dobrego humoru. Wieczór snuł się melodią szczęścia i ulgi. Mieli dla siebie tylko ten jeden, więc zgodnie zapadła między nimi niewypowiedziana umowa, że nie będą się nigdzie spieszyć.

Alyn słuchała Kai z uwagą. Czuła się tak, jakby zmęczenie wszystkich ostatnich szalonych tygodni uniosło się z jej barków i zawisło nad nią, gotowe niemniej w każdej chwili opaść na nią z jeszcze większym ciężarem. Toryn żył. Może nawet był zdrowy. Kai, wbrew temu, co mówiła, znalazła to, czego szukali. I cierpliwie poczekała na nich. Odnalazła też jakiś zupełnie nowy, nieoczekiwany wspólny język z Torynem. Jakiś nowy – przynajmniej na tę dwójkę – rodzaj relacji, która skrzyła się na styku ich wzajemnych gestów i słów. Trochę im tego zazdrościła. Była wreszcie na powrót z nimi. Kochała ich oboje nad życie. Ale, nie widząc, czy to pokłosie dzisiejszych emocji i pojedynku, czy czegoś znacznie głębszego i poważniejszego, czuła, jakby siedziała nie z dwojgiem najbliższych jej osób, tylko obok nich. Czegoś jeszcze brakowało. Czegoś, czego nie chciała wypowiadać ani na głos, ani nawet w myślach.

Ale myśli, jak już zdążyła się o tym wielokrotnie przekonać, były najwredniejszymi stworzeniami na świecie. Więc szeptały pomiędzy odgłosami rozmów.

Twoja ohydna, bezużyteczna ręka...

Twoje niewidzące oczy...

Twoja zżerająca cię od środka niebieska krew...

Zagłuszyła je dopiero wtedy, kiedy w tawernie zelżał pierwszy ścisk. Gdy pierwsza fala biesiadników przewaliła się i wypadła chwiejnym krokiem ze spoconego ciepła przybytku wprost pod igły pędzonego górskim wiatrem lodowatego kapuśniaka, który szerokim haustem wdzierał się do środka, gdy tylko otwarły się szerzej drzwi. Wyczekała, aż hałas ucichł na tyle, by jej zdarty głos mógł przebić się ponad blatem do uszu brata i przyjaciółki. Pojona miodem przyniesionym przez Toryna to snuła swą opowieść, poczynając od pierwszych dni na pustyni z Fel, to spoglądała rozbawiona na rudzielca z naprzeciwka, który wzdragał się za każdym razem, gdy gdzieś za jego plecami biesiadnicy zaczynali skandować „sjørrpok, sjørrpok!”.

To nie była – bo nigdy nie miała taką być – przyjemna opowieść. Kilkakrotnie, czy to ze zmęczenia, czy luk w pamięci, gubiła wątek i podejmowała historię w zupełnie innym miejscu. Mimo to Toryn i Kai słuchali jej z największą uwagą. Wspólnie opłakali Zakarego i tych członków Valangi, którzy zginęli lub, jak Jeanine, zostali wzięci w niewolę Taidanu. Rozpatrywali, jakie mogły być dalsze losy Fel, Gaela, Reynaulda. Ze szczególną uwagą pochylili się nad słowami Durgi, która z niewiarygodną precyzją przewidziała podróż Alyn do Hurruk i przekazała jej dokładnie, co powinna zrobić, aby ocalić brata – a mimo tego nie potrafiła jej ostrzec przed kamienną lawiną, która runęła na czarangę jeszcze tej samej nocy. A może nie chciała, pomyślała wtedy złodziejka. Może już dawno wiedziała, jak przebiegnie tamta noc i następujące po niej dni? Pewne było jedynie to, że Dalia, tajemnicza bogini, której wydawała się służyć staruszka, była czymś całkowicie innym od „bogów”, których Alyn spotkała czy to na Kaim, czy pod Pustynią Nomadów. A może wręcz przeciwnie. Może

żadne z nich niczym się od drugiego nie różniło... Każde z nich coś obiecywało – złoto, pokój, zdrowie, odnalezienie tego, co zagubione.

Gdy w końcu, po opróżnieniu sporej części antałka gęstego, słodkiego miodowego wina, dotarli do swego aktualnego położenia i każde na swój – mniej lub bardziej nietrzeźwy – sposób wpadło w zadumę nad tajemnicą skrywaną przez dolinę Makalu, główną nagrodą w całej tej drace z turniejem, gdy już mieli na głos wymówić słowa „Maszyna", „bogini" i „choroba niebieskiej krwi", przy ich stoliku zatrzymał się niewysoki jegomość. Nie od razu zdołał skupić na sobie ich uwagę, ale gdy tylko odwrócili w jego stronę głowy, ukłonił się i przedstawił się łamanym zakkańskim:

– Proszę wybaczycie, że wtrącam. Mówię w dialekt Zakkanu, bo wiem, że go znacie. Mam na imię Happe.

Alyn zebrała się w sobie i przyjrzała się uważniej nieznajomemu. Potem zerknęła na Kai, której zmarszczone brwi świadczyły o tym, że skądś musiała go już kojarzyć.

– Happe! – rzekł Toryn, który najwyraźniej pierwszy dodał dwa do dwóch, po czym wstał i podał dłoń karłowi, a następnie wskazał swoje towarzyszki. – To jest Alyn, moja siostra, a to jest Kai. Ja jestem Toryn. Oglądaliśmy wraz z Kai twój wczorajszy pojedynek. Jak twoje plecy?

Wojownik uniósł głowę i machnął ręką w geście, który mógł znaczyć w zasadzie wszystko. Dopiero teraz Alyn zdała sobie sprawę z tego, że to nie był karzeł, tylko garbus. Miał wielkie dłonie i umięśnione przedramiona, które chowały się pod niedługimi rękawami jutowego pledu o prostym czerwono-czarnym wzorze.

– Wtargnąłem – kontynuował Happe – ponieważ całkowicie przypadek sprawił, że usłyszałem w waszym język imiona, które znam z ojczyzny.

Przez moment, który zajęło Alyn przypomnienie sobie, skąd znała tego rodzaju płaszcze, Kai zdążyła przytomnie chwycić ją za dłoń i subtelnie, ale stanowczo przytrzymać w miejscu. Rozumiała, co się święciło. Garbus był Taidańczykiem, a złodziejka, która ledwo co skończyła opowiadać o tym, co wydarzyło się w Imoren, o włos od rozbicia na jego głowie czarki z miodem.

– Imiona te to Abel... oraz tej kobiety – mówił Happe, zupełnie nie przeczuwając, co się święci. – Ja nie potrafię go poprawnie wymówić. Alem słyszał o niej. Branka taidańskiego wojska.

– Jeanine – wysyczała Alyn, wbijając w mężczyznę wzrok tak ostry i skupiony, że nikomu nie przyszłoby na myśl, że przez wieczór pochłonęła tak szczodrą ilość wina.

– Zgadza się – odrzekł Happe i odwróciwszy się w stronę złodziejki, ku jej największemu zaskoczeniu, oddał w jej stronę głęboki pokłon. – Nie ma już dla mnie wiele niczego w tym kraju. W tym turnieju. Powrócę pokonany. Ale umiem doceniać i cieszyć się z nie... nie-by-wałości tego świata. I dziś zobaczyłem taką. Na arenie. Niepodobna mi zatem pozostawiać takiego daru bez odpowiedzi, czy rozumiecie mnie?

Toryn i Kai po chwili wahania przytaknęli. Alyn chwilowo – ale tylko chwilowo – przestała pałać ledwo powstrzymywaną, pijacką żądzą wypatroszenia go kantem stołu.

– A więc owa kobieta żyje i będzie żyć w Taidanie. Wielu moich braci poginie na tej wojnie... wojnie bez sensu. Ale ona będzie żyć. Nie będzie to dobre życie, jeśli jednak wasza wola, po swoim powrocie mogę sprawić, że nie trafi do złego domu. Czy też garnizonu. Tyle mogę zrobić dla Alyn z Rowan za to widowisko.

Złodziejka milczała długo, aż wreszcie westchnęła i – ku zdumieniu brata i przyjaciółki, którzy podskórnie czuli jej wściekłość – położyła Taidańczykowi drżącą jeszcze dłoń na ramieniu.

– Zrób to – powiedziała cicho. – Zrób to dla mnie, Taidańczyku.

Happe skinął głową, ze słabo ukrywanym grymasem bólu ukłonił się jeszcze raz wszystkim, i odszedł w swoją stronę.

– Jestem zmęczona – wyjaśniła Alyn z cieniem uśmiechu na ustach, widząc, z jakim napięciem oboje czekają na jakikolwiek komentarz z jej strony. – To był długi...

Westchnęła.

Rozłąka, pomyślała. To była długa rozłąka.

– Chodźcie, dziewczyny – zakomenderował nagle Toryn z błyskiem w oku, po czym obszedł stół i chwycił siostrę pod rękę. – Jeszcze nie czas rozkładać się po kątach. Musimy się jeszcze zastanowić nad jutrem. Za dużo dziś tego wina.

– To w domu – odrzekła Alyn, gdy wstała, czując, jak słowa zaczęły się w jej ustach wydłużać i wyginać, a podłoga powoli ruszyła z miejsca ruchem obrotowym. – Uch, będę rzygać.

*

Wyszli na ziąb i natychmiast opatulili się, czym tylko mogli, przed nawałem kłującego wiatru. Tuż przy drzwiach minęli Sejmona. Nie przerywając dyskusji z brodaczem, który kilka dni wcześniej docenił drugie z rudego rodzeństwa z Rowan i poczęstował Toryna sjørrpokiem, herszt-ojciec skinął im głową. Złodziej uśmiechnął się krzywo, po czym skulił się w sobie, objął ramionami obie dziewczyny i ruszył wraz z nimi szybkim krokiem przez pustawy plac targowy w stronę areny. Nie miał ochoty ani powodu być w jakikolwiek sposób wylewnym w stosunku do zarządzającego czarangą małżeństwa. Wręcz przeciwnie: od kiedy okazało się, że przeciwnik Alyn wyszedł na arenę z batem w dłoni, a nie toporem, jak zagadkowo – ale dosadnie – zasugerowała mu na trybunach Merethe, nie czuł wobec nich nic prócz nieufności. Herszt-matka ewidentnie rozgrywała podczas turnieju jakąś własną partię. Toryn nie miał żadnego powodu, by przypuszczać, że jej mąż pozostawał wobec niej w całkowitej niewiedzy.

Tym łatwiej, pomyślał, będzie uczynić to, co trzeba.

Pociągnął nosem i machinalnie chuchnął w dłonie, którymi ponownie objął Alyn i Kai. Wino wciąż krążyło leniwie i ciepło w jego żyłach, ale to nie tutejszemu trunkowi zawdzięczał, że zupełnie nie czuł wieczornego zimna, które natychmiast zdjęło jego towarzyszki, ledwo przekroczyli próg. Obudził się – rześki i wypoczęty niczym po długim śnie – gdy trybuny właśnie biły na wiwat zwycięzcy (czy, jak się później okazało, zwyciężczyni) ostatniej dzisiejszej potyczki. Czuł się tak, jakby wszystkie jego mięśnie, od miesięcy przykurczone i spięte, wreszcie zaznały błogości rozluźnienia. A jego myśli – rozbiegane i zogniskowane na podstawowych potrzebach ciała – po raz pierwszy od dawna pozwoliły sobie na poszybowanie szybciej i dalej, hen w świat barw i abstrakcji. Opowieść Alyn o wydarzeniach w Imoren na pustyni zmroziła go i natchnęła współczuciem, ale już zacytowane przez siostrę słowa staruszki, Oka Mahatry, wypowiedziane w tajemnicy na wieży opuszczonego pałacu górującego nad czarangą, sprawiły, że żywo włączył się do rozważań na temat dalszych kroków całej trójki. Celem wciąż była Makalu, ale już nie po to, by zapobiec jego śmierci. Wyglądało na to,

że specyfik przytargany przez Alyn w fiolce przez tyle tygodni ukrytej w rękawicy faktycznie działał cuda. Toryn czuł się tak dobrze, że był bliski surowego zganienia siostry za to, że nie zostawiła ani kropli sobie samej. Ale przecież i tak by tego nie zrobiła, bez względu na to, co on o tym myślał.

Za bardzo go kochała.

Gdy uzmysłowił sobie tę prostą prawdę, odruchowo mocniej przycisnął na wpół pijaną Alyn do siebie i pocałował ją w głowę.

Skoro Durga chce „zuchwałej kradzieży" dla Dalii, to ją dostanie. A że nie zastrzegła, że koniecznie musi jej dokonać jego siostra...

– Ej, wy tam!

Zdyszane zawołanie dobiegło z przodu. Toryn uniósł wzrok i dojrzał szeroką sylwetkę zagradzającego im drogę mężczyzny oraz zarys chudych członków chłopca, który drżał z zimna, kilka kroków za nim.

– Stać! To ty jesteś Alyn?

Nieznajomy wystawił gruby palec w stronę skulonej pod jego pachą złodziejki. Drugą dłoń, jak zdążył zauważyć jej brat, trzymał poza widokiem, na wysokości pasa. Mdłe światło padające z okna chatki po lewej oświetlało pół gładko ogolonej twarzy mężczyzny. Ale to nie kontur blizny, który wgryzał się cieniem w jego brodę, ani długi żołnierski płaszcz, którym był okryty, zaskoczył ich najbardziej. Tylko to, że zwrócił się do nich w czystym języku rowańskim.

– Taaak, poznaję cię, to ty! Och, suko, nigdzie dziś nie pójdziesz! – Wypowiadając te słowa, Rowańczyk powoli wysunął z pochwy długą żołnierską szablę. Skierował jej ostrze w dół. – Czy wiesz, jakiego doznałem upokorzenia?! Czy wiesz, ile straciłem pieniędzy przez ciebie? I przez ciebie też!

Teraz żołnierz uniósł broń i skierował ją w stronę Kai. Toryn poczuł, jak ciała kobiet po jego obu stronach tężeją, choć w całkiem odmienny sposób. Jego przyjaciółka wybierała między pewnością siebie a ucieczką w mrok, która – znając wieloletnie doświadczenie całej trójki – prawdopodobnie by się powiodła. Alyn za to, która niemal natychmiast, wydawało się, wytrzeźwiała, była w bojowym nastroju. Agresywnym. Może nawet nazbyt.

– Chyba wiem, kto to jest – powiedziała półgębkiem Kai.

Toryn przytaknął. Sam się domyślił. Dwukrotnie zacisnął dłonie w pięści i nabrał powietrza w płuca.

– Anders Bestevaar! – wykrzyknął i zrobił krok w przód, jednocześnie stanowczo przytrzymując Alyn i Kai, aby zbliżyły się do siebie nawzajem. Aby były gotowe działać, w razie gdyby towarzysz żołnierza tylko udawał kiść zmarzniętych patyków na wietrze. – Szacowny major książęcej armii Rowan! Jeżeli masz z kimkolwiek tutaj zatarg, to ze mną, bo to moje, Toryna Noëla, nazwisko widnieje na formularzu zgłoszeniowym Uraldaanu. To ja miałem dziś za ciebie wystąpić.

– Taaak, do ciebie też mam sprawę – syknął żołnierz i machnął ostrzem. – Wszystkich was, jak tu stoicie, powinienem aresztować i zawlec do ojczyzny, gdzie już dobrze zająłby się wami wojskowy trybunał! Ale wystarczy mi też, jeśli pójdziecie teraz po któregoś z tych tutejszych przekupnych gównopismaków i odkręcicie to wszystko. Albo że będziecie stawiali choćby najmniejszy, kurwa, opór. To mi dzisiaj też wystarczy! No, jak będzie rudy? I ty, tfu, wojowniczko?

Toryn puścił dłoń Alyn i zrobił kolejny krok do przodu.

– Nie ma sprawy – powiedział, a w jego głosie złodziejka ku swojemu zaskoczeniu usłyszała nieudawaną beztroskę.

Alyn czuła, jak wali jej serce, wytłukując z jej organizmu zamroczenie miodem, ale jej oczy nie chciały współpracować. Anders, Rowańczyk, za którego ostatecznie pojawiła się na arenie, był tylko pomarańczowo-czarną plamą i bez naprawionych... bez nowych szkieł nie mogła liczyć na więcej. Czuła, że powinna była zainterweniować. Teraz. W tej chwili. Ale coś w dotyku dłoni jej brata... dotyku, którego ciepło wciąż jeszcze czuła na skórze, sprawiało, że powstrzymywała się. Zerknęła na Kai, w której spojrzeniu zamiast skupienia lub strachu dojrzała troskę.

Tymczasem Toryn podszedł jeszcze bliżej do żołnierza, miał uniesione ręce w pojednawczym geście. Krótki pomarańczowy błysk podpowiedział Alyn, że Anders cofnął nieznacznie szablę.

– Jestem nieuzbrojony – oznajmił złodziej – ale jeśli ja mogę ci mimo tego dać radę, to na pewno może to zrobić moja siostra.

Anders odwarknął coś w odpowiedzi. Nie schował szabli, ale wyraźnie zastanawiał się nad kolejnymi krokami.

– Ja jednak muszę – kontynuował Toryn, który stał już z żołnierzem niemalże twarzą w twarz – wymóc na tobie przeprosiny za to, że nazwałeś ją suką.

Złodziejka spróbowała oszacować odległość, jaka dzieliła ją od obu mężczyzn, ale Rowańczyk nagle szarpnął się i wszystko przestało mieć znaczenie. Aż skuliła się, gdy po okolicy przetoczyło się trzaśnięcie. Wydawało jej się, że to brodaty Kaimiańczyk wyłonił się z wieczornego mroku, by wywrzeć na niej swym nahajem piekącą zemstę, ale to żołnierz znienacka zatoczył się do tyłu. Nie minęło pół oddechu, gdy trzasnęło jeszcze raz – ostrzej i donośniej, a Anders, już tylko ciemna sylwetka na tle gasnącego nieba nad czarangą, zwalił się z łomotem na ziemię. Jego szabla wylądowała z brzękiem tuż obok. Sekundant, zgodnie z wszelkimi przewidywaniami, odwrócił się i, klekocząc kulasami, wziął nogi za pas.

– Czy ty... – jęknęła Kai. – Czy tyś mu przywalił z...

– To chyba tyle – powiedział Toryn, gdy stanął na powrót przed dziewczynami. Rozcierał zaczerwienione dłonie, a na jego ustach tańczył szelmowski uśmiech. – A co wy na to, żebyśmy pożyczyli jego pomysł i jutro wrócili od pierwotnego planu, według którego to ja miałem walczyć? Dałoby radę?

*

– Nie dałoby – rzekła Kai zrezygnowanym tonem, gdy podniosła głowę znad papierów. – Po pierwsze jest już za późno, po drugie nawet gdyby nie było, to i tak jest to niemożliwe. Nie tak to tutaj działa. Zresztą nagięliśmy tutejsze regulaminy do takiego stopnia, że jeszcze jedno odstępstwo i herszt-rodzice gotowi by byli nas puścić na arenie na golasa przeciwko niedźwiedziom.

– Nie szkodzi, tfu – burknęła Alyn gdzieś spomiędzy kolan, gdzie od dłuższego czasu siedziała na skraju krzesła z pochyloną głową. – Będzie dobrze, Kai. Wyjdziemy z tego. Ale mam jedno pytanie, kochana. Czy my mamy po siedem lat, żebyś mi zalewała wrzątkiem grudę bagna i próbowała to sprzedać jako kawę? Uch, słowo daję, jeśli wezmę choćby jeszcze jeden łyk, to wyleci z powrotem. Nie wiem tylko jeszcze, którą stroną.

– Powiedziałam „leczniczą” kawę – odrzekła Kai, unosząc palec. – Nie kwękaj, już Toryn mniej się od

ciebie mazał.

– Ejże! – zaśmiał się złodziej.

Toryn pogłaskał siostrę po plecach, wziął z jej dłoni garnuszek z ziołami i przystawił go do nosa, czego momentalnie zresztą pożałował.

– Jutro... chrrr... tfu. – Splunąwszy, Alyn otarła rękawem usta i wyprostowała się. – Pogadajmy o jutrze. Na czym stoimy? I dlaczego w ogóle oni każą się tłuc dzień po dniu, przecież to bez sensu!

– Niekoniecznie. – Kai przewróciła kilka kartek i zbliżyła do stołu ogarek. – Doświadczenie uczy, że pierwsze starcia zazwyczaj są wyjątkowo jednostronne. Gdyby turniej był przeznaczony tylko dla pahaadzkich wojowników, walki byłyby dużo bardziej zacięte. Krwawe i wycieńczające. I tego typu prób organizuje się tu w górach prawdziwe mnóstwo. Ale Uraldaan przyciąga gości z innych krajów. To impreza, w której chodzi przede wszystkim o prestiż. No i tę ulotną możliwość zobaczenia przez zwycięzcę mitycznej Makalu. Bo w końcu i tak zwykle wygrywa któryś z tutejszych, a ciekawe starcia zaczynają się dopiero od drugiej rundy. Pahaadzi organizują ten turniej od co najmniej trzech wieków równo co pięć lat, więc chyba wiedzą, co robią.

– No dobrze. – Toryn mimowolnie zahuśtał w powietrzu garnuszkiem i w ostatniej chwili powstrzymał się przed pociągnięciem z niego łyku. – Druga runda. Jak to wygląda?

– Tak, jak można było się tego spodziewać – wzruszyła ramionami Kai. – Zwycięzca pierwszego dzisiejszego pojedynku mierzy się ze zwycięzcą drugiego. Zwycięzca trzeciego ze zwycięzcą czwartego. I tak dalej. Jutro odbędą się wszystkie cztery starcia i Alyn... Alyn wystąpi w ostatnim.

– Z Vaalą – szepnęła złodziejka, kręcąc głową. – Ja cię pierdolę...

– Alyn, na Isztar, głowa do góry – skarcił siostrę Toryn. – Kto inny spośród wszystkich zawodników wie o niej więcej niż ty? Widziałaś ją tam, w Imoren, rozmawiałyście, byłaś niemal świadkiem tego, jak... Przecież kiedy ten skurwysyn Pahaad, ten Løc, wniósł ją do chatki nie tak wcale dawno temu, z ledwo zabliźnionym kikutem, była prawie trupem. Kto w ogóle pozwolił jej się tu bić? Jak to działa? Kai?

– Mówiłam ci. – Dziewczyna odchyliła się na krzesełku i założyła ręce na piersi. – Pozwolono jej wziąć udział w turnieju w uznaniu za jej poprzednie zasługi, które wraz z momentem, gdy pierwszy raz dziś stanęła na piasku areny, zostały na zawsze wymazane z pamięci. Teraz walczy o życie. Mogłabym powiedzieć, że o godność, bo jeżeli przegra, zawloką ją za włosy do najbliższego srajdołu albo w koszuli na halę i każą pracować, aż padnie. Dzień w dzień, z michą zimnej, mokrej kaszy za cały posiłek raz dziennie. Ale to nie będzie oddarcie z godności, tylko śmierć. Tak tu jest. Vaala nie ma żadnych praw. Może tylko walczyć. A tego, że jest sprawna i gotowa dać z siebie wszystko, dowiodła na Agonii.

– Jak... Czym ona walczy? – spytała Alyn. – Wiemy cokolwiek?

– Nie. – Toryn spuścił głowę. – Może jutro, na trybunach...

– Nie będzie okazji – przerwała mu Kai. – Zawodnikom nie wolno od jutra oglądać już innych pojedynków. Będziesz czekała tutaj przez cały dzień, samico. I nikt z nas nie będzie nawet miał jak ci podpowiedzieć... Przynajmniej teoretycznie...

Zaciekawione rodzeństwo zwróciło głowy w stronę przyjaciółki, ale ta pokręciła głową.

– Rozważam kilka pomysłów. Ale to później. Jakkolwiek się skończy jutrzejszy dzień, musimy coś przedsięwziąć w sprawie Makalu. Jest nas troje. To dodatkowe dwie ręce do pracy i jeszcze jedna dupa do

ukrycia przed strażą. A oni pilnują tu naprawdę solidnie. I jest jeszcze Madżid...

– Madżid... – mruknął Toryn. – A nie wystarczy mu powiedzieć, że Silvestri, jego zleceniodawca, przepadł gdzieś w zagubionej oazie na Pustyni Nomadów?

Alyn uniosła brwi.

– Opowiedziałam wam, co widziałam. A wtedy, gdy zobaczyłam go po raz ostatni, nie był martwy. Nie wiadomo, co się z nim stało.

– No to właśnie ci mówię – oznajmił jej brat. – Zginął tam i nigdy nie wróci od Saahii. Nigdy nie zapłaci za to, po co zatrudnił swojego człowieka od zadań specjalnych. Nawet jeżeli to nie jest prawda, historia jest jej tak bliska, że każde z nas byłoby w stanie przekonać Madżida, że tak właśnie było.

– Po mojemu – odrzekła Alyn – komukolwiek zaczniesz nawijać na uszy ten makaron, pęknie ze śmiechu przy pierwszej próbie wyjaśnienia, że Bakkus istnieje i co to w ogóle jest ta cała Maszyna. Ale tę, tfu, sprawę też chyba możemy odłożyć. Pozostaje pytanie, czy chcemy w ogóle pchać się tam, do Makalu.

– Czy chcemy się tam pchać?! – Toryn warknął i odstawił garnuszek na stół z takim impetem, że „kawa" poleciała dalej długim glutem, znacząc za sobą brunatny ślad w drewnie. – Tak, kurwa, chcemy! Chcemy, bo to, co cię zżera od środka, nigdzie sobie nie pójdzie, jeśli ot tak przestaniemy sobie o tym myśleć, Alyn. Szczerze, mam w dupie, czy znajdziemy tam kolejną Maszynę, czy boginię wcieloną, czy skarlałego szamana, który robi pod siebie. Jeśli Makalu ma cokolwiek wspólnego z Kaim i Al-Arak – a, kurwa, ma! – to zgarniesz te szczochy i wydudnisz je ze smakiem. Bo nie mam zamiaru cię stracić. Tym bardziej, jeżeli mogę temu zapobiec. Weź mnie poprzyj, Kai.

Kai, która podczas tyrady Toryna zdążyła wstać, obejść stół i stanąć ramię w ramię ze złodziejem, pochyliła się nad Alyn i pstryknęła ją w czoło. Złodziejka aż odskoczyła, po czym zmarszczyła się i potarła bolące miejsce.

– Dotarło czy mam powtórzyć? – zapytała, a Alyn rozpoznała w jej głosie ton śmiertelnej powagi, jakiego jej przyjaciółka używała w zasadzie wyłącznie wtedy, gdy jej zatarg z kimś osiągał prawdziwie morderczą intensywność.

Złodziejka westchnęła i skinęła głową.

– A teraz – powiedziała Kai – przypomnij sobie jeszcze raz dokładnie słowa tej Durgi o Dalii. I o tym, co owa Dalia chce, żebyś stąd ukradła. A potem, na wszystkich bogów tego świata, prawdziwych i wymyślonych, zróbmy to razem.

*

Alyn nie mogła zasnąć. Sen unosił się gdzieś pod sufitem, pływał w chłodnym, zatęchłym zapachu potu i drewna, ale jak na złość nie chciał w nią wniknąć. Leżała z zamkniętymi oczami, a pod powiekami majaczyły jej naprzemiennie sylwetki Vaali i Żółwia. Nie słyszała oddechów Toryna i Kai, ale sporadyczne szelesty i ciche trzaski drewna upewniały ją w tym, że oni tam są.

Wreszcie są przy niej. W zasięgu ręki.

Przy tej utęsknionej świadomości nie liczyło się nic innego. Ani głód, ani chłód, ani ból siniaków, zadrapań i odcisków na stopach. Ani nawet to, że kiedyś, w odległej przyszłości jutra, znów się z nimi rozłączy.

Zrobi to, by stanąć na arenie naprzeciw najgroźniejszej i najbardziej onieśmielającej swą siłą kobiecie, jaką widziała w życiu. Siłą fizyczną, ale i wewnętrzną, jakiej pozazdrościć mógłby jej z pewnością każdy brudny krzykacz, który wdrapie się na trybuny, by zobaczyć, jak leje się krew.

Ale zrobi to. Stanie naprzeciw niej. Bo Toryn miał rację. Potrzebowała Dalii i wszystkiego, co obiecała jej Durga. Potrzebowała wrócić do domu i po prostu żyć.

Jeszcze tylko Makalu. Ta jedna, ostatnia podróż w nieznane.

Z półsnu, który już prawie, prawie zabrał wreszcie Alyn głęboko w noc, wyrwał ją szept. To był Toryn.

– Kai... Kai, śpisz?

– Nie – odpowiedziała ciszej leżąca z drugiej strony pomieszczenia przyjaciółka. – Ale było już blisko...

– Nie mieliśmy okazji porozmawiać.

– O czym?

– Wiesz o czym.

– A możemy tego nie robić dziś?

– Nie mogę przestać o tym myśleć.

– Toryn, ty głupku, odzyskałeś zdrowie i siostrę tego samego dnia, a do głowy ci chuć strzeliła? Nie możesz choć jedną noc...

– To nie chuć...

– A co?

– Kai...

– No co?

– Kurwa mać – warknęła Alyn swym przeraźliwie ochrypłym głosem, całkowicie już rozbudzona, i poderwała tułów do pionu. – Co to jest, rozmówki przez płot na dziedzińcu? Wiecie, która godzina? Zawrzeć gęby i niech nawet nie usłyszę piśnięcia!

Przez moment, dopóki nie zepsuła efektu parsknięciem, w pomieszczeniu zapanowała idealna cisza. A potem wszyscy naraz roześmiali się na cały głos. Długo, aż zabrakło im tchu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Z dala od swobody i przestrzeni, jaką oferowały trybuny dla zawodników, było ciasno, głośno, i aromatycznie. Ale za to jak najbardziej anonimowo. Madżid, który, podobnie jak Alyn, czekał na swoją walkę w mroku korytarzy wokół areny, nie stanowił dla nich zagrożenia. Nie dziś.

Ale nieodgadnione plany herszt-matki, tajemnica gry, którą prowadziła, sprawiała, że w gąszczu innych ciał, w kakofonii setek zdzieranych wokół gardeł, Toryn czuł się najlepiej. Oboje z Kai nie ulegali złudzeniu, że są dla wścibskich oczu niewidzialni. Ale tłum stanowił znakomitą zasłonę. Zbyt wiele lat spędzili wraz z Alyn, podkradając owoce i sakiewki na rynku Saahii, żeby nie doceniać jego użyteczności. W szumie rozmów, bulgotaniu trunków w gardłach, ryku zadowolonych beknięć czuli się tu jak u siebie. Bezpiecznie – jak za ludzkim murem, który urósł i nabrał grubości zaraz gdy na piasku w dole pojawili się pierwsi ćwierćfinaliści turnieju. Atmosfera zaś, jakże inna niż ta, która panowała na zimnych, pustawych ławkach pod trybuną herszt-rodziców, szybko zaczęła się udzielać i jemu, i Kai.

– Løc ją zniszczy – powiedział Toryn, zacierając ręce. W zasadzie nie wiedział dlaczego.

Kai spojrzała na niego zza przymrużonych powiek, po czym otaksowała oboje zawodników i odpowiedziała:

– Ta Maruanka jest szybka.

Toryn przywołał w pamięci przedwczorajsze starcie kobiety z Kaimiańczykiem, które Xho'alla zakończyła dwoma szybkimi i niesłychanie precyzyjnymi sztychami swej szczypry. Ale zaraz potem przed oczami stanęło mu wspomnienie Pahaada, który zwinnie i z niezwykłą szybkością zbiegł ze skały podczas Agonii i zagroził mu drogę. A potem to z opowieści Alyn, z głębi imoreńskich lasów.

– On jest jeszcze szybszy – odpowiedział i utkwił wzrok w brodatym wojowniku, który rozgrzewał sobie właśnie lewe ramię. – Mysza zrobiła mu potężne kuku tym bełtem. Nie dziwię się, że szuka na niej zemsty. Ale nawet mimo swej kontuzji nie przegra dziś. Mówię ci, to jeszcze jedna niewiadoma w naszym planie. Musimy na niego uważać.

– Dawaj, Xho'alla! – zakrzyknęła nagle Kai, a jej pięść wystrzeliła wysoko w górę. – Dojeb mu!

I choć zarówno budowa, jak i mowa ciał wojowników jeszcze przed rozpoczęciem starcia podpowiadały coś zupełnie innego, wraz z rozpoczęciem pojedynku Toryn stwierdził, że w istocie wyglądało na to, iż Maruanka ma wszelkie szanse Pahaadowi dojebać. Choć niemal drżała z przejęcia i lustrowała szybkimi spojrzeniami swych wielkich oczu całe otoczenie, nie cofała się przed rywalem. Jej szczypra zaś cały czas wiła się niebezpiecznie po lewej stronie Løca, tak jakby szukała sposobności, by całkowicie wyłączyć z gry jego niesprawne ramię... albo zaatakować znienacka to drugie, oznaczone grubą krechą rany po cięciu ostrzem szpontonu i pewnie dzierżące ów prosty miecz, którego rękojeść wybiła oko Sevarowi z Sebhel.

Wystarczyło jedno celne pchnięcie, by przebić na wylot skórę, mięśnie i ścięgna. Pozostawić po ostrzu dwie krwawiące dziury i paraliżujący ból. Tym razem Løc nie mógł zaryzykować przyjęcia nawet jednego trafienia.

Więc, wbrew oczekiwaniom i przyzwyczajeniom niemal całej zgromadzonej na trybunach pahaadzkiej publiki, to on się cofał. Nawet mimo tego, że bez trudu zbijał przewidywalne i niemrawe sztychy przeciwniczki, kroczył powoli do tyłu, wywołując tym samym to sporadyczne gwizdy, to pojedyncze okrzyki niezadowolenia rzucane zza pleców niższych rzędów. Te zaś coraz bardziej ośmielały Xho'allę, która chwyciła wiatr w żagle i zaczęła atakować z większą werwą – agesywniej, szybciej. Kila razy grot jej broni zniknął pod pachą Pahaada, wywołując głośne westchnięcia tych, którzy siedzieli najbliżej, ale ten wciąż tylko się bronił...

Aż wreszcie, dobre kilkadziesiąt kroków od miejsca rozpoczęcia pojedynku, po raz pierwszy oddał. Nagle i niemal niezauważalnie. Ostrze jego miecza spotkało się w powietrzu z pikującą w jego stronę szczyprą i odbiło ją, krzesząc iskry. Siła zamachu sprawiła, że niemal zatoczył się po tym, nie napotkawszy na twardą paradę brzeszczotu, i tylko zaskoczenie Maruanki uchroniło go przed kontrą. Z jakiegoś powodu jednak zdarzenie to wyraźnie rozsierdziło oboje i w następnym momencie niemal skoczyli sobie nawzajem do gardeł, cudem, wydawałoby się, unikając absolutnie śmiertelnych cięć i pchnięć przeciwnika. Z każdym kolejnym wypadem, z każdą fintą dwojga na dole, trybuny coraz bardziej milkły w napięciu i oczekiwaniu. W pewnym momencie słychać było już tylko westchnienia i okrzyki Løca i Xho'alli splątanych w bitewnej furii.

I wtedy, na moment przed tym, gdy się to wydarzyło, Toryn zrozumiał, co tak naprawdę miało miejsce tam na dole.

– Patrz – zdążył szepnąć do Kai i ścisnąć jej ramię.

Jak na dany znak Xho'alla zaatakowała jeszcze raz, ale Pahaad zrobił dokładnie to samo. Z tym wyjątkiem, że kontrcięcie wyprowadził szerokim płazem, którym niczym w pajęczą sieć złapał wąski grot szczypry i odbił go z ogromną siłą, wyginając broń rywalki razem z jej ręką. Jego miecz z ogromnym impetem pofrunął do góry, błyskając w powietrzu refleksami słońca. Zanim zdążył wbić się w piach na drugim krańcu areny, mężczyzna jednym susem doskoczył do Maruanki i złapał ją za szyję lewą dłonią. A potem przewrócił ją i wbił ją pod sobą w ziemię, aż straciła dech. Jedynym, co usłyszeli widzowie, nim straciła przytomność, a trybuny na nowo wybuchły wiwatami, był pojedynczy, rozpaczliwy haust kobiety walczącej o powietrze.

– Och, kurwa... – wymsknęło się Kai.

Toryn na wpół bezwiednie pocałował ją we włosy. Wiedział dokładnie, jakie myśli chodziły jej w tej chwili po głowie.

*

– Boska Isztar, pozwól mi dziś przegrać z Vaalą bez szwanku – mruknęła Alyn, odprowadzając wzrokiem nieprzytomne ciało znoszonej pod trybuny Maruanki.

Odkleiła twarz od szpary pomiędzy deskami i usiadła na ziemi w oczekiwaniu, aż jej wzrok na nowo przyzwyczai się do mroku. Westchnęła.

Løc walczył tak, jakby bełt, który posłała mu prosto w biceps, nawet go nie drasnął. Oprócz przemożnego strachu – paraliżującego, gdyby przyszło jej stanąć naprzeciwko niego na arenie – czuła wobec niego

szczery podziw. Vaala nie mogła udawać, że z jej ręką wszystko jest w porządku. Z pewnością niezaleczony jeszcze do końca kikut musiał jej sprawiać ból przy każdym wysiłku. Zmiana rozkładu ciężaru ciała zaś – wpływać na jej poczucie równowagi. Ale wystarczyło raz na nią spojrzeć, by przekonać się o tym, że była ulepiona z tej samej gliny co jej rodak.

Z długiego zamyślenia złodziejkę wyrwała dopiero narastająca na nowo wrzawa, zapowiedź drugiego starcia. Wstała więc i choć gdzieś z tyłu głowy nieznośny głos powinności podpowiadał jej, że powinna choć odrobinę poćwiczyć, zważyć w dłoni atrapę swej broni w gimnazjum, ciekawość wzięła górę. Za chwilę na arenę miał wyjść pierwszy z dwóch zawodników, którego arena Hurruk jeszcze nie zdążyła zobaczyć w akcji.

*

– Ikke! Ikke!

Choć wcale nie biegła, Fel wpadła w cień chatynki zasapana, ledwo łapiąc oddech. Nie miała daleko, drogę ze swojego lokum pokonała szybkim marszem w zalewie kilka chwil. Wydawało się jednak, że ciągnęły się one godzinami. Może przez lęk, który zalęgł się głęboko w jej sercu w momencie, gdy ujrzała Ifiko martwą na ziemi. Może z powodu odwodnienia, w które bez wątpienia wpadła przez następne dwa dni, przez które nie wychodziła z domu. Rozpaczała, klęła i rozbijała jedna po drugiej karafki z narkotykami znachora. Trzęsły się jej nogi i ręce. Ale strach – mówił Madżid – to narzędzie i nic więcej.

A narzędzie mówiło: działaj.

– Ikke, jesteś tu?

Nie było jej.

Jak to? Powinna być na posterunku, obie znały nawzajem swoje harmonogramy na pamięć. Nie mogło jej tu nie być! Nie w takiej chwili!

Ale Ikke nie było. Były za to uchylone drzwi.

– Ikke... – mruknęła Fel z niedowierzaniem, gdy otworzyła skrzydło szerzej, aż ziejąca z korytarza zimna ciemność rozlała się jeszcze bardziej po wnętrzu. – Coś ty...

Nagle posłyszała szelest. Szelest i stukot z czarnej głębi przed sobą. Chciała zawołać, przekonać się, że to jednak Taidanka, która zrobiła sobie wycieczkę w głąb zejścia ku zalanym włościom starożytnego boga Bakkusa. Ale ugryzła się w język. A gdy ostre krawędzie ścian zamieniły się w oddali pomarańczą odbijanego światła pochodni, przymknęła na powrót drzwi i wycofała się.

Niedaleko. Tak, żeby w razie czego mieć przewagę zaskoczenia. Bo nie mogła się bać tego, kto szedł w jej stronę. Nie mogła się bać ani jednej rzeczy więcej. Nie było już na nic więcej miejsca. Ani w jej głowie, ani w dłoni, której palce bardzo cicho gładziły przynoszący spokój owal kamieni.

Zanim przeszła przez drzwi, nieznajoma postać zgasiła pochodnię, jeszcze w korytarzu. Przezornie, ale niewystarczająco. Przykucnięta między stolikiem a koszem na ubranie Fel poczuła wyraźny swąd dymu, który wraz z ciemnoszarą mgiełką rozgościł się pod glinianym dachem chatynki.

Drzwi, jakby pchnięte, otwarły się na oścież, a czarna sylwetka, która wyszła z nich, natychmiast zamknęła je za sobą i zaryglowała je. Następnie oparła się o nie plecami i powiedziała w przestrzeń:

– *Kaasvot ta naida.*

Jebać by to w twarz.

– Ikke! – wymsknęło się Fel z ust, ale gdy tylko dostrzegła nagły ruch żołnierki w kierunku broni przy pasie, wyciągnęła do przodu ręce i dodała po imoreńsku: – Ikke, to ja.

– Fel! – W głosie kobiety więcej było przejęcia niż strachu czy nagany. – Czy ktoś cię widział? Stało się coś... Coś...

Fel opuściła ręce i podeszła do porucznik, która wyglądała tak, jakby przed chwilą obudziła się z koszmaru. Jej szeroko otwarte oczy błyszczały migotliwymi refleksami nikłego światła, które dostawało się z zewnątrz.

– Ikke, muszę ci coś powiedzieć. To ważne.

– Fel... – Ikke przełknęła ślinę. – Tam na dole... Na dole...

– Tubylcy chcieli mnie zabić! – niemal krzyknęła dziewczyna, chcąc wyrwać kobietę z szoku, czy czegokolwiek, co ją właśnie dotknęło, choć już po fakcie przyznała przed sobą, że wybrała chyba najgorsze z rozwiązań. Mimo to nie było teraz ważniejszej rzeczy. – Posłuchaj mnie, Ikke, proszę. To było dwa dni temu. Nie wiem, dlaczego dopiero teraz... Dlaczego... Chcieli mnie otruć. Rozumiesz? Przynieśli mi zatruty chleb. Dałam kawałek Ifiko i...

Fel urwała, ale tylko po to, by zdążyć wziąć głęboki oddech, nim gardło, przez które próbowała przecisnąć słowa, zamknie się na dobre.

– Zrozum, Ikke, to już jest... chyba... zamach. Rozumiesz? Wiesz, co to może oznaczać?

– Wszystko będzie dobrze – odpowiedziała Taidanka. Ton jej głosu wskazywał, że myślami jest gdzieś daleko stąd.

– Nic nie będzie dobrze... Ikke, na Isztar, jeżeli próbują mnie zabić, jeżeli atakują nas w ten sposób, to nic nie stoi na przeszkodzie, by następnym razem...

– Muszę iść, porozmawiamy potem.

Ikke ruszyła w kierunku wejścia, odtrącając Fel jak małego natręta. Dziewczyna złapała żołnierkę za rękaw i pociągnęła do siebie.

– Ikke, ogarnij się!

Taidanka błyskawicznie wyrwała rękę z uścisku dziewczyny i wzięła zamach, by uderzyć ją na odlew.

– No, dawaj! – Fel uniosła brodę i wysunęła szczękę. – Co takiego zobaczyłaś tam na dole, że zachowujesz się jak idiotka?!

Ikke opuściła rękę i odwróciła się.

– Nieważne – powiedziała cicho. – Powiem mu. Powiem Reynauldowi.

– Co?! Co mu powiesz?!

– Kurwa mać, że nie ma wody! Że nie ma wody tam na dole, rozumiesz?! Nie ma!

Porucznik sapnęła, wyprostowała się i marszem wyszła na zewnątrz.

Fel przez chwilę pozostała w bezruchu, analizując to, co usłyszała, po czym powoli obróciła głowę w stronę drzwi, które prowadziły do podziemnego tunelu.

Jeżeli to prawda, pomyślała, to wszystkie te ciała służek... to Bakkus... to mój ojciec...

Otrząsnęła się i pociągnęła nosem. Przez chwilę bawiła się myślą o zejściu na samo dno i odszukaniu

wrót, za którymi zniknęła wtedy Alyn. Ile to miesięcy? Trzy? Cztery?

Nie, to nie miało sensu. Nie w tej chwili. Jeżeli Ikke poszła prosto do Reynaulda, to ten od razu będzie chciał zbadać podziemia. Po to tu przecież przychodził przez całe tygodnie. Czekając, aż coś się stanie, aż coś się ruszy. Tajemnica leża Bakkusa zżerała go od środka, z dnia na dzień pozbywał się kolejnych warstw siebie, spod których spozierało czyste szaleństwo. Czysta nienawiść.

I teraz, gdy wreszcie się ruszyło, nikt nie był w stanie przewidzieć, co będzie, gdy Reynauld się o tym dowie.

W chwili nagłego olśnienia Fel oparła się plecami o ścianę i osunęła na podłogę.

– Jestem sama – powiedziała w kierunku zaryglowanych przez Ikke drzwi.

Jestem sama, powtórzyła raz jeszcze, tym razem w myślach, ale jej zmęczone dwudniową żałobą i głodówką ciało nie miało siły nawet na to, by się poddać, zatrzymać się. Pędziła przed siebie, niezatrzymana, a napędzała ją czysta siła woli.

I przepojona nią, w tym ciemnym, pustym pomieszczeniu, Fel wiedziała już, co zrobi w następnej kolejności.

*

Niedługo po tym, jak po walce z Løkiem zniesiono z areny Maruankę, trybuny okrzykami powitały Hikiro – siwego ojca, który, podobnie jak Alyn, zastąpił na arenie członka swej rodziny. Złodziejka nie wiedziała, co działo się z jego synem. Prawdopodobnie siedział gdzieś na widowni, zhańbiony i wyklęty z Tsukuni do końca życia jako tchórz, *kaonashi* – człowiek pozbawiony twarzy. Naprzeciw starego stanął Turner – niewysoki, ale szeroki jak dębowy pień reprezentant Santareii, czyli Wolnego Miasta Żeglarzy. A w momencie, w którym obnażył oręż, westchnęła, wydawało się, cała czaranga.

Turner, jak wyjaśnił wcześniej Toryn, nie walczył w pierwszej rundzie, bo jego przeciwniczkę, Elię z Imoren, złapano zaraz po morderstwie, którego dopuściła się na zawodniku z Taidanu. Wobec powyższego to do jego przeciwnika należała decyzja względem tego, jaką ma walczyć bronią. A Hikiro, rękoma czuwających nad turniejem pahaadzkich gwardzistów, dał mu... swój miecz. Ten sam, którym wcześniej chlasnął Happe przez okrągłe plecy. Dłuższy od żeglarskiego kordelasa oręż wyraźnie sprawiał pewien kłopot przyzwyczajonemu do bardziej poręcznych ostrzy żeglarzowi, ale ten po kilku młynkach w powietrzu postanowił go chwycić jedną dłonią. A miał je, jak zauważyła Alyn, całkiem spore.

Ojciec z Tsukuni wybrał dla odmiany kij. Czy raczej drąg, bo grube i zdecydowanie dłuższe od niego samego dźgadło, jakie przytargał na arenę, wyglądało zdecydowanie zbyt imponująco, by nazywać je ot, pospolitym kawałkiem drewna.

To był zdecydowanie krótszy z obu pojedynków. I nudniejszy. Hikiro nie zamierzał się bawić z przeciwnikiem, który wyglądał tak, jakby jednym machnięciem był w stanie przeciąć człowieka na pół. Trzymał go swym kijem na dystans, trykając go co i raz w kostkę czy dłoń. Kąsał go, pozostawiał zaczerwienienia i siniaki. Obserwował, jak tamten traci powoli cierpliwość, jak zbiera się do jednego morderczego ciosu. A gdy Turner wreszcie nie wytrzymał i natarł na dziadka po drugiej stronie całym sobą, gdy dzierżone przez niego ostrze błysnęło nad głową i runęło, by okaleczyć lub zabić, Hikiro zasłonił się kijem. Zbił cięcie w taki sposób,

że żeglarz przeciągnął klingą po całej długości drąga, tracąc równowagę i skręcając przy tym malowniczy, długi wiór. Tsukuńczyk cudem uchronił palce przed odcięciem i natychmiast zmienił postawę. Jednym szybkim ruchem wykonał pchnięcie, a koniec jego kija wyrżnął Turnera na wysokości ust tak, że aż mu odskoczyła głowa. Wedle wszelkich przewidywań w tym momencie było po walce – tak jak i po zgryzie żeglarza. Świadczyła o tym zwłaszcza obfitość krwawej plwociny, z jaką chwiejący się na nogach mężczyzna rozstał się zaraz po zdarzeniu. Ból i szok wywołany rozkruszeniem zgryzu wystarczyłyby, by powalić każdego chojraka. Zwycięstwo Tsukuńczyka natychmiast zresztą odtrąbił nagły zgiełk na trybunach.

Tyle że schowane pod kręconym, wypłowiałym zarostem wargi żeglarza kryły, jak się okazało, dużo mniej zębów, niż można było przypuszczać. Nim ktokolwiek się spostrzegł, Turner stanął pewnie na nogach i choć całą twarz miał usmarkaną gęstym czerwonym glutem, ryknął w złości, zamachnął się i cisnął mieczem w zaskoczonego rywala. Hikiro zdążył się obrócić, ale tylko na tyle, by ostry szpikulec sztychu zamiast piersi rozorał mu ramię. Żeglarz ruszył wówczas na niego z pustymi rękoma. Szybko. Wyciągnął dłonie w stronę dzierżonego przez dziadka kija. By go złapać i wyrwać. Albo przyciągnąć go wraz z nim do siebie – oba rozwiązania były dobre.

Tsukuńczyk zareagował instynktownie. Nie po raz pierwszy mierzył się z kimś, kto rzucał się w ten sposób na zastawioną przynętę, i było to widać jak na dłoni. Wystarczyły dwa ruchy – jeden, by z gracją wyminąć napastnika, i drugi, by wykorzystać ów pęd do posłania drewnianej belki wprost w jego potylicę. Tym razem Turner zwalił się na czworaka, po czym wierzgnął, padł na brzuch i już nie wstał.

Alyn aż wzdrygnęła się, gdy, oglądając całą walkę przez szparę między deskami, poczuła tuż za sobą poruszenie powietrza.

– Alyn, siostra Toryna – usłyszała za sobą ciepły głos, który zwrócił się do niej po zakkańsku. – Nie mieliśmy jeszcze przyjemności się poznać. A szkoda.

Złodziejka obróciła się i w półmroku korytarza pod trybunami ujrzała przed sobą saahijskiego kupca. Nie, nie kupca. Kupcy nosili się mniej pewnie, z przygarbieniem, jakby całym ciałem próbowali otoczyć i ochronić wszystkie swoje pobrzękujące sakiewki. Ten mężczyzna, mimo kropka w kropkę podobnej dżalabii na sobie, zdradzał swój prawdziwy zawód wyprostowaną postawą i czujnym, pewnym wzrokiem.

– Madżid.

– Miło być rozpoznawanym. – Usta Zakkańczyka uśmiechnęły się, ale jego oczy już nie. – Wyrazy uznania za wyśmienite starcie z Kaimiańczykiem. Czyżbyś przestudiowała tamtejsze sztuki walki?

– Nie – odpowiedziała Alyn bez wahania. – Po prostu mam słuch do tego, gdy ktoś próbuje mnie zaatakować.

Do czego on zmierza?

Przypomniała sobie, że Madżid był na wyłącznych usługach Silvestriego.

Silvestriego, który z najwyższym prawdopodobieństwem nie wrócił do Saahii po spotkaniu z własną córką w podziemiach oazy Al-Arak.

Silvestriego, który osobiście albo wysługując się swoimi ludźmi, przywiązał ją do krzesła w nienazwanej piwnicy w kukh. Który udanie odegrał szopkę i pozwolił jej uwierzyć, że została złapana przez Hanso Trzeciego. A potem utopił jej prawą rękę w kotle z wrzącym olejem.

I było bardziej niż prawdopodobne, że Madżid, ten Madżid, który stał przed nią, niewątpliwie próbując wyprowadzić ją z równowagi na kilka chwil przed swoim własnym pojedynkiem, oglądał to wszystko z bliska.

– Skoro masz dobry słuch – mężczyzna wciąż mówił łagodnie – to pozwól, że podzielę się z tobą pewnym spostrzeżeniem, *elina*. Vaala to niezwykła wojowniczka. Jej... ułomność w żadnym wypadku nie czyni jej mniej groźną. Ty... walczyłaś znakomicie. Jak natchniona. Ale Vaala pokona cię wolą zwycięstwa i doświadczeniem.

– Piękne spostrzeżenie. Przenikliwe.

– Jeśli chcesz mieć z nią jakiekolwiek szanse, zabierz jej atut tego doświadczenia – kontynuował Madżid niewzruszony. – Po prostu jej go ukradnij.

– A co ci po moim zwycięstwie? Hę?

– To proste. – Tym razem uśmiechnęły się wyłącznie jego oczy. – Jeśli ja wygram i ty wygrasz, spotkamy się za tą ścianą na arenie. A wtedy, cóż, dostanę całe rodzeństwo za jednym zamachem. Jestem praktyczny.

Gdy wypowiedział te słowa, Madżid skłonił się i ruszył w stronę drzwi prowadzących od holu i bramy na arenę. Odprowadzając go wzrokiem, Alyn zbierała się, by wykrzyknąć w kierunku jego pleców coś o Silvestrim albo lepiej o trupie Silvestriego gdzieś hen, daleko na pustyni, ale ostatecznie nie wydała z siebie dźwięku.

– Mam cię w dupie – mruknęła, gdy Madżid już zniknął z pola jej widzenia, po czym westchnęła i pokręciła głową. – Wystarczyło powiedzieć „mam cię w dupie".

Następnie na powrót obróciła się ku szparze, przez którą widać było arenę i część przeciwległych trybun.

„Całe rodzeństwo", powiedział Madżid.

Żeby się nie posrał z tego pragmatyzmu.

– Żebyś się nie posrał! – krzyknęła prosto w ścianę.

*

Toryn przystanął i rozmasował dłoń, uważnie spoglądając w dół alejki. Palce wciąż miał zaczerwienione. Piekły od uderzeń, którymi poprzedniego wieczoru znieważył Andersa Bestevaara wraz z, wydawało się, trzema pokoleniami jego rodziny wstecz. Dróżka przed nim wiodła do najniżej położonego miejsca czarangi, gdzie znajdował się dom herszt-rodziców. Jakże odmiennie, pomyślał, od Rowan, gdzie możni wychodzą wręcz z siebie, by stawiać swe włości w możliwie najwyżej położonych punktach szeroko pojętej okolicy. Nie, tutaj wyglądało do zupełnie inaczej.

Czując, że wydłuża swój przystanek ponad cierpliwość ciekawskich oczu, które, miał wrażenie, obserwowały go zewsząd, złodziej wybrał lewą uliczkę i podjął niespieszny spacer. Nie miał zamiaru jeszcze tym razem zapuszczać się w stronę chałupy Merethe i Sejmona. Zza jego pleców dobiegały gromkie, choć wytłumione okrzyki tłumu zgromadzonego na trybunach areny, ale nie znaczyło to, że nie było w okolicy nikogo, kto mógłby go w tej chwili przydybać.

Z podjętej w biegu decyzji ucieszył się już po trzech krokach, gdy zauważył, że na ganku domu herszt-rodziców – otoczonym lichym, ale wciąż chyba jedynym w całej czarandze trawnikiem – pojawiła się jakaś

postać. Był to wysoki mężczyzna, który mimo przygarbionej postawy czołem spokojnie sięgał końcówki spadzistego dachu. Kulał, ciągnąc za sobą chudą, wygiętą pod nienaturalnym kątem nogę jak kulę na łańcuchu. W rękach dzierżył miotłę z gałązek.

Zanim posiadłość znikła mu z oczu, Toryn uzmysłowił sobie, kim był ten człowiek. Był jak Vaala, pomyślał. Jak Vaala, która nie wykorzystała swej szansy na wolność w finale Uraldaanu. Wyprutym z dumy i honoru, pozbawionym woli i osobowości. Ale wciąż byłym wojownikiem. Idealnym stróżem.

Gdy uznał, że więcej i tak nie zdziała, nim skończy mu się czas, złodziej obrał kurs na arenę i nadstawił ucha.

Spróbował odgadnąć, czy Madżid już zaczął swoje starcie.

*

Nie jest dobrze, stwierdziła Alyn, czując, jak dobrze znany, nieprzyjemny skurcz choroby niebieskiej krwi boleśnie chwyta jej klatkę piersiową i wyciska z niej powietrze. Madżid i drugi z Żeglarzy, Agra, ganiali się po arenie już nadzwyczaj długo i za chwilę zapewne musiał paść cios kończący całą zabawę. Złodziejka splunęła za siebie i trzykrotnie powtórzyła w myślach prośbę do Isztar, żeby to Zakkańczyk oberwał tym razem.

Jako oręż dla swojego przeciwnika – którego rywal w pierwszej rundzie nie mógł wyjść na arenę z tego prostego powodu, że jego ciało już zdążyło wystygnąć po zdradzieckim ciosie Elii z Imoren – Madżid wybrał szponton. Dokładnie ten sam, z którym Toryn miał wkroczyć na arenę nie dalej niż wczoraj. Być może Zakkańczyk chciał w ten sposób zaleźć mu pod skórę. Jeżeli tak, to miał pecha, bo według porannych ustaleń pomiędzy Torynem, Alyn i Kai akurat w tej chwili złodziej miał być gdzieś zupełnie indziej. To była jedna rzecz, która poszła nie po myśli Madżida.

Drugą było to, że Agra z dziwaczną bronią w dłoni odnalazł się znakomicie.

Na Żeglarzu nie zrobiły wrażenia ani kształt i długość oręża – bo po prostu chwycił je jak harpun i trzymał przy swojej głowie – ani niezwykły, hipnotyzujący sposób, w jaki jego przeciwnik poruszał się po piasku. Ze stopami ukrytymi pod długim materiałem dżalabii Madżid wydawał się pływać po arenie, a jednocześnie nagle i błyskawicznie zmieniał kierunek, w którym okrążał Agrę, starając się wyprowadzić go z równowagi.

Tyle że ten nie z takimi rybami miał już na morzu do czynienia. Nie trzeba było czytać jego życiorysu, by nabrać przekonania, że pokładowe szarpaniny, bitki i bitewki były dla Żeglarza chlebem powszednim. Wystarczyło spojrzeć na jego blizny. Było ich tyle, że trudno było na pierwszy rzut oka stwierdzić, czy na ciele więcej miał szram, czy placków jeszcze nienaznaczonej przemocą skóry.

I tak oto, choć to Madżid powinien był mieć przewagę, mierzyli się jak równy z równym. Zwłaszcza że i tym razem Zakkańczyk postawił na swój sztylet – hipnotyzujący i morderczy przy skróceniu dystansu, na co Agra bynajmniej nie zamierzał mu pozwolić. Tam, gdzie jeden robił krok w przód, drugi robił dwa do tyłu.

Ale mimo tego wciąż, jak nietrudno było skonstatować po reakcjach z trybun, obaj robili nie lada widowisko. Doskoki, wypady, nagłe potknięcia i cudowne ucieczki bez szwanku – każde kwitowane westchnięciami zachwytu i gromkimi brawami.

Od obserwowania pojedynku przez deski w pewnym momencie zaczął Alyn boleć nos uciskany przez chałupniczo poskładane przez siebie szkła. I dokładnie w chwili, w której cofnęła się na moment, by rozmasować bolące miejsce, publika zawrzała i zewsząd rozległ się ryk wiwatów. Złodziejka nieomal upuściła okulary, próbując je błyskawicznie nałożyć z powrotem, a gdy odzyskała już ostrość widzenia, dostrzegła, że...

...obaj zawodnicy stali naprzeciwko siebie w odległości wyprostowanych ramion, ciężko dysząc. Madżid – Alyn musiała zmrużyć oczy i wytężyć wzrok, by upewnić się, że dobrze widzi – świecił zaczerwienionym plackiem gołej skóry na twarzy tam, gdzie jeszcze przed chwilą miał gęsty, czarny i równy żywopłot brody. Wciąż jednak trzymał w dłoni swój sztylet. Agra natomiast miał puste ręce. Szponton leżał na ziemi o kilka długich susów dalej. Obaj dyszeli ze zmęczenia.

I wtedy, jakby na umówiony znak – choć Alyn była pewna, że takowy nie padł z żadnej strony – Żeglarz wyciągnął prawą dłoń w stronę Madżida, który, z kolei, wysunął w jej stronę swoje ostrze. Agra zacisnął palce na sztylecie i szarpnął do siebie, po czym wśród burzy oklasków na stojąco pozdrowił zakrwawioną ręką widzów, a na koniec ukłonił się nieznacznie przed Zakkańczykiem.

Honorowe poddanie walki.

Alyn odwróciła się plecami od całej sceny i oparła o ścianę. Dopiero teraz poczuła, jak szybko bije jej serce. Tak szybko, że niemal nie czuła bólu, który cały czas gdzieś tam był, czaił się pod skórą i żebrami.

– Teraz ja – powiedziała do siebie bez przekonania i niemal roześmiała się na dźwięk tych słów. – Teraz, kurwa, ja.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Choć wydawało się, że upłynął zaledwie moment, wszystkie trzy starcia na arenie w sercu czarangi Hurruk potrwały długo. Tak długo, że gdy Alyn wyszła wreszcie na piasek, słońce zniżyło się nad szczytami Bhalu Devi i było kwestią kilku chwil, nim jego blask i ciepło odpłyną tego dnia na dobre.

– I co? – Toryn roztrącił ciżbę i przystanął na trybunach z powrotem koło Kai.

Z zadowoleniem przyjął fakt, że dziewczyna przycisnęła się do niego bokiem, jakkolwiek bardziej po to, by falujący tłum nie rozdzielił ich oboje, niż z innego powodu. Ale i to było dobre.

– Madżid wygrał – odpowiedziała Kai, po czym strzepała z nosa niesforne pukle rozentuzjazmowanej kobiety z przodu.

– Skurwysyn.

– Zgadza się. A u ciebie?

– Zobaczyłem, ile mogłem. Dam radę.

– Dziś wieczorem?

– Tak będzie chyba najlepiej.

– A co, jeśli Alyn...

– Będzie chciała to zrobić sama? Modlę się do Isztar, żeby w ogóle z nami była tego wieczoru. Popatrz na nią tam na dole. I popatrz na tę babę.

Kai parsknęła.

– „Babę”? To przecież twoja Burza!

– No tak, ale tylko popatrz...

Faktycznie, było na co patrzeć. Różnica we wzroście i posturze obu zawodniczek – nawet mimo tego, że Vaali brakowało całej jednej ręki – była kolosalna. Przy pahaadzkiej wojowniczce jego siostra wyglądała jak dziecko startujące do dorosłego. Vaala uważnie, niewzruszenie wpatrywała się w Alyn, jak wilczyca przyglądająca się okulawionemu zającowi. Siostra Toryna zaś była wyraźnie niespokojna. Przeskakiwała z nogi na nogę, rozgrzewała się, ale nie sposób było nie zauważyć pewnej niezdarności w jej ruchach.

– Boli ją – powiedział cicho Toryn i ścisnął dłoń Kai tak, że dziewczyna niemal syknęła z bólu. – Choroba... Na Isztar, ona nie ma szans. Kai, co my robimy?

– Wszystko będzie dobrze – odpowiedziała Kai. Pusto i bez przekonania.

*

Zaczęło się, zanim zdążyła się zorientować. Przez zgiełk na trybunach – a może szum w uszach, szejtan jeden wiedział w tej sytuacji – nie usłyszała zwyczajowego basu trąby sygnalizującej początek pojedynku. Po

prostu nagle Vaala zaczęła iść w jej stronę. W swej jedynej dłoni trzymała trzonek solidnego toporka, którym – wyglądało – w każdej chwili mogła cisnąć i wyrąbać w czaszce swej niesfornej przeciwniczki srogą przełęcz.

Tak czy siak, pomyślała Alyn, gdy zacisnęła spocone palce na rękojeści noża, to będzie krótka walka.

Nie było innego wyjścia, musiała trzymać się z lewej strony Vaali – tej teoretycznie bardziej niebezpiecznej, bo bliższej jej ręki i broni. Jednocześnie jednak, zmuszając Pahaadkę do ciągłej zmiany pozycji, nie dawała jej czasu na przygotowanie zamachu toporkiem. Liczyła na to, że tak wyprowadzane ciosy kosztowałyby Vaalę utratę części równowagi.

Z takim przynajmniej zamysłem podeszła do tego pojedynku. Szybko okazało się jednak, że Vaala obracała się, odskakiwała i doskakiwała, nawet markowała ciosy, nie tracąc równowagi. W ogóle. Alyn musiała wręcz przywoływać się w myślach do porządku, gdy jej wzrok odpływał bezwiednie, śledząc roztrzęsione pniaki ud wojowniczki. Vaala poruszała się bez wysiłku, stopniowo przejmowała inicjatywę. Nagle to ona sama zaczęła krążyć wokół rudej Zakkanki. Zaciskać wokół niej pętlę.

Tak, to bez wątpienia nie była już zbolała Burza Toryna. To był szkwał.

Huragan.

Kopniak nadszedł znikąd. To znaczy Alyn dobrze widziała wykrok, do którego przymierzała się Pahaadka, widziała moment, w którym oderwała stopę od ziemi, i pióropusz piasku, który podążył za stopą. Tyle że ta zamiast wbić się na powrót w arenę, pofrunęła hen, do przodu, trafiła złodziejkę w pierś i posłała na plecy o dobre kilka kroków do tyłu. Aby tego dokonać, Vaala musiała wykonać niemalże szpagat, ale zrobiła to, a widzom – zupełnie jak Alyn w tej chwili, choć z innego powodu – powietrze uwięzło w gardłach.

Złodziejka podniosła się tak szybko, jak tylko mogła. Wolno. Na tyle wolno, że Pahaadka z pewnością była w stanie doskoczyć do niej, wytrącić jej nóż i zamknąć tchawicę kolanem. Albo jednym ciosem odrąbać jej nogę. A przynajmniej wskazywało na to chwilowe zamroczenie, jakie opadło na Alyn, kiedy na powrót już znalazła się na nogach.

Mimo to Vaala zaatakowała później. Na tyle późno, że złodziejka instynktownie skuliła się i odskoczyła w przód, by wyminąć napastniczkę i wytrącić ją z równowagi uderzeniem biodrem. Robiła to przecież już nie raz. Tak się robiło w konia gwardzistów i ochroniarzy w Saahii. Gdy już czuli smak zwycięstwa, gdy wyciągali ręce po przestraszoną, zaskoczoną zdobycz, ta robiła ostatnią rzecz, jakiej się spodziewali...

Alyn zatoczyła się nieznacznie, odbiegła kilka kroków i odwróciła się. Vaala dopiero odwracała się w jej stronę. A na jej twarzy po raz pierwszy zagościł grymas uśmiechu.

I to nie był wesoły uśmiech.

Olśnienie przyszło tak szybko, jak kolejny wypad Vaali – szybszy niż wcześniejsze, niosący za sobą uderzenie kontrolowanej furii. Alyn odskoczyła do tyłu i zacisnęła mocniej palce na rękojeści. Przecież, gdy ją wymijała, miała doskonałą okazję, jej nóż był w odpowiedniej pozycji, by...

Ale Tabitha...

Ale Godryk...

– Aaaach!

Alyn usłyszała swój własny ryk, przeraźliwy i zachrypnięty, niemalże zwierzęcy. Ból w jej klatce piersiowej eksplodował wraz z uwolnieniem całej tej energii, ale nie czuła, żeby miał ją sparaliżować. Przeciwnie.

Wlewał w nią werwę, zmuszał do działania.

Pozostanie w miejscu oznaczało śmierć.

Pchnęła Pahaadkę pod prawą pachę, a następnie, wraz z kolejnym krokiem, w lewy bok. Vaala odskoczyła przed pierwszym ciosem, drugi zbiła styliskiem. Alyn poczuła zimny podmuch, gdy ostrze topora przecięło powietrze tuż nad jej włosami. Kolejny sztych – w udo. I kolejny unik. Wojowniczka była niesamowicie szybka, jej stopy ubijały piach z gracją i precyzją szermierzy. Jej mięśnie grały jednak pieśń mocy, potęgi. Wystarczyłoby jedno jej uderzenie, jeszcze jeden kopniak, by pozbawić kogoś takiego jak Alyn tchu, a nawet przytomności.

Dlatego złodziejka nie zmierzała się bronić. Mogła tylko napierać. Dopóki starczyło jej sił.

„Zabierz jej atut doświadczenia", powiedział Madżid.

Vaala walczyła przez całe swoje życie. Na arenie, w sali treningowej, na ubitej ziemi i głęboko w lasach Imoren. Wydzierała zwycięstwa nad swymi rywalami brutalnością i refleksem.

Ale nigdy żadnego nie ukradła.

Alyn wiedziała, że sztuczka z susem do przodu i uderzeniem biodrem po raz drugi już nie zadziała. Ale była jeszcze jedna. Najstarsza na świecie. Tylko teraz się nie zatrzymać. Nie zwolnić tempa. Walczyć tak, jak walczyłby Żółw. Uporczywie. Zawzięcie.

Sztych, doskok, unik, cios, cięcie. Cięcie!

Gdy rękojeść noża zadrżała w ręce złodziejki, ta niemal zachłysnęła się powietrzem z przejęcia. Ostrze, które zahaczyło o przedramię Vaali, było suche i czyste, ale obie wiedziały już, że za chwilę na skórze Pahaadki wyrośnie szkarłatny wodospad krwi.

– Waaalcz! – ryknęła Alyn, zmuszając się do kolejnego wypadu i jeszcze jednego ataku.

Gdyby teraz się zatrzymała, Vaala od razu wyczułaby swój moment. I nie zakończyłoby się na rozcięciu.

Topór przeciwniczki przefrunął z prawa na lewo nad głową złodziejki i wtedy Alyn instynktownie zrobiła to, na co czekała – wydawało się – cała arena. Przeniosła ciężar z tylnej nogi na przednią, zaryła stopą i wzbiła w górę chrzęszczącą lawinę piasku – prosto w twarz pędzącej Vaali.

Jeszcze nie mogła zadać ostatecznego ciosu, jeszcze potężna ręka Pahaadki była w stanie trafić ją, nawet na oślep, i zgruchotać jej czaszkę. Ale Alyn nie celowała w ciało. Wolną ręką dosięgnęła furkoczący w powietrzu jasny warkocz rywalki, po czym jednym ruchem pociągnęła go do siebie i jednocześnie drugą ręką cięła nożem. Głowa Vaali odbiła do przodu, a złodziejka ścisnęła w dłoni pukiel jej włosów.

Była tylko jedna naturalna reakcja, jaką mógł mieć człowiek pozbawiony znienacka tak ważnej części swego ciała. Swego wizerunku. Osobowości. Odruchowe sięgnięcie ręką, by przekonać się, czy to, co się wydarzyło, to prawda. I był tylko jeden sposób na to, by sprawić, by Vaala odsłoniła się na atak.

Teraz! – usłyszała w swej głowie Alyn, jeszcze zanim jej przeciwniczka pomyślała nawet, by unieść swą jedyną rękę. Skoczyła do przodu. – Za moment zrobi to, odsłoni się wreszcie, a wtedy wbiję ten nóż... Wbiję go w... Dlaczego ona nie podnosi ręki?!

Zanim nagła biel, czerwień, a następnie czerń zakryły jej pole widzenia, Alyn zdążyła tylko odnaleźć wzrokiem oczy Vaali. Nieustępliwe i niezłomne. A potem zasłonił je rozmazany kawał żelaza.

Nie bolało, gdy obuch topora huknął ją w skroń. Nie bolało również, gdy ziemia z ogromnym impetem

wyrżnęła w jej plecy. Gdy jej wzrok odzyskał wreszcie pozbawioną szkieł nieostrość, złodziejka skrzywiła się od natarczywej, głuchej wrzawy na trybunach, która próbowała wwiercić się w jej głowę. Ta zaś była jak z lodu. Zimna i krucha.

Nad sobą ujrzała ciemną sylwetkę swej rywalki. Vaala stała nad nią z toporem w dłoni, z której rytmicznie skapywały krople krwi. Oddychała ciężko. Gdy upewniła się, że Alyn ją widzi, pochyliła się do Rowanki i powiedziała coś po pahaadzku. Alyn zrozumiała tylko słowo „Valanga".

A potem wojowniczka przydeptała prawą rękę oszołomionej dziewczyny, uniosła topór w geście tryumfu i wbiła jego ostry koniec wprost w środek jej dłoni.

To, zdążyła pomyśleć Alyn, zabolało jak mało co przedtem. Ale tym razem nie miała już siły krzyczeć.

*

Toryn zerwał się z miejsca i pociągnął za sobą Kai, jeszcze zanim Vaala postawiła stopę na dłoni jego siostry. Wiedział, co za chwilę się stanie, wiedział, jakie były zasady. Czego pragnęła arena.

Przeskoczył barierkę z takim impetem, że gdyby nie specyfik od Alyn, który wciąż krążył w jego żyłach, lądując, połamałby sobie na dole ręce, żebra i kostki. Ku zdumieniu po części własnemu, po części kilku gapiów, którzy śledzili jego lot, zetknął się z ziemią lekko i po pojedynczym przewrocie stanął pewnie na nogach.

– Skacz! – krzyknął do wyraźnie wstrząśniętej Kai wysoko w górze. – Dawaj, złapię cię!

Przez moment zdawało się, że czarnowłosa dziewczyna w porę opamięta się, nim szaleństwo pchnie ją w objęcia rychłej śmierci lub kalectwa. W następnej chwili jednak i ona oderwała się się od skandującej ściany ciał, a jej kolorowy, pahaadzki płaszcz zafurkotał tylko, znacząc tor jej lotu.

Toryn wpierw zgiął się, amortyzując sobą jej upadek, a potem wykonał szybki przewrót w tył i na powrót chwycił dziewczynę za rękę. Oboje, niezatrzymywani, popędzili co tchu do leżącej na piasku Zakkanki, od której, z toporem wyciągniętym wysoko nad jej głową, odchodziła właśnie Vaala.

– Alyn! – sapnął Toryn, gdy uklęknął przy siostrze. Ostrożnie wziął w obie dłonie jej zakrytą rękawicą, przedziurawioną rękę. – Alyn, jesteś z nami?

– Musimy ją zanieść do lazaretu! – warknęła Kai, choć wzrok miała przepełniony bólem. – Teraz!

– N-nie będzie... – wysyczała przez zęby Alyn, gdy brat położył jej zakrwawioną dłoń na jej brzuchu, po czym chwycił ją za plecy i nogi. Wstał. – Nie będzie Makalu, Toryn... To koniec.

– Bądź cicho teraz – odpowiedziała idąca przodem Kai, ostrzej, niż było trzeba. – Oddychaj. Damy radę.

– Słyszysz, Myszo? – powiedział Toryn siostrze do ucha. – Będzie dobrze. Patrz.

Zbliżając się do czerni rozwartych w oczekiwaniu wrót, oboje spojrzeli do góry, gdzie ręce rozwrzeszczanych kibiców wirowały jak smagany tajfunem las. I gdy już mieli przekroczyć próg, z góry spadł na nich rzęsisty deszcz.

– Szyszki! – krzyknęła Kai, to zasłaniając się przed chropowatym gradem, to obracając przed oczami wyłapany w locie pocisk.

– Musiałyśmy dać tam niezły popis... – wydusiła z siebie złodziejka, czując, jak twarde kłosy stanowiące wyraz najwyższego uznania na arenie Hurruk obijają się o jej twarz, tułów i ręce. Jak na brzuchu zbiera się ich

już całkiem spora kupka.

– Najlepszy. – Toryn uśmiechnął się i pocałował Alyn w czoło. – Cokolwiek się jeszcze rozegra na tym piasku, Pahaad nie zapomni was na długo.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Jest i nasza pretendentka – powiedziała herszt-matka z uśmiechem, gdy weszła do improwizowanego pokoiku głęboko pod trybunami. – Pozdrawiam cię w imieniu Hurruk i całego Pahaadu.

Toryn zerknął na bladość Alyn, którą dodatkowo akcentowały głębokie cienie pod jej oczami. Musnął wzrokiem gruby opatrunek, którym obwiązana była jej poparzona i poharatana dłoń. Westchnął, patrząc, jak jego siostra z trudem podnosi się na łóżku. Jak bezskutecznie walczy o to, by nie okazać na zewnątrz bólu, który trawił ją od środka.

Merethe, jeśli zwróciła uwagę na którąkolwiek z tych rzeczy, nie dała tego po sobie poznać.

– Wspaniały pokaz, Alyn. Widziałam się przed chwilą z Vaalą, która prosiła, bym przekazała ci wyrazy najwyższego uznania. To było niesamowite.

– Dziękuję – odpowiedziała złodziejka z większą werwą, niż wskazywałby na to jej obecny stan. – To dla mnie wiele znaczy.

Toryn ostatkiem sił powstrzymał się od parsknięcia. Mysza wciąż pamiętała, jak zgrywać uległość wobec możnych. Tyle szuflad padło dzięki temu jej łupem w Rowan. Tyle skrzyń.

– Wraz z zamknięciem ćwierćfinałów Uraldaanu – kontynuowała herszt-matka – organizujemy dziś w naszym domu skromny poczęstunek dla jego uczestników. Nieformalnie i, broń Dalio, bez żadnej presji. Twój brat również może się uznawać za zaproszonego. I przed tobą, Kai, nasze drzwi będą otwarte.

Złodziej złowił wzrok przyjaciółki. Czy myślała o tym samym, co on?

– I, Alyn, mam też nadzieję, że nie czujesz się nazbyt przybita wynikiem dzisiejszej potyczki. O tyle, o ile wyjaśniła mi całą sprawę Kai, rozumiem motywację twoją i twojego brata. Zdążyłam już zresztą polubić go prywatnie na jakiś czas przed początkiem całej tej imprezy.

Toryn uśmiechnął się pod spojrzeniem Merethe, ale nie umknął mu niepokojący błysk w jej oku.

– Jeżeli będzie to dla was jakiekolwiek pocieszenie, jestem dumna z tego, jak zaprezentowało się Rowan na turnieju. Nie słyszeliście tego ode mnie, ale wysiudanie tego rycerzyka wyszło nam wszystkim na dobre. A jeżeli i to nie poprawia wam nastrojów, to weźcie pod uwagę jeszcze jedno – za dwa dni, w półfinale, naprzeciw Vaali stanie nie kto inny, tylko wasz Madżid. – Herszt-matka zamilkła na moment dla efektu, wyraźnie delektując się tym, jak ten prosty fakt wpłynął na wyrazy twarzy trojga młodych Rowańczyków z Zakkanu. A gdy uznała, że wystarczy ciszy, z emfazą rasowej przywódczyni zakomenderowała: – No, wystarczy tego, na mnie już czas. Mam nadzieję, że zobaczymy się niebawem u nas.

Merethe odwróciła się na pięcie i wyczekała, aż Toryn i Kai naturalnie wyprowadzą ją z pokoiku, a następnie pożegnają ją kilkadziesiąt kroków dalej, u głównego wyjścia z areny.

Gdy już zapach wilczego futra i piżma rozwiał się na dobre w półmroku korytarza, Kai odwróciła się

do złodzieja.

– Toryn...

– Wiem. – Chłopak wytrzymał przenikliwe spojrzenie Kai. – Wiem, że tak byłoby prościej. I będzie prościej. Zatroszczę się o to. Ale mimo wszystko będzie tam tyle ludzi. Jeżeli miałbym to zrobić, musielibyśmy uciekać. Już dziś. Tej nocy.

– Tak. I jestem na to gotowa.

– Ale Alyn nie jest. I... wiem, co działo się dziś na arenie. Oboje to widzieliśmy. Ale teraz... Teraz wygląda tak, jakby od tamtego momentu minęły tygodnie.

– To najpewniej zmęczenie. Szok i zmęcz...

– To choroba, Kai – odrzekł Toryn głośniej, niż zamierzał. Po czym dodał półszeptem: – Twoje zioła nie pomogą jej tym razem. Ona miała mieć dużo więcej czasu. Tyle co ja. Ale przyjrzyj się jej. Jest źle. Tak, jakby...

– Jakby jej drugie spotkanie z Maszyną w Al-Arak przyspieszyło chorobę. To chciałeś powiedzieć? – Choć Kai puściła uszczypliwość mimo uszu, jej głos zdradzał gniew. I strach. I niepewność.

wszystko naraz.

– Sama to widzisz. Przyznaj.

– Skoro tak, musimy się spieszyć. I tak, i tak.

– I zrobimy to. Tylko nie teraz. Nie dziś.

– Czego nie zrobimy dziś?

Usłyszawszy pytanie siostry, Toryn przystanął zaskoczony. Nawet nie zauważył, jak przemierzył z Kai całą długość korytarza z powrotem i znalazł się na granicy światła rzucanego przez dwie tlące się w rogach pokoiku lampy.

– Toryn rozważał... – zaczęła Kai.

– ...czy powinniśmy powiedzieć o Maszynach ludziom. Czy powinniśmy to rozgłosić. Do niedawna byłem bardzo przeciw, ale teraz...

– Och, ja go namawiam cały czas – podchwyciła Kai z szelmowskim uśmiechem. – Czy to bogowie, czy cokolwiek innego, wpływają na nas. Na ludzi wokół swych siedzib. I daleko, daleko od nich. A oni? Modlą się. Jakby nie mogli pójść do nich i złożyć im swych próśb i żądań osobiście.

– I co? – Toryn odwrócił się w stronę przyjaciółki, czując, jak improwizowana dyskusja bardzo szybko zaczyna chwytać go za gardło. Przełknął ślinę. – I mają do nich pójść jak trzoda pod ostrze? Widziałem to, Alyn również, i to dwukrotnie. Gdziekolwiek jest Maszyna, gdziekolwiek ulokował się „bóg", tam wokół niego zebrali się wyznawcy. Bezwolni, żyjący w ułudzie, pozbawieni życia. Na Iszt... uch, na los! Na los, który nas tu sprowadził, jeżeli legenda Makalu jest prawdziwa, może właśnie znajdujemy się w samym centrum ludzkiego skupiska kontrolowanego przez ich Dalię. Kolejną Maszynę-boginię. Może... – Toryn parsknął i pokręcił głową. – Może wszyscy tak naprawdę wiedzą o Maszynach i tylko my żyjemy jak ślepcy.

– Gdyby tak było... – zaczęła Kai, ale przerwała, gdy zauważyła uniesioną dłoń Alyn, która zagryzła wargę i marszcząc czoło z bólu, przeniosła nogi z łóżka na ziemię.

– Gdyby tak było – powiedziała złodziejka – Durga, wysłanniczka samej Dalii, jak sama się przedstawiła, nie prosiłaby mnie z taką werwą, bym ukradła dla jej bogini krew władczyni Hurruk. Krew Merethe. Bogowie... Ci, którzy siedzą w tych Maszynach, nie są wszechmocni. To znaczy są – Alyn poprawiła się i uniosła palec. – Ale tylko w swym najbliższym otoczeniu.

– No, takie Kaim, całe Kaim, nie było wcale najbliższym otoczeniem – odrzekł Toryn. – Mgła iluzji sięgała daleko poza brzegi wyspy. Inna sprawa czy moc oddziaływania Geremy'ego była tak wielka ze względu na, nie wiem, rodzaj Maszyny, z którą się zespolił, czy na niego samego. Tak samo Argus Bilfur...

– Żółw – poprawiła go siostra.

– Tak, Żółw. Gdy opuszczaliśmy wyspę, opuszczaliśmy raj. Właśnie dzięki niemu. Ale kto wie, jak to wygląda tam dzisiaj. Czy... hm... Góra Gigantów nie przejęła nad nim kontroli. Nie wiemy. Nie wiemy tak naprawdę niczego. A co dopiero jeden z drugim Pahaad czy Zakkańczyk. Rozumiem potrzebę krzewienia wiedzy, naprawdę. Ale co im z tej nauki, żebrakom z ulic i ciurom ze wsi?

– Ejże... – wydusiła z siebie Alyn cicho, ale zaraz została zagłuszona przez Kai.

– Właśnie to – powiedziała przyjaciółka, patrząc w oczy Torynowi – że gdzieś pośród tych żebraków i ciurów żyją kolejni Zakarowie. Badacze, konstruktorzy, żądne wiedzy umysły, które powinny poznać te rzeczy, te... istoty stanowiące o podstawach naszej egzystencji! Pamiętaj, Toryn, że to ty pogoniłeś za tym przeklętym symbolem na Kaim. Zrobiłeś to z konkretnego powodu. No więc zleź z tego piedestału, zanim ci go wykopią spod nóg. Na pewno nie jesteś jedyny na świecie.

– Ejże! – chrapnęła złodziejka, tym razem skupiając uwagę obojga na sobie.

Przez moment zbierała się, by coś powiedzieć, aż nagle jej źrenice powędrowały w górę, a za nimi podążyła jej głowa i reszta ciała, zwalając się na łóżko bez czucia.

*

Tak, jak się tego spodziewała, Reynauld wpadł do chatynki z impetem i od razu podążył ku drzwiom wiodącym do tunelu. Nawet się nie rozejrzał, ale gdyby przyszło mu to do głowy, zajęłoby mu sporo czasu, nim w bezkształtnej plamie koszy, stolika i rzucanych przez nich cieni dopatrzyłby się sylwetki skulonej, wstrzymującej oddech Zakkanki.

Kiedy echo kroków Taidańczyka rozpłynęło się już w wieczornym powietrzu oazy, Fel wygrzebała się z pieczołowicie przygotowanego zwaliska, po czym wyjrzała ostrożnie na zewnątrz. Okolicę spowijał głęboki pomarańcz zniżającego się słońca. Gdzieś w pobliżu wieczorny cień czołgał się już w dół wydmy, by po raz kolejny pożreć oazę, wytrząść z niej całe ciepło dnia.

Po Ikke nie było śladu, ale to było do przewidzenia. Ktoś zaufany musiał pozostać na posterunku. Do niedawna jeszcze Fel mogła się zaliczać do tego elitarnego, dwuosobowego grona. Dziś znów nie była pewna, czy tak naprawdę tego chciała. Czy było to jej do czegokolwiek potrzebne. Jeszcze przed chwilą, czekając, rozważała, czy nie pozbyć się ubrań, swego skalanego symbolu władzy nad ludem plemienia z Al-Arak. By pokazać im wprost, że mimo wszystko jest po ich stronie.

Ale nie.

Była Fel z Saahii i nikim innym. Czy chciała tego, czy nie.

Ruszyła pewnym krokiem, z wysoko uniesioną głową. W prawo, ku uliczkom wiodącym półokręgiem hen, ku przeciwległemu zboczu kotlinki. Tam gliniane domki oddawały pola kilku nawadnianym wodą z jeziorka poletkom uprawnym, a zamiast wbitych w piasek i skałę jam mieszkalnych dumnie prężyło się kilka sporych rozmiarów stodół z wysuszonego na wiór drewna. To właśnie gdzieś tam, wśród farmerów, żyła Yaré o pięknej hebanowej skórze. A nikt z tych tubylców, których Zakkanka zdążyła lepiej poznać podczas pobytu w Al-Arak, nie wydawał się pałać do Reynaulda gorętszą nienawiścią. Jeżeli ktoś wiedział cokolwiek o jakimś tutejszym ruchu oporu, to właśnie ona.

Zanim przemierzyła całą drogę, pomarańcz na niebie przemienił się w granat. Piasek na masywach wydm zaś z każdą chwilą szarzał, przygotowując się na chłodne pieszczoty srebrzystego światła księżyca. Fel unikała głównych alejek, ale nie stroniła od wymiany zdawkowych pozdrowień z tymi z tubylców, których spotkała na drodze. Minęło już sporo czasu, od kiedy Reynauld zanurzył się w podziemia, i choć starała się, nie mogła wyrzucić z głowy pytań o to, co Taidańczyk znalazł tam na dole. Zwłoki jej ojca. Ciało biednego Zakarego. Mokre, napuchnięte trupy służek Bakkusa.

Alyn...

Kiedy minęła ostatnie z regularnych zabudowań, Fel zbliżyła się do brzegu niemal czarnej już tafli jeziorka. Spojrzała w dal przed siebie, tam, gdzie odpływ tworzył wąski strumyk, którego wijący się język urywał się w pewnym momencie i ginął w szczelinie w skale. Była tam raz, dobrze pamiętała to miejsce. A zwłaszcza ów tajemniczy symbol wyryty nad ciasną, czarną dziurą, która wiodła do świata podziemi. Ale nie zdecydowała się tam zejść.

Być może, pomyślała, niedługo nie będzie innego wyjścia...

Westchnęła, odbiła z powrotem ku wydmom i ruszyła do góry wzdłuż płotu ogradzającego pierwsze poletko uprawne. Gdy była mniej więcej w połowie jego długości, przeskoczyła na drugą stronę i kucnęła, chłonąc atmosferę okolicy. Nasłuchiwała.

Tuż przed nią cicho szeleścił dywan rachitycznych, pochylonych źdźbełek. Były nie wyższe od jej łydki. Fel nigdy nie widziała takich roślin, dopóki nie trafiła w to miejsce. Ikke stwierdziła zaś, że nie rosną one nigdzie indziej, jakkolwiek trudno było w to uwierzyć. Dziewczyna przesunęła dłonią po łanie – delikatnie, jakby głaskała pióra Ifiko.

Ferule, pomyślała, czując, jak zaciska się jej szczęka, a przełyk kurczy do szerokości ziarnka piasku. Gdy były dojrzałe, miały postać solidnych czerwonych bulw, które zazwyczaj tarło się na ciasto lub zupę. Do kolejnych zbiorów zostało jeszcze kilka tygodni.

Gdy odnalazła w kieszeni swoje kamyki, odetchnęła głęboko i pochylona ruszyła przez poletko ku widniejącej po drugiej stronie sylwetce drewnianej stodoły. Przez szpary pomiędzy deskami przedostawały się na zewnątrz żółte błyski światła lampy. To jeszcze nie było gospodarstwo rodziny Yaré, ale ciekawość była silniejsza.

„Wypatruj celu, gdy tylko wyruszysz. W innym wypadku nawet nie zauważysz, kiedy rąbnie cię w czoło", mówił Madżid.

Otwartą przestrzeń pomiędzy uprawą a ścianą stodoły Fel pokonała kilkoma długimi susami, po czym cicho obeszła narożnik i przysunęła się do uchylonych drzwi. Ku jej zaskoczeniu wewnątrz ziała nieprzebrana

czarna czeluść, której nie rozświetlała nawet srebrna płachta, którą nałożył na okolicę księżyc. Nie słyszała ani jednego słowa. Ani pojedynczego szeptu. Jakby ktokolwiek jeszcze przed momentem tam był, rozpłynął się w powietrzu.

Wtem poczuła swąd dymu. Gryzący, ohydny fetor lepkiego oleju, którym nasączano tutejsze pochodnie wysmyknął się na zewnątrz. Zdradzał intencje tych, którzy czekali w środku. To była pułapka!

Fel wstrzymała oddech i próbując całą siłą swej woli zachować ciszę, odwróciła się do ściany plecami. I wtedy księżyc zniknął z nocnego nieba. Czyjaś czarna pierś pojawiła się przed jej oczami i westchnęła wraz z powiewem wiatru, a noc w głowie Fel rozbłysła milionem barw. Potem dziewczyna poczuła, jak jej ciało wyciąga się bezwładnie na chłodnej ziemi.

– Madżid... – wydusiła z siebie niemal bezdźwięcznie, czując, jak taran bólu zbliża się do wrót jej umysłu. Ktoś chwycił ją za dłonie i pociągnął za sobą w czerń stodoły. – Madżid...

*

– Madżid! Madżid!

– Vaaaaalaaa!

– Daj jej nauczkę, Zakkańczyku!

– Masz go, Vaala! Dojedź skurwysyna!

Zgiełk na trybunach był przytłaczający. Gdyby nie oparcie ciał Toryna i Kai przyciskających się do niej w ciżbie, Alyn gotowa była zatkać uszy, zamknąć oczy i pogrążyć się w głuchocie palącego ją od wewnątrz bólu. Nawet nie chciała myśleć o tym, jak by się teraz czuła tam na dole, gdyby jakimś cudem wygrała swój pojedynek z Pahaadką. I nie chciała myśleć o tym, ile jeszcze ją czekało, nim postawi swą nogę w Makalu. O ile w ogóle ją postawi...

A tłum był żądny krwi. Było to czuć w echu okrzyków, obfitym deszczu strzykającej zewsząd śliny i smrodzie potu. Pierwszy pojedynek, zapowiadane z pompą starcie brutalnej siły Pahaadu ze szlachetną techniką walki Tsukuni, pozostawiło widzów w stanie histerycznego niedosytu. Hikiro zdawał się dobrze wiedzieć, że farmazony o toporności potężnego przeciwnika można było włożyć między bajki. Imponujące mięśnie Løca grały pod skórą niezwykłe, rytmiczne melodie, których tylko ignorant nie wziąłby za przejaw niezwykłej zręczności. Dlatego gdy Tsukuńczyk ruszył do ataku swym długim, zakrzywionym mieczem, ciął tak, żeby Pahaad musiał zasłaniać się i parować od strony swej mniej sprawnej ręki. Wszyscy, którzy mieli trochę oleju w głowie, wiedzieli, że to słuszne i jedyne wyjście po tym, co tutejszy wojownik zaprezentował w poprzednich potyczkach. I dopiero tutaj, przy wyrównanych refleksie i zwinności obu zawodników, do głosu doszła kwestia siły.

Nie do głosu. Do wrzasku, który wydał rozdygotany, pękający metal kling obu mieczy, gdy miast wykonać prosty unik, Løc przyjął uderzenie na rozpędzone z ogromnym impetem ostrze. Połamane głownie pofrunęły w górę. Jedna wbiła się z brzdękiem w ścianę tuż pod trybunami, druga przeleciała, koziołkując, pół długości areny, by wylądować płasko na piachu. Trzeba było niezwykłej bystrości, by dojrzeć na niej z daleka wątły szkarłatny zaciek. Alyn, przytrzymując rozwalające się szkła, z trudem była w stanie obserwować z daleka cokolwiek, co rozgrywało się na arenie. Ale Toryn, dla którego ostatnimi dniami nic nie wydawało się

niemożliwe, dostrzegł go. I natychmiast skierował uwagę obojgu swych towarzyszek na Hikiro.

W tym momencie Tsukuńczyk już był odwrócony od swego przeciwnika plecami. Jeszcze nikt z widowni nie zwrócił na to uwagi, ale za chwilę miały się rozlegnąć pierwsze okrzyki zaskoczenia i westchnięcia rozczarowania. A Hikiro zrobił trzy kroki, padł na kolana i spuścił głowę, podczas gdy biały materiał gi na jego prawym ramieniu błyskawicznie zaczął wchłaniać jasną czerwień krwi.

Wystarczył jeden cios.

– Jeden cios i brodaty leży! Wielki Pahaad!

– Wielki Pahaad!

Okrzyki tłumu przywróciły Alyn do teraźniejszości akurat w momencie, gdy Vaala, podskakując lekko, zaczęła okrążać skupionego Zakkańczyka.

– Co prawda, to prawda! – Kai wzruszyła ramionami. – Jeden porządny raz w tę jego gębę i nasze problemy z Zakkanem chwilowo się skończą!

– A jak, Isztar uchowaj, poradzi sobie i z Vaalą?! – zapytał Toryn. – Swoją drogą, nie wydaje ci się, że gdyby chciał nas wziąć we dwójkę albo nawet trójkę do Saahii, to już zdążyłby znaleźć na to sposób?!

– Nie myl jego czynów z prawdziwymi intencjami – odrzekła jego przyjaciółka. – Ale fakty są takie, że jeżeli wygra, jeżeli przejdzie do finału, to tutejsi nie dadzą mu ot, tak sobie stąd spieprzyć! Będą przy nim non stop! Tak czy siak będziemy mieli go chwilowo z głowy! Ale mam szczerą nadzieję, że Vaala przytnie mu więcej niż wąsa!

Na dźwięk tych słów Alyn poczuła ukłucie w dłoni. Poprzedniego wieczoru arenowi cyrulicy stłoczyli się nad nią, szybko oczyścili zadaną przez Pahaadkę ranę, zawinęli w solidny opatrunek z liściem bogowie wiedzą czego i kazali pojawić się następnego dnia na zmianę. Jej dłoni – teraz już chyba na dobre unieruchomionej niczym pęk pokrzywionych patyków – w zasadzie nic już nie mogło bardziej zaszkodzić. Choć zdążyła się do tego na pewien sposób przyzwyczaić i przygotować przez ostatnie miesiące, jej prawa ręka stała się na dobre bezużyteczna. I to bolało, bo do końca wierzyła, że będzie na odwrót. Że mimo wszystko za jakiś czas jej się poprawi. Więc choć bynajmniej nie kibicowała Madżidowi, niespecjalnie uśmiechało się jej trzymać też kciuki, czy kciuk, za Vaalę.

Tym łatwiej przyszło jej podjęcie decyzji.

– Będę na dole! – powiedziała i ścisnęła ramię brata, po czym zbliżyła usta do ucha Kai. – Zostań i pilnuj go, proszę. Nie daj mu znowu wskoczyć na arenę.

– Alyn?

– Wszystko w porządku! Zobaczymy się potem!

Nigdy nie podejrzewałaby, że kilka słów wypowiedzianych beztroskim tonem mogłoby ją tyle kosztować. Przez trybuny przecisnęła się ostatkiem siły woli, a w czerń tunelu niemal zwaliła się po schodach, ciężko dysząc i próbując przez ból i zawroty głowy utrzymać równowagę. Dopiero tam, w bezosobowym chłodzie i wciąż głośnym, ale nie natarczywym, głuchym dudnieniu areny, odnalazła zalążek ukojenia. Chwyciła go i zanurzając się coraz głębiej w mrok, owinęła się ramionami. Westchnęła głęboko, a potem jeszcze raz.

Ból ustąpił. Za każdym razem, gdy to robiła, błoga chwila, podczas której nie czuła absolutnie nic, stawała się coraz krótsza. Za chwilę, za moment, wszystko powróci. I będzie tak już do końca.

– Żółwiu – szepnęła i oblizała spierzchnięte wargi. W prawym ich kąciku poczuła słoną wilgoć. – Czy tak smakuje nienawiść? Bo ja się nienawidzę. Za to, że tęskniłam za nimi. Za Torynem i Kai. Kocham ich. Ale teraz... Teraz są takie momenty, że nie mogę znieść przebywania z nimi. I nie wiem, o co chodzi.

Głuchy zgiełk nie wzmógł się ani nie ściszył. Alyn przejechała palcami lewej dłoni po bliźnie na skroni. Skrytej już dawno pod włosami, ale wciąż nie pozwalającej zapomnieć o sobie okazjonalnym swędzeniem. Pamiątce z Kaim.

– Nie rozumiem tego wszystkiego. Dalii, która mówi do mnie, gdy śpię. Durgi. I krwi Merethe, której obie pragną tak, jakby nie miały mocy, by ziścić pragnienia bez udziału kogoś takiego jak ja. I ciebie, draniu, też nie rozumiem. Wiem, że mnie słyszysz. Jak ty to zrobiłeś? Jak poszedłeś dobrowolnie na własną śmierć? Powinnam to potrafić, powinnam tego chcieć, ale... przydałbyś mi się teraz.

Alyn zatrzymała się i syknęła, gdy przy kolejnym wdechu szpikulec w jej piersi powrócił na swoje miejsce. Wydawało się, że gdzieś tam na górze trybuny zamilkły na chwilę. Jakby Madżid wreszcie znalazł jakiś sposób na Pahaadkę i jakimś cudownym ciosem zaszokował i uciszył zgromadzonych wokół areny kibiców.

Ale za chwilę drewniana konstrukcja całej budowli na nowo rozedrgała się, tym razem ze zdwojoną werwą. I złodziejce wydawało się, że gdzieś w środku, pomiędzy cierniami oplatającymi jej serce, poczuła ulgę.

*

To był pewny zgon, pomyślał Toryn i poprawił wrzynające się w krok spodnie. Podrapał się po tyłku i pokręcił głową na wspomnienie ostatnich chwil walki Vaali z Madżidem. Ona chyba naprawdę chciała go zabić.

Chuchnął w dłonie i potarł ramiona. Siedział w niewygodnej pozycji, skulony za jedynym chudym krzaczyskiem przy wąskiej ścieżynce prowadzącej przez posiadłość na tył domu herszt-rodziców Hurruk. Gdyby ktoś szedł nią, minąłby go o zaledwie pół kroku, ale wciąż było to jedyne miejsce, w którym nie czuł się całkowicie wystawiony na widok. Choć swój udział miało również to, że zimna noc skryła akurat światło księżyca za chmurami.

Merethe i Sejmon byli w domu. Nie było co do tego wątpliwości, sam widział, jak wracali z areny. Herszt-ojciec zdążył już zresztą od tego czasu dwukrotnie odbyć spacer do wychodka, za każdym razem zresztą odrobinę bardziej się zataczając. Przypominał jednak tym samym Torynowi, że pęcherz nie sługa.

Merethe nie wyściubiała nosa z chałupy, ale za to nieustannie kręcił się wokół niej ów kulawy stróż, skutecznie uniemożliwiając podejście bliżej.

Gdy rozedrgany obraz Vaali rozdzierającej, jak się wydawało, Madżida swym toporem na dwie połowy uleciał ku wysypisku wspomnień, przed oczy Torynowi po raz wtóry przyfrunęło najważniejsze pytanie tego wieczoru.

Jak ukraść czyjąś krew?

W słowach Alyn Durga z Mahatry, akolitka Dalii, bogini Pahaadu, wyraziła się jasno: „Aby móc spotkać się z Panią, musiałabyś tylko dokonać najzuchwalszej z kradzieży. Bo dopiero z krwią rodu najwytrwalszych

i najsprytniejszych spośród wyznawców i obrońców naszej Pani odnajdziesz prawdziwy skarb świętej doliny. Ale czy jesteś gotowa to zrobić? Przelać krew tych, którzy krwi tej nie są ci winni i dobrowolnie ci jej nie oddadzą?".

Toryn zagryzł wargę i gdy stróż, powłócząc nogą, zniknął za ścianą domu i gdy w okolicy chwilowo zrobiło się całkowicie cicho, wstał i przebiegł cicho przez całą długość trawnika. Długimi susami minął klomby rachitycznego, bezlistnego kwiecia oraz prostokątną trumnę wychodka. Zatrzymał się tuż pod balkonem. Gdy odetchnął, a jego ciało uspokoiło nieco tętno, nadstawił ucha. Jego myśli natychmiast jednak odfrunęły ku siostrze.

Durga musiała wiedzieć, że Alyn wcale nie była gotowa uczynić tego, co było od niej wymagane. Nie po tym, co zrobiły z nią wyprawy do Kaim i Imoren. Ale cel jego siostry był zupełnie inny i wiązał się z fiolką płynu, który hołubiła w rękawicy, podczas gdy on, jej rodzony brat, cierpiał coraz większe katusze gdzieś właśnie tam, na północy Pahaadu. A teraz, gdy wreszcie odnalazła go i dała mu drugie życie, nie potrzebowała niczego więcej. Zachowywała się tak, jakby była gotowa umierać. Głupia siksa. Kochał ją nad życie.

Gdy usłyszał nieregularny szelest kroków nieopodal, złodziej wpasował się w cień przy załomie ściany i przykleił plecami do drewnianych bali. Sięgnął pamięcią do rozkładu pomieszczeń na parterze, który wyrysowała mu Kai z mglistego wspomnienia swej jedynej wizyty w domu herszt-rodziców. Zaznaczyła, że najłatwiejszą zewnętrzną drogą na piętro był daszek ganku od frontu, ale to rozwiązanie obecnie nie wchodziło w grę. Co innego ów balkonik z widokiem na ogród, a raczej trawnik z tyłu domu, który wisiał mu w tej chwili nad głową. Z oddali trudno było w półmroku oszacować, jak wysoko znajdował się nad poziomem gruntu, a co za tym idzie niewiadomą była również ilość potencjalnego hałasu, jaką wywołałaby próba wspięcia się na niego. Ale trzeba było działać szybko. Trawiona przez ból Alyn marniała w oczach z dnia na dzień, a dziś był chyba jedyny wieczór, w którym podczas Uraldaanu herszt-rodzice nie robili u siebie spędu zawodników i dygnitarzy z zagranicy. Czaranga bawiła się daleko stąd, na rynku, fetowała zwycięstwa obojga rodaków. Po jutrzejszym finale mogło już nie być takiej okazji.

Stróż wyszedł zza węgła i zatrzymał się. Był niedaleko, osiem, dziesięć kroków od Toryna, który zamarł w bezruchu, starając się całym sobą wtopić w ścianę. Nie wyglądało na to, by mężczyzna był w stanie podjąć za nim pościg z tą nogą, nawet pomimo tego, że oba kulasy Pahaada należały do najdłuższych, jakie złodziej widział w swoim życiu. Nie rozpoznałby go również przez chustę, która zawinięta na twarzy Toryna zawilgotniała już od oddechu. Ale podniósłby alarm. A ten opóźniłby wszystko o całe dni, jeśli nie tygodnie. Alyn nie miała na to czasu.

Po krótkiej chwili zadumy stróż wreszcie splunął pod nogi, roztarł ślinę podeszwą i pokuśtykał dalej przed siebie, ku rysującej się czernią na tle kamiennej skarpy sylwetce wychodka. Złodziej wypuścił powoli powietrze i przyjrzał się uważniej balkonikowi i ścianie, do której przylegał. To było do zrobienia, uznał.

Gdy tylko Pahaad w oddali złożył się niemal wpół, by zmieścić się w drewnianym pudle latryny, Toryn odkleił się od cienia, zrobił trzy kroki rozbiegu, chuchnął w dłonie i ruszył pędem do góry po ścianie. Wszystko działo się tak szybko, że nawet nie zdążył sapnąć, nim jego stopy wylądowały na balkonie. Zrobił to z taką łatwością, że gdyby dziś postawili go przed murem we wsi Jurga w Rowan i kazali jeszcze raz wdrapać się na murzysko wokół willi Feyna, wykonałby zadanie bez rozbiegu. Świst powietrza w jego uszach nie zagłuszył

jednak kilku stęknięć i trzasków wymęczonych desek, które odezwały się pod naporem jego ciała. Przysiadłszy na balkonie, Toryn zamarł w oczekiwaniu na jakikolwiek dźwięk z wewnątrz. Drzwi były zamknięte, ale liche odgłosy przenikały przez nie w obie strony jak woda przez sito.

– Fardrel? To ty?

Wysoki, niewyraźny głos. Jeszcze w półśnie. Czyżby Merethe?

Toryn zacisnął pięści i przeklął w myślach brak okien, które mogłyby dać mu przynajmniej namiastkę przewagi w tej sytuacji. A ta wyglądała tak, że trzeba było podjąć decyzję – wśliznąć się do środka i zrobić, co trzeba, wykorzystując moment zaskoczenia, albo poczekać tu, na balkonie. Zaryzykować więcej, ale jednocześnie mieć otwartą drogę ucieczki, gdy już będzie po wszystkim.

– Uchm...

Znów ten głos. Trzask drewna łóżka. Ciche stąpnięcie.

Kto, na szejtańskie pomioty, ma tak lekki sen?

Nasłuchując, Toryn wstał i przysunął się do ściany tuż obok framugi. W dłoni zacisnął rękojeść swojego kozika. Nożyk był stary i wyrobiony, ale wciąż ciął skórzane sakiewki bez żadnego wysiłku. Wystarczyło przyłożyć i pociągnąć.

– Oto, jak kradnie się krew – przypomniał sobie słowa Kai, która wieczorem pomachała mu ostrzem przed oczami, gdy Alyn zmorzył wreszcie niespokojny sen. – Skóra to skóra. I cokolwiek zrobisz, nie dyskutuj z nią. Nie ujawniaj się. Nie proś o przysługę. Durga nie bez powodu mówiła o kradzieży. Nawet jeśli Merethe jest faktycznie obrończynią Dalii, z jakiegoś powodu nie chce oddać swej pani swojej krwi dobrowolnie. Sam mówiłeś, że coś kręci na turnieju, że jej nie ufasz. Trzymaj się tego.

Tuż obok chrupnęła klamka i jęknęły zawiasy. Toryn wstrzymał oddech i powtórzył w myślach plan. Merethe była solidnie zbudowaną, korpulentną kobietą. Próba ogłuszenia jej nie wchodziła w grę. Tylko błyskawiczne skaleczenie, upuszczenie krwi do fiolki po specyfiku od Alyn i ucieczka pełnym pędem przez czarangę. Choćby szła za nim sfora wilków. Choćby puściła za nim, kurwa, niedźwiedzia.

Herszt-matka wyszła i stanęła obok niego. Nabrała powietrza w płuca, by zawołać. Zapewne tego stróża, Fardrela. Musiał jej przeszkodzić, musiał ją...

To nie była Merethe.

– Anishor... – szepnął Toryn i natychmiast tego pożałował.

Chłopiec odwrócił się do niego i zachłysnął powietrzem z cichym jękiem. Złodziej natychmiast wyciągnął rękę i zatkał mu usta. Pchnął głowę syna Merethe z takim impetem, że ten wylądował plecami na brudnym futrze rozłożonym na podłodze balkoniku.

Myśl, durniu, myśl!

– Isztar, wybacz mi – powiedział po chwili Toryn i przekręcił głowę Anishora w bok, a potem zbliżył do niej kozik.

Wysoko nad czarangą księżyc rozgarnął wreszcie wokół siebie chmury i odbił się srebrną iskrą w szeroko otwartym oku przerażonego chłopca.

CZĘŚĆ III

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

There's so many different worlds
So many different suns
And we have just one world
But we live in different ones.
— Dire Straits

– Dziś poczujesz się lepiej. Jesteś silna. Zbierz w sobie tę siłę. Miej ją przy sobie. Użyj jej, by się pożegnać. Już najwyższy czas.

– Dlaczego do mnie przychodzisz? Dlaczego mi to mówisz?

– To już nieważne. To był ostatni raz.

– Dlaczego? Nie rozumiem! Dalio!

– Do zobaczenia, Alyn.

*

Cisza, która zaległa na trybunach, była daleka od tej, która panowała nocą, kiedy wokół nie było żywej duszy, a górski wiatr układał ziarna piasku w nietknięte niczyją stopą morze miniaturowych wydm. To była cisza tysiąca serc kołaczących w napięciu, tysiąca ściśniętych gardeł, gotowych w każdej chwili wydobyć z siebie wrzask, jakiego nie słyszała jeszcze historia.

Cisza, przy której nawet powietrze stanęło w miejscu.

Było w niej słychać oddechy obojga zawodników, którzy stali naprzeciwko siebie w oczekiwaniu na znak do rozpoczęcia ostatniego pojedynku tego Uraldaanu.

Nastrój w Hurruk był od rana tak podniosły, jakby wszystkie oczy świata skierowane były dziś na Pahaad. Pahaad, który dał się innym pobawić przez kilka ostatnich dni, ale teraz udowadniał, kto jest narodem najpotężniejszych wojowników.

Alyn, której buzujące wokół napięcie udzielało się w formie walącego rytmicznie serca, rozglądała się po zastygłych w oczekiwaniu twarzach widzów. Zwróciła uwagę na oboje herszt-rodziców, którzy siedzieli na podwyższeniu nieruchomo, z nieodgadnionymi minami. Zastanawiała się, czy przeczuwali, że skradziona tej nocy krew ich syna jest tu wraz z nimi. Pod ich nosami. Rozgrzana ciepłem jej dłoni. Zastanawiała się, czy w ogóle o tym myśleli.

Jak by nie było, wkrótce miało się tu rozstrzygnąć coś wielkiego. Za chwilę ktoś z dwojga reprezentantów Pahaadu napisze kolejny rozdział historii. Trybuny wybuchną szaleńczymi wiwatami, część widzów zeskoczy na arenę. Emocje wezmą górę, a chaos spowije czarangę do późnych godzin nocnych.

Do tego czasu Alyn planowała być już dawno w drodze do Makalu.

Ale na razie Løc i Vaala tylko się rozgrzewali. Sprawdzali się nawzajem. Kąsali błyskawicznie zbijanymi uderzeniami jego miecza i jej topora. Każdy cios, gdyby trafił czysto, mógłby z łatwością połamać kości, zmiażdżyć organy wewnętrzne, ściąć głowę. Mimo to pierwsze chwile pojedynku wyglądały tak, jakby dwoje dzieci chlastało się gałązkami znalezionymi w lesie.

Pierwsza odstąpiła Vaala. Opuściła broń i jednym zwinnym ruchem zrzuciła z siebie skórzaną kurtkę. Zwilżona świeżym potem skóra zadrgała, gdy jej mięśnie, ledwo utrzymywane w ryzach przez zieloną podkoszulkę, napięły się w oczekiwaniu. Wzrok wszystkich natychmiast jednak podążył w stronę nagiego, różowego kikuta jej prawej ręki. Na jego widok Alyn poczuła ciarki, ale trudno było jej określić, czy to ze strachu, czy fascynacji. To była w końcu robota Løca.

Pahaad na ten widok uśmiechnął się krzywo i zdjął – choć wielu powiedziałoby: zdarł – z siebie koszulę. Spod niej, pokryty dywanem jasnych włosów, wyjrzał szeroki tors, który wyglądał jak zwarta bryła kamienia. Alyn poprawiła szkła i zmrużyła oczy, by przez brud i rysy przyjrzeć się lewemu bicepsowi byłego łowczego taidańskiej armii. Na widok fioletowej, gwieździstej plamy na jego skórze złodziejka uśmiechnęła się.

A ta robota, pomyślała, była moja.

I wtedy, dokładnie w tym samym momencie, oboje skoczyli na siebie z ogniem w oczach. Pierwsze prawdziwe zetknięcie ich ostrzy odbiło się po arenie z mocą dzwonu. Wokół wojowników zatańczył pióropusz iskier. Zanim zdążył opaść, nieco niżej wyrósł kolejny. I kolejny. Publiczność wstrzymała oddech, bo zdawało się, że wystarczyło jedno potknięcie do tego, by w miejscu ogników wybiła fontanna krwi. Te uderzenia wyglądały tak, jakby mogły powalić całe drzewa.

Pierwsze celu dosięgło kopnięcie. Vaala niemalże odfrunęła od przeciwnika, by przy lądowaniu zawinąć się błyskawicznie półprzewrotem do tyłu. Wzburzyć stopą ścianę piasku, odgrodzić na moment od Løca. Gdy wstała, jej pozycja była inna. Zgięta, przygarbiona. Kopniak musiał boleć jak diabli.

– Ona nie ma szans – szepnęła Alyn w momencie nieprzyjemnego olśnienia.

Pahaad ruszył wprost na nią, starając się jak najbardziej skrócić dystans. Jego klinga niemal zawijała się wokół pozostającej w obronie, walczącej o utrzymanie równowagi Vaali. Wyglądało wręcz tak, jakby próbował przedrzeć się przez jej zastawy i uniki czystą siłą i szybkością swych pięści. Kątem oka złodziejka zauważyła, że w przeciwległym końcu areny jakiś nieszczęśnik wypadł zza bariery i zleciał głową w dół na arenę. Jego ciało chwilę miotało się w konwulsjach, po czym zamarło. Nikt nie zareagował.

Choć wydawało się to nieprawdopodobne, ciosy przemierzających piasek wszerz wojowników stały się jeszcze silniejsze i jeszcze szybsze. Gdyby nie walczyli na śmierć i życie, można by było pomylić ich ruchy z chaotycznym tańcem o równie pięknej, co brutalnie nagłej choreografii. Szczęk uderzeń metalu o metal, który im przygrywał, dla niewprawionego ucha brzmiał jak kakofonia, ale pod nią krył się perkusyjny rytm kroków, oddechów i raz po raz uwalnianego napięcia. Trwał aż do momentu, gdy Vaala znalazła lukę i z całej siły nadepnęła na zbyt daleko wyciągniętą w jej stronę stopę przeciwnika. Løc zawył, ale nie cofnął się. Zamiast tego oparł cały ciężar ciała na trafionej kończynie i jeszcze raz kopnął przeciwniczkę w brzuch. Kobieta zdążyła się uchylić, ale tylko nieznacznie. Zamiast znów polecieć do tyłu okręciła się tylko wokół swojej osi i na mgnienie oka utraciła równowagę. Wtedy nadziała się na błyskawiczny sztych.

Ktoś na trybunach wrzasnął w przerażeniu, kobieta stojąca tuż przed Alyn straciła przytomność i zwaliła się na plecy mężczyzny przed nią. Vaala nie wydała z siebie ani piśnięcia. Jej ręka już od dawna rozpędzała topór po okręgu. Nagle zmieniła nieznacznie kierunek i puściła trzonek. Posłała ostrze wprost w lewe ramię Løca. Oboje odbili się od siebie i przyklęknęli.

Czując, jak serce rozsadza jej od środka klatkę piersiową, Alyn wspięła się na palce i wytężyła wzrok. Miecz Pahaada rozciął skórę Vaali wzdłuż obojczyków w jedną prostą linię, niemalże od ramienia do ramienia. Zieleń rozoranej podkoszulki powoli zaczęła zamieniać się w czerń. Rana nie wyglądała jednak na głęboką. A przynajmniej nie tak głęboką, jak ziejąca dziura po toporze w lewym ramieniu Løca – tuż nad pamiątką po bełcie Alyn, błyskawicznie zalaną przez buchającą z rany krew.

Normalny człowiek po czymś takim już by nie wstał. Løc warknął tylko, podniósł się i rzucił się na Vaalę. Wciąż miał przewagę. Jego przeciwniczka pozostała bez broni. On miał miecz.

Klinga błysnęła i rozcięła przesycone jeszcze zapachem Pahaadki powietrze. Vaala odskoczyła w ostatniej chwili. I jeszcze raz. Nie spuszczała wzroku z leżącego na piachu topora, ale jej przeciwnik wiedział, co robi, z każdym susem oddalając oboje od jej jedynej nadziei. Był zły, jego krwotok z każdą chwilą zbliżał go do granicy sił, musiał skończyć to szybko. Atakował więc agresywnie, ciął z całej siły tak, jakby chciał rozdzielić na dwa całą rzeczywistość. I był blisko. Wystarczyło jeszcze jedno potknięcie rannej Vaali, by przepołowił ją czystą siłą woli swych ciosów.

Ale Pahaadka wciąż była o krok przed przeciwnikiem. Na tyle, że gdy tylko Løc zwolnił, by nabrać oddechu, kobieta otarła dłonią krew spod szyi i przesunęła nią po twarzy. Wyszczerzyła się jak wilczyca.

Jej przeciwnik tylko na to czekał.

– Nie! – wrzasnęła Alyn, widząc, co miało się wydarzyć.

Løc natychmiast podjął tempo i doskoczył do Vaali, po raz pierwszy kierując błyskawiczne uderzenie z góry. Prosto w centralną linię ciała. Śmiertelne.

Kobieta zdążyła tylko drgnąć w próbie uniknięcia ciosu, ale pędząca klinga nie mogła spudłować. Jej impet wystarczyłby do tego, by rozłupać czaszkę na dwie połowy albo odciąć ramię. Trybuny westchnęły, obserwując, jak metal zatacza srebrny łuk i bez oporu dosięga sztychem samej ziemi.

– Przeszedł obok – powiedziała samymi ustami Alyn.

Wykorzystując moment zaskoczenia przeciwnika, który jeszcze nie zrozumiał, gdzie popełnił błąd, Vaala przydeptała ostrze jego miecza i uderzyła go pięścią w brzuch, i jeszcze raz – w twarz. Wsadziła kciuk głęboko w rozorane ramię zamroczonego Løca i pchnęła go na ziemię. Pahaad ryknął w gniewie, gdy druga ręka ugięła się pod nim.

Kobieta schyliła się po miecz i uniosła go ostrzem do dołu. Spojrzenia obojga spotkały się, ale trwało to tylko moment, niemal niezauważalny.

I wtedy, z rykiem najpotężniejszej z pahaadzkich wojowniczek, Vaala wbiła ostrze miecza w pierś swego rywala aż po jelec.

Na dwa uderzenia serca arena w Hurruk okryła się nieprzeniknionym nimbem ciszy. A potem grom wrzasków, który wyrwał się z gardeł zgromadzonych wokół areny widzów, niemal rozerwał ją od środka.

Alyn doszła do wniosku, że tak musi przebiegać trzęsienie ziemi i złapała się kurczowo kobiety z

przodu. Tej, która ledwo odzyskała przytomność i za chwilę, wydawało się, na powrót ją straci. Wytężyła wzrok. Na arenę natychmiast wbiegło kilkunastu uzbrojonych mężczyzn. Czterech z nich skierowało się bezpośrednio ku Vaali i leżącemu u jej stóp Løcowi. Błyskawiczne oględziny ciała potwierdziły oczywistość – wyłączając owego nieszczęśnika z trybun, Pahaad stał się pierwszą i ostatnią śmiertelną ofiarą areny tego Uraldaanu. Na znak dany przez medyka trybuny na zatrzęsły się ze zdwojoną siłą. Jeszcze moment, pomyślała Alyn, i to wszystko pójdzie w drzazgi.

Ale nie mogła powstrzymać szerokiego uśmiechu, który wdarł się na jej usta z chwilą, gdy Vaala pokonała swego największego rywala. Serce wciąż waliło jej w piersi, telepało się gdzieś w środku, powoli, oddech po oddechu zwalniając tempo.

To jeszcze nie był koniec, zaświtało jej w głowie. Teraz dopiero zacznie się najtrudniejsze.

Złodziejka rozejrzała się po trybunach, wypatrując najbliższych wyjść. Z pewnym zaskoczeniem odkryła, że przy każdym z nich stało na baczność po dwóch pahaadzkich wojowników, ewidentnie tarasowali drogę. Przeniosła wzrok na Vaalę, która, poddając się zabiegom medyka, patrzyła, z kolei, w górę. Na lożę herszt-rodziców. Tam zaś, unosząc ręce wysoko do góry, stała Merethe.

Nie trwało długo, nim na arenie na powrót zapanowała cisza, a wszystkie oczy zwróciły się w kierunku przywódczyni czarangi.

Alyn nie zrozumiała nic z pahaadzkich słów herszt-matki, które wypełniły przestrzeń areny. Nie sposób było jednak nie zauważyć efektu, jaki wywarły na tych spośród widzów, którzy je zrozumieli. Szepty. Pomruki. Dezorientacja. Zaskoczenie?

– Niech będzie wiadomym – powtórzył zaraz po niej herold po zakkańsku – iż tej nocy nieznany sprawca wdarł się na teren posiadłości szlachetnych herszt-rodziców Hurruk i ranił syna herszt-matki Merethe i herszt-ojca Sejmona, po czym zbiegł z miejsca zdarzenia! W związku z powyższym od wczesnych godzin porannych wrota czarangi są zamknięte i pozostaną takie, dopóki sprawca, który dopuścił się tak obrzydliwego czynu, nie zostanie ukarany! Szlachetna herszt-matka nie chciała przerywać z tego powodu widowiska, teraz jednakże prosi wszystkich o udanie się w spokoju do swoich kwater i oczekiwanie na wizytę straży! Każdy, kto udzieli informacji na temat sprawcy, zostanie nagrodzony!

Potem powtórzył to samo w sebhelskim, imoreńskim i maruańskim.

Alyn z trudem powstrzymała się przed łupnięciem pięściami w siedzisko. To znaczyło, że Toryn i Kai nie byli w stanie opuścić jeszcze Hurruk. Naradzając się poprzedniego wieczoru, opracowali wspólnie wiele scenariuszy, ale tego, że Merethe zdoła zatrzasnąć całą czarangę na głucho jeszcze przed wschodem słońca, nie przewidzieli.

Mokra od potu fiolka z krwią Anishora, która do tej pory uwierała Alyn we wnętrzu rękawicy, teraz zaczęła ją palić żywym ogniem. Nie mogła liczyć na chaos popołudniowych i wieczornych libacji na cześć uczestników turnieju. Tylko wykorzystując zamieszanie, mogła spróbować wymknąć się niezauważona wrotami, które otwierały się na domniemaną drogę do Makalu. A teraz nie mogła być również pewna losów brata i przyjaciółki.

Wszystko było nie tak.

– *Vahaka! Minalla adhikara oikus vahaka ahe!*

Gdy usłyszał gromki okrzyk z dna areny, herold tłumaczący na rowański zamilkł w pół słowa. Wszystkie oczy skierowały się w dół. Na Vaalę.

– Vaala! *Puudan vikarata!* – zakrzyknęła Merethe z loży w wyraźnej próbie uspokojenia zwyciężczyni turnieju.

Wojowniczka nie dała się jednak uciszyć. Odepchnęła medyka i powtórzyła okrzyk, kierując wyciągnięty palec najpierw w herszt-matkę, a potem w trybunę.

– *Vahaka!*

Choć zupełnie nie miała pojęcia, o co może chodzić, Alyn zauważyła, że gest Pahaadki miał niezwykły wpływ na kibiców. Jakby widzowie targnięci niewidzialną mocą wyglądającej jak wcielona śmierć wojowniczki zaczęli się poruszać. Tuż obok złodziejki – odsuwać od siebie i jednocześnie ściskać. I wszyscy patrzyli w jedną stronę. Wszyscy patrzyli na...

Alyn przełknęła ślinę, gdy zdała sobie sprawę, że wokół niej, gdzie jeszcze przed chwilą tłoczyło się kilka dziesiątek widzów, ławki świecą pustką. Że stoi sama w centrum koła nicości. I że oczy ludzi wokół skierowane są na nią.

– *Vahaka* – szepnęła złodziejka, próbując wygrzebać ze zwałów wspomnień znaczenie pahaadzkiego słowa. I wtedy, nagle, ją tknęło.

*

– Tutaj, Toryn! Chodź!

Szept Kai mógłby kruszyć mury, ale złodziej miał nadzieję, że jego dźwięczny powiew zgubi się w pahaadzkim wietrze, nim dotrze do uszu tych, którzy uparli się ich dopaść. Toryn zawinął się wokół narożnika chałupy i zniknął w uchylonych drzwiach komórki na drewno. Odetchnął.

Ciasnota i wbijający się w jego żebra łokieć Kai nie pomagały skupić się na zadaniu, ale z drugiej strony mógł znaleźć się w dużo gorszym towarzystwie. Towarzystwie, które nie pachniało jak...

– Czy ty właśnie powąchałeś moje włosy?

– Nie.

– Skup się. I bądź gotowy. Na mój znak.

Złodziej przewrócił oczami i westchnął – cicho i długo. Wciąż wierzył, że dadzą radę wymknąć się obławie. Wytrzymali wystarczająco długo w ukryciu, za moment ulice miały się zaroić od widzów finału na arenie. Na razie jednak towarzyszyło im co najwyżej rytmiczne skrzypienie rzemieni przy butach pahaadzkich strażników. A każdy wyglądał tak, jakby mógł ich oboje zanieść herszt-rodzicom pod pachami.

Przed oczami stanęła mu sylwetka małego Anishora wychodzącego w nocy na balkon. Gdy przygotowywał się do całego tego zadania, spodziewał się, że ze względu na brak przygotowania i głęboko emocjonalne pobudki będzie to najtrudniejsza i najbardziej ryzykowna rzecz, jakiej dotychczas się podejmie. Teraz już wiedział, że ta właściwa przyszła dopiero później, gdy zacisnął dłoń swej siostry na fiolce pełnej krwi Merethe. A przynajmniej jej rodu.

Zrobił to z błogosławieństwem Alyn. Zaufała mu, że zdobędzie dla niej to, czego potrzebowała, a potem odejdzie wraz z Kai i pozwoli jej to wszystko dokończyć. Tak powiedziała, bez łez, bez zająknięcia: „Ruszajcie

ku Lodomorzu i na południe, do Mahatry, do Durgi. A jak nie do niej, to dalej, do Sebhel. Znajdźcie Azalię. A ja znajdę was". Kai zaprotestowała natychmiast, ale nie znalazła w nim poparcia. Wciąż nie wiedział dlaczego. Nie potrafił jej tego wyjaśnić. Być może to była sprawka lekarstwa, które Alyn przytargała dla niego z drugiego końca świata, ale tego ranka zobaczył w siostrze coś innego. Usłyszał niezaprzeczalną logikę i niepodważalną rację w jej słowach. Choć rwał się do tego, by zanieść ją do Makalu na plecach, jego siostrzyczka spojrzała na niego wzrokiem bogini i nakazała mu odejść. Ale nie przed zapewnieniem z jej strony, że wszystko będzie w porządku. Że zobaczą się niedługo.

I tylko przy tych ostatnich słowach zabrzmiała znów jak jego ruda Mysza. A to zaniepokoiło go dużo bardziej niż cokolwiek.

– Teraz.

Jakby dla pewności, Kai szturchnęła go w bok i wystrzeliła z komórki pędem. Toryn natychmiast pobiegł za nią w dół uliczki. Przystanął przy niej przy załomie i wtedy ona znów pobiegła przed siebie. Nawet się nie obejrzała. Skręcili dwukrotnie, raz w prawo, raz w lewo. Kierowali się zygzakiem ku palisadzie, która wyrosła nad nimi wysoko, zasłaniając większość jak na złość oślepiająco jasnego nieba. Gdy pokonali jeszcze jeden prostopadły wiraż, Kai zatrzymała się wreszcie i, sapiąc, oparła dłonie o kolana.

– Tu... uch... tutaj. Jesteśmy bezpieczni.

Toryn otarł kroplę potu ze skroni i rozejrzał się. Byli na podwórzu jednej z wielu chat, które pobudowano wzdłuż całego obwodu palisady. Wokół nie było widać żywej duszy, ale wyschnięte na twardo pranie na rozwieszonym w poprzek obejścia sznurze wskazywało na to, że chałupa bynajmniej nie była opuszczona. A i nawet jakby była...

– To tu? – zapytał Toryn.

– Chodź do środka.

Kiedy odetchnęła, dziewczyna pewnym ruchem odblokowała wrzynające się we framugę skrzydło i wkroczyła w bezwietrzny, choć wciąż chłodny półmrok chałupy. Złodziej podążył zaraz za nią. Gdy tylko pociągnął za sobą drzwi i na powrót je zablokował, Kai niemal wbiła się plecami w jego pierś. Odruchowo złapał ją za ramiona i wytężył wzrok, szukając powodu nagłej reakcji przyjaciółki.

Był na wprost, jego sylwetka rysowała się ostrymi konturami w mlecznej wstędze światła, które wpadało przez okienko.

– Madżid – stwierdził oczywistość Toryn.

– Tego... – Kai chrząknęła i błyskawicznie odnalazła w sobie swój kontenans. – Tego nie miałam w planach.

Zakkańczyk czekał na nich. Siedział na krześle ustawionym bokiem do stołu, na blacie którego leżała, złowieszczo połyskując w swej czerni, maruańska szczypra. Po przeciwnej stronie, przy ścianie izby, siedział pękaty brodaty mężczyzna. Związane dłonie trzymał przed sobą na blacie. Dostępu do niego broniła dwójka przerażonych dzieci stojących na baczność.

– Dzień dobry – powiedział Madżid.

Toryn przesunął się powoli przed Kai. Zauważył, że lewa ręka Zakkańczyka zwisa zgięta na temblaku. Vaala wbiła swój topór głęboko w jego pierś, z pewnością łamiąc przy okazji kilka żeber. Musiało go boleć.

Dam mu radę, pomyślał. Cokolwiek się stanie, zatrzymam go na wystarczająco długo, żeby Kai...

Zakkańczyk wycofał się na oparcie, w półmroku błysnęły jego zęby.

– Trzeba przyznać, *zahar*, że cokolwiek przywlekła ze sobą ta twoja gorącokrwista dziewucha, podziałało cuda. Tylko spójrz na siebie. Niebo a ziemia.

Nie zważając na słowa ani obecność Madżida, Kai zwróciła się do związanego mężczyzny po pahaadzku z troskliwym pytaniem. Ten skinął głową w zapewnieniu. „Tak, wszystko w porządku, nikogo nie skrzywdził... jeszcze".

Madżid przejechał palcami po giętkim ostrzu szczypry i zmrużył oczy.

– Wiecie, po co tu przybyłem.

– Nie weźmiesz nas obojga – odrzekł Toryn. – Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

– Też tak myślałem – ton Madżida pozostał doskonale neutralny – aż do momentu, kiedy zobaczyłem, co z tym cackiem potrafiła zrobić na arenie tamta Maruanka.

Mężczyzna przesunął dłoń ku rękojeści szczypry i objął ją delikatnie palcami.

Okulawienie, pomyślał Toryn. Nie wiedział, czy Zakkańczyk trzymał kiedyś w dłoni tego rodzaju broń. Poza tym w tak ciasnym pomieszczeniu miał ograniczone pole manewru. Ale to nie miało znaczenia. A być może działało wręcz na jego korzyść. Giętkie ostrze nie potrzebowało dużo miejsca. Mogło dosięgnąć każdego w dowolnym momencie. Mogło trafić Kai.

Złodziej podjął decyzję. Zrobił krok do przodu i wystawił szeroko ręce.

– Puść ją – powiedział. – Puść Kai.

– Zamknij się, durniu – usłyszał zza pleców.

– To mnie szukają – kontynuował Toryn. – Mnie chce Merethe.

– Taaak... – westchnął Madżid i poprawił się na krześle. – Merethe. Słyszałem, że oferuje całkiem pokaźną nagrodę za twoją relatywnie niewielką, jeśli pozwolisz, *zahar*, głowę. Jakby tak przełożyć to na kurs zakkański, będzie to dobre pół roku na garnuszku u Silvestriego. Kusisz.

Kai zniecierpliwiona wyrwała się do przodu, ale natychmiast napotkała stanowczy opór wyciągniętej ręki Toryna. Zaskoczona cofnęła się. Bez słowa.

W reakcji na to Madżid uśmiechnął się pod wciąż nierównym wąsem, chwycił rękojeść szczypry w dłoń i powoli wstał. Przez chwilę przyglądał się broni, po czym opuścił ją i ruszył w stronę Toryna i Kai.

Złodziej spiął się w sobie gotowy do błyskawicznego ataku.

– Idźcie – rozkazał nagle Zakkańczyk i wskazał dalszą ścianę pomieszczenia.

Jakby nigdy nic wyminął zaskoczonego Toryna i skierował się ku drzwiom.

– No, już! Straż znajdzie to miejsce szybciej niż później – rzekł i dodał ciszej: – Sam im o nim powiedziałem. Biedne, niewinne skurwysyny.

– Nie rozumiem. Co zamierzasz?

Madżid oparł się o futrynę i szarpnięciem uchylił drzwi. Blada pionowa krecha rozświetliła połowę jego twarzy. Miał gorzką minę.

– Rozumiesz, *zahar* – odpowiedział. – Czułeś to już wcześniej, tylko sobie tego nie poukładałeś. Czułeś, że coś jest nie tak z tym turniejem.

– Kai? – zapytał Toryn.

– Merethe – odpowiedziała dziewczyna po chwili. – Merethe i Sejmon. Ustawiali walki, prawda?

– Po prawdzie trudno im się dziwić – powiedział Madżid i uśmiechnął się paskudnie. – Władza władzą straży nie wykarmi. Nie oskubie też bardziej tych, którzy już przez całe życie chodzą bez piór. Ale poselskie datki, dary zza morza, książęce wyrazy uznania, amulety na powodzenie na Uraldaanie... wszystko na ręce herszt-rodziców. Hanso, Silvestri i reszta saahijskich graczy przyklasnęłaby im z uznaniem.

– To nie wyjaśnia tego, co chcesz...

– ...on też jest durniem, Toryn – wtrąciła się Kai i szarpnęła złodzieja za rękaw. – Biednym, głupim chłopcem na posyłki, który właśnie odkrył poczucie winy. Albo honor, nie daj Isztar. Zostaw go. I chodź.

Nie czekając na reakcję złodzieja, dziewczyna zamieniła po pahaadzku kilka uspokajających słów ze związanym gospodarzem chałupy, po czym udała się do kuchni, skąd dobiegł rumor przesuwanych mebli.

Walcząc ze sobą, Toryn zmusił się do spojrzenia Madżidowi prosto w oczy. Zakkańczyk wyglądał na najspokojniejszego człowieka na świecie. Na sytego kupca z saahijskiego rynku, dumnego ojca odpoczywającego po pracowitym poranku w chłodzie cienia swego domu.

Ciekawe, czy jeszcze się spotkamy, pomyślał złodziej i wyciągnął dłoń w stronę człowieka, który pracował dla oprawcy jego siostry.

Madżid odwzajemnił gest. Zrobię, co mogę, żeby twojej siostrze nic się nie stało, *zahar*, mówiło jego spojrzenie. Ale lepiej oglądaj się za siebie.

Toryn i Kai opuścili chatę – i jednocześnie czarangę – na czworaka, odsunąwszy doskonale zakamuflowaną klapę wkomponowaną w żebra palisady. Po drugiej stronie wstali i popędzili przed siebie. Przez halę i las. Na południe.

A gdy strzeliste słupy stojące na straży Hurruk na dobre zniknęły im z oczu, niczym uwolnieni spod mocy uroku, usiedli na zimnej ziemi Pahaadu i zapłakali za ukochaną siostrą i przyjaciółką. Za tą, która została sama w tym okrutnym, odludnym miejscu.

*

Gdy Fel poczuła, jak ktoś unosi za brodę jej głowę, odruchowo cofnęła język i spięła lekko mięśnie. Uderzenie, jak przewidywała, było mocne i stanowcze. Poczuła ostre pieczenie na policzku, które – musiała to przyznać – pozwoliło jej chwycić się myślami teraźniejszości. A ta nie toczyła się dawno temu po późnym powrocie z miasta, w domu ojca. Ktoś uderzył ją tu i teraz, w oazie Al-Arak. W stodole kryjącej zbór, który nosił wszelkie znamiona rodzącego się ruchu oporu. I przymierzał się do poprawki.

– Au – wydukała z siebie jedno z niewielu słów, które zdążyły się przez ten czas uformować w jej głowie. Dla pewności najkrótsze.

Okazało się, że i to niemal przerosło jej możliwości, gdy stwierdziła, że jej język zachrobotał o podniebienie i lada moment się rozkruszy.

– Pić?

Czując ruch powietrza przed sobą, jeszcze raz spięła się w gotowości na uderzenie. Zamiast niego dotarł do niej znajomy głos. Wyczuła w nim nutę rozczarowania.

– Wody, Yaré. Daj wody.

Nie bez trudu otworzyła oczy, co z jakiegoś niewysłowionego powodu odezwało się katorżniczym bólem w jej skroni. Ale to był on. Stał nad nią. Chudszy, brudniejszy i bardziej zarośnięty.

Chwyciwszy karafkę, przechylił ją nad jej głową, więc musiała wycelować ustami w ciurkający strumień i spróbować się przy tym nie utopić. Raz czy dwa zakasłała, ale jakoś się udało. Łyknąwszy ostatnią porcję, chrząknęła i powiedziała:

– Bon-Bon. Przeżyłeś.

– Nie ma już Bon-Bona – odpowiedział jej najemnik. – Jest Bonenffant.

– Skurwysynu, zabiłeś Ifiko!

Fel zauważyła, że jej wybuch wywołał spore poruszenie wokół. Przyglądało się jej co najmniej kilkanaścioro tubylców. Spośród nich, oprócz Imoreńczyka, zdecydowanie wyróżniały się dwie kobiety. I żadną z nich nie była Yaré.

Bonenffant pochylił się nad nią.

– Bądź naprawdę cicho, Fel, bo ta rozmowa skończy się dużo szybciej, niżbyś tego chciała. Rozumiesz? Kiwnij.

Dziewczyna kiwnęła.

– Skąd wiedziałaś, gdzie nas szukać?

Fel jeszcze raz rozejrzała się po twarzach. Te kobiety. Znała je.

– Nie wiedziałam – odrzekła. – Nie szukałam was. Szukałam Yaré.

Bonenffant obejrzał się na dziewczynę, która tłumaczyła całą dyskusję reszcie. Ta wzruszyła tylko ramionami.

– I co chciałaś osiągnąć?

Zakkanka szarpnęła się na krześle w przypływie gorąca. Ból głowy i związanych nadgarstków natychmiast ostudził jej zapał, ale nie całkowicie.

– Chciałam się dowiedzieć, dlaczego ktoś z was postanowił mnie otruć – powiedziała przez zęby. – Nic wam nie zrobiłam.

Przetłumaczone przez Yaré słowa znów wzbudziły szmer wśród tubylców. Bonenffant wyprostował się. Jego głos zabrzmiał łagodniej:

– Nikt nie wydał na ciebie wyroku. Nie działamy w ten sposób... przynamniej na razie. Ale ci, których tu widzisz, to nie wszyscy mieszkańcy Al-Arak. Nie dotarliśmy do każdego, nie jesteśmy w stanie tego zrobić. To musiał być przypadek.

– My?

– Kto wie, że tutaj przyszłaś? Reynauld? Ta jego Taidanka?

– N-nikt. Reynauld jest gdzie indziej. Zszedł tunelem na sam dół, do leża Bakkusa. To właśnie chciałam powiedzieć, gdybym was znalazła. Woda cofnęła się.

– Łżesz! – warknęła jedna z dwóch kobiet przy boku Bonenffanta i zbliżyła się od Fel.

Nie było wątpliwości. To była służka. Ona i ta druga. Miały te same twarze, tę samą skórę bez tatuaży. A pod kapturami z pewnością kryły białe włosy. Wyglądały jak bliźniaczki Dyany.

– Nie widziałam tego na własne oczy. Powtarzam, co usłyszałam od Ikke. I widziałam, jak Reynauld tam schodzi. To wszystko.

– Dlaczego zatem przyszłaś tutaj? – zapytał najemnik i położył służce dłoń na ramieniu. – Dlaczego akurat do Yaré?

– Nazwij to przeczuciem.

– To za mało.

– To wszystko, co mam.

Fel zamilkła, jakby przytłoczona nagłym ciężarem, jaki niosły jej własne słowa. Ale tak właśnie było. Nie miała nic więcej. Oprócz siebie.

Bonenffant westchnął i odwrócił się do służek. Po cichej, ale gwałtownej wymianie zdań jedna z nich odłączyła się od grupy i zniknęła w cieniu.

– Sprawdzimy to – powiedział wreszcie do Fel. – Jeżeli to prawda, to sporo zmieni. Ale nie pogrzebie naszych planów. Do tego czasu przechowamy cię pod strażą gdzieś indziej.

Zakkanka milczała przez chwilę, a potem odpowiedziała cicho:

– Wszystko mi jedno.

– Halo, halo!

Głos, który dobiegł od strony wejścia do stodoły, zmroził Fel krew w żyłach.

To nie było możliwe.

Przecież była ostrożna.

– Co my tu mamy?

Reynauld wszedł pewnym krokiem w obręb światła pochodni, czym wzbudził popłoch wśród tubylców. Część rzuciła się do ucieczki. Fel zauważyła, że dwoje zdołało wyminąć Taidańczyka, ale trzeci, chlaśnięty po łydkach szablą, zwalił się ciężko na ziemię tuż za nim. Pierwsi dwoje padli z przejmującym jękiem już na zewnątrz. Kolejnym drogę ucieczki odcięła Ikke, która z obnażonym ostrzem pojawiła się w drzwiach.

Zakkanka szarpnęła jeszcze raz, ale szmaty, którymi ją związano, trzymały zbyt mocno.

– Uwolnij mnie, Bonenffant – powiedziała, próbując, jakkolwiek dyskretnie, przekrzyczeć tumult. – Nie zostawiaj mnie tak.

Najemnik zignorował ją i wysforował się wraz ze służką ku intruzom.

– Reynauld! – warknął. W jego dłoni pojawił się długi nóż.

Taidańczyk, jakby nigdy nic, wbił szablę w kobietę, która, wypchnięta przez tłum, upadła pod jego nogami. Fel z przerażeniem skonstatowała, że była to Yaré.

– Imoreński niedobitek! – rzekł, gdy zauważył idącego w jego stronę Bonenffanta. – A już myślałem, że któryś z tutejszych wyhodował wreszcie jaja na tym ugorze.

Stanęli naprzeciwko siebie. Fel złowiła wzrok Ikke, która dołączyła u boku swojego majora. Zimny wyraz skrytej w półmroku twarzy Taidanki był nieprzenikniony. Przy Imoreńczyku przyczaiła się służka.

Nie licząc łkania wystraszonych tubylców stłoczonych w najciemniejszych kątach stodoły, wokół zrobiło się cicho.

– To koniec, Reynauld – powiedział Bonenffant po imoreńsku. – Uwierz lub nie, ale nie chcieliśmy mieć

twojej krwi na rękach. Ale teraz jest jasne, że nigdy nie było innego wyjścia.

– Ruszaj – odrzekł Taidańczyk.

Bonenffant zaatakował. Wolno. Nawet Fel była w stanie zauważyć, że najemnik daleki był od optymalnej formy. Dużo zgrabniej ruszała się służka, która natychmiast rzuciła się na Ikke. I to z taką mocą, że serce Zakkanki zabiło z siłą, która kazała jej podać w wątpliwość, komu tak naprawdę powinna kibicować.

Reynauld zaregował błyskawicznie. Pozwolił porucznik zbić pierwszy cios służki, po czym wślizgnął się między obie kobiety. Błysnęła szabla i białowłosa kobieta odskoczyła w bok – z dala od Bonenffanta. Pozostawiony bez wyjścia najemnik natarł na cel, który był najbliżej. Ikke była już gotowa. Bez trudu sparowała jego cięcie i wyrżnęła go pięścią prosto w nos. Bogowie wiedzieli jedynie, jak to się stało, że Imoreńczyk nie padł na plecy po takim ciosie, tylko brocząc krwią, ciął jeszcze raz. I jeszcze raz. A potem pchnął. Jego sztych przedarł się przez gardę kobiety i obie warstwy ubrania na wysokości piersi. Ikke syknęła.

W Reynaulda wstąpił demon. Podążał za nieuzbrojoną służką nieustępliwie wokół stodoły, odcinał jej drogę do Bonenffanta i wyjścia. Zapędzał ją w róg. Szczerzył się i ślinił, a kotłująca się w nim furia ze świstem rozdzierała powietrze przy każdym jego cięciu. Dziewczyna próbowała się bronić. Rzucała w niego wszelkie przedmioty, które wpadły jej w ręce, ale żaden nie dosięgnął celu. Taidańczyk zaś, czując dobrze, że ta służka najwyraźniej utraciła swe ogniste moce, był coraz bliżej. Czuła jego oddech.

Wtem udało się. Trzonek od grabi, który poleciał w stronę żołnierza, zaczepił się o jego nogi i wytrącił go z równowagi. Chwiejąc się, Reynauld zdążył zauważyć, jak jego przeciwniczka zbiera się w sobie, i zasłonić twarz. Służka spadła na niego jak lawina, celowała ostrymi pazurami w oczy. Nie dosięgła celu, ale poharatała Taidańczykowi dłoń. I to też był sukces, bo aby się bronić, musiał puścić swą szablę. Fel nie widziała dokładnie odbywającej się na skraju nieprzeniknionego mroku szamotaniny. Lada chwila spodziewała się, że mężczyzna zrzuci służkę z siebie albo że i ją ogarnie furia i przegryzie mu tętnicę na szyi, którą miała tuż przed oczami. Ale stało się coś zupełnie innego.

– To... za... moich... ludzi!

Stłumone warknięcia Reynaulda zgrały się z czterema szarpnięciami, które poderwały ciało służki do góry. Dziewczyna głośno wciągnęła powietrze i stoczywszy się z mężczyzny, skuliła się na boku, niemalże w bezruchu. Żołnierz poderwał się na nogi i strząsnął krew z noża, a potem obejrzał się za siebie.

Fel z trudem oderwała wzrok od umierającej służki i podążyła za jego spojrzeniem w stronę Bonenffanta i Ikke. Przyciskając lewe ramię do boku, Taidanka trzymała Imoreńczyka na sztychu szabli. Najemnik był bez broni, a z jego prawej dłoni skapywała krew. W następnej chwili padł przed nią na kolana.

– Kończmy to, Ikke – powiedział Reynauld i schował nóż za pas, po czym podniósł szablę.

Porucznik poprawiła pozycję i cofnęła nieznacznie ostrze.

– Ikke! – krzyknęła Fel, zwracając na siebie uwagę obojga Taidańczyków. – Ikke, nie!

– To rozkaz, poruczniku! – zachrypiał major. Podszedł do Bonenffanta i stanął za jego plecami. – Już!

– Sir, to nie jest... – odrzekła kobieta, ale przerwała, gdy szabla Reynaulda zatoczyła półokrąg i wbiła się głęboko w szyję najemnika.

Bonenffant zwalił się na ziemię u jego nóg. Nie wydał z siebie dźwięku. Po policzkach Fel pociekły strugą łzy.

– Ty też? – wysapał Reynauld i skierował ostrze w stronę Ikke.

Żołnierz przestąpił nad ciałem i oparł szablę o mostek swej porucznik. Kobieta przebierała palcami po rękojeści swej broni, ale Fel widziała w jej spojrzeniu niechęć do zwrócenia się przeciw swemu dowódcy. Nie zrobiła tego przez tyle lat. Była świadkiem większości jego zabójstw i tortur. I wraz z nim straciła swych kompanów, gdy w nocy na pustyni przyszła służka Bakkusa.

– Baczność, żołnierzu!

Ikke wzdrygnęła się. Mocniej chwyciła szablę niepewna tego, co powinna była uczynić.

– Baczność, powiedziałem! – ryknął Reynauld, po czym wyciągnął z cienia trzęsącego się ze strachu mężczyznę i jednym ruchem podciął mu gardło.

Nieszczęśnik złapał się za szyję, po czym, pchnięty, poleciał na twarz. Już się nie podniósł.

Fel jęknęła. Ikke zagryzła wargę.

Reynauld złapał następnego.

– Czy to jest coś, za co chcesz oddać życie, Varga?! Za to trzęsące się gówno?

Gdy i temu poderżnął krtań, z ust Taidanki wydobył się nieartykułowany protest.

– To nie jest poprawny sposób zwracania się do swego dowódcy, poruczniku! Chcesz spróbować jeszcze raz?

Żołnierz odwrócił się i z mroku wyciągnął szarpiącą się dziewczynę. Była albo wyjątkowo niska, albo bardzo młoda.

– Sir...

– Słucham, Varga. Co, „sir”?

– Sir, proszę...

– Jeszcze raz!

Reynauld przytknął ostrze do szyi zakładniczki i zamachnął się.

– Przestań! – zawyła Fel, po raz wtóry próbując się oswobodzić z więzów. Tym razem udało się jej jedynie rozhuśtać nieco krzesło. – Dosyć już!

Wykorzystując moment dezorientacji Reynaulda, Ikke uniosła broń i doskoczyła do niego, ale w ostatniej chwili powstrzymała się od zadania ciosu. Taidańczyk na ten widok warknął coś w swoim języku i z całej siły uderzył Ikke pięścią w twarz. Głowa żołnierki odskoczyła, a ona sama wykonała dwa kroki do tyłu i padła na ziemię zamroczona.

Major audytor odwrócił się w stronę Fel.

– No i popatrz, jak się urządziłaś – powiedział, gdy podszedł do niej na odległość wyciągniętej ręki. Pokręcił głową. – Dałem ci tak piękną szansę, byś nauczyła się przydawać innym. I dorosła przez ten czas u mojego boku. A ty, głupia, uwierzyłaś, że ci tutaj, którzy poddali się tego samego dnia, gdy przywlokłem tu Ikke z pustyni, będą warci tego, żeby nadstawiać za nich karku. Zabili ci tego ptaka, prawda? I co?

Reynauld uniósł broń i dotknął sztychem gardła Zakkanki. Zapiekło.

Fel wstrzymała oddech, próbując okiełznać napęczniałe od krwi palce, które mimowolnie i boleśnie od jakiegoś czasu drapały drewno siedziska. Kątem oka zauważyła jakiś ruch. Zmusiwszy się do oderwania wzroku od twarzy Reynaulda, zerknęła w bok.

U wejścia do stodoły stała jeszcze jedna służka Bakkusa. Wyglądała na zdezorientowaną, ale gdyby zatrzymać na sobie uwagę Taidańczyka...

– Sram na to wszystko – powiedziała cicho Fel, nie potrafiąc ukryć drżenia głosu. – Sram na nich wszystkich za to, że zabili Ifiko. Chcieli mnie otruć. I na ciebie też sram, skurwysynu!

Jeżeli to nie przyciągnie jego pełnej uwagi, pomyślała, to nie wiem, co mogłoby to zrobić.

Reynauld zaczerpnął oddech, by coś odpowiedzieć, ale zamiast tego zamarł na chwilę. A potem wycofał ostrze i przechylił w zamyśleniu głowę.

Nie, nie, nie. Patrz się tu na mnie, dupku. Na mnie!

Z całych sił powstrzymując się przed spojrzeniem na poczynania służki, Fel wbiła w Taidańczyka swe najbardziej pogardliwe spojrzenie. „No chodź", mówiło, „dźgnij mnie. Byle powoli".

I wtedy Reynauld odwrócił się. Zauważył ją od razu. Ku rozczarowaniu Fel służka wciąż stała przy drzwiach. Jedną ręką trzymała się za głowę, krótkie białe włosy przelewały się między jej palcami. Ale nie było na nich krwi.

Wtedy dopiero Zakkanka dostrzegła, że w jej wyglądzie było coś jeszcze...

– Coś ty za jedna? – zapytał Reynauld i zaczął iść w jej stronę. On też w niej to widział. – Kim jesteś?!

Fel wychyliła się, aby nie stracić służki ze wzroku. Fakt, że pojedyncza kropla chłodnej krwi spłynęła po jej szyi i rozmyła się na spoconej skórze między jej piersiami, zagrzebała gdzieś głęboko w nieświadomości.

– Jak masz na imię?! – nie poddawał się Taidańczyk. – Jak masz na imię?!

I wtedy nieznajoma mu odpowiedziała. Cicho. Ale jej głos wybrzmiał z siłą wichury przetaczającej się przez las:

– Nazywam się...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– *Vahaka!* – zakrzyknęła Alyn i zarzuciła torbę Pahaadki na mniej bolące ramię. – Możesz mi chociaż powiedzieć, co to znaczy? Uch, ciężkie.

Wojowniczka odwróciła się i spojrzała na nią spod oka. Na wysokości wzroku złodziejki do przodu i do tyłu, w rytm kroków, poruszał się zaczerwieniony kikut Vaali. Opowiadał sobą żałosną historię. Ale wciąż był grubszy, wydawało się, niż udo Alyn.

Złodziejka poprawiła wrzynający się jej w ramię pas pękatej torby, którą wręczyła jej Vaala, gdy tylko opuściły razem arenę. Szły przez czarangę ku zachowawczym owacjom tych, którzy znaleźli się w pułapce Hurruk. Przynajmniej do czasu odnalezienia Toryna i Kai. Fakt, iż nie wyglądało na to, by zarządzony przez herszt-matkę stan wyjątkowy miał chylić się ku końcowi, podnosił złodziejkę na duchu. Zupełnie odwrotnie niż to przeklęte torbiszcze.

Wszystko było nie tak. Zamiast hucznej, chaotycznej celebracji na ulicach – opanowanie, niepewność i półszepty. Zamiast anonimowości – wystawienie na widok i centrum uwagi. Zamiast górskiego chłodu – bezwietrzne, popołudniowe ciepło, które wżerało się w głąb jej ciała i rozdrapywało od środka przestrzeń między żebrami.

I tylko jedno pozwalało zachować jako taką nadzieję – Vaala prowadziła je wprost ku tylnej bramie czarangi. Dużo węższej i w każdym stopniu mniej okazałej niż ta, która prężyła się pośrodku palisady. Ale równie silnie chronionej. Bramie ku górom. Ku Makalu.

– Powiedz mi chociaż to jedno – sapiąc, nie poddawała się Alyn. – *Vahaka?* Przysięgnij, że po waszemu nie znaczy to ofiar...

– Tragarka – złodziejka usłyszała znajomy głos. – *Vahaka* to tragarka.

Herszt-matka podeszła do Vaali, która skłoniła się tak nieznacznie i od niechcenia, że Alyn natychmiast zaczęła się zastanawiać, ile oficjalnych protokołów zostało właśnie połamanych na kolanie i rzuconych za siebie. Merethe powiedziała po pahaadzku kilka słów, które spotkały się z zachowawczymi owacjami gapiów. Wojowniczka odpowiedziała jej krócej i w chłodniejszym tonie. Następnie wskazała na Alyn i dopowiedziała jeszcze dwa zdania. Czoło herszt-matki zmarszczyło się gniewnie, ale słowa, które padły jej z ust, wybrzmiały w podniosłym tonie. Powiedziałbyś wręcz: radosnym. Trzy wymiany zdań później Merethe odwróciła się i podeszła do Alyn. Zatrzymała się tylko na chwilę wystarczającą, by wycedzić przez zęby:

– Moja cierpliwość do waszych wybryków, Rowańczycy, skończyła się dawno temu. Twój brat zawiśnie na rynku jeszcze dziś. Nie wracaj tutaj, jeśli nie chcesz do niego dołączyć.

Następnie strzeliła obcasami i ruszyła raźno z powrotem ku centrum czarangi.

Złodziejka zerknęła na Vaalę, która niespecjalnie przekonująco udawała nieopodal brak zainteresowania

tą scenką. Uśmiechnęła się do wojowniczki i wzruszyła ramionami. W odpowiedzi Pahaadka odwróciła się plecami i podjęła marsz ku bramie. Alyn westchnęła i podążyła za nią.

Gdy stanęły przed bramą, jeden z gwardzistów podszedł do Vaali i ukłonił się nisko, po czym, mówiąc, wskazał obojczyki wojowniczki i skuloną przy ścianie chatynkę kilkanaście kroków dalej.

– Nie – odpowiedziała Pahaadka słowem, które Alyn zdążyła już podłapać z tutejszej mowy.

Żołnierz uniósł dłonie w przeprosinach i wskazał gestem bramę. I wtedy złodziejkę tknęło.

– Hej, hej, hej! – zakrzyknęła po zakkańsku w nadziei, że Vaala zrozumie więcej, niż gdyby odezwała się po rowańsku. Wyprzedziła kobietę i zagrodziła jej drogę. – Nie tak szybko. On ma rację. Przecież nawet cię dobrze nie opatrzyli. Masz przeokrutne rozcięcie, które na pewno ci się tam po drodze nie zagoi.

Gdy zauważyła, jak brwi Vaali zaczynają się zbliżać do siebie w złowrogim grymasie, złodziejka rzuciła torbę na ziemię. W chwili olśnienia podwinęła kamizelkę i koszulę wysoko do góry, eksponując swój prawy bok tuż pod piersią. Tam, gdzie ugodził ją bełt wystrzelony przez bandytę, nim wraz z Fel opuściły Pustynię Nomadów i dotarły do Imoren.

– Patrz. To jest nieopatrzone rozcięcie. Przyjrzyj się.

Było na co patrzeć. Fioletowa pręga, trzykrotnie szersza niż sama rana, wciąż była delikatnie napuchnięta. Opasywała długą brunatną krechę znaczącą ślad, jakim po jej skórze podążył grot. Od tamtego czasu Alyn ani razu nie spała na tym boku.

Gdy zauważyła, że jej występ przynajmniej przyciągnął uwagę Vaali, złodziejka opuściła ubranie, po czym zbliżyła do jej twarzy swą prawą skroń. Palcami rozgarnęła twarde strąki włosów – tam, gdzie ugodziła ją siekierka Tabithy.

– A to jest rana, którą zajęto się jak trzeba. Porównaj sobie. Nic nie boli – powiedziała, po czym dla efektu puknęła się palcami w głowę. – Trzeba to przynajmniej zszyć, na Isztar.

Vaala prychnęła, ale nie ruszyła się z miejsca. W końcu przewróciła oczami i wskazała gestem chatkę.

– *Yetata* – powiedziała.

Drzwi były otwarte. W środku było ciemno, a miejsca wystarczyło jedynie na prostą, trzeszczącą leżankę, niewielki stolik z przyborami, zbyt niski taborecik i pękaty brzuch brodacza, w którym Alyn nie od razu rozpoznała medyka z areny.

Pahaadka weszła pierwsza. Rozejrzała się, wskazała na mężczyznę, a następnie na drzwi.

– *Baher* – rozkazała.

Pahaad otworzył usta do protestu, ale nie wydał z siebie dźwięku. W następnej chwili skłonił się i wyturlał z chatynki. Vaala niemal siłą wciągnęła do środka Alyn i zamknęła drzwi. Gestem wskazała opatrunki i metalowe instrumenty cyrulika, po czym usiadła na leżance i zaczęła pozbywać się założonych już na podróż warstw górnej odzieży. Złodziejka zauważyła, że gdy tylko wojowniczka podnosiła rękę, na jej usta wkradał się grymas bólu.

– Nigdy czegoś takiego nie robiłam – powiedziała do Pahaadki dziarsko po zakkańsku, po czym objęła ramionami szeroko jej płaszcz i odłożyła na bok. – Nie wiem, dlaczego kazałaś mu wyjść, szczerze mówiąc. Z tego, co widziałam, wydawał się całkiem kompetentny. No, przecież nie pozwoliliby mu wejść nawet na arenę, gdyby nie... oż, kurwa.

Gdy Alyn odwinęła czerwoną od krwi szmatę utrzymującą w miejscu przyciśnięty do rany zwitek materiału, ten odpadł z głuchym mlaśnięciem na uda Vaali. Oczom złodziejki ukazał się przeraźliwy, bezzębny uśmiech rozcięcia rozpiętego na całej szerokości torsu kobiety.

Pahaadka zacisnęła oczy i zagryzła wargę, ale oprócz głośnego wdechu nie wydała z siebie dźwięku. Alyn zamarła na chwilę zahipnotyzowana tym widokiem. Gdy jednak zmusiła się do zamknięcia oczu, gdzieś z tyłu głowy przypomniał jej o sobie obraz starej klitki w lesie pod Crux na Kaim. A w niej wizyty Godryka i rannej Eleny.

I nagle złodziejka wiedziała, co powinna zrobić.

– Dobra, Vaala, jestem przerażona tym wszystkim, ale musisz mi zaufać. Będę do ciebie mówić, nawet jeśli mnie nie rozumiesz, bo to mi ułatwi sprawę. Bo, wiesz, sama chcę wiedzieć, co robić. No i pomoże mi to nie zemdleć. No więc najpierw oczyścimy ci toto. Nie, najpierw też zdejmę z siebie te łachy, które kazałaś mi założyć, bo zaraz się w tym ugotuję. Nie będę ci mówić, że będzie piekło jak sam skurwysyn, bo po tym, co widziałam, wierzę, że mogłabyś zagryzać szkło solą i nie drgnąłby ci nawet mięsień. Ale wiesz... Będzie. Piekło znaczy się. Gotowa? No to jedziemy. Uch... Uch... Chyba jednak zemdleję. Ależ cię zrobił ten dupek. Ale wiesz co? Dobrze mu tak. Hej, Vaala? Vaala, jesteś ze mną? Posłuchaj mnie. Nie, siedź teraz cicho i skup się na moim głosie. Czy gdy cię zabrał, Løc, po tym, jak, wiesz, Reynauld... Gdy straciłaś rękę i szliście tu, do Pahaadu, czy mówił ci, kto mu tak poharatał tę jego grabę? Bo, wiesz, ten ktoś właśnie nawlekł nić na to haczysko i za chwilę będzie na tobie ćwiczył krawiectwo. Pewnie i bez tego byś sobie z nim poradziła, ale, wiesz, to, że mnie wybrałaś, nie musi być wcale przypadkiem. Pewnie mi nie powiesz, dlaczego mnie wybrałaś, co? Ja nawet nie wiem, czego się oczekuje od takiej *vahaki*... No, proszę, mamy jeden szew. Jeszcze... uch... dwadzieścia. O, a słyszałaś może o kobiecie o imieniu Raina? Rai-na, mówi ci to coś? Być może jest stąd, być może była tu tylko chwilowo. Nie? Tak myślałam, ale musiałam spytać. No nic. Ale powiem ci jedno, Vaala. Mogłaś mi oszczędzić publicznego obnażania się tylko po to, by przekonać cię do tego pomysłu. Widzę, że o niedoleczonych ranach wiesz dużo więcej ode mnie, hi, hi. Jak tak patrzę na twoje ciało, to mimo wszystko muszę ci powiedzieć, że... jest niesamowite. Jesteś niezwykłą, niebywale piękną kobietą, Vaala. I mam głęboką nadzieję, że faktycznie nie rozumiesz ani słowa z tego, co do ciebie mówię.

Dwie zmiany nici i dwadzieścia dwa, jak się okazało, szwy później było już po wszystkim. Zamiast krwistego uśmiechu pod obojczykami Pahaadki wyrosła pękata, różowa gąsienica napuchniętej i związanej nicią skóry. Vaala spojrzała z góry na dzieło rudej złodziejki, skinęła z uznaniem i zaczęła ostrożnie zakładać z powrotem odłożone na bok ubrania.

– Skinienie może być – powiedziała Alyn i otarła sobie pot z czoła. – To prawie jak „dziękuję". Nie ma za co, Pahaadko. Ty ubiłaś Løca. Jesteśmy kwita.

*

– Ależ piździ.

Niby trudno było się spodzewać czegoś innego. Niby Vaala do końca upierała się gestami, by Alyn owinęła się szalem i zatknęła na głowę pod kaptur grubą, futrzaną czapkę. Ale wciąż czuła się zaskoczona tym, jak mroźnie przywitał ich łańcuch Bhalu Devi zaledwie kilka chwil po tym, jak opuściły czarangę.

Nie było co patrzeć za siebie. Złodziejka wierzyła – bo musiała wierzyć, żeby nie popaść w histerię ze zmartwienia – że Kai i Torynowi udało się umknąć przed obławą. Miała wrażenie, że Dalia, która przecież wspierała ją w jej wędrówce, sprawi, że tak właśnie się stanie. Przecież wszystko inne, co przepowiedziała Durga w Mahatrze... no, prawie wszystko inne – sprawdziło się.

Został więc wąski kanion, ciemna szczelina, której dno było wystarczająco nierówne i chropowate, by lód, który na nim osiadł, nie przeszkadzał w wędrówce. Zwłaszcza że droga wiodła cały czas do góry. A gdy kobiety spoglądały przed siebie, by ocenić odległość do następnego równiejszego odcinka, ich wzrok padał na niezwykłą galerię ogromnych, często dwukrotnie większych od człowieka sopli. Niczym organy grały przejmującą muzykę w rytm powiewów szalejącego wyżej wiatru. Gotowe w każdej chwili oderwać się od ściany i zbombardować ścieżynkę poniżej.

Było naprawdę zimno.

Z przytłaczającej gardzieli szczeliny wyszły już po południu. Zdążyły pożegnać jedynie żółtą tarczę słońca, które natychmiast skryło się za widniejącym daleko z przodu szczytem. Kolejny etap drogi wiódł dnem rozległego żlebu, który przywołał Alyn na myśl Harrię, kopalnię darlenitu na Kaim. Różnica polegała na tym, iż zbocza Góry Gigantów wydawały się zazielenione połaciami łąk i lasów, a tu wokół kamienistego koryta leżały jedynie inne kamienie. I czapy zmarzniętego śniegu. Brak wysokich ścian po obu stronach sprawiał do tego, że szczypiący wiatr dokuczał wędrowczyniom jeszcze bardziej.

I tylko temu, że Vaala zarzuciła torbę z prowiantem na swoje ramię, złodziejka zawdzięczała to, że już teraz będąc blisko wyplucia swych płuc, wciąż trzymała się na nogach.

Makalu – pomyślała w pewnym momencie – na Isztar, bądź tego warta.

Żleb poprowadził je prosto ku górze aż do momentu, gdy wyścielające jego dno głazy stały się barierą nie do przekroczenia. Bez chwili namysłu Vaala wskazała wówczas ręką kierunek dalszej wędrówki i obie znalazły się na wąskiej ścieżynce, a raczej przytulonym do stromego zbocza występie. Po prawej, wysoko, bezdusznym okiem ich wędrówkę śledził stoicki szczyt góry. Po lewej rozpościerała się wyciągająca po podróżniczki swe ostre, kamienne palce otwarta przestrzeń stromego stoku. Poruszały się więc jeszcze wolniej niż dotychczas, jedna za drugą. Ostrożnie. Nasłuchiwały echa kamieni, które umknąwszy spod ich stóp, długo spadały, odbijając się z klekotem od skał i lodu. Alyn odgłos ten przywodził na myśl trzask łamanych kości.

I wciąż wiało.

Nie wiedziała, jak długo trwał ów pochód gęsiego o pół kroku od śmierci. Gdy stanęła wreszcie pewnie na skraju ośnieżonej, rozległej przełęczy, nogi trzęsły się pod nią tak bardzo, że aż musiała klęknąć. I to bynajmniej nie dlatego, że była zmachana. W tej chwili dni wdrapywania się po ścianach willi saahiijskich kupców w palącym ogniu południowego słońca wydawały się tak odległe, że niemal nieprawdziwe.

Vaala tymczasem położyła na ziemi torbę i podsunęła nogą ku Alyn. Złodziejka nie bez trudu rozwiązała sznurek i sięgnęła do środka po dwa płaty solonego, suchego mięsa. Były sztywne od mrozu, ale wystarczyła chwila międlenia w ustach, by dały z siebie wydobyć wspaniały aromat ogniska i soczysty smak. Wtedy dopiero Alyn zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo była głodna. Po pochłonięciu jednego kawałka zanurkowała więc po drugi. Przed wzięciem trzeciego powstrzymała ją Vaala. Wojowniczka sobie tylko znanym sposobem zawiązała jedną dłonią sznur, po czym zarzuciła sobie torbę na ramię.

Kiedy odpoczęły, dalekie od sytości, ruszyły w poprzek pola puchatej bieli.

– Zastanawiałam się – powiedziała Alyn, gdy przełknęła z żalem ostatni kęs – czego ktoś taki jak ty może się spodziewać po Makalu. To znaczy, jaki jest twój cel? Czy będziesz chciała powrócić do czarangi? W szeregi wojowników? Czy...

Pahaadka odwróciła się ku Alyn i gestem uciszyła ją, a następnie wskazała na coś palcem. Gdy złodziejka powiodła za nim wzrokiem, dojrzała drobne, niemalże niezauważalne ślady na powierzchni śniegu. To był trop niewielkiego zwierzęcia. Zapewne gryzonia, który uwił sobie norę gdzieś pod białą czapą, pod którą musiały się kryć się zatem zapewne jakieś sprasowane pędy roślin. Jeżeli nie trawy – co oznaczałoby, że latem na tej odległej przełęczy musiało kwitnąć życie – to chociaż porostów.

Nim złodziejka się spostrzegła, przemierzyły wspólnie niemal całą otwartą przestrzeń. Gdzieś wysoko nad ich głowami krążyło kilka ptaków.

Kolację zjadły w milczeniu. Gdy zaczęło robić się ciemno, usiadły blisko siebie w płytkim zagłębieniu skalnym. Z dna torby Vaala wyszarpnęła ciasno zwinięty pled, którym okryły nogi. Twarde płaty suszonego mięsa schowały na kilka chwil pod ubranie, aby przed konsumpcją choć trochę ogrzać je ciepłem własnych ciał.

Alyn stwierdziła, że dałaby nieprzyzwoicie wiele za możliwość ogrzania się przy żarokamieniach służek. Tak daleko od cywilizacji i – jak się wydawało – żywej natury ostatnim, czego można było się spodziewać w okolicy, były suche gałęzie na opał. Zamiast trzasku gotującej się żywicy towarzyszył im jedynie leniwy świst nigdy nie ustającego wiatru. Złodziejka skupiła się i spróbowała przywołać głos, który nawiedzał ją w snach. Głos Dalii. Ale zamiast niego, przysypiając na siedząco wtulona w bok Pahaadki, słyszała jedynie odległy szum. Być może były to czyjeś szepty. Być może szelest drobinek lodu.

Tej nocy nie śniło się jej nic.

Obudziła się niedługo po tym, jak czuwająca – lub niemogąca zasnąć – przez całą noc Vaala wreszcie przymknęła oczy i opuściła głowę. Alyn przyjrzała się w bladym świetle przedświtu twarzy Pahaadki. Wspomniała opowieści Toryna o tym, jak przez jakiś czas dzielił z nią izbę w chatce pod czarangą. Gdy jedyny raz udało mu się przyłapać ją we śnie, widok jej spiętego oblicza, gotowego w każdej chwili do zerwania się z miejsca i walki, sprawił, że obok podszytego strachem respektu poczuł do niej również współczucie. Jednoręka kobieta nie była w stanie zaznać spokoju nawet we śnie.

I to, pomyślała Alyn, by się zgadzało. Przez chwilę walczyła ze sobą, chcąc najdelikatniejszym z gestów odgarnąć dłonią pukiel włosów, który opadł Vaali na twarz. Okazać odrobinę czułości komuś, dla kogo jej pula na tym świecie już dawno się wyczerpała. Ale cofnęła rękę.

Najciszej, jak umiała, wygrzebała się spod pledu. Rozgrzewając zziębnięte ciało, wyszła z powrotem na w miarę szeroki, płaski ustęp na zboczu, który chwilowo robił im za ścieżkę. Rozejrzała się najpierw po krajobrazie niezliczonych skalistych zębów, których białe stożki szczytów wypełniały horyzont. Potem spojrzała za siebie i do góry.

– Mam cię – szepnęła, szczękając zębami, gdy znalazła to, czego szukała.

Ściana była stroma, ale jednocześnie daleka od pionu. Do tego chropowata i na pierwszy rzut oka niepokryta lodem. Nic, tylko się wspinać.

Złodziejka przyłożyła ostrożnie do skały prawą, wciąż zabandażowaną pod rękawicą dłoń. Zacisnęła na niej swe poparzone, niemalże pozbawione czucia palce i spróbowała oprzeć na nich ciężar swojego ciała. Zaszczypało, a jej chwyt puścił. Alyn przybliżyła dłoń do twarzy i spojrzała na nią surowo.

– Nie udawaj, że nie możesz. Ile się znamy? – szepnęła do kończyny, po czym rozluźniła ją i potrząsnęła przy udzie. – I co to za *vahaka*, która wlecze się w ogonie i to do tego bez bagażu?

Dziewczyna wzięła głęboki oddech i po krótkim rozbiegu błyskawicznie wdrapała się – na poły podciągając się, na poły drepcząc na czworaka – na wysokość trzech solidnych Pahaadów ustawionych jeden na drugim. Mimo bólu w dłoni, którą wykorzystywała głównie do podpierania się i odpychania od skały, była zaskoczona, jak sprawnie jej to poszło.

Drugą taką samą wysokość pokonała już wolniej, ostrożniej, ale wciąż pewnie. Tak, jakby nigdy nie wyjechała z Saahii. A potem, gdy już była pewna swych możliwości, zgrabiałe palce drugiej dłoni, tej zdrowej, zacisnęły się na występie, który pękł i z klekotem, w kawałkach, pofrunął w dół. W ostatniej chwili Alyn złapała się ściany drugą ręką. Szarpnięcie sprawiło, że poczuła, jak coś pod jej bandażem pęka. Zagryzła wargę, by nie zawyć z bólu.

Westchnęła i gdy uspokoiła oddech, spojrzała do góry. Cel, który sobie upatrzyła, widniał już przed nią. Widziała go wyraźnie. Jeszcze dwa susy, jeszcze jeden.

Powoli podciągnęła się i odnalazła pewne oparcie dla stóp. Teraz wystarczyło jeszcze raz spiąć mięśnie i...

Pomarańczowa plama, która na tej wysokości wychynęła zza góry na wschodzie, zaskoczyła ją swą jaskrawością i ciepłem. Alyn odwróciła głowę i spojrzała nowemu dniu prosto w zaspane jeszcze oko. Po wieczorze i nocy spędzonych niemal bez przerwy w ciemności i na wietrze dotyk słońca był jak nagłe ukojenie. Nadzieja na to, że jeszcze wszystko będzie dobrze.

Poczuła, jak jej tętno spowalnia do zwykłego rytmu. Chłód sprawiał, że umęczone bólem w klatce piersiowej serce ćmiło niemal niezauważalnie. Przez ten jeden moment wszystko było w porządku.

Złodziejka podsunęła się wyżej i zerknęła w głąb ciemnej dziury w skale, którą wypatrzyła z dołu.

– Jest – szepnęła. – Rzeczywiście jest.

Gniazdo było puste, ale nie wydawało się opuszczone. Część składających się na nie gałązek, z pewnością przyniesionych z wyżyn u stóp łańcucha Bhalu Devi, wciąż była miękka, świeciła się żółcią i zielenią.

Przez chwilę Alyn poczuła wstyd. Wyrzuty sumienia, że liczyła na to, iż znajdzie w gnieździe jajka. Delikatesy, którymi mogłaby osłodzić sobie i Vaali monotonną dietę ze szczuplejących zapasów mięsa i nieprzebranych połaci lodu i śniegu. I ulgę, że w gnieździe nic nie było.

A potem ogarnęła ją duma. Że jeszcze, mimo wszystko, było ją stać na to, by się tu wdrapać. Przywitać nowy dzień.

Jeszcze nie jest ze mną tak źle, pomyślała.

I wtedy ze skalnej dziury za gniazdem z wrzaskiem, trzepocąc skrzydłami, wypadło puchate ptaszysko, a Alyn z zaskoczenia zamachała w powietrzu rękoma i odpadła od ściany.

Wiedziała z przerażającą dokładnością, co się zaraz stanie. Odskoczyła z wystarczającą siłą obrotu, aby pierwszy ustęp, na który się wcześniej wspięła, przywitać na powrót po salcie nogami. Prędkość będzie jednak

zbyt wielka, by się zatrzymać. Przeciwnie. Skompresowane nagle mięśnie i ścięgna ugiętych nóg – jeśli tylko wytrzymają jej kostki – odbiją ją jeszcze raz, silniej, od ściany i nadadzą jej jeszcze większą prędkość obrotu. Stamtąd, lecąc ku swojej śmierci, wykona półtora salta i rąbnie w grunt plecami lub od razu głową. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, jej martwe już ciało zsunie się następnie ze ścieżki i poturla się dalej w dół zbocza. I nie było na to rady.

– Tyle zachodu... – zaświtała jej w głowie przejmująca myśl.

A potem jej stawy zatrzeszczały, gdy z ogromnym pędem odbiła się nogami od skały i świat zawirował po raz ostatni.

Łup!

Wrażenie samego uderzenia w ziemię było zaskakująco łagodne. Poczuła się wręcz tak, jakby zamiast w skałę wbiła się ciałem w łoże pełne puchu. Z poczynionych na szybko obserwacji zdołała skonstatować, że jej truchło nie zsunęło się również dalej, tylko zaległo nieruchomo na plecach. Co więcej, miało szeroko otwarte oczy. Nie była tylko pewna, czy oddychało. Ale na pewno trzymało coś w dłoni. To był...

Otrzeźwił ją dochodzący tuż zza jej głowy perlisty śmiech. I wtedy złodziejka zrozumiała. To była Vaala. Wylądowała na Vaali. A raczej to Pahaadka ją złapała. Czy raczej przyjęła na siebie impet jej upadku. I teraz, po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy, leżała na ziemi i ryczała ze śmiechu.

Wiedziona dziwnym przeczuciem Alyn uniosła ku twarzy lewą dłoń, w której, jak się okazało, kurczowo coś zaciskała. I wtedy sama roześmiała się do łez.

To był ten ptak. Złapała go za puchatą szyję, tam, na górze, i spadając, ścisnęła z całej siły. Skręciła mu szyję. Zwierzę było rozczochrane, miało rozwarty dziób i oczy wychodziły mu z orbit. Sytuacja bez dwóch zdań nie była śmieszna. Ale ani Alyn, ani Vaala, długo nie mogły przestać rechotać.

*

Zjadły go tego samego wieczoru na półsurowo. Przypiekły go nad śmierdzącym płomieniem miniaturowego ogniska, które powstało z rozłamanej na drzazgi pochodni wyjętej z coraz szczuplejszej torby Vaali. Mięso było mdłe i żylaste, ale przynajmniej ciepłe. Gdy opatrzyła na nowo swoją ranę na dłoni, Alyn przyjrzała się własnoręcznie zaszytemu rozcięciu Pahaadki, które – poza drobnym bezbarwnym wysiękiem z obu krańców – na szczęście wyszło z porannego zderzenia bez szwanku.

Kolejne dwie noce minęły im bez przygód.

Czwartego dnia wędrówki znalazły się tak daleko i wysoko, że gdzie nie spojrzały, tam w oczy biła jaskrawa biel śniegu kontrastująca z ciemnogranatowym niebem. Coraz trudniej było im też oddychać.

W pewnym momencie, niosąc torbę, złodziejka zauważyła, że zapasy jedzenia znalazły się na wyczerpaniu. Przyznała się przed sobą do myśli o tym, że mogła to być wyprawa w jedną stronę. Ale nie była jeszcze gotowa przyjąć tego za prawdę.

Dalia się nie odzywała.

Był tylko szum.

Piąty dzień spędziła głodna i na wpół ślepa od wszechobecnej jaskrawości, idąc na sznurku za Vaalą. Szóstego dnia to ona prowadziła Pahaadkę. Szły wzdłuż wyraźnego szlaku, który wiódł to na południe, to na

zachód i wydawał się nie mieć końca.

Siódmego dnia dotarły do Makalu.

*

Nie od razu poznały, że są na miejscu. Gęsta, lepka mgła spowijała góry od samego poranka, przesłaniając widok na wszystko, co znajdowało się dalej niż o kilkanaście kroków od nich. Trzymały się blisko siebie. Dreptały powoli, aż usłyszały coraz wyraźniejszy szum. Alyn od razu zdała sobie sprawę, że to nie był ów dźwięk, który męczył ją, od kiedy wyruszyły w drogę, i pociągnęła Vaalę za rękaw, prowadząc w kierunku jego źródła.

Wiatr zerwał się i rozgonił chmurę w momencie, gdy stanęły pod ogromnym, ogłuszająco grzmiącym wodospadem. Jego parujące wody wirowały w niewielkim, krystalicznie czystym jeziorku, po czym odpływały dalej, w dół... rozczarowująco zmarzniętej, białej i pustej doliny.

– Makalu? – zapytała Vaala. Jej ton nie krył zaskoczenia.

Było to pierwsze słowo, które wypowiedziała od dwóch dni.

Alyn otworzyła usta, ale nie powiedziała ani słowa. Usiadła na kamieniu i wbiła wzrok w jałową połać. Nie było wątpliwości, że dotarły na miejsce. Była tego pewna jak żadnej innej rzeczy na świecie. Ale to ewidentnie nie była zielona kraina uwieczniona na drzeworycie w gabinecie Durgi. Zamiast trawy – lód. Zamiast błyszczącego się potoku – na wpół zamarznięte koryto. Zamiast drzew...

Złodziejka przysłoniła oczy przed natarczywą szarością nieba i wytężyła wzrok.

– Vaalo – powiedziała do Pahaadki i wskazała dno doliny nieopodal. – Widzisz to?

Wojowniczka podeszła do Alyn i wzruszyła ramionami.

– Uch... pomóż mi wstać, proszę. Zobaczymy to z bliska. Coś tu musi przecież, kurwa, być.

Ale nie było. Żadnych zabudowań. Żadnych jaskiń. Tylko szeroki stół lodu i zamarzniętego śniegu. Szły jeszcze przez jakiś czas, aż dając odpocząć palącym od ciągłego schodzenia udom, przystanęły przy pierwszym znalezisku, które złodziejka wypatrzyła z góry.

– Co do... – wymamrotała Alyn, gdy dotknęła przedmiotu.

To była rzeźba. Lodowy wizerunek beduina – doskonale oddający proporcje ciała i szczegóły pokroju zawiniętej wokół stóp od wiatru dżalabii. Była nienaruszona, ledwie przyprószona śniegiem, z pojedynczymi pęknięciami tu i ówdzie. Ale jakkolwiek długo stała na tym wietrze, zachowała się w całości. Łącznie z wszystkimi palcami dłoni.

Alyn spojrzała bez słowa na Vaalę. Ta odwzajemniła spojrzenie i ruszyła dalej. Odległy o kilkanaście kroków, niemal niewidoczny z uwagi na swą niemal idealną przezroczystość, mienił się kolejny posąg. Tym razem był to wielbłąd. Za nim, porozstawiane w podobnych odległościach od siebie, trwały inne. Równie misternie wykonane i równie duże. Rzeźby ludzi, zwierząt, ale także przedmiotów. Jednym z nich była umiejscowiona na stylizowanym na kamienny postumencie kapliczka Dalii – w najdrobniejszych szczegółach przypominająca te, które Alyn widziała w Mahatrze. W oddali, złodziejka mogłaby przysiąc, widniała sylwetka ogromnego lodowego statku, który przypominał feralny szkuner Szalonej Margo. Ale to, bardziej niż wszystko inne, musiało być przywidzeniem.

– Merethe... – powiedziała nagle Vaala i pomaszerowała do jednego z posągów.

Złodziejka dołączyła do niej i otwarła szeroko oczy. Przed nią, z surowym wyrazem twarzy, prężyła się podobizna herszt-matki. Była mniej wyraźna od poprzednich, ewidentnie starsza, popękana i strasząca kilkoma ubytkami, w których zagnieździły się drobne spłachetki śniegu. Ale to była ona.

Nieopodal, jak można było się spodziewać, wypatrzyły również Sejmona. Rzeźba przedstawiała go wyraźnie młodszego, jeszcze z długą czupryną. I wielu innych Pahaadów – zarówno tych rosłych, brodatych z Hurruk, jak smuklejszych mieszkańców Mahatry. Nigdzie za to nie było Anishora.

Alyn złapała się za głowę i rozejrzała jeszcze raz. Rzeźb były setki, jeżeli nie tysiące. Przez moment zaświtała jej myśl, że może powinna zakrzyknąć. Ogłosić Dalii swoje przybycie. Nagle poczuła się nawet na to zbyt zmęczona. Nie miała sił już na nic. Ten zryw po pierwszej nocy, ta głupia wspinaczkowa akrobacja, która prawie kosztowała ją życie, wydawała się odległa o całe miesiące nieustannej wędrówki o wodzie i kaszy. Choć nie miała skrępowanych rąk, ani nie stał nad nią oszalały Godryk ze sztyletem w dłoni, czuła się tak, jakby każdy kolejny krok, każde płytkie tchnienie, mogły być jej ostatnimi. Po raz pierwszy była bliska przyznania, że ma już dość.

Dotyk Vaali poczuła jak przez pięć warstw najgrubszej pierzyny. Pahaadka zatrzymała ją i podtrzymując przed upadkiem, wskazała palcem ludzką sylwetkę, która nie wiadomo kiedy wyrosła na ich drodze.

– Dalia... – Alyn usłyszała cichy głos wojowniczki tuż przy uchu.

Złodziejka zmrużyła oczy i z pływającej z boku na bok bieli krajobrazu wyodrębniła jedyny posąg, który nie świecił się bielą ani refleksami światła uwięzionego w lodzie. Był wysoki. Wyższy od pozostałych trzy- lub nawet czterokrotnie.

Gdy, trzymając się ramienia Vaali, podeszła bliżej, dostrzegła, że wykonany był z pokrytego patyną metalu. Oblodzony i popękany tu i ówdzie. Ale wciąż nie pozostawiał wątpliwości co do tego, kogo przedstawiał.

– Nie, Vaalo, to nie jest Dalia – stwierdziła Alyn, niedowierzając, a wewnątrz jej ciała na powrót rozpalił się ogień bólu. – To Isztar.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Isztar? Co tu robi zakkańska bogini?

Szum w głowie Alyn przybierał na sile. Stanęła u stóp statui. Wyłączywszy jej rozmiary, przedstawiona na niej kobieta wyglądała niemal kropka w kropkę tak, jak obmacywane przez gawiedź posążki z Saahii.

Isztar i Dalia. Dwie strony jednej monety.

Złodziejka spojrzała na Vaalę. Zdziwienie na jej twarzy powoli oddawało pola rozczarowaniu. Alyn miała wrażenie, że uświadomienie sobie przez Pahaadkę skali kłamstwa serwowanego wojownikom przystępującym do Uraldaanu było kwestią kilku chwil. Gdy grymas wojowniczki przybrał wyraz czujności, dziewczyna podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem.

Ktoś szedł w ich kierunku.

Czarna, przygarbiona sylwetka z pewnym trudem opierała się wiatru i nierównościom terenu. Nie sposób było poznać, kto to – nieznajomy od stóp do głów okutany był ośnieżonym płaszczem z kapturem. Szedł od strony posągu.

Vaala zakrzyknęła coś po pahaadzku, ale wiatr, który zerwał się akurat, na powrót bombardując okolicę igiełkami lodu, zabrał jej słowa ze sobą. Alyn zauważyła, że wojowniczka zrobiła krok do przodu, jakby chciała osłonić ją własnym ciałem. Złodziejka uśmiechnęła się w duchu i poklepała Pahaadkę po ramieniu. Powoli wysforowała się naprzód. Odezwało się w niej głębokie przeświadczenie o tym, że czas na konflikt minął dobry tydzień temu. Potarła dłonie o siebie, by wyczuć przy zziębniętej pod rękawicą skórze fiolkę z krwią młodego Anishora. Przypomniała sobie o tym, dlaczego pozwoliła Torynowi i Kai odejść. Dlaczego, po tym, jak spotkała się z Durgą w Mahatrze, przyjęła na siebie prośbę Dalii. Chciała znów czuć się dobrze między swoimi bliskimi. Zakończyć tę podróż. Chciała być zdrowa.

Chciała żyć.

Tajemniczy człowiek wreszcie doczłapał do podróżniczek i uniósł nieznacznie głowę. Alyn nie poznała tej twarzy. Z wciąż skrytych w cieniu rysów poznała jedynie, że to była kobieta. Stanęły naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem. W końcu nieznajoma przeniosła spojrzenie na Vaalę, a wyraz jej twarzy zmienił się.

Wtedy też wszystko – wiatr, echo wodogrzmotu, szum lodowych igiełek – ucichło. I w głowie złodziejki powrócił głos Dalii:

– Alyn.

Nieznajoma nie otworzyła ust. Bo też to nie ona mówiła. Głęboki tembr głosu bogini brzmiał zewsząd z taką mocą, jakby naraz odezwał się tysiąc gardeł.

– Jak zapewne się domyślasz, to jest Raina – powiedziała Dalia.

– Raina... – szepnęła złodziejka i otworzyła szeroko oczy.

Wtedy dopiero zauważyła oczywisty znak – na czoło kobiety spłynął spod kaptura pojedynczy biały kosmyk. Jej niemłoda twarz przeorana była głębokimi zmarszczkami, zwłaszcza wokół oczu.

Raina wyciągnęła zapraszająco rękę w stronę Vaali.

– Raina zajmie się twoją towarzyszką. To w końcu zwyciężczyni Uraldaanu, należy się jej nagroda.

Na dźwięk tych słów Pahaadka poruszyła się niespokojnie i odwróciła głowę ku Alyn.

– Zrozumiałaś to, Vaalo? – zapytała złodziejka. – Nie mówisz chyba po rowańsku...

– Nie mówię – odpowiedziała wojowniczka – ale tutaj języki nie mają znaczenia. To sprawka tej doliny. To sprawka boginii Pahaadu. Rozumiesz mnie? Wiesz, po jakiemu mówię?

Zaskoczona złodziejka zdała sobie sprawę, że Pahaadka miała rację. Nie miała pojęcia, w jakim języku właśnie się odezwała. Po prostu się rozumiały.

Vaala przyklęknęła i wbiła wzrok w posąg.

– Bogini... moja bogini... – powiedziała. – Jestem tylko ułomną pielgrzymką. I choć dotarłam do swego celu, moja powinność wciąż trwa. Moja *vahaka*, cudzoziemska wojowniczka, jest pod moją opieką. I nie zostawię jej, dopóki nie będę wiedziała, że jest bezpieczna.

– Och, Vaalo, nie zrozumiałaś – rozbrzmiało zewsząd. – Alyn ci nie powiedziała? To nie na ciebie czekałam przez cały ten czas, tylko na nią. Odejdź, proszę, z moją wysłanniczką.

Vaala zawahała się. Jakby po raz kolejny ważyła w myślach, czy to, czego doświadczała, było prawdziwe. A potem wstała i powiedziała:

– Nie. Alyn, chodź ze mną. Wracajmy. Makalu to kłamstwo. To miejsce jest złe. Tu czai się śmierć.

Złodziejka ścisnęła w zaskoczeniu ramię Pahaadki. Ufała jej. W tym momencie, zawdzięczając jej własne życie, bardziej niż kiedykolwiek.

Ale przecież... była na miejscu.

– Raino? – Głos Dalii, choć przytłaczająco donośny, nadal był łagodny.

Jak na komendę zakapturzona kobieta cofnęła rękę i wyciągnęła ku Vaali drugą. W dłoni trzymała podłużny przedmiot. Wyraz jej twarzy, pusty, beznamiętny, nie zmienił się nawet na jotę.

A potem z jej ręki wystrzelił piorun, który raził wojowniczkę w pierś.

Zaskoczona Pahaadka cofnęła się o krok i zawyła – ni to z bólu, ni to w gniewie.

– Nie!

Alyn instynktownie skoczyła w stronę Rainy, ale jej nogi odmówiły całkowicie posłuszeństwa i straciła równowagę. Błysnęło jeszcze raz i Pahaadka padła bez ruchu na śnieg.

– Zrobiłam, co chciałaś! – krzyknęła złodziejka i podciągnęła się po ziemi ku towarzyszce, by zasłonić ją swoim ciałem. – Nie rób jej krzywdy!

– Alyn – głos Dalii ucichł do ogłuszającego szeptu. – Tu nie ma krzywd.

– Mam krew! Mam krew herszt-matki. Weź ją ode mnie. I pozwól nam... pozwól żyć.

– Życie. Życie to... konflikt. Walka o to, by odsunąć w czasie nieuniknione. I rozmnażać się. Po to tu jestem, Alyn. By tworzyć życie. – Bogini zamilkła na moment, podczas którego Alyn w desperacji przenosiła wzrok z posągu na Rainę i z powrotem. Jej ciało poddawało się. Przestawało reagować na najprostsze prośby. Musiała zmusić się do wzięcia oddechu. Dalia kontynuowała: – Pahaadka jest silna. Nic jej nie będzie. Ale

tobie kończy się już czas. Twoja krew niszczy komórki twojego ciała jedna po drugiej.

– Toryn... Toryn przeżył. Jego ciało wytrzymało dłużej. I przeżył.

– U ciebie postęp został znacznie przyspieszony, gdy odwiedziłaś placówkę na pustyni. Wprowadziłaś do krwiobiegu dodatkowy patogen, który wszedł w reakcję z poprzednim. Od tamtego momentu zostały ci nie miesiące, tylko tygodnie. Umierasz.

– Toryn przeżył, bo podałam mu...

– ...peryzosytocyklinę. To nie jest antidotum. Nie w dosłownym sensie. Patogen z Kaim odłożył się w jego ciele na stałe. Jego... choroba prędzej czy później wróci. Za rok, dwa, pięć. Wtedy będzie musiał zażyć kolejną dawkę.

Alyn zacisnęła w dłoni fiolkę z krwią i uderzyła nią o ziemię, jakkolwiek słabo. Zagryzła wargę, żeby nie zawyć.

– Oszukałaś mnie! On musi się o tym dowiedzieć!

– Jestem uosobieniem istoty boskiej. Nie muszę oszukiwać.

Złodziejka spróbowała przełknąć ślinę, ale ta wyciekła kącikiem jej ust i spadła na śnieg, gdzie natychmiast zmroziła się w biały puszek.

– I co teraz? – wydusiła z siebie. – Po co to wszystko? Po co te sny? Ta krew?

Tym razem Dalia nie odpowiedziała. Złodziejka usłyszała jedynie echo śmiechu, które natychmiast ucichło. Podniosła się z trudem na klęczki i rozejrzała się – Raina znikła z pola widzenia. Vaala nadal była nieprzytomna.

Znów zostały same.

– To nie tak miało być – szepnęła Alyn.

Wiatr ucichł. Wysoko nad szczytami chmury przerzedziły się i słońce zajaśniało fałszywym ciepłem, wypierając bladą szarość. Płatki śniegu leniwie opadały wokół, usypywały miękką warstwę puchu na zmrożonej warstwie. Przez chwilę jedyne, co słyszała, to jej własny, rzężący oddech.

Wtedy dolina odezwała się blaszanym basem.

– A kiedy bywa tak, że wszystko idzie według planu?

Choć wydawało się jej, że to niemożliwe, serce Alyn odezwało się w jej piersi łomotem.

– Ż-żółwiu...?

Nie, to nie mogła być prawda. To tylko iluzja. Utkana przez dźwięk. Albo mara.

– Myszo. Amatorko. *Vaiko. Vahako.*

Jego głos był ciepły. Przyjazny. Taki jak wtedy. Taki jak zawsze. Złodziejka poczuła, że zbiera się jej na płacz.

– Potrzebowałam cię... – powiedziała niemalże bezgłośnie. – Odkąd opuściłam Kaim. Czekałam na ciebie.

– Ale poradziłaś sobie.

Alyn parsknęła, zbierając w myślach listę dowodów na to, że było wręcz przeciwnie – na czele z bezużyteczną poparzoną, zdeformowaną i przebitą na wylot prawą dłonią. Która od dawna, dzień w dzień, przypominała jej o tym, że trzeba było zostać na wyspie.

To jednak nie była prawda. Bo poradziła sobie. Mimo przeciwności, bólu, smutku za tymi, którzy szli wraz z nią i już nie idą. Dotarła do celu. Ostatkiem sił.

– Zimno mi – wyszeptała.

Nie mając siły wstać, opadła z powrotem na ziemię i na ile mogła, okryła sobą Vaalę. Przed jej oczami tańczyły płatki śniegu, który powoli opadał na kaptur Pahaadki.

– Wiem – odpowiedział Żółw.

– Dlaczego dopiero teraz?

– Po prostu jestem.

– A one? Dalia i Raina? Mówi się, że Makalu uzdrawia. Że dzieją się tu cuda.

Z każdym kolejnym zdaniem Alyn zdawała sobie sprawę z tego, że mówi coraz ciszej. Aż w końcu, między jednym oddechem a drugim, potrafiła wyartykułować jedno słowo naraz.

– To prawda.

– To dlaczego... nikt nam nie pomaga?

W zrywie świadomości złodziejka dostrzegła błysk tuż przed swoją twarzą. Uniosła głowę. To była Vaala. Pahaadka obudziła się. Otworzyła oczy.

– Dzięki, Isztar... – pomyślała Alyn.

Wzrok dziewczyny, niewyraźny i zaciemniony, podążył za dłonią wojowniczki, która zanurkowała pod plecy złodziejki, podniosła ją i bez wysiłku zarzuciła na ramię Vaali. Gdzieś w oddali pobrzmiewało echo rozmowy. To był Żółw. I Vaala. Dyskutowali o czymś, ale nie była w stanie ich zrozumieć. Każdy oddech przychodził jej z ogromnym wysiłkiem.

W którymś momencie nad swoją głową dostrzegła wysoki cień. Posąg.

I mniejszy, bliższy. Vaala.

Nie czując już ciała, zrozumiała, że została posadzona pod statuą. Vaala przykryła ją pledem. I przytuliła.

Vaala ją przytuliła.

A potem zbliżyła się do jej twarzy tak blisko, że Alyn na moment odzyskała ostrość widzenia. Pahaadka nie powiedziała nic, tylko pocałowała ją w czoło, a następnie odwróciła twarz i pociągnęła nosem.

I wtedy Alyn zrozumiała, że dotarła na miejsce. Że to rzeczywiście był jej cel. I choć brakowło jej Toryna i Kai, nie była sama. Byli z nią Vaala i Żółw.

Zmusiła się do jeszcze jednego wysiłku.

– Dlaczego mnie wybrałaś? Vaalo. Dlaczego mnie?

Przebijając się przez głuche echo w jej głowie, głos wojowniczki dotarł do świadomości złodziejki.

– Wtedy myślałam, że zrobiłam to przez wzgląd na twojego brata. To dobry człowiek. Ale przekonałam się, że to dlatego, że chodziło o ciebie. Zrobiłaś więcej, niż ktokolwiek mógł od ciebie oczekiwać. Jesteś niezwykła.

Alyn zamknęła oczy i opuściła głowę. Uśmiechnęła się.

A potem umarła.

A wraz z jej ostatnim tchnieniem zimny powiew pahaadzkiego wiatru w daleką wędrówkę zabrał ze

sobą jedno słowo.

Jedno imię.

CZĘŚĆ OSTATNIA

ROZDZIAŁ SZESNASTY

I'm only human after all.

– *Human*, Rag'n'Bone Man

– Inanna... – szepnęła, gdy przypomniała sobie przyniesione przez wiatr imię. – Nazywam się Inanna!

Jej wzrok błyskawicznie zlustrował ciemne wnętrze stodoły. Przesmyknął się po idącym ku niej mężczyźnie, przestraszonych, rannych i martwych tubylcach, aż wreszcie skupił się na przywiązanej do krzesła dziewczynie przy przeciwległej ścianie. Gdzieś na skraju pamięci wyczuwała, że to ktoś bliski. Ktoś, komu nie powinna dziać się żadna krzywda.

– Co teraz? – zapytała cicho w pustkę.

Ale nikt nie odpowiadał.

Mężczyzna wykorzystał moment jej zawahania. Dopadł do niej i chwycił za kołnierz zdobycznego odzienia. Szarpnął i materiał rozdarł się z przeszywającym jękiem.

Inanna nie poruszyła się. Stała jak wbity w ziemię głaz, niemożliwy do przesunięcia nawet przez zastęp żołnierzy. Takich jak ten długowłosy.

Jego też kojarzyła. On, dla odmiany, był z tych złych.

Położyła dłoń na torsie mężczyzny i odepchnęła go z taką siłą, że musiał zrobić trzy pokraczne kroki do tyłu, żeby nie stracić równowagi.

– Znam cię, wredne suczysko – syknął z paskudnym uśmiechem, gdy na powrót stanął pewnie. – Nie jesteś służką. Jesteś z Valangi.

Mężczyzna z miejsca runął na nią, szykując się do ciosu, ale tuż przedtem Inanna usłyszała zawołanie z cienia tuż obok:

– Łap!

W srebrnym prostokącie księżycowej poświaty błysnęło ostrze rzuconej szabli. Dziewczyna złapała ją w locie i instynktownie wyminęła sztych żołnierza. Trzymany przez nią oręż zawirował, ale nie potknęła się. Miękko opadła na pięty. Zamieniła się z żołnierzem miejscami. Teraz odgradzała od niego związaną dziewczynę. Choć wewnątrz słychać było jedynie szuranie stóp o grunt i szybkie oddechy, w jej uszach rozbrzmiewało coś jeszcze. Jakby... wrzawa i owacje kibiców na arenie.

Mogłaby przysiąc, że nigdy nie trzymała w dłoni rękojeści szabli. Ani żadnej innej broni. A jednak dobrze wiedziała, co robić.

Gdy mężczyzna natarł po raz wtóry – tym razem ciosem wyprowadzonym błyskawicznie, z dołu i kąśliwie – zbiła go i szerokim wykrokiem, z całej siły, kopnęła go w tors. Tym razem napastnik poleciał z hukiem na plecy, spod których uniosła się mgiełka kurzu. Zakasłał, ale w następnym momencie znów stał na nogach. Skołowany i zaskoczony, ale wciąż groźny, wciąż gotowy do walki.

Inanna nie chciała z nim walczyć. Ale tamta związana dziewczyna potrzebowała ochrony. I opieki. Ta świadomość wróciła do niej z pełną mocą. Wtedy też wypuściła szablę, która ze szczękiem upadła na ziemię. Ostrze było za długie, za ciężkie. Przecież wystarczyła tylko...

...ręka.

Gdy zbliżyła się, by zaatakować, żołnierz pchnął jeszcze raz, w oczy. Precyzyjnie umieściła tuż obok pędzącej klingi grzbiet swojej prawej dłoni i delikatnie zmieniła jej tor. Kiedy usłyszała, jak metal ze świstem przecina powietrze tuż obok jej ucha, zamknęła lewą dłoń w pięść i gruchnęła nią w nadgarstek napastnika.

Chrupnęło.

Mężczyzna jęknął i opadł na kolano. Przez moment wydawało się, że jego szabla podzieli los tej pierwszej, ale Inanna błyskawicznym ruchem złapała w locie jej rękojeść. Widząc, co się święci, napastnik odruchowo padł na plecy, aby uniknąć ciosu. Ten nadszedł mimo wszystko – klinga syknęła niczym rozjuszony wąż i wbiła się na sztorc w ziemię, przybijając do niej jego dłoń.

Żołnierz zawył krótko, lecz zabrakło mu tchu. Dziewczyna uklękła na jego piersi i ścisnęła palcami jego szyję.

Czuła, że tak to powinno się rozegrać. Że zasłużył na to.

– Nie zabijaj go! Alyn!

Inanna rozpoznała głos związanej dziewczyny. Znała go bardzo dobrze. Spojrzała w szeroko otwarte oczy żołnierza i zawahała się. Tamta krzyczała dalej:

– Pozwól im to zrobić! To ich ziemia! Są ślepi! Jeżeli tego nie zrobią, nie wezmą losu w swoje ręce! Nie wezmą odpowiedzialności! Na Isztar, Alyn!

Isztar...

Alyn...

Inanna puściła szyję mężczyzny, który zdążył pod jej naciskiem stracić przytomność, i podniosła się. Odwróciła się do dziewczyny. Pamiętała jej imię.

– Fel – powiedziała, a jej słowa zabrzmiały obco, nieswojo. – Nie ma już Isztar ani Alyn. Jestem tylko ja.

*

Następnego ranka, po nieprzespanej nocy, Inanna wymknęła się z domu Fel i poszła nad jezioro. Zakkańska dziewczyna powtarzała jej, że nazywa się Alyn, bo wygląda jak Alyn, ale przecież była pewna tego, że nie może tak być.

I teraz, z niewzburzonej jeszcze tafli, spozierała na nią twarz, którą dobrze znała. Zdrowa, zaokrąglona, niezmęczona podróżą ani chorobą. Ale osoba, która na nią patrzyła, nie mogła być Alyn z Rowan. Zamiast krzaka pozlepianych rudych włosów na głowie miała bielusieńką jak śnieg szczecinę. Na skroni nie było blizny. Prawa dłoń była cała i zdrowa.

Co najgorsze, czuła się znakomicie. I to była jedyna rzecz, której była pewna.

Instynktownie spojrzała w niebo, by spróbować określić porę roku, ale gwiazdy dopiero co schowały się za płachtą poranka.

– Jak długo... – szepnęła do swojego odbicia.

Odpowiedział jej głos, który już skądś kojarzyła.

– Trzy miesiące. Bo o to pytasz, prawda? Minęły trzy miesiące, odkąd Alyn umarła w Makalu.

– W... Dalio?

Powoli, z mozołem, niczym brnąc po uda w śniegu, powracały do niej fakty. Wspomnienia.

– To tylko głos, który kojarzysz z Dalią. W rzeczywistości jestem tobą. I z tobą. Tworzymy całość.

– Nie rozumiem. Jak to umarła?

– Przecież byłaś tam. Nie pamiętasz?

– M-Makalu... Był tam ktoś jeszcze. Pahaadka. Wojowniczka.

– Tak.

– I białowłosa kobieta.

– Tak.

– I ty.

– I Dalia.

– Co się stało? Czy ja oszalałam?

– Nie, ale są tacy, którzy powiedzieliby, że dokonałaś czegoś o podobnej wadze. Urodziłaś się.

Oślizgła czerń. Zimno. Smród. Nie dalej jak poprzedniego wieczoru. A wcześniej?

Pustka. I Makalu.

A potem nagłe, przerażające olśnienie.

– Jestem służką Bakkusa.

– Nie jesteś. Ani służką Bakkusa, ani Dalii, ani niczyją. Jesteśmy Inanną. Powstałyśmy tu, pod ziemią, gdy Dalia pobrała od ciebie materiał... gdy przekazała część ciebie Maszynie. Udało się jej podporządkować to, co zostało z programu zwanego Bakkusem, i uruchomiła pompy we wszystkich pomieszczeniach oprócz głównej sali. Tak, aby nikt nie mógł się w międzyczasie dostać do środka. Abyśmy miały czas, żeby...

– ...powstać.

– Tak jak niegdyś służki. Jak Anemone.

Inanna przywołała obraz ciemnoskórej kobiety, która pojawiła się przy stodole niedługo po tym, jak wraz z Fel i Ikke zostawiły długowłosego żołnierza na pastwę przestraszonych, ale gniewnych tubylców. Wyglądała kropka w kropkę jak jej „siostra", Ortie – jedna z ofiar mężczyzny, która jeszcze tego dnia miała być pochowana wraz z pozostałymi. Powiedziała, że były ostatnimi z żyjących służek.

– Już wiesz, że potrafisz więcej od tego, co była w stanie zrobić Alyn. Fizycznie.

– A ty? Skąd wzięłaś się w mojej głowie?

– Nie wszystko naraz. W tej chwili wystarczy, żebyś wiedziała, że właśnie dzięki temu, że tu jestem, możesz dokonać o wiele więcej, niż kiedykolwiek potrafiły służki Bakkusa. Dopóki będziesz mnie tu gościć, będę w stanie pomóc ci wykorzystać sieć Maszyn. Sieć, która oplata cały świat. Będę wskazywać ci drogę, powiem, kiedy będzie padać i kiedy nastanie susza. Pomogę ci odnaleźć, kogokolwiek zechcesz.

– Zamknij się!

Inanna zacisnęła powieki i uderzyła pięścią w mokry piasek.

Alyn umarła. Narodziła się Inanna. I nikt nie pytał żadnej z nich o zdanie.

– Alyn? Przepraszam... Inanno... wszystko w porządku?

Białowłosa spojrzała na zatroskaną twarz Fel. Była brudna i zmęczona, ale spod skorupy jej cierpienia przesączała się na zewnątrz niezwykła dziewczęca jasność. Nadzieja.

Młoda Zakkanka przez chwilę ze sobą walczyła, aż wreszcie dopadła do Inanny, uklękła przy niej i przytuliła się całym ciałem.

– Nie wiem, co to wszystko znaczy – wyszlochała i pociągnęła nosem. – Ale tak bardzo cieszę się, że tu jesteś!

– Ja też – odpowiedziała cicho Inanna. – Nawet jeżeli na razie wydaje się, że niczego nie pamiętam.

– Czy wróciłaś... przybyłaś tu dla mnie? Po mnie?

– Wróciłam... – Inanna zawahała się. A potem spojrzała Fel w oczy. – Wróciłam, by dokończyć to, czego nie zdążyła Alyn.

– A więc... nie zostaniesz tu?

– A ty?

– Ja... nie wiem. Nie mam czego szukać w Saahii. Może Zaina i Najili, ale równie dobrze oni mogliby się raz pofatygować do mnie. Imoren jest do dupy. A tutaj... jeśli zostawię tych ludzi... chyba nie są jeszcze na to gotowi.

– Oni nie są gotowi czy ty?

– Och, przestań się wygłupiać – zaśmiała się Fel. – Jesteś Alyn! Alyn jak w mordę strzelił!

Chwilę potem jednak mina dziewczyny stężała. A spod brwi na Inannę spojrzały oczy nienależące już do dziecka, tylko kobiety.

– Straciłam wszystko. Gaela, Ifiko, Bon-Bona, ojca... Lada dzień stracę Ikke, która powiedziała, że nie będzie już walczyć dla Taidanu, ale będzie chciała powrócić w rodzinne strony. Przez długi czas musiałam się obywać bez zaufania mieszkańców tej oazy. Ale wreszcie coś znalazłam, złodziejko. Znalazłam swoje miejsce. Poza tym nie mogłabym opuścić Yaré.

– Yaré?

Fel uśmiechnęła się smutno.

– Jedna z tutejszych dziewczyn. Przeżyła dźgnięcie przez Reynaulda, ale jest ciężko ranna. Powiedz... czy tam, gdzie byłaś... nie nauczyłaś się jakichś tajemnych leczniczych sztuczek?

– Możemy jej pomóc – szepnął w głowie Inanny głos Dalii. – W podziemiach są jeszcze leki. I dla mieszkańców oazy, i dla...

– Toryna...

– Słucham?

– Tak, Fel. Pomogę jej. Pomogę Yaré. Ikke również, i innym rannym. Spotkamy się w twoim domu.

– A co potem? Znów odejdziesz? Kończyć to, co zaczęła Alyn? Ruszysz znów w świat do brata?

Inanna zamyśliła się chwilę wpatrzona w swoje odbicie, a potem wstała i wyprostowała pogięte poły darowanej jej dżalabii.

– Ruszę – powiedziała. – Ale najpierw dokądś indziej.

*

Wyruszyły trzy dni później. Inanna i Ikke. Milcząc. Szły równym tempem, zachowując siły.

Kierowały się wskazówkami Inanny, a raczej głosu, który podpowiadał jej, którą wydmę zaatakować wprost, a którą obejść. Zabrały ze sobą wystarczająco dużo wody, by starczyło na trzy tygodnie. I choć Ikke nie stroniła od brania na barki ciężaru powinności, to białowłosa dźwigała na swoich plecach większą jego część. Jej stopy wrzynały się głębiej w piasek, dłonie paliły od rzemieni i mimo chłodu nocy pot zalewał oczy szerszą strugą.

Oglądając falujący pejzaż suchego morza, Inanna przywoływała w wyobraźni obrazy z innej wędrówki. Tej, którą Alyn odbyła z Fel, nie tak przecież dawno temu.

W porównaniu z tamtą ta była fraszką.

Przekroczyły Pustynię Nomadów ze wschodu na zachód w półtora tygodnia. Gdy zeszły wreszcie z piasku, kobietom wyraźnie poprawiły się humory. Uśmiechnęły się do siebie, a wyraźnie nieufna do tej pory Taidanka zaoferowała, że na uzbieranym z okolicznych krzewów i suchych traw palenisku upiecze im pierwszy ciepły posiłek. Słuchając, jak syczy rozgrzewająca się woda w imbryku, Inanna spoglądała dalej w kierunku słońca, które zachodziło na tle postrzępionego górami horyzontu. W kierunku Sebhel. W kierunku Toryna i Kai.

Ale to musiało poczekać.

Zwyczajem pustynnych wędrowców położyły się spać dopiero tuż przed nastaniem poranka, ale w międzyczasie zdołały pokonać znaczną część sawanny i zbliżyć się do granicy ojczyzny Ikke. Jako że ta była z pewnością silnie pilnowana, był to najwyższy czas na opracowanie planu.

Zrobiły to, jedząc, gdy tylko się obudziły. A gdy upewniły się, że znają nawzajem swoje role, Ikke przerzuciła cały prowiant do jednej torby, a z drugiej odcięła rzemienie i związała nimi ręce Inanny.

Granicę przekroczyły wczesnym wieczorem.

*

Dwa dni drogi do garnizonu pokonały w milczeniu, z obstawą dwóch taidańskich pograniczników. Historyjka o śmierci wszystkich oprócz jednej członkini oddziału Reynaulda, który opuścił trzy miesiące wcześniej posterunek na froncie, wydawała się całkiem przekonująca – zwłaszcza po okazaniu audytorskiego sygnetu dowódcy. Być może dlatego zamiast zakuć Ikke od razu w kajdany pozwolili jej samodzielnie doprowadzić schwytaną służkę do „Sefiry". Posłali jedynie konnego gońca z wieścią dla nowego komendanta, kimkolwiek on był.

Na miejscu czekano na nie bez fanfar. Niemal w żałobie. Po przekroczeniu przez kobiety i pograniczników półotwartych wrót garnizonu całą delegację przywitał niewysoki, łysawy adiutant, który przedstawił się jako Kiirylo. Gdy oficjalnie przejął nadzór nad jeńczynią i odesłał żołnierzy na spoczynek, zaprosił porucznik Vargę do gabinetu komendanta van Santa. Ikke warknęła, że sama zamknie tę wredną sucz w celi, i że jej się to należy – za Reynaulda – a dopiero potem odwiedzi naczelnika, skoro nie mógł się pofatygować na dziedziniec sam. Przekazała Kiiryle szablę swego byłego dowódcy i to był koniec dyskusji.

Zmierzając w stronę zagłębiających się w grunt schodów przy ścianie głównego murowanego budynku garnizonu, Inanna zlustrowała uważnie otoczenie.

– Wojna – mówił jej głos Dalii – czy też wojenka, czy „nieporozumienie przy granicy", jak zakończony przed miesiącem konflikt mieli nazwać delegaci Imoren i Taidanu, była może krótka, ale intensywna. W niektórych aspektach – wyniszczająca.

I widać to było po „Sefirze". Pustych namiotach, połowie zwyczajowej liczby wartowników. I po ciszy. Ciszy upokorzenia po porażce.

Przed samymi schodami białowłosa dziewczyna przystanęła na moment, zmuszając Ikke do lekkiego popchnięcia jej, by zachować pozory. W tym jednym, krótkim momencie wyobraźnia Inanny przeniosła się gdzieś indziej. Do Rowan. I ciemnej, pełnej zwisających na hakach półtuszy rzeźni.

Dwa jednoosobowe posterunki niżej znalazły się w przestronnej, ale zatęchłej sali. Oświetlona była pięcioma lampami. Cztery wisiały w jej rogach, piąta stała na postumencie w jej centrum. Czy raczej... stole operacyjnym, pomyślała Inanna, gdy dostrzegła zwisające po bokach grube skórzane pasy, które nie mogły służyć do czegokolwiek innego prócz unieruchamiania ludzi.

To było to miejsce, o którym kilka dni wcześniej opowiedziała jej Ikke. Stół, na którym ułożono zwłoki służki, która parę miesięcy temu, jeszcze zanim na dobre zaczęła się cała ta wojenna draka, odebrała sobie w niewoli życie. A w jednej z okratowanych wnęk w ścianie – jej cela.

Gdy strażnik otworzył metalowe drzwi, Taidanka wepchnęła Inannę do środka i zatrzasnęła je.

– Spocznij, kapralu – powiedziała Ikke i wbiła wzrok w młodzieńca, aż ten, powstrzymawszy odruch podrapania się w głowę, odszedł z powrotem ku wejściu do sali.

Gdy zostały same, porucznik zbliżyła twarz do krat.

– Jesteś tego pewna? – zapytała. – Walka z Reynauldem to jedno, ale ta cela...

– Wszystko będzie w porządku. Dziękuję, Ikke. To wszystko, czego potrzebowałam. To o ciebie się teraz martwię. Znasz tego komendanta? Van Santa?

– Nie – odpowiedziała porucznik. – Jego nie. Tylko nazwisko.

Gdy spostrzegła wahanie na twarzy Taidanki, Inanna zamilkła i wycofała się w głąb pomieszczenia. Gdzieś z daleka, z innego życia, jej własny głos zarzekał się, że nigdy więcej nie da się dobrowolnie zamknąć w celi. O, ironio.

– Bywaj, Pustynna Zmoro – rzekła wreszcie Ikke i odeszła.

Inanna uśmiechnęła się pod nosem.

Sivamari, powtórzyła w myślach taidańskie słowo. Pasuje.

*

Na zewnątrz zapadła głucha, ciepła noc. Brak okien utrudniał śledzenie upływu czasu zmysłami, ale dla głosu Dalii, który raz po raz odzywał się w jej głowie, najwyraźniej nie było to żadnym problemem.

– To nie tak – mówił, gdy Inanna zapytała o przeszłość Maszyn i Makalu. – Dalia miała matkę. W Isztar. A raczej w kobiecie, która przybrała dawno temu to imię. Jednej z tych, którzy zbudowali te wszystkie miejsca na świecie. Te Maszyny. Ale jednocześnie Dalia, choć była jej córką, nigdy się nie urodziła. Nie było jej nigdy

wśród nas. Nie było jej tak, jak jest Ikke. Albo ty... my.

– To w jaki sposób Alyn słyszała jej głos? Twój głos.

– Nie istniała tak samo, jak nigdy nie istniał Bakkus. Oni nie mieli ciał. Żyli w swych Maszynach. Jako myśli.

– Boskie myśli...

– Nie, nie boskie. Oboje byli dziełem człowieka. Rzemieślnika o wiedzy, jakiej ten świat jeszcze długo nie zazna. Takiej, która pozwoliła umieścić na całym świecie te Maszyny. Która sprawiła, że powstałaś ty.

– Ja? Nie „my”?

– To prawda, żyjemy w jednym ciele. Jesteśmy całością. Ale nie będzie tak zawsze. To tak jak z Dalią i Rainą. Pamiętasz Rainę?

Inanna zmarszczyła czoło.

– Raina... Makalu. Białe włosy. Stara twarz.

– Wiele lat temu Raina, która wychowała się w Pahaadzie, i jako *vahaka* zwycięzcy Uraldaanu dotarła do Makalu, również spotkała Dalię. Zgodziła się wówczas przyjąć boginię do siebie. Do swej głowy. Jako przewodniczkę. I swojego gościa. Proces był dla niej bolesny i w pewnym sensie ubezwłasnowolniający. Ale zrobiła to. Bo kto by nie zrobił?

Białowłosa dziewczyna pokiwała głową.

– To dlatego, że Dalia nie miała ciała?

– Tak. Była przykuta do Maszyny. Do Makalu. I kilku innych miejsc na świecie. Ale chciała zobaczyć więcej. Poznać to miejsce. Przekonać się, dlaczego Isztar i jej współcześni wybrali właśnie ten świat.

– Lodowe rzeźby...

Wszystko wracało z siłą wodospadu. Wspomnienia Alyn. Złodziejki z Rowan. Tak odległej, nieznajomej, ale przecież najbliższej na świecie.

Alyn w Makalu widziała dziesiątki, setki posągów przedstawiających ludzi, zwierzęta, przedmioty. Wszystko, co mogła zobaczyć Raina, gdy wędrowała z Pahaadu przez Mahatrę i pustynię. Ku Saahii. Ku morzu i Kaim. Ku...

Inanna zachłysnęła się powietrzem i uniosła na twardym, cuchnącym materacu.

– Szalona Margo... – szepnęła, a przed jej oczami zmaterializował się obraz, na którym kapitan „Boskiego wiatru” znęca się nad boginią w przebraniu młodej białowłosej dziewczyny.

– Raina i Dalia powróciły z tego rejsu, ale nie były już tymi ludźmi... istotami, które na niego się wybrały – powiedział cicho głos Dalii. – Wraz z małą kaimiańską dziewczynką utraciły tam niewinność. A nawet więcej. Gdy wydostały się z wody na brzeg, udały się prosto do Makalu. Tam okazało się, że po separacji, po... rozłączeniu ich świadomości Raina nie była już dłużej w stanie o siebie zadbać. Została więc pod opieką bogini. Albo pod jej kontrolą, jak zwał, tak zwał. Własnymi rękoma i jej umysłem przez lata tworzyła pamiątki z tego, co zobaczyły podczas wędrówki, i co warte było uwiecznienia. I dobre, i złe. A Dalia nigdy już więcej nie próbowała przejmować „ludzkich naczyń”. Uznała to za zbyt bolesne, nawet dla niej, i niemoralne. Bakkus, jej starszy, ale ułomny na sposób, jakiego teraz nie zrozumiesz, brat, z kolei, nigdy nie miał z tym problemu.

Inanna odetchnęła głęboko i postawiła stopy na zimnej posadzce celi.

– Powiedz mi jeszcze jedno – rzekła do głosu. – Mówisz o Dalii „ona”. Ale przecież to ty, prawda? Jesteś tu ze mną. We mnie.

– Nie jestem Dalią. Jestem jej... dzieckiem. Ewolucją. Niby kopią... ale inną.

– To imię, które usłyszałam od ciebie. Inanna.

– Tak nas nazwałam w chwilę przed naszym „poczęciem” w podziemiach Al-Arak. To inne imię Isztar. Dalia, a więc pośrednio i ja, zostałyśmy stworzone przez nią i na jej podobieństwo. Dlatego wybrałam właśnie takie.

– A więc to tak naprawdę twoje imię.

– Tak. Ale nie chciałam ci go narzucać. Potrzebowałaś go, by pozwoliło ci znaleźć jakiś okruch własnej tożsamości. Zakorzenić cię w tym świecie. Wiem, że wciąż jej szukasz, ale masz dopiero... kilka dni. I gdy będziesz gotowa na nowe, sama je sobie wybierzesz... Pustynna Zmoro.

*

Obudził ją szczęk kluczy w zamku. Usłyszała szept:

– Wstawaj.

– Ikke?

– Ruszamy stąd. Teraz.

– A...

– Znalazłam ją. Za mną.

– Chciałam zapytać, czy nie miałaś zamiaru oddać się pod sąd.

– Miałam, ale zmieniłam zdanie. Później ci opowiem. Trzymaj się blisko. Strażnik wpuścił mnie tylko dlatego, że pokazałam mu sygnet Reynaulda. Był mu wierny. Ale nie wypuści nas obu.

Inanna roztarła zgrabiałe dłonie i podskoczyła kilka razy na palcach.

– Wypuści.

Porucznik spojrzała na dziewczynę spod oka.

– Nie chcę... robić mu krzywdy.

Białowłosa poczuła, jak jej usta mimowolnie rozciąga grymas uśmiechu.

– Zostaw to mnie.

Gdy stanęły przy drzwiach, na umówiony znak Ikke zapukała dwukrotnie i odsunęła się. Gdy tylko skrzydło ruszyło się, ręka Inanny wystrzeliła w głąb szpary i chwyciła kaprala za fraki, a następnie wciągnęła go do sali. Chłopak zdążył jedynie zlustrować szeroko otwartymi oczami przyglądające mu się twarze, po czym na jego policzek opadła pięść, na dobre gasząc światło.

Gdy zamknęły za sobą drzwi, Ikke poprowadziła dziewczynę na okryty grubą płachtą nocy dziedziniec, a następnie skręciła w prawo i pobiegła wzdłuż ściany kwatery głównej garnizonu – w kierunku majaczących na tle smolistego nieba namiotów. Nie wbiegły pomiędzy nie, tylko jeszcze raz skręciły. Zwolniły do marszu.

Zewsząd Inanna słyszała pochrapywanie żołnierzy. Niemal namacalnie czuła ciepło ich ciał. Były rozgrzane snem.

W pewnym momencie zrobiło się głośniej i jaśniej. Przed jednym z namiotów, przy dogasającym ognisku, siedziała gromadka kobiet i mężczyzn. Wokół roznosił się gwar cichych śmiechów i rozmów. Ikke przykucnęła na krawędzi cienia i szepnęła do Inanny:

– To tutaj. Jest w środku.

– Czy to namiot...

– Tak, armia Taidanu oficjalnie nie sankcjonuje namiotów ladacznic w garnizonach, ma nawet dokładne regulacje, jak duże mogą być i jak daleko usytuowane od murów danej jednostki. Tak było za Reynaulda. Van Sant ma to najwyraźniej w dupie. Ale też jakoś trzyma to wszystko w ryzach. Ci mężczyźni? Sami oficerowie.

– Jak to zrobimy? Wprowadzisz mnie jako nową dziewczynę?

– Nie ma mowy. Masz za krótkie włosy. I zbyt... białe.

– Postaram się nie wziąć tego do siebie. – Inanna parsknęła cicho. – I mam inny pomysł. Ci oficerowie, znają cię? Widzieli cię już?

– Tak, byłam tu wcześniej. Chciałam... Tak czy siak, właśnie tak ją tu znalazłam. Przez przypadek.

Inanna zerknęła na Taidankę. Chmurne niebo tłumiło wszelkie refleksy świetlne, ale mogłaby przysiąc, że porucznik się zarumieniła.

– Dobrze, to zrobimy tak...

Gdy dziewczyna wyjaśniła w kilka zdaniach swój pomysł, Ikke zagryzła na moment wargę w milczeniu, aż wreszcie westchnęła i pokiwała głową.

– Zgoda.

– Dobrze. Pamiętaj, będę zaraz za tobą.

Taidanka wstała, rozprostowała ubranie i weszła w krąg dogorywającego światła.

– Pani porucznik – skłonił się jeden z mężczyzn. – Pierwsza noc po tak długiej podróży i widzimy się tu po raz drugi! Nie oceniam. Zapraszam, zapraszam. Tu wszystko zostaje między nami.

– Kapitanie – przywitała się Ikke, a potem spojrzała kolejno na dwóch pozostałych oficerów. – Sierżancie, chorąży.

Inanna z satysfakcją obserwowała, jak Taidanka mruży oczy i skupia na sobie uwagę żołnierzy i towarzyszących im kobiet.

– Panowie... i panie – powiedziała – skoro między nami, to między nami. Jutro zapowiada się dla mnie kurewsko trudny dzień, ale dopóki mamy jeszcze dziś...

– Naturalnie! – odezwał się kapitan, po czym wstał i zaprosił porucznik gestem do środka. – Czym chata bogata.

Ostrożnie, Ikke, pomyślała Inanna. To on opiekuje się całym tym przedsięwzięciem. Albo nadzoruje. A w środku potrzebujemy wszystkich.

– Sierżancie? Chorąży? – Taidanka zwróciła się do pozostałej dwójki. – Chcę poznać i wasze typy. To rozkaz.

Na dźwięk ostatnich słów mężczyźni wbili zdezorientowany wzrok w kapitana. Moment później roześmiali się i podnieśli tyłki.

Ikke przepuściła ich przodem i weszła do środka. Kapitan zagonił za nią prostytutki i wreszcie sam

zniknął za kotarką.

Inanna odczekała trzy długie oddechy. A potem wstała, szybkim marszem pokonała dystans dzielący ją od wejścia do namiotu i wślizgnęła się do środka.

Pierwszą przeszkodę, czarnowłosą kobietę o zielonych oczach, odepchnęła łokciem. Jej westchnięcie zwróciło uwagę kapitana, który obrócił się tylko po to, by wystawić na potężny cios swą dolną szczekę. Jego żuchwa przeskoczyła z chrupotem z lewa na prawo i zwalił się na ziemię bez przytomności. Chorąży i sierżant byli nieuzbrojeni i upojeni winem. Zanim zorientowali się, co się dzieje, Inanna jednemu podcięła nogi, a drugiego ściągnęła na ziemię za kołnierz. Ikke przydeptała drugiego butem. I gdy już usta trzech czy czterech ladacznic rozwarły się do krzyku, wyciągnęła zza pasa nóż i warknęła:

– Jeśli którakolwiek choćby teraz piśnie, poharatam ich tym nożem od stóp do głów i powiem Van Santowi, że to ona. Zrozumiano?

Żadna z kobiet nie odpowiedziała. Większość patrzyła na Ikke z przestrachem. Inanna zlustrowała wnętrze namiotu. Był niewysoki, ale szeroki na tyle, żeby móc porozwieszać w jego poprzek płachty materiału. Jak maleńkie pokoiki. Albo zagrody. Z części z tych, które znajdowały się w głębi korytarza, wystawały głowy z roztrzepanymi włosami. Większość była zaspana albo przestraszona.

Białowłosa dziewczyna wyminęła zastygły w bezruchu tłumek przy wejściu i wkroczyła w korytarz, rozglądając się na lewo i prawo. Tę, której szukała, dostrzegła dopiero w przedostatniej klitce po lewej stronie. Blondynka patrzyła na nią z błyskiem w oku. Gdy Inanna wyciągnęła do niej dłoń, na ustach dziewczyny zagościł niepewny uśmiech, który natychmiast oddał pola wyrazowi ulgi.

– To ty... – powiedziała po imoreńsku.

– Jeanine.

– Jak? Dlaczego?

– Wstawaj – odpowiedziała Inanna. Nagle zdała sobie sprawę, że zmiana języków, jakimi się porozumiewała, przychodziła jej bez trudu. Rozumiała wszystko. I wszystko potrafiła powiedzieć. – Wracamy do Imoren.

Gdy decydowała się na podróż w pierwszej kolejności do taidańskiego obozu, Inanna inaczej wyobrażała sobie przebieg całej akcji uwolnienia Jeanine. Wiedziała, że porwana podczas obławy Seine członkini Valangi znajduje się tu, bo tak powiedział jej głos Dalii, a była to pierwsza rzecz, o którą go zapytała. Obrazy ginących przyjaciół Alyn z rąk Taidańczyków były jednymi z pierwszych, które zaczęły spływać do jej pamięci, gdy tylko doszła do siebie po „narodzinach" w oazie. Ból, jaki czuła, poczucie tęsknoty i straty, był równie silny, jak u rudowłosej złodziejki. Tak samo jak wrażenie pozostawienia niedokończonych spraw. I chęć zemsty. Toryn i Kai mieli się dobrze. Był jeszcze czas. Ale Taidan... Taidan zasłużył na to, by spłonąć.

I choć nie obróciła całego garnizonu w gruzy, jak fantazjowała przez niemal całą wędrówkę, okazja do pozostawienia za sobą „płomiennej" pamiątki nadarzyła się chwilę po opuszczeniu namiotu ladacznic. To był pomysł Ikke, wsparty wiedzą zebraną przez Jeanine.

Podpalić skład prowiantu. Zaalarmować wartowników przy bramie i autorytetem porucznika armii Taidanu, ostatnim swym rozkazem, wysłać ich wprost do łóżka Kiiryla. A potem podebrać dwa konie i jako trzy wojowniczki bez domu ruszyć cwałem w noc. Na wschód. Ku granicy.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Seine była w ruinie. Bez okiennic, z rozległą dziurą w dachu wyglądała jak willa Villefortów ze wspomnień Alyn, które rozgościły się w głowie Inanny. A nawet gorzej. Osmalone ściany nad pod oknami sprawiały wrażenie, jakby w wyniku tragedii, która ją spotkała, posiadłość zanosiła się czarnymi łzami.

Mały Filipo z Cobu opowiedział podróżniczkom o tym, że budynek przez całe trzy miesiące służył jako baza operacyjna obu stronom konfliktu. Trzykrotnie w ciągu tego czasu przechodził z rąk do rąk. Ci, którzy w nim urzędowali, ogołocili wszystko do żywego kamienia. Meble, parkiet, beczki po zepsutym winie, po którym nie było ani śladu. W poszukiwaniu drewna na opał wycięto nawet część drzew z przylegającego do posiadłości lasu.

Na dobrą sprawę zachowała się tylko część tajemniczych, zwróconych w jednym kierunku posągów okalających willę. A także, jakimś niezwykłym zbiegiem okoliczności, kamienne kopczyki na stoku, które Gael i Alyn usypali Guido, Liz i Edwinowi, którego ciało pozostało gdzieś hen na południu, w lesie pod byłym już obozem Taidańczyków.

Gdy je dostrzegła, Jeanine padła na ziemię i zaczęła wyć. Jakby dopiero bezpośrednie zetknięcie z dowodem tragedii dało jej szansę na uwolnienie emocji, rozpoczęcie żałoby. I jakby dopiero teraz, a nie w momencie, gdy została porwana przez ludzi Reynaulda i odwieziona do jego garnizonu jako przyszła wojskowa kokota, cały świat zwalił się jej na głowę.

Inanna i Ikke zostawiły ją przy przyjaciołach i zagłębiły się ostrożnie w czeluść willi. Weszły po dziurawych, trzeszczących schodach na piętro, a potem na balkon. W jednym z jego rogów ktoś wydłubał dziurę, a brunatne plamy i ohydne zacieki wokół niej jasno sugerowały, do czego mogła służyć. Stanęły z dala od niej i oparły się o barierkę. Ta, o dziwo, była w nienagannym stanie.

Popołudnie było ciepłe i leniwe. Daleko na północy powietrze falowało nad krańcem sawanny.

– Przez moment – powiedziała Ikke – byłam przekonana, że przyprowadziłaś mnie tu, żeby mi pokazać, co uczyniłam. W całym tym szaleństwie Taidanu, Reynaulda. Teraz, gdy zrozumiałam, że to nie o mnie wcale chodziło, czuję się chyba jeszcze gorzej.

Inanna odwróciła się w jej stronę i spojrzała Taidance w oczy.

– Nie powiedziałaś mi w końcu, co sprawiło, że zmieniłaś zdanie.

Ikke spuściła głowę.

– Gdy obejrzałam garnizon... wystarczyło mi tyle, żeby zrozumieć, jaki jest Van Sant. I że to Reynauld i jego słabości, a nie ślepa wiara w rację stanu, dawał mi przez lata motywację do tego wszystkiego. Prawda jest taka, że już od dawna chciałam opuścić oazę. Z Reynauldem czy bez. Powstrzymywała mnie tylko historia tego całego Gaela, który poszedł na pustynię jak ślepiec, umrzeć. No i, w jakiś sposób, Fel. A skoro już to

wreszcie zrobiłam, to dokąd indziej miałabym się udać?

Inanna wzruszyła ramionami i przeniosła wzrok z powrotem na horyzont.

– Nie powiedziałam ci tego, bo myślałam wcześniej, że będzie to dla ciebie bez znaczenia. Gael żyje – rzekła.

– Jak to? Pokonał pustynię? Sam?

– Niezupełnie. Ale przeżył. To była pierwsza rzecz, którą powiedziałam Jeanine, bo potrzebowała tego, by chcieć dalej walczyć. O siebie. Znaleźć jakiś cel. I mam wrażenie, że tobie też może się to przydać.

Taidanka zmarszczyła brwi i potarła brodę.

– Chcesz stworzyć na nowo Valangę? – zapytała.

– Chcę... dać jej szansę. Na pewno chciałaby tego Alyn. Tak czy inaczej wydajesz się idealną kandydatką.

Ikke uśmiechnęła się do swych myśli.

– Być może – powiedziała wreszcie. – Znam ją w zasadzie tylko z reputacji. I za tę reputację jedyne, co czułam do tej nazwy przez lata, to nienawiść. Ale teraz...

– Porozmawiaj z Jeanine. Ona była z nimi od początku.

– Wiesz co – odrzekła Ikke, gdy spojrzała białowłosej dziewczynie w oczy – zrobię to.

Inanna odprowadziła wzrokiem byłą porucznik i powróciła do lustrowania krajobrazu. Przez moment złapała się na tym, że na jasnobłękitnym tle nieba wypatruje szybującej sylwetki cudowronka.

– Jesteś? – zapytała cicho.

– Jestem – odpowiedział jej głos Dalii. – Jestem cały czas.

– Na pewno? Ostatnio rzadziej rozmawiamy. Rzadziej się... ujawniasz.

– Brakuje ci tego? Myślałam, że jest wręcz odwrotnie.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Odetchnęła głęboko świeżym, czystym powietrzem. Zapachy wojny, jeżeli było coś takiego, już dawno musiały ulecieć z tego miejsca.

– W Makalu... Dalia powiedziała Vaali, że czekała na Alyn. Nie chodziło przecież o krew Merethe, prawda? Dlaczego?

– Na pewno chcesz wiedzieć?

– A czy mogę przed tobą ukryć moje myśli?

– Możesz. Choć zamieszkujemy to ciało, nie jesteśmy i nie będziemy jednym i tym samym. Pytam dlatego, że myślałam, że zadasz to pytanie dużo wcześniej. Ale skoro chcesz wiedzieć, Dalia wiedziała o tobie od dawna. O tobie i wielu innych dzieciach. Z Rowan, Sebhel, Tsukuni. Z całego świata. W placówkach... Maszynach, do których miała zdalny dostęp, badała skupowaną od szkarłatnych handlarzy krew. Szukała czegoś. Wzoru. Budulca. Odpowiednich cegieł. Widzisz, kiedy powiedziałam ci o tym, że Dalia nie próbowała przejmować „ludzkich naczyń", to była część prawdy. Bo nigdy też nie zrezygnowała ze swojego marzenia, które było jej motywacją przez te wszystkie lata. Choć miała niezwykłą moc równą boskiej, jako byt niematerialny, sztuczny, stworzony, nigdy nie czuła się pełna. Tej jednej rzeczy zazdrościła tym, nad którymi sprawowała władzę. I tej jednej rzeczy chciała bardziej niż czegokolwiek...

– ...dziecka – szepnęła Inanna.

– Precyzyjniej: potomstwa. Ale tak, prawdziwej nowej istoty powstałej z jej tkanki, ale niebędącej jej kopią. Kogoś, kto będzie się rozwijał, kogo można wychować. I kto postawi na tym świecie swą jak najbardziej prawdziwą stopę. A potem odciśnie na nim swój ślad. I aby móc tego dokonać, potrzebowała konkretnej osoby, konkretnej krwi. Aby nie powtórzyć tragedii Rainy. I tak znalazła Toryna i Alyn. Podobnie zresztą jak dziesiątki innych dzieci. Traf chciał, że oni oboje jako jedyni, przenosząc się najpierw do Zakkanu, a potem udając na Kaim, mimowolnie szukali również jej.

– Ale jak...? Krew Alyn? Skąd?

– Doktor Malcolm.

Inanna przełknęła ślinę. Te wspomnienia były niewyraźne, gorzkie, jakby znajdowały się za gęstą, trującą mgłą. Ale kojarzyła to imię. A w jej wnętrzu nagle zakotłował się gniew. W końcu przecisnęła przez zaciśniętą szczękę pojedyncze słowo:

– Sierociniec.

To było prawdziwe pierwsze zabójstwo Alyn, pomyślała. Nie Tabitha na Kaim. Malcolm, w którego rzuciła lampą, aby uratować Kai. Płonący potwór w zimnej, ohydnej piwnicy sierocińca, gdzieś w żołądku Rowan.

Tam się wszystko zaczęło.

Po dłuższej chwili Inanna wyprostowała się i otarła wierzchem dłoni pękatą kroplę, która zebrała się w kąciku jej oka.

– A krew Merethe? Zadanie od Durgi? Miało Alyn po prostu ściągnąć na miejsce?

– Nie. Dalia faktycznie chciała wykorzystać ród herszt-matki do swoich celów. Nie jako służki. Planowała go raczej... ulepszyć. Usprawnić.

Inanna pokręciła głową.

– Nie powinna była. To błąd – powiedziała i zmarszczyła brwi. – Mam jeszcze jedno pytanie. Czy faktycznie, tak jak mówiłaś, możesz odnaleźć, kogokolwiek zechcę? Czy możesz wytropić tych, którzy zabili rodziców Alyn i Toryna? A jeżeli nie żyją, dowiedzieć się, gdzie i jak zginęli?

– Zrobię, co w mojej mocy.

*

Następnego dnia Inanna poprowadziła całą trójkę na północ. Z powrotem ku paszczy pustyni. Krwiożerczej i złowieszczej, ale jednocześnie jakby bardziej znajomej. Oswojonej. Minęły miejsce, w którym Fel poderżnęła gardło jednemu z bandytów, którzy napadli ją i Alyn. Przemierzyły niemal całą długość wadi, które zawiodło je do wciąż ogryzanych przez żar, wiatr i piasek ruin starożytnego miasta. A potem dalej na północ – przez kamienne pustkowia, gniazda skorpionów, morze wydm.

Jeanine, choć wyraźnie najsłabsza, dzielnie dotrzymywała im kroku. Umilała długie dni wędrówki śpiewem i opowieściami o życiu taidańskich żołnierzy. Przeważnie zresztą niegodnym pozazdroszczenia. Nocami, gdy szły, nie było widać, jak bardzo wstrząsnął ją widok grobów jej przyjaciół. Płakała tylko, gdy Ikke i Inanna poszły spać. Gdy myślała, że nikt jej nie słyszy.

Piątego dnia białowłosa dziewczyna dołączyła do niej na samotnym kamieniu i przytuliła bez słowa.

Siedziały tak długo, aż oddech Jeanine uspokoił się, a jej oczy wyschły. I gdy blondynka odetchnęła głęboko, Inanna powiedziała jej:

– Wiele tracimy wskutek tego, że uznajemy coś za stracone.

– Ładne. Twoje?

Inanna uśmiechnęła się.

– Nie, Alyn przeczytała to kiedyś w jakiejś książce Zakarego. Chyba znaczy tyle, żeby się nie poddawać.

– No, z tego, co mi opowiedziałaś, to nie poddała się. Aż do końca.

– Nie poddały się, ani ona, ani Vaala. I Fel też się nie poddała. I Zakary.

– Gael się poddał. Jeżeli to prawda, co opowiedziała ci Fel, to po prostu postanowił ze sobą skończyć.

– Tak – powiedziała Inanna po chwili milczenia. – I pewnie na tę okazję znalazłby się stosowny, ładny cytat. Ale nie potrzebujemy słów innych. Już za kilka dni zapytasz go o to sama.

– Cieszę się z tego. Nawet nie wiesz, jak się cieszę. I jak się boję jednocześnie. Chcę go takiego, jakim był.

– Nikt z nas nie jest taki, jakim był, Jeanine. Nawet ja. A mam dopiero parę tygodni.

Obie roześmiały się na cały głos.

*

Gdy tydzień później stanęły u wrót Świątyni Beduinów, to Inannie zakręciła się w oku łza. Tutaj miała się spotkać cała trójka po powrocie z wypraw do Pahaadu i Imoren. Alyn, Toryn i Kai. W pustynnym klasztorze ascetów i rzemieślników.

Powitał ją, jak zwykle, Sanjai – młody mnich, któremu swego czasu udało się wpaść Alyn w oko. Rozpoznał Inannę od razu, widziała błysk w jego spojrzeniu, gdy na nią patrzył. Nie okazał jej jednak żadnych względów. Nie nazwał imieniem Alyjn-baba, jak miał w zwyczaju. Nie uśmiechnął się do niej ani szerzej, ani życzliwiej.

Może po prostu wiedział.

Musiał wiedzieć, bo zamiast zaoferować podróżniczkom posiłek i kwatery po przekazaniu powitalnego podarunku w postaci złożonych w kostkę sanghati, zaprowadził je od razu do szwalni. W przestronnej sali zaś, szczodrze oświetlonej dzięki szerokim oknom, kobiety znalazły tych, których szukały.

– Gael!

Jeanine wystrzeliła pędem w stronę zarośniętego ponad swą zwykłą miarę mężczyzny, który właśnie zarzucał sobie na plecy dwa sporej wielkości worki. Zrobiła to z taką gracją, że momentalnie skupiła na sobie uwagę wszystkich skupionych na swej pracy mnichów.

– Jeanine?!

Imoreńczyk rzucił toboły na ziemię i padł na kolana, przyjmując rozradowaną przyjaciółkę w ramiona.

Inanna pozostawiła Ikke przy wejściu i skinęła Gaelowi, który szeroko otwartymi oczami spoglądał to na nią, to na Jeanine. Podeszła do starego nomady, który siedział przy stole obok. Brodaty dziadek wbił w nią zaciekawiony wzrok. Nie było w nim, jak się obawiała, wrogości. Usiadła obok.

– *Isztar-adija,* Levanderze – powiedziała i przełknęła ślinę. – Choć nikt cię o to nie prosił, choć zrobiłeś

to z własnej woli, chciałam ci podziękować za to, że uratowałeś Gaela. Nie wiem, jak to się stało, że trafił pod twoje skrzydła, i jak przeżył, ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że to twoja zasługa. I chciałabym też, żebyś wiedział, że Alyn... do końca swych dni nie przestała żałować tego, co zrobiła wtedy, w karawanseraju. Tobie i pozostałym beduinom.

Levander zmrużył oczy i pogładził wąs.

– *Adija ara-ara,* nieznajoma – odpowiedział po chwili swym wysokim głosem.

– Na imię mam Inanna.

– Inanna... Drugie imię Isztar. Pochwalić rodziców. Oni chyba nie pochodzą z Rowan, co?

Dziewczyna pokręciła głową. Nomada skinął na Gaela.

– Znalazłem go, jak leżał pyskiem w szczelinie, niedaleko szlaku na północ, co szedł ku wybrzeżu. Był o tyle od wyzionięcia ducha, ledwośmy go przeciągnęli na odpowiednią stronę życia, powiem ci tyle. Ale gdyby nie pojawił się wcześniej z tą niecnotą Rowanką w karawanseraju, to potem, w dniu, kiedym go znalazł, już dawno bylibyśmy ograbieni na południu. Albo zabici. Ja i Sawad. – Wskazał łysego, chudego dziadka, który siedział obok. – Gdyby nie ostrzeżenie Alyn, poszlibyśmy wprost w paszczę pożogi. To, że nam zabrała wielbłądy, rzecz jasna, też nie było bez znaczenia, rozumiesz.

Inanna uśmiechnęła się kącikami ust.

– No, dziewucho, nie desperuj! Długo nie mogłem się pozbierać po tamtym, bo sama chyba rozumiesz... Ale nie ma tego złego, wybaczyłem jej szybko. Jeszcze zanim ten tutaj zaczął mi opowiadać całą jej historię i to, w jakie draki się wpakowała. Ruda Rowanka, bogowie ją pokarali. A teraz... coś ty powiedziała? Do końca swych dni?

– Alyn... nie żyje. Umarła, dążąc do swego celu. Nigdy się nie poddała.

Na dźwięk tych słów Levander z przejęciem zdjął kefiję i spuścił głowę. Wymamrotał pod nosem kilka zdań w pustynnym dialekcie. Była to modlitwa. W pewnym momencie przerwał i spojrzał na Inannę spod oka.

– No, idźże do niego – powiedział i mrugnął. – Jeszcze będziesz miała czas pogadać ze starcem.

Dziewczyna uśmiechnęła się i wstała od stołu. Zanim podeszła do Gaela, przeczesała dłonią swe białe włosy. Od Al-Arak zdążyły nieco urosnąć, ale wciąż były krótkie. Chłopięce.

– Alyn? – przywitał ją Imoreńczyk. Zdążył już wstać, choć ciągle obejmował Jeanine w pasie.

– Nie. Jestem jej... Jestem pamięcią o niej. Jakkolwiek to zabrzmi. Mówią mi Inanna.

– Wyglądasz zupełnie jak ona... A Fel? Co z Fel?

– Ma się dobrze! Została w oazie. Tęskni.

– A ona? – Gael skinął na trzymającą się z boku Ikke. – Co ona tu robi?

Inanna uśmiechnęła się.

– Zapytaj ją, niech sama ci powie.

Mężczyzna pokręcił głową i zaśmiał się.

– Gdyby tylko Vaala mogła nas zobaczyć!

– Vaala byłaby z was dumna – rzekła Inanna i spojrzała Gaelowi w oczy. – Więcej, jestem wręcz pewna, że jest.

– Vaala żyje – wtrąciła Jeanine. – Inanna opowiedziała mi o niej po drodze piękne rzeczy. Niesamowite!

Będziesz chciał tego posłuchać! No i jesteśmy znowu razem! Valanga znów istnieje!

– Hola, hola, dziewczyny. Ja zostawiłem życie żołnierza za sobą. Tam, na pustyni, gdzie, gdyby nie Levander, leżałby mój trup. Teraz jestem kupcem.

– Kim?! – zapytały jednocześnie Jeanine i Inanna.

– No, handlarzem. Pracuję z Levanderem. Będziemy podróżować po różnych krajach z własną karawaną. Zwiedzimy świat.

– Ale... – zająknęła się blondynka – ale Korona Castanet... Vaala... Edwin, Liz, Guido!

– Nie ma dnia, Jeanine, żebym za nimi nie tęsknił. Ale nie chcę bez nich walczyć. W ogóle nie chcę już walczyć. Nie chcę grabić, palić i brać żołdu od Imoreńczyków. Tu mi lepiej.

– Jeżeli potrzebujecie rąk do pomocy – powiedziała Ikke, która podeszła w międzyczasie do całej trójki – możesz na mnie liczyć, Gaelu. I ty, Levanderze. Mam nieco złota. Starczy na wielbłąda czy dwa.

– Ja też... chcę. Chce być z wami – powiedziała Jeanine.

Inanna spojrzała na obie kobiety, a potem na obu mężczyzn i uśmiechnęła się.

– Jeżeli tylko Levander nie okaże się beduinem o kamiennym sercu, a coś mi mówi, że się nie okaże, wygląda to na początek pięknego przedsięwzięcia. Mam nawet dla was nazwę. Uwaga... Valanga!

– A ty? – zapytał Gael, śmiejąc się. – Będziemy musieli się srogo przeorganizować, ale miejsce się znajdzie.

Inanna wzięła głęboki oddech i zamyśliła się.

– Ja... mam jeszcze coś do zrobienia gdzie indziej – powiedziała w końcu łagodnie. – Ale coś mi mówi, że jeszcze się zobaczymy na szlaku.

Trzy dni później Inanna pożegnała się wylewnie z całą czwórką, opuściła mury klasztoru i udała się na wschód.

*

Saahii przywitało ją znajomymi zapachami, których nie miała okazji dotąd osobiście poczuć. Przypraw i prażonego na słońcu kamienia. Enklaw biedy przytulonych do murów posiadłości tych, którym nigdy niczego w życiu nie brakowało. Jedzenia sprzedawanego na ulicy. Potencjału. Wolności.

Pierwsze kroki skierowała do Kukh, dzielnicy żaków i pijaków – choć zazwyczaj wieczorami nie było między nimi większego rozróżnienia. Stanęła, jak niegdyś Alyn, naprzeciwko kamienicy, w której mieszkali całą trójką. Zanim to wszystko się skończyło.

W Pahaadzie Kai nie zdążyła powiedzieć jej, co stało się z mieszkaniem – czy je sprzedała, wynajęła, czy pozostawiła, jakim było, w nadziei na to, że żarłoczna biurokracja miasta nie zwęszy pustostanu i nie sprzeda go ponownie tym, którzy dadzą więcej. Naszła ją myśl, że byłaby szkoda, gdyby tak się stało.

Nie potrwało długo, nim w drzwiach zauważyła znajome twarze. Odległe na tyle, że musiała skupić całą swą uwagę na przemieszanych wspomnieniach, które wciąż częściowo bez ładu kotłowały się w jej głowie. Aż w końcu rozpoznała ich. Colm i Dodola. Rodzeństwo, niczym odbicie Toryna i Alyn. On był byłym mężczyzną Kai. Ona – najbliższą osobą w jego życiu.

Przez moment Inanna rozważała wproszenie się do rodzeństwa, ale uznała, że wytłumaczenie wszystkiego mogło być ponad jej siły. Tak jak próba przyjęcia owych wyjaśnień ze strony Colma i Dodoli. Kiedy upewniła się więc, że Kai oddała miejsce w dobre ręce, odkleiła się od ściany i poszła dalej.

Podążyła tą samą drogą, jaką dawno temu pokonała Alyn. W dniu, gdy wypłynęła na Kaim. Stromą, brukowaną ulicą w dół ku rzece i bielszemu niż śniegi Pahaadu Mostowi Maharadży. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Nie wskazywano jej palcem. Żaden rzezimieszek nie podążał za nią wzrokiem z zaułka. Czuła się jak u siebie. Była u siebie.

Z pewną błogością przywitała duszny ścisk wiecznie ocierających się o siebie rąk i nóg przy wejściu na saahijski rynek. Tuż przed jej oczami błyskały mieszki, sakiewki, kieszonki i portfele. Jak skrzące się przy powierzchni ławice ryb gotowe do wyłowienia jednym rzutem siecią. Powstrzymała odruch, by po nie sięgnąć. To było tak proste.

Ale nie była złodziejką. To Alyn nią była.

I znów, gdy tylko otworzyła się przed nią gwarna przestrzeń rynku, przebiła się na lewą stronę od bramy i ruszyła wzdłuż wewnętrznej ściany. Minęła Al Assana i jego sandały, kaletnika, bursztyniarza, dwóch... nie, trzech krawców. W miejscu kramu Samila konwisarza stał już inny, ze skórami. Ich zapach przykryła jednak woń kadzideł Farihy – jeszcze mocniejszych i bardziej odurzających niż zwykle. W końcu skręciła w lewo ścieżką wiodącą wprost do niepozornych drzwi, nad którymi wisiał prosty szyld. Napis wciąż głosił *Zakary – Pracownia*, a obok niego widniało pięć równych okręgów wpisanych symetrycznie w jeden duży. Tym razem dobrze wiedziała, co znaczy.

Drzwi były otwarte, a gdy weszła do środka, w skąpanym w półmroku pomieszczeniu wybrzmiał znany skrzek.

– Mysza! Mysza!

Inanna roześmiała się na widok papugi.

– Gregory!

– Proszę wybaczyć, nigdy nie wiem, co wstąpi w... To wy się znacie?

Dziewczyna przyjrzała się mężczyźnie, który stał za kontuarem. Był szczupły i wysoki. Miał czysty fartuch. Na jego nosie, zamknięte w drobnych drucianych okręgach, lśniły szkła. Nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat.

– Tak – odpowiedziała Inanna po chwili wahania – poniekąd.

– Czekaj... – rzemieślnik wyciągnął w jej stronę długi palec. – „Mysza”? Jesteś tą rudą wariatką, o której mi opowiadał tatko... A nie, hm...

– „Rudą wariatką”? „Tatko”?

– No tak. Opowiadał mi o swoich ulubionych klientach. W listach. Och, głupiec ze mnie, „ruda wariatka” to tak z sympatii! Niczego więcej!

Inanna roześmiała się i zdjęła kaptur swojego sanghati. Przeczesała dłonią włosy.

– To chyba ja – powiedziała. – To tylko czas nas zmienia. Naprawdę jesteś synem Zakarego? Nie miałam pojęcia, że miał syna!

– Och, mam nadzieję, że wciąż ma! Gdy dowiedziałem się, że zniknął, przyjechałem czym prędzej.

Choćby po to, by nie zaprzepaścić tego, co stworzył tu, w tej swojej pracowni. Nauczył mnie wszystkiego, co umiem. Och, co za pierdoła ze mnie. Nazywam się Yorgos.

– Inanna – odpowiedziała dziewczyna cicho. – Tymczasowo.

– Tymczasowo?

– Powiedz, Yorgosie, dopiero wróciłam do miasta po długiej podróży i... wstyd mi prosić, ale potrzebuję pomocy. Miejsca do noclegu przez tydzień. Odpracuję wszystko.

– A nie miałaś mieszkania tam wyżej, w Kukh? Tak zapamiętałem.

Inanna opuściła głowę.

– Tak jak powiedziałam... czas nas zmienia. – Zagryzła wargę i spojrzała mężczyźnie w oczy. – Tylko tydzień. Wystarczy kawałek podłogi w piwnicy.

– Dobrze, Inanno. Ale pod warunkiem, że opowiesz mi, co wiesz o moim ojcu. Czas... nas rozdzielił. A chciałbym zobaczyć go oczami kogoś, kto znał go przez te ostatnie lata. Zrobisz to dla mnie?

Inanna przeniosła wzrok na wpatrującego się w nią z zaciekawieniem Gregory'ego i pogłaskała go palcem po główce, aż, poskrzekując, przymknął z zadowolenia oczy.

– Tak – skłamała. – Opowiem ci wszystko.

*

Wieczorem szóstego dnia pobytu w stolicy Zakkanu udała się do portu, gdzie za drobne kieszonkowe, zarobione za pomoc przy ogarnianiu bałaganu w sklepie i piwnicy, kupiła rolkę słodkiego lakiszu i przysiadła na ławce. Lubiła wpatrywać się w uporządkowany chaos nigdy nie kończącej się pracy przy załadunku i rozładunku cumujących przy pirsach statków. Zapach morza i ryb przywoływał najprzyjemniejsze ze wspomnień.

Daleko na horyzoncie niebo ciemniało z chwili na chwilę, przygotowywało mieszkańców na nadejście kolejnej gwiaździstej nocy. Ostatnie maszty tego dnia kiwały się lekko w rytm powiewów wieczornej bryzy, wchodząc jeden za drugim do portu. Nad nimi krążyło stado mew.

Za chwilę, pomyślała, wszystko zacznie cichnąć.

Obok niej usiadł mężczyzna. Wyjął z kieszeni zawiniątko, z którego wyłuskał garść migdałów. Włożył jednego do ust i wysunął resztę ku Inannie.

– Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś zobaczę twoją twarz, *elina* – powiedział łagodnym głosem. – A na pewno nie tutaj.

– Madżid.

– Obserwuję cię od kilku dni i, powiem ci szczerze, nie mam pojęcia, co z tobą zrobić. Hanso wciąż nie wycofał listu gończego za tobą. Sprawa, co prawda, dawno już przycichła i ośmierdła, ale nagroda za twoją głowę wciąż wisi. A ty? Z jednej strony wyglądasz tak, jakbyś nie chciała zostać rozpoznana, a z drugiej... inne włosy przecież to tego nie wystarczą.

Inanna odpowiedziała nie od razu.

– Masz rację. Czekaj, pracujesz dla Hanso?

Mężczyzna schrupał kolejny migdał.

– Naturalna kolej rzeczy w tym fachu. W tym mieście. Bez żadnej urazy. Ot, wymiana usług za złoto.

Saahii zawsze będzie chcieć ludzi jak ja. I tylko jedna rzecz nie daje mi spokoju. – Zrobił pauzę, a potem odwrócił wreszcie w jej stronę twarz. Wzruszył ramionami. – Nie wiem, czy ja jeszcze chcę Saahii. No, nagadałem się. Powiedz, co tu robisz. Pomóż mi podjąć decyzję. Masz czas do momentu, gdy tamten ostatni szkuner przybije i zacumuje.

Dziewczyna poczęstowała się migdałem. Zmrużyła oczy.

– Co tu robię? Zamierzam poczekać, aż ten szkuner zacumuje, a jego załoga pójdzie w nocy do tawerny i na dziwki. Wtedy wejdę na pokład i udam się do kwatery kapitańskiej, gdzie z barku zabiorę czaszkę zamordowanej dawno temu na jego pokładzie dziewczynki. Potem zejdę pod pokład i go zatopię. Mam mówić dalej?

– Proszę.

– Jeszcze nie wiem, co zrobię z kapitan i jej synami, gdy wrócą na noc na pirs i nie znajdą na nim swojego statku. Może wystarczy mi wyraz ich twarzy. Może każdemu z osobna poderżnę gardło.

Być może jej słowa, być może ton, z jakim je wypowiedziała, sprawiły, że Madżid niemal niezauważalnie zmienił pozycję. Jakby spiął całe ciało.

– Ten statek to ważne ogniwo w zagranicznym handlu z Kaim – powiedział wreszcie. – Hanso zdecydowanie nie życzyłby sobie takiego rozwoju wypadków.

– Z pewnością. Dlatego teraz zaoferuję ci coś, co pozwoli ci podjąć wreszcie tę twoją decyzję.

– Jesteś bardzo pewna swego. Ale po tym, co widziałem na arenie w Hurruk, w zasadzie się nie dziwię.

– Nie wiem, ile Hanso ci płaci, ale dam ci za chwilę jedyną rzecz, której pragniesz bardziej od jego złota i poczucia chwiejnej lojalności. Powiem ci, gdzie jest Fel. Powiem ci, jak bardzo potrzebuje cię teraz przy sobie. I powiem ci, jak do niej dotrzeć. Zrobisz z tym, co chcesz.

*

Fel oparła się łokciami o barierkę werandy i powiodła wzrokiem za oddalającymi się kobietami. Pomiędzy podtrzymującą ją matronami Al-Arak kuśtykała Yaré. Jej niegdyś nieskazitelnie piękne plecy były opuchnięte, wyginały się nienaturalnie, byle tylko ulżyć dziewczynie w bólu. Rana po ostrzu Reynaulda była głęboka, ale dzięki specyfikom przyniesionym przez Inannę, nim odeszła, goiła się. Powoli i niechętnie. Ale goiła się.

Yaré odwróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na Fel. Błysk w jej oku zdradzał ból. Niepewność.

Fel aż odskoczyła od barierki i wyprostowała się, gdy zorientowała się, jaki widok musiała zabrać ze sobą ranna dziewczyna.

Bo już kiedyś przecież była w tym miejscu. To z tego właśnie domu wybiegła ze łzami w oczach i z opuchniętą skórą... nie tylko na plecach. Z domu Abela Reynaulda, który opierał się wówczas dokładnie tak, jak Fel opierała się przed chwilą. Lustrował otoczenie pijanym od władzy wzrokiem.

– Nie przejmuj się – dobiegł Fel głos Anemone, która pojawiła się w drzwiach za jej plecami. – W oczach tej dziewczyny nie ma niczego prócz wdzięczności.

– Ale...

– To, co widzisz, jest tylko w twojej głowie. Ale to dobrze. To zdrowe.

Młoda Zakkanka podrapała się w głowę. Wiedziała, że Anemone miała rację. Była służką Bakkusa.

Skażoną, odrzuconą przez swego stwórcę. Ale przecież nieustępującą swym siostrom w niczym. Obejrzała się.

Patrzyły na nią oczy Dyany. Ich wyraz wciąż był daleki od radości, ale jednocześnie miały w sobie pewien nieokreślony spokój, którego im brakowało przez pierwsze tygodnie po odejściu Ikke i Inanny. W czasie gdy lud oazy popadał w coraz większy marazm, nie mając przywództwa, nie wiedząc, co robić.

Wszyscy, mniej lub bardziej ukradkiem, patrzyli na nią. Dzień w dzień, gdy spędzała między nimi czas, gdy zaglądała do Yaré, gdy schodziła do podziemnych korytarzy Bakkusa po leki. A Anemone była cały czas z nią. Tak samo jak ze swoją siostrą, Ortie. I Bonennfantem, którego we dwie wyniosły rannego owego feralnego dnia z podziemi. A raczej z pałacu Bakkusa do sieci jaskiń, w których w trójkę przez kolejne tygodnie dochodzili do siebie, by potem, pod przewodnictwem Imoreńczyka, zorganizować zalążek ruchu oporu przeciwko Reynauldowi.

Anemone, tak jak tubylcy, potrzebowała za kimś podążać. Była służką, więc jej przeznaczeniem było służyć. Nawet mimo tego, że Bakkus jej nie chciał. Nawet mimo tego, że urodziła się z archipelagiem jasnych plam, które zdobiły całe jej ciało prócz surowej, hebanowej twarzy.

– Anemone...

– Nie ma za co – odpowiedziała służka tonem najpoważniejszym z możliwych. – I nie zamierzam się stąd ruszać. Jestem ostatnia. Nie ma nikogo innego, by uczcić pamięć moich sióstr.

– Skąd wiedziałaś...

Fel urwała, bo przecież znała odpowiedź. To była cała Anemone. Po prostu miała rację.

– Nie odejdę również dlatego, że Al-Arak nigdy nie miała lepszej przywódczyni niż teraz.

Na pewno?

Fel zadała sobie to pytanie w myślach, choć przecież znała odpowiedź. Nie była tylko na nią gotowa.

Służka uśmiechnęła się kącikami ust i odwróciła się, po czym zniknęła w chłodnej czerni ich domu.

*

– Chodź – szeptał głos z ciepłej czerni ich pokoju. – Chodź...

Toryn przeczesał dłonią włosy i jeszcze raz zlustrował skrzące się od gwiazd niebo nad dachami Vigradu. Stolica kaganatu Sebhel, staraniem w mig odnalezionej przez Kai Azalii, zaopiekowała się nimi lepiej niż ktokolwiek przedtem. Było im dobrze.

Prawie dobrze.

Złodziej westchnął, wszedł z powrotem do środka i zamknął za sobą balkon. Wokół zmarzniętych palców jego stóp czule owinął się puch najmiększego dywanu, jakiego dotykał w życiu. Po raz kolejny w tym tygodniu ukłuła go w sercu chłodna myśl, że nie zasługiwał na żadną z tych wszystkich rzeczy.

– Dureń – pisnęła Kai, po czym wyciągnęła rękę, by ściągnąć go do siebie, na łoże.

Usiadł ciężko i w tej samej chwili jej przebiegłe, ciepłe dłonie otuliły jego tors, a zaraz potem zaczęły kokarda po kokardzie rozwiązywać jego koszulę.

– Minęły już trzy miesiące – powiedział w ciemność, poddając się mimowolnie jej zabiegom.

Kai przerwała. Jej palce powędrowały wyżej, ku jego szyi. Poczuł jej oddech tuż przy uchu.

– Jestem z tobą – szepnęła. – Jeżeli zechcesz, wstaniemy i wrócimy po swoich śladach do Hurruk.

Choćby jutro. Odnajdziemy ją.

Toryn wziął głęboki oddech i zamknął oczy. Nie był w stanie określić, ile prawdy jest w tym, co mówi Kai. Nigdy tak naprawdę tego nie potrafił. Umiał tylko jej wierzyć. Ufać swoim życiem.

Jego kochanka obróciła go do siebie i powiodła za sobą głębiej na łóżko, jak tylko ona potrafiła. Na ustach poczuł jej miękki pocałunek, a jej dłonie na powrót powędrowały ku jego ciele. Tym razem zapuściły się na jego łopatki i zsunęły w dół pleców. Bez trudu wyswobodziły go ze spodni i pogłaskały jego pośladki.

– Ale musisz przyznać – powiedziała ciepłym oddechem – że tutejsza dieta dobrze ci przynajmniej zrobiła.

Toryn uśmiechnął się i przycisnął dłonie Kai do pościeli nad jej głową.

– Zawsze wolałem rowańskie potrawy – wyszeptał i zamknął usta na jej piersi.

Kai jęknęła.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Gdy przesmyknęła się przez burtę, przywitał ją znajomy trzask spracowanych desek pokładu. „Boski Wiatr" odnotował jej obecność. Chyłkiem przemieściła się na rufę ku kwaterze Szalonej Margo. Półksiężyc oświetlał port niemrawo, ale wystarczająco do tego, by wyczulone oczy wartowników zauważyły podejrzany ruch nad burtą. Bezchmurne niebo mieniło się milionem gwiazd.

Skobel przy drzwiach puścił z chrzęstem po jednym szarpnięciu łomem podebranym z pracowni Yorgosa. Wnętrze zapraszało czernią tak przejmującą i nieprzeniknioną, że nietrudno było wyobrazić sobie, że było legowiskiem jakiegoś starego, zionącego śmiertelnym oddechem zła. Inanna wymacała barek Margo i otworzyła go. W środku odnalazła dłonią obły, chłodny kształt, który wsunęła delikatnie do skórzanej torby przy pasie. Czuła w dłoniach chropowatą, zniszczoną fakturę czaszki i musiała użyć całych pokładów swej woli, by nie roztrzaskać butelek z wodą ognistą i z miejsca nie podpalić kajuty. Gdyby podobnie jak służki Bakkusa miała płomiennik, jak nazwał to głos Dalii w jej głowie, a także energetyczne tatuaże pozwalające zasilić go nadludzką energią, prawdopodobnie nie powstrzymałaby się. Tak silna była odraza ze wspomnień Alyn względem tego miejsca.

Zamiast tego przeszła na dziób, gdzie otwarła właz pod pokład. Głównie po omacku przeszukała wnętrze. Modliła się tylko o to, by nie znalazła w jakiejś klitce kolejnych nieszczęśniczek przywłaszczonych jak rzeczy ku uciesze synalków Margo. Nikogo jednak nie było. Została z „Boskim Wiatrem" i jego tajemnicami sam na sam.

Następnego ranka, siedząc na tej samej ławce, co poprzedniego wieczoru, obserwowała z zadowoleniem, jak Margo piekli się i załamuje ręce. Jej synowie kręcili spuszczonymi głowami, obserwując kiwający się szczyt masztu, który jako jedyna widoczna część „Boskiego Wiatru" wystawał nad powierzchnię wody. Inanna była w doskonałym humorze. Tym bardziej że niełatwo było zatopić szkuner, mając do dyspozycji co najwyżej łom i kilka podstawowych narzędzi ciesielskich. Narzędzi, które nijak nie powinny były móc naruszyć zwartej i zakonserwowanej przez lata pływania konstrukcji kadłuba. Pomógł wiek statku. A zwłaszcza jego morskie blizny w postaci zbitych na twardo z desek łat na dziobie, poniżej linii wody. Alyn zauważyła je już podczas pierwszego rejsu. Samoróbki powstałe z konieczności po niezliczonych zderzeniach z pirsami i kejami podczas wchodzenia do portów i przystani. Jak gruby naskórek, którego warstwy przy użyciu dużej ilości siły można było zerwać jedna po drugiej, aż do tej ostatniej, wilgotnej, którą pozostawiła po obu stronach na sam koniec.

Potem został już tylko szum wdzierającej się do środka wody.

– I w końcu nie poderżnęłaś im gardeł – powiedział głos Dalii. – Czuję pewną ulgę.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Cały czas uczymy się czegoś o sobie nawzajem.

– Tak... to prawda. Czego chciałabyś się dziś jeszcze dowiedzieć?

Inanna zamyśliła się na chwilę, a potem powiedziała:

– Możliwe, że tym, co dziś zrobiłam, odsunęłam od siebie możliwość spotkania się z Żółwiem. Ale tęsknię za nim. Tak jak za Torynem i Kai. Dlaczego tak jest? Nie odpowiadaj. Zadam ci inne pytanie. Ostatni raz Żółw odezwał się do Alyn, gdy była w Makalu, tuż przed jej śmiercią. Czy ja też mogę z nim porozmawiać?

– Czekałam, kiedy o to zapytasz, i zdziwiłam się, dlaczego robisz to tak późno. W końcu oboje poniekąd...

– ...wstaliśmy ze zmarłych?

– Ale czyż nie jest to prawdą? Argus Bilfur... jego wola... jaźń połączyła się z Bakkusem, Dalią i wieloma innymi Maszynami na całym świecie w chwilę po przyjęciu na siebie brzemienia ujarzmienia Góry Gigantów. Przez ogromną większość z nich został natychmiast odrzucony jako coś... niepożądanego. Tak jak ciało broni się przed pasożytem. Ale mimo że był tworem tego, a nie tamtego, starożytnego świata, znalazł sposób na to, by dotrzeć do Bakkusa i Dalii. A przez nich do ciebie, gdy byłaś w pobliżu ich Maszyn. Jak? Tej jednej rzeczy nie umiałabym ci wytłumaczyć. Ani sobie. On nie jest częścią tego systemu... tej sieci. Jest czymś, co wykracza ponad to, co Dalia może przetworzyć i zinterpretować. Chyba chcę przez to powiedzieć, że Żółw z pewnością również tęskni za Alyn. A więc i za tobą. I prędzej czy później znajdzie sposób na to, by się do ciebie odezwać.

Zamilkły. Dziewczyna zwana Inanną i głos bogini Pahaadu w jej głowie.

A gdy słońce ponownie pokazało swą twarz daleko nad falami, białowłosa wstała i pogładziła zawiniątko z czaszką biednej, bezdomnej dziewczynki uratowanej kiedyś przez Dalię-Rainę z ulic kaimiańskiego Yarren. I już miała odwrócić się w stronę bramy portu, gdy naszła ją jeszcze jedna myśl. Jeszcze jedno pytanie.

– Dlaczego Alyn? Dlaczego... ja?

– Pytasz, dlaczego Dalia wybrała ją, aby stworzyć z ich obojga nowe życie? Najlepiej chyba ujęła to Vaala. Bo zrobiłaś więcej, niż ktokolwiek mógł od ciebie oczekiwać. Bo jesteś niezwykła.

– Jestem... Nie wiem, jaka jestem. To nie ja jestem Inanną. To przecież twoje imię. Imię Isztar, nieprawdaż? A co będzie, gdy odejdziesz? Co wtedy? Kim wtedy będę? Nie jestem złodziejką. Nie chcę już takiego życia.

– A jakiego?

– Chcę zobaczyć się z Torynem i Kai w Sebhel. Chcę odwiedzić Vaalę i Dalię w Pahaadzie. Chcę pochować tę dziewczynkę na Kaim. Spotkać się z Żółwiem. Odnaleźć i ukarać tych, którzy zrobili z Alyn i jej brata sieroty.

– Gdy odejdę... tak naprawdę odejdzie tylko mój głos. Bo ja wciąż jestem częścią ciebie. Nowej ciebie. Moją rolą jest tylko być ci pomocą i przewodniczką na tym dziwnym, bezwzględnym świecie. Nie pytaj mnie więc o zdanie i nie martw się o mnie. Bądź, kim chcesz być. Znajdź sobie imię. Po prostu żyj.

Po prostu żyj, powtórzyła w myślach jak echo. Wzięła głęboki oddech, a wraz z dobiegającym z tawerny zapachem pierwszych ciepłych śniadań poczuła, jak kąciki jej ust same unoszą się w uśmiechu.

To jak się nazwiemy, dziewczyno?

Kątem oka zauważyła pękatą sylwetkę mężczyzny, który przystanął nieopodal i od kilku chwil przyglądał się jej z ciekawością. Był brodaty i miał ogorzałą twarz o policzkach czerwonych i okrągłych jak nektarynki. W prawej dłoni – wielkiej jak pióro pagaja – trzymał zwój liny.

– Alyn? – zapytał kapitan Wilmot, przysłoniwszy oczy przed słońcem.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego szeroko.

Alyn, pomyślała.

Niech będzie Alyn.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Jako żywo pamiętam czas, kiedy bałem się, że nigdy nie zacznę pierwszej książki. A potem, że jej nie skończę. A potem, że będzie za nudna. Że będzie za krótka. I że po niej nic więcej już nie napiszę.

Skoro to czytasz, masz pewnie za sobą wszystkie trzy części opowieści o Alyn i tym samym trzy pełnokrwiste argumenty za tym, by iść przed siebie pewnie i bez strachu. By podążać za zewem pasji. Dziękuję za Twoje towarzystwo w tej przygodzie, bez Ciebie nie miałaby przecież sensu!

Dziękuję również szczególnie wszystkim, którzy wierzyli we mnie, wspierali mnie, mieszali z błotem i w każdy inny możliwy sposób przyczynili się do powstania tej trylogii: mojej Mamie, Izie, Agnieszce, Szymonowi, Justynie, Ani, Beacie, Emilii, Karolowi i przesympatycznemu stadku Kierowników.

Bogini Pahaadu
Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-954475-1-8
© Michał Kuszewski 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody autora.

REDAKCJA i KOREKTA: Anna Raguza
OKŁADKA: Michał Kuszewski
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

www.michalkuszewski.pl
www.facebook.com/enkizm

kontakt@michalkuszewski.pl